

# **Bolesław Mrówczyński**

## **Droga wśród skał**

### **Opowieść peruwiańska**

Wydanie polskie 1963

Spis treści:

<a href="#">Od zwycięstwa do klęski.....</a>	.....
<a href="#">Droga przez piekło.....</a>	.....
<a href="#">A gdy rewolwer przemówił w obronie prawa.....</a>	.....
<a href="#">Błogosławieństwo mądrości.....</a>	.....
<a href="#">Drugi krzyż.....</a>	.....
<a href="#">Po szesnastu latach.....</a>	.....
<a href="#">Notatki biograficzne.....</a>	.....

Dzięki tym ludziom słowo Polak stało się tu gwarancją ofiarności, uczciwości, dobrego wychowania i solidnej roboty. Toteż gdy w 1911 roku przyjechałem do Peru, chociaż już nie zastałem żadnego z nich, Peruwiańczycy przyjęli mnie jak swego i otwarto mi wszystkie drzwi.

Staralem się zawsze tę dobrą opinię o Polakach tutaj podtrzymać.

/-/ RYSZARD MAŁ.ACHOWSKI

inżynier-architekt, Lima

(z listu do autora)

## **Od zwycięstwa do klęski.**

**I.**

Gdy w początkach XIX wieku wojska hiszpańskie zostały zmuszone do opuszczenia olbrzymich terenów amerykańskich, na których od trzystu lat panowały wszechwładnie, wydawało się, że wreszcie nastąpi spokój. Z zażartych bojów o niepodległość wyrosły nowe państwa, gdzie według konstytucji wszyscy obywatele byli sobie równi i mogli swobodnie wybierać władze albo usuwać rządy. Korzystali z tego skwapliwie. Padały coraz to inne hasła, wciąż wysuwano nowe programy. Do głosu doszły też namiętności. I nim się spostrzeżono, już brutalna siła zdolą przekreślić wolność. Ten dyktował prawa, kto miał w ręku rewolwer lub szablę. A kto się okazał silniejszy, ten się sadowił w stolicy. Mijały lata. Pronunciamienta - te rewolucje tak typowe dla krajów Ameryki Łacińskiej, kłębiły się wszędzie, samozwańczy generałowie i pułkownicy wydzielali sobie nawzajem władzę, co pewien czas całe narody stawały naprzeciw siebie, tocząc zaciekle wojny o ustalone niedawno granice. Ile tam krwi przelano, ilu ludzi straciło życie, ilu doznało kalectwa, ile sierot stało się pastwą głodu - nikt nie ustali, gdyż nikt wówczas nie prowadził obliczeń. Były to jednak straty ogromne, idące w miliony. A zdarzało się, jak na przykład w Paragwaju, że po takich kataklizmach nie można było spotkać na wielkich przestrzeniach ani jednego mężczyzny.

Tragiczne to były zmagania. Młode narady właściwie miały dotąd jedynie nazwy i dopiero w ogniu tych walk kształtowały stopniowe swe narodowe oblicze. A tymczasem zamiast korzystać z upragnionej wolności - ugiwały się pod ciężarem dyktatorskich rządów, zamiast polepszać swój byt - Wpadały w coraz skrajniejszą nędzę, zamiast rozwijać gospodarkę - coraz bardziej uzależniały swoje istnienie od tego czy innego wielkiego mocarstwa. A te mocarstwa poczynały sobie coraz odważniej,

powszechne rozprężenie było im bardzo na rękę. Dyktatora kupowały, gdy znalazł się jakiś uczciwy prezydent albo minister - obalały go, wspierając bronią i amunicją organizowane na poczekaniu pronunciamenta. Celowała w tej akcji Wielka Brytania, wkrótce jednak natrafiła na konkurenta. Stany Zjednoczone też interesowały się żywo rozrzuconymi wszędzie olbrzymimi złożami srebra i złota, miedzi, cyny, ołowiu, saletry, one także pragnęły na tych nieszczęsnych krajach ubić własny interes. Jednakże i one atakowały pośrednio, poprzez ambitne jednostki i hojnie rozdawane łapówki. Za to Francja nie wykazała takiej zręczności. Doszedłszy do wniosku, że i jej należy się udział w tych skarbach, w roku 1861 wysadziła w porcie Vera Cruz własną armię i zaczęła zbrojnie podbijać Meksyk.

Na tym wzburzonym morzu, targanym sprzecznymi interesami jednostek, klas społecznych i międzynarodowego kapitału, w którym wodę zastępowały łzy ludzkie i przelewana obficie krew, jeden tylko statek żeglował stosunkowo spokojnie. Było nim Peru. Wprawdzie i tutaj często zmieniały się rządy, a pronunciamenta też niejednokrotnie napełniały stolicę szczękiem oręża, lecz przynajmniej nigdzie nie widzieli się nędzy. Był to bowiem zamożny kraj. Ogromne pokłady saletry na wysepkach u południowych wybrzeży były warte więcej niż złoto, skarb nieustannie był pełny. Czerpano więc z niego garściami. Kto umiał choćby czytać i pisać, otrzymywał dobre stanowisko w najzupełniej niekiedy niepotrzebnych urządach. Kto tego nie potrafił - i tak coś tam do niego spłynęło z góry za byle jaką usługę. A że klimat był tu gorący i wystarczało unieść rękę, aby zerwać z drzewa pożywne owoce, więc życie płynęło beztrudnie. Nie przeszkadzały temu nawet pronunciamenta. Kto szukał guza i kogo ponosił temperament, stawał do walki. Większość jednak zamykała starannie bramy i okiennice i przyglądała się z zaciekawieniem, jak tam się biją z sobą zwolennicy starego i nowego porządku. Dla jednych był to dopust boży, dla wielu miła rozrywka. Wynik bowiem był obojętny: każdy, kto doszedł do władzy i pochwylił skarb państwa, musiał pamiętać też o ludności, aby zapewnić sobie bezkarność.

Tak spokojnie, pogodnie, przy wtórze gitar i rozbrzmiewających od czasu do czasu rewolwerowych wystrzałów toczyło się życie na Pomorzu - wąskim pasemku długiego na trzy tysiące kilometrów peruwiańskiego wybrzeża. Tu skupiły się wszelkie ważniejsze centra tej republiki, tutaj znajdowała się Lima - stolica; stąd wychodziły na cały kraj rozkazy i zarządzenia. A był to olbrzymi kraj, lecz jego wielkość można było dostrzec dopiero wtedy, gdy odsunęło się nieco na wschód od tego nadmorskiego pasemka i przekroczyło potężną zaporę utkaną z górskich wierzchołków. Na podniebnych andyjskich wyżynach, w pampach wzdłuż brazylijskiej granicy, w puszczech nadamazońskich mieszkali już inni ludzie: prawi władcy tej krainy, śniadzi Indianie, pamiętający jeszcze czasy, gdy przed wiekami rządili nimi Inkowie. Od obcych trzymali się z dala, na każdego przybysza spoglądali nieufnie. I na pozór wydawało się, że zapomnieli zupełnie o swej świetnej przeszłości. Przeczyły temu jednak zamyślenie, pełne skupienia i melancholii spojrzenia, jakie rzucali na ślady państwa, które rozpadło się ongiś pod naporem Hiszpanów. Tych śladów zaś było niemała: to resztki kanałów nawadniających, to zamczyska kamienne z kilkumetrowej wielkości głazów, to zdumiewające warownie rzucone między skały jakby rękami cyklopów, to biegnące prosto jak strzała, dziś jeszcze nadające się do użytku drogi, służące dawniej królewskim kurierom. Był to już inny świat. Ludzie z wybrzeża mało się nim interesowali i poza Andy nie przepływały prawie wcale państwowe pieniądze. Toteż tutaj nędza była widoczna. Indianie nie brali tego jednak do serca. W przeciwieństwie do tego tragicznego dla nich okresu, gdy tu panowali Hiszpanie, obecnie nikt się do nich nie wtrącał, nikt nie wymagał ani pracy niewolniczej, ani podatków. Byli więc nawet na swój sposób szczęśliwi. Do braków przyzwyczaili się od pokoleń; za to spokój był bardzo cennym nabytkiem. Zresztą niewiele ich znów obchodziło, co dzieje się za górami. Dla nich to był także inny świat, lepszy niż dawniej, lecz ciągle biały, stworzony przez dawnych najeźdźców. Wiedzieli z doświadczenia, że lepiej trzymać się od niego z daleka.

Tak więc Peru, zarówno to z kordylijskich wyżyn, jak i to z nizin nadmorskich przeżywało okres błogosławiony, jakiego nie było w tym czasie w żadnej republice Ameryki Łacińskiej. Indianie nic nie zyskali materialnie, lecz właśnie dzięki temu mieli wkrótce uniknąć wstrząsów. Bo oto gdy w Meksyku, na gruzach starożytnego państwa Azteków wojska cudzoziemskie spychały bagnetami pierwszego w dziejach prezydenta-Indianina, Benito Juareza, coraz dalej na północ, naprzeciw dawnego państwa Inków pojawiły się inne okręty wojenne. To zubożała Hiszpania postanowiła ratować skarb kosztem swej dawnej kolonii i nagłym atakiem pochwyliła, co było tu najcenniejsze: saletrę. Tocząca się dotąd warko złota rzeka wyschła raptownie, do Limy przestały napływać pieniądze. Wylegujący się dotąd beztrudnie ludzie Pomorza zmarkotnieli i pośpiesznie zawarli traktat obronny z Boliwią i Chile, lecz wkrótce do niedostatku przyłączył się strach. Flota hiszpańska uderzyła na Valparaiso i z zaciętością dawnych konkwistadorów sumiennie wypełniła swoje zadanie: miasto legło w gruzach, port zastał obrócony w perzynę, zniknęły wszelkie fortyfikacje. I wyginęło nie tylko wojsko, ale i ludność cywilna.

Wstrząsająca była to wieść. A pod koniec kwietnia 1866 roku nadeszła gorsza. Okręty hiszpańskie

już płynęły na północ, już groziły Peru, już nie ukrywały, że to samo zamierzają uczynić z portem Callao, stanowiącym bramę do Limy i pierwszą, a równocześnie ostatnią jej linię obrony. Rozległy się wszędzie glosy paniczne, jak rozbitkowie z tonącego statku uciekali teraz z rządu członkowie będącej właśnie u władzy partii konserwatywnej. Wroga jeszcze nie dostrzeżono nigdzie, nie wiedzano nawet dokładnie, kiedy się może pojawić. Lecz właśnie dlatego spodziewano się go w każdej chwili, lęk zaś uskrzydlał myśli i rozszerzał coraz niezwyklejsze pogłoski: a to że nieprzyjaciel już wylądował i morska piechota maszeruje od strony Chorillos, a to że ukazał się znieca pod Chilca i zbombardował osiedle, a to że...

Wiele było w tych wieściach przesady, zdenerwowanie jednakże rosło, a 1 maja doszło ono do stanu wrzenia. Tego dnia istotnie ujrano Hiszpanów naprzeciw Chilca. W Callao zaniepokoił się nawet ci najwytrwalsi, zapowiadający dotąd szumnie, że nie ruszą się z miejsca. Zaroiły się od nich ulice, pchali się wszyscy na dworzec. I wśród trwoźnych narzeków, wzajemnych wymyślań, lamentu i klątw uciekali pociągami, krążącymi nieustannie między Limą a portem.

Dwoje tylko ludzi zdawało się nie przejmować tym wszystkim. Siedzieli z dala od miasta nad brzegiem morza i przytuleni do siebie najspokojniej oddawali się wesołej rozmowie. On - młodzieniec szesnastoletni o wysypującym się dopiero wąsiku, dufny w siebie i wygadany, podkreślający chętnie słowa miną i gestem; ona chyba w tym samym wieku - śliczna czarnulka z błyszczącymi z podniecenia oczyma zapatrzona w niego jak w tęczę, przedziwnie urocza w tym bezwiednym podziwieniu. Dobrze im tutaj było. Nikt nie przeszkadzał, drzewa rzucały z góry przyjemny cień, lekki wietrzyk od oceanu chłodził łagodnie czoła. A i widok mieli przed sobą rozległy. Miasta rozciągało się jak na dłoni, spoza budynków mieszkalnych wyrastały masywne mury zbudowanego przed wiekami zamku świętego Filipa. A dalej, aż po strzelistą, bijącą w niebo jak dzida wysepkę San Lorenzo, jaśniały wody zatoki. Była ona w tej chwili prawie zupełnie pusta, wszelkie statki odpłynęły już dawno. Za to wody pięknie mieniły się w słońcu, coraz silniej grały złocistymi blaskami, otaczającym je od wschodu pożółkłym i z rzadka tylko pokrytym zielenią brzegom dodawały wdzięku swą ruchliwością. Nie potrafiły tylko spłoszyć panującej dookoła ciszy. Martwy był port i martwe były ulice, wymarła wydawała się także forteca. A jedynie tu, u ich stóp, fale wprowadzały pewien niepokój. Równy, majestatycznie i nawet głośno toczyły się naprzód, lecz w tym odwiecznym ruchu było dziś duża miękkość, jak gdyby i one pragnęły się przystosować do pogłębiającego się wokół milczenia.

Dziewczyna drgnęła naraz. Nasłuchiwała czujnie przez pewien czas.

- Antonio, słyszysz? - szepnęła w trwodze. - Warczą motory!...

Młody człowiek przekręcił się leniwie i usiadł. Twarz mu rozbłysła wesoło.

- Dziad swoje, baba swoje - odezwał się żartobliwie. - Nie mówiłem ci przed chwilą, ile to ludzi słyszy codziennie huk dział bijących w Callao, chociaż dotąd nie odezwało się ani jedno? A tobie przywidziały się dla odmiany motory! Nie zwracaj sobie tym głowy. Jesteś zresztą ze mną. Gdyby nawet przybyli Hiszpanie, nie potrzebujesz się niczego obawiać.

Przybrał postawę pełną godności, pierś wysunęła się naprzód. Uśmiechnęła się zachwycona. Ta poza wywierała zawsze na niej wielkie wrażenie.

- Chyba masz rację - przyznała zgodnie. - Musiałam się przesłyszeć. Chociaż...

Raz jeszcze nadstawiła uważnie uszu, ale ze ją zaraz przytulił i pocałował, zapomniała o wszystkim. Na troskę zresztą nie była miejsca w tym uroczym zakątku. Dzień był prześliczny, łagodnie szumiały drzewa, ocean nucił tajemniczo swoją czarowną pieśń. Wsłuchiwała się w nią, wzrok jej pobiegł za stadem mew. Osunęły się właśnie nad wodę, zamiotły skrzydłami fale. A gdy znowu wzbily się w górę i ona nagle stanęła na równe nogi.

- Antonio, to jednak motory! - krzyknęła wpatrując się w napięciu w horyzont. - Słyszę je teraz wyraźnie. A tam, spójrz: dym - zaczęła ją ogarniać panika. - Uciekajmy!

Machnął lekceważąco ręką, lecz wstał także i obojętnie rzucił okiem na morze. Coś tam przykuła jego uwagę, umknęła niespodziewanie z twarzy dotychczasowa bez troska. W tym miejscu, gdzie jasny błękit nieba przemieniał się w ciemnognatową płaszczyznę, rzeczywiście wykwiłała drobniutka smużka, jak zabłąkany przypadkowo obłoczek,

- Hm, jakiś parowiec... - mruknął wyraźnie tym zaskoczony. - Maże oni, może nie oni. Zobaczymy. Jeśli Hiszpanie, warto przypatrzeć się z bliska.

Niepewnie początkowo rozbrzmiewający głos nabrał śmiałości. Antonio nie ruszał się z miejsca. Próbowana pociągnąć go w stronę miasta, molestowała płochliwie, lecz nie ustąpił. Zaczęło się wydawać, że co w niej budziło lęk, jemu sprawia przyjemność. Zbywał żartami jej wszystkie prośby, rozśmieszał, każde jej słowo pogłębiało w nim werwę. Na swój sposób czarował i rzeczywiście osiągnął skutek. Uległa szybko urokowi, oparła się ufnie o jego pierś i takie z coraz większym

zaciekawieniem wpatrywała się w morze. Obraz poszerzał się. Zza horyzontu wypływały coraz liczniejsze smugi, a wkrótce pojawiły się błyski, jak gdyby promień słoneczny uderzał w stal.

- A jednak oni - Antonio nadspodziewanie poważnie pokiwał głową. - Ha, więc będziemy się bili. Po raz drugi nie oddamy przecież Hiszpanom naszej ojczyzny!

Zmienił się nie do poznania. Ruchliwa przedtem, nadrabiająca często miną, tak samo skora do pozy, jak i do wesołości twarz zamknęła się teraz w sobie, jakby zamieniła się w maskę. Dziewczyna zerknęła na niego raz i drugi i milczała spłoszona. Wyczuła w nim jakąś obcość, wydało jej się, że w tej chwili o niej zupełnie zapomniał.

Wiatr mocniej uderzył w gałęzie, rozszumiały się liście. A tam, naprzeciw, obraz stawał się coraz ciekawszy. Dymy powiększały się, unosiły stopniowo w górę. Pod nimi wyrastała ażurowa tkanina z kominów i masztów, coraz wyraziściej uwypuklały się masywne kadłuby. Nie mogło być wątpliwości: wyczekiwana od dawna potężna eskadra hiszpańskiej floty wojennej wpływała na wody Peru i z ogłuszającym hukiem motorów szła wprost na Callao.

- Antonio, wracajmy do domu! - szepnęła dziewczyna błagalnie. - Pewnie zaraz zaczną strzelać...

- W nas? Peto, co ty wygadujesz? W twierdzę będą bili, a nie w takie niebożątka jak my. Ech, te kobiety! O wojnie nie mają pojęcia.

Antonio rozbawił się. Popatrzył na słońce: pochyliła się mocno ku zachodowi.

- Dziś w ogóle nie rozpoczną ognia - dodał z wielką pewnością. - Za dwie, trzy godziny zrobi się ciemno. A atak z morza wymaga światła.

- Ale może już nie być pociągu...

- Pójdziemy pieszo! Do Limy najwyżej dwanaście kilometrów. Co to znaczy na nasze nogi?

Spojrzała z przejściem na pantofelki, w których jej zgrabne nóżki rysowały się wprawdzie pięknie, lecz na pewno nie nadawały się do takiej podróży. Antonio rzucił na nią okiem i domyślił się od razu jej wewnętrznej rozterki.

- Prawda, w nich nie dojdiesz do Limy - odezwał się żartobliwie. - A nawet moja płomienna miłość nie zmusi mnie, abym cię tam zaniósł na rękach. Więc chodźmy. Pociąg będzie na pewno.

Ruszyła szybko, lecz objął ją wpół i nie dopuścił do nadmiernego pośpiechu. Gawędził za to z ożywieniem, chociaż równocześnie obserwował bacznie okręty. Przybliżyły się ciągle - coraz większe i coraz groźniejsze. A gdy znaleźli się nieopodal pierwszych zabudowań Callao, zataczały właśnie łuk od północy, jak gdyby z rozpędu zamierzały wjechać prosto do portu.

- Antonio, baję się! - szepnęła Peta trwożnie. - Niewątpliwie za chwilę rozpocznie się bitwa. I wylądują! Przecież tam, w twierdzy, nie widać żywego ducha...

Rzeczywiście i w mieście, i w porcie, i na murach fortecznych panowała kompletna cisza, a jedynie czerwono-biała flaga wolnego, Peru poruszała się lekko na maszcie. Swą samotnością wśród tych bezludnych, jak się zdawało, budowli pogłębiała jednak tylko przygnębiające wrażenie smutku i opuszczenia. Antonio objął ją zamyślnym spojrzeniem. Po raz pierwszy ukazało się na jego twarzy zakłopotanie.

- Jakoś niesamowicie to wszystko wygląda... - mruknął. - Nie tylko dział nigdzie nie widać, ale nawet pojedynczego żołnierza. Czyżby mieli rację ci, którzy twierdzą, że nie jesteśmy wcale przygotowani do wojny?...

Peta, ta tak dotąd uległa, zatrwożona i ciągle usiłująca przyspieszyć kroku Peta, naraz jakby zapomniała o lęku.

- I ty powtarzasz te brednie? - zachnęła się gniewnie. - Przecież tam gdzieś za murami czuwa nasz don Ernesto!

- Malinowski? - Antonio wzruszył ramionami lekceważąco. - Co z tego? Że jest dobrym inżynierem, nie przeczę. Ale o wojnie może nie mieć pojęcia. Co o nim właściwie wiemy? Gringo, zagraniczny przybłęda. Na takim nigdy nie można polegać.

Twarz Pety zapłonęła nagle szkarłatem.

- Nie masz racji! - przeciwstawiła się ostro. - Nie czytujesz gazet? Nie słyszałeś, co się mów-i o nim na wiecach? Przecież on pochodzi z tego narodu...

- Polak.

- O właśnie, Polak! A Polacy to taki naród, który staje zawsze przy walczących o wolność. Nie słyszałeś o Kościuszcze czy o Pułaskim, którzy w Stanach odegrali wielką rolę w wojnie o niepodległość? Musiałeś słyszeć, mówi się o tym ciągle! Urodzeni żołnierze. Nie zawodzą nigdy i dotrzymują wierności. Więc i don Ernesto nas nie zawiedzie. Cała Lima to przecież powtarza!

W oczach Antonia rozbłysło wielkie zdziwienie. Dotychczas ta miła dziewczyna zawsze zgadzała się z jego zdaniem, we wszystkich sprawach uważała go za wyrocznię. A teraz nie tylko przeciwstawiała się jego opiniom, lecz w słowach czuło się nieklamany entuzjazm. To prawda: od pewnego czasu Malinowski rzeczywiście był przedmiotem powszechnej uwagi. W Peru mieszkał od piętnastu lat, lecz przedtem znali go tylko nieliczni. Toteż gdy niespodziewanie mianowana go dowódcą obrony Callao, obok hymnów pochwalnych podniosły się też głosy krytyczne. Przecież to był najwrażliwszy punkt, zdobycie go przez wroga mogło zadecydować o lasach całego kraju. W miarę więc, jak przybliżały się hiszpańskie okręty, rósł coraz bardziej niepokój. Aż wreszcie minister wojny, pragnąc w tej trudnej chwili zamknąć usta ludziom siejącym świadomie czy nieświadomie panikę, oświadczył publicznie, że bierze za wszystko odpowiedzialność i w czasie bitwy będzie osobiście obecny w twierdzy.

Antonio spojrzął spod oka na Petę. Oczywiście ona nie zastanawiała się nad tymi wątpliwościami. W to tylko wierzyła, co jej najbardziej przypadło do serca. Jak zresztą tysiące mieszkańców Limy... Doszedł do wniosku, że nie warto o to się sprzeczać i po chwili skierował oczy na morze. Wysepka San Lorenzo przesłoniła eskadrę, gdzieś widać było tylko wierzchołki masztów. Huk motorów ustał zupełnie.

- Słusznie! przewidziałem: zatrzymają się na morzu do rana - rzekł jakby do siebie. - A potem...

- A jeśli wylądują gdzieś w nocy? I zamiast uderzać na Callao, ruszą prosto na Limę?...

Poprzedni entuzjazm Pety zgasł nagle, z wypowiedzianych nerwowo słów wychyliła się znowu trwoga. Antonio melancholijnie pokiwał głową.

- Wszystko możliwe - przyznał. - To prawda: do Limy stąd bardzo blisko... Chodźmy szybciej!

- Boisz się czegoś?...

Antonio wyprostował się energicznie. Jak tam, nad morzem, stał się znów pewny siebie, a przy tym groźny, jakby za chwilę zamierzał wypowiedzieć wojnę całemu światu.

- Ja miałbym się czegoś bać? - przemówił czupurnie. - Śpieszę się, bo trzeba się przygotować do bitwy!

- Jak to: do bitwy?...

- Nie rozumiesz? Hiszpanie mogą istotnie gdzieś wylądować ;pod osłoną ciemności. A zresztą i ta twierdza zaczyna mnie niepokoić. Może nie wytrzyma godzinę...

Popatrzył na nią trochę wyzywająco, spodziewając się widocznie, że znowu zaprzeczy. Milczała jednak spłoszona.

- Lima więc musi być przygotowana w każdej chwili do odparcia ataku - dodał łagodniej. - Pierola wie o tym dobrze. Dlatego już przygotowuje zbrojne oddziały.

- A ty chcesz wstąpić do nich?... Antonio ty, taki młody! A jeśli zginiesz?

- Jestem Peruwiańczykiem. Jeśli ojczyzna zażąda - zginę, bo bronić jej trzeba. Śmierć Hiszpanom lub nam!

Niewątpliwie z głębi serca wypłynęły te słowa, chociaż nie brakowało w nich sztucznie uroczystej powagi i deklamacji. Pety to nie raziło: w jej kraju często wypowiadano w tym tonie nawet najprostsze myśli. Dostrzegła więc tylko szczere uczucie i z uwielbieniem spojrzała mu w oczy. Wyprężył się mocniej, z podniecenia zapłonęły mu nagle policzki. Zamilkł odtąd zupełnie. Za to jak żołnierz idący do bitwy coraz dobitniej odmierzał krok.

Nad Callao panowała nadal kompletna cisza. Opadające powoli słońce złościło mury, dachy i port i uwypuklało coraz mocniej smukłą sylwetkę San Lorenzo, za którą przywarowała nieprzyjacielska eskadra. Bardzo pogodnie wyglądał ten obraz, pozorny spokój wylaniał się z każdego zakątka. Natomiast na wschodzie widok był zupełnie odmienny. Jak czarny potężny wał gwałtownie wzbijały się w niebo zbocza Andów - tak strome, że nie mogła się na nich utrzymać najdrobniejsza roślina. Ich wierzchołki tonęły w tej chwili w chmurach, rozjaśniały się nieustannie blaskiem błyskawic, aż tutaj zanosły hukiem piorunów, jak gdyby chciały przypomnieć, że stoją na straży i że do wnętrza kraju nikt się przez nie nie przedrze.

Antonio obserwował przez pewien czas te posępne barwy i błyski, a potem nieznacznie osunął wzrok. U podnóża gór kłębiły się zwały mgły. Obserwował nieraz to zjawisko, było ono normalne. A mimo to mocno zacisnął usta, jakby doznał jakiejś przykrości. W tym właśnie miejscu, pod tą szarą powłoką znajdowała się Lama. Przed nią zaś rozciągała się jedynie naga, zupełnie nie nadająca się do obrony, z lekka tylko pofalowana równina...

Rozległ się gwizd nadjeżdżającego ze stolicy pociągu. Antonio przyspieszył kroku. Złął się nagle, że to może być pociąg ostatni. I że nie zdąży pochwycić broni.

## II.

Nadchodził zmierzch. Mgliste opary, tak częste w tym Grodzie Królów, jak zwali dawniej to miasto Hiszpanie, zanikały szybko, rozpraszały się chmury. Ostatnie promienie słońca przedarły się nareszcie i zaczęły rozweselać poszarzałe dotąd budynki, uderzać raźnie w zakratowane okna, arkady, wykusze, coraz wyraziściej uwypuklać napływające zewsząd tłumy przechodniów. Zdawało się, że cała Lima wysypała się dziś na ulice. W centrum i na przedmieściach, w alejach pod starożytnymi murami, na masywnym kamiennym moście ponad wzburzonymi wodami Rimaku, koło kościołów i rządowych budynków, przy stacji kolejowej - wszędzie tłoczyli się ludzie i jak wezbrana fala przesuwali się bez pośpiechu ku Placowi Broni, w stronę katedry. Była to ich zwyczajna droga; przemierzano ją nieraz, zwłaszcza w czasie wielkich wydarzeń. Zazwyczaj jednak odbywało się to w ogromnym gwarze, a powietrze drżało od okrzyków i rewolwerowych wystrzałów. Dziś było inaczej; panowało wokół jakieś niesamowite, rozrywające serca i dusze milczenie. Jeśli ktoś się odzywał, robił to prawie szeptem. I taką samą otrzymywał odpowiedź.

A na Placu Broni nawet szeptów nie było słyhać. W tym czworoboku, którego jedną ścianę stanowił okazały pałac wicekrólewski, a przeciwległą masywne i ciężkie mury katedry, rozgrywały się zawsze najważniejsze wypadki. Właśnie tutaj kończyły się zwykle pronunciamienta, tu szcęk oręża i wrzawa bitewna często burzyły krew, tu zmieniały się rządy i stąd płomienne manifesty płynęły do najdalszych zakątków. Toteż i dziś skupiano się na tym placu, jakby się spodziewano, też coś wielkiego usłyszeć, jak gdyby oczekiwano jakiegoś cudu. Sytuacja przecież była tragiczna. Zaledwie o dziesięć kilometrów od miasta stał już na kotwicy zacięty wróg, a przed nim tylko Callao. Jedyna twierdza i jedyna zbrojna załoga. Jeśli ona padnie, kto mu zagrozi drogę? Kto się oprze, jeśli w tym najbogatszym kraju Ameryki Łacińskiej nie ma prawie zupełnie armii?...

Cisza pogłębiała się. Antonio, znalazłszy się wreszcie w Limie, uległ widocznie tym przygnębiającym nastrojom, bo nie otwierał zupełnie ust. Za to prostował się coraz dumniej, młodzieńcza twarz przybierała ciągle na surowości, spod przymrużonych z lekka powiek bił chłodny blask. Na Pecie ta poza wywierała wielkie wrażenie i delikatnym dotknięciem, to znów pełnym podziwu westchnieniem, to błyskiem oczu starała się co chwila wyrazić mu swoje uznanie. A on jakby tego nie widział. Pchał się za to nieustępliwie naprzód i dopiero gdy się znalazł przed stopniami katedry, przystanął. Przed nim było zupełnie pusto, a jedynie siedzące tu i ówdzie przekupki starym zwyczajem opiekały nad ogniskami kawałki mięsa i sprzedawały je chętnym.

- Nareszcie luźniej - Peta odetchnęła głęboko. - Ależ olbrzymi tłum!... Sądysz, że odbędzie się jakaś manifestacja?

Antonio nie odpowiedział. Rzucił okiem na plac, na pałac rządowy, potem na zanikające szybko ostatnie słoneczne blaski, wreszcie jego wzrok utknął w wejściu katedry. Niskie ano było, tonęło zupełnie w mroku. Nikt tam nie wchodził. Od czasu do czasu wysunęła się tylko jakaś starsza, otulana w manto niewiasta, i uroczystym krokiem schodziła ze stopni.

Tłum falował nieznacznie. Jedni przesuwali się i znikali w bocznych uliczkach, inni napływali do środka, uniósł się gdzieś tam niekiedy głośniejszy gwar. Peta rozglądała się wtedy płochliwie, jakby niepewna, czy nie należy uciekać. Natomiast Antonio nie odrywał oczu od wejścia. Zamazało się ona nagle, jak cały plac zaginęło w ciemnościach. To słońce zniknęła właśnie za horyzontem. Zaraz jednak zrobiło się jasno. Piękna, pogodna, limańska noc pojawiła się w całej krasie i zaczęła sączyć na ziemię mocną podzwrotnikową poświatę.

Antonio drgnął. Z katedry wyszło dwóch mężczyzn. Jeden w wojskowym, lśniąco szamerunkami mundurze, o twarzy brutalnej i tępej, zadzierający wyniosłe głowę i tak twardo bijący nogami w ziemię, jakby chciał zwrócić na siebie powszechną uwagę. Drugi był w cywilnym ubraniu i na pierwszy rzut oka stanowił jego przeciwieństwo. Szedł skromnie z boku, cichy i niepozorny, a tylko rzucane dokoła szybkie i badawcze spojrzenia oraz skupiona twarz o rysach surowych i ostrych wskazywały, że ten młody jeszcze człowiek znacznie lepiej zna swoją drogę aniżeli ten, który idzie obok niego z wielkim hałasem.

- Nie gniewaj się, Peto - Antonio gorączkowo uściśnięła jej rękę. - Muszę cię już opuścić. W tym tłumie nic ci się złego nie stanie.

- Kiedy się zobaczymy?...

- Nie wiem. Wojna!

Mocno go przytrzymała za ramię.

- Antonio, powiedz - szepnęła prosząco. - Co się właściwie stało?  
- Nie widzisz? Pierola idzie!  
- Minister Pierola? Ten w cywilnym ubraniu?... I ty z nim będziesz rozmawiał?  
- Oczywiście. A także z tym drugim - Sylwestrem Gutierrezem. To on właśnie stanie na czele obrony!

Skorzystał z jej osłupienia i pobiegł po schodach. Tamci stanęli. Pierola objął młodzieńca najwyraźniej zadowolonym spojrzeniem.

- Skrupulatnie przestrzegasz terminów - pochwalił. - To dobrze. A teraz opowiedz krótko. Widziałeś hiszpańską flotę?

Antonio nadspodziewanie przejrzysto i zwięźle złożył meldunek. Zawarł w nim wszystko: liczbę okrętów, wielkość, uzbrojenie i ruchy nieprzyjaciela, i jego ostatnią pozycję. Z kolei; przeszedł do milczenia twierdzy i nad tym zatrzymał że nieco dłużej.

- Tak, to się pokrywa z wiadomościami, które otrzymałem od innych - Pierola melancholijnie pokiwał głową. - Rząd zapewnia, że twierdza gotowa jest do obrony, lecz zawsze tak się mówi przed bitwą. Znam wartość Callao. I wiem, że po godzinie bombardowania zostaną z tych zmurszałych murów jedynie gruzy.

Odsunął się i coś szepnął do ucha Gutierrezowi. Ten stał wciąż wyprostowany sztywno, masywny jak piętrząca się za jego plecami katedra, spoglądający z góry na obserwujący go bacznie tłum. Coś tam wyczuwano, spodziewano się najwidoczniej, że ten człowiek za chwilę przemówi i przerwie tę pełną napięcia ciszę. Potrzebne tu były słowa, choćby najgorsze. Toteż poruszyły się wszystkie piersi w westchnieniu ulgi, gdy one nareszcie padły.

- Peruwianczycy! - Gutierrez uniósł do góry rękę. - Śmiertelny wróg uderza znowu w naszą ojczyznę...

Mówił płynnie, ze swadą, często używał gestu. W tym kraju pronunciamientów szumnych słów używano tak samo chętnie jak szabli, więc i on miał dużą wprawę, a chociaż nie zawsze można było odnaleźć sens, sprawa była tak wielka, że trzymała słuchaczy jak na uwięzi. Toteż na placu zapadła kompletna cisza.

- Powiedzmy sobie otwarcie, Peruwianczycy! - jeszcze potężniej rozhuczał się jego głos. - Callao się nie obroni! Nie ma dział, nie ma żołnierzy, nie ma umocnień. Liberałowie nie dopilnowali niczego. Ledwie objęli rządy...

Coś tam zakotłowało się nagle naprzeciw.

- A gdzie wy dotąd byliście? - odezwał się z tłumy niemniej potężny głos. - Pochwyciliście siłą władzę i pilnowaliście skarbu, dopóki w nim były pieniądze. Uciekliście, gdy wróg skierował na was okręty. A teraz śmiesz tu pyskować, hultaju!

Gutierrez dotknął ręką rewolweru. Coś pękło naraz w tym zasłuchanym dotychczas tłumie, jak wicher pędzący z gór rozdundnił się dokoła niewybredne okrzyki, odbiły się echem o pałac rządowy i mury katedry i huczały coraz donośniej. Dopóki była mowa o ojczyźnie, nikt nie przerywał milczenia. Teraz jednak uderzono w partię, która miała wielu zwolenników, toteż namiętności dały o sobie natychmiast znać. Że Gutierrez reprezentował konserwatystów, nie mogło być wątpliwości; świadczyły o tym zarówno słowa, jak i stojący obok Pierola. Znało go tutaj wielu, do niedawna on był ministrem skarbu. I jak wielu innych czmychnął, gdy się ukazała niebezpieczeństwo. Zbyt świeże to były jeszcze wypadki, każdy je doskonale pamiętał. Toteż teraz zaczynali burzyć się wszyscy. Nawet wróg liberałów wiedział bowiem, że objęli, oni władzę wtedy, gdy nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności.

Pierola nasłuchiwał przez chwile czujnie i znowu coś szepnął Gutierrezowi do ucha. Ten natychmiast wyprostował się energicznie.

- Peruwianczycy, nie czas szukać dziś winnych! - zamknął poprzednią sprawę. - Przed nami wróg i o nim trzeba pamiętać. Może dziś jeszcze lub jutro uderzy na naszą stolicę!...

Uciszyło się. Ten temat żywo obchodził wszystkich, każdego nurtowały te same obawy. A Gutierrez, wyczuwszy dobry nastrój, rozwijał tym razem bardzo zręcznie swą myśl, ukazując coraz to groźniejsze obrazy klęski. Aż wreszcie poniosła go znowu pasja:

- Tak więc będzie, Peruwianczycy! Callao się nie oprze, to pewne. Bo kogo rząd wyznaczył na dowódcę obrony? Obcego przybysza, gringo, o którym...

Nie zdołał dokończyć. Rozhuczało się jak w czasie orkanu i w odpowiedzi zaczęły padać donośnie te argumenty, które tam, nad morzem, wytoczyła z takim temperamentem Peta. Aż podziw brał, skąd ten tłum tyle wiedział i o tym inżynierze, i o jego narodzie. Padały tu sławne gdzie indziej nazwiska,

mówiono o bohaterskich powstaniach i o tym ostatnim, które dopiero co się skończyło; w tych dobitnych, pełnych wiary i entuzjazmu okrzykach przewinęła się nagle cała polska historia. Peta miała rację: rzeczywiście znano ją dobrze. I tego pięknego wieczoru, tutaj, na Placu Broni, w ciągu krótkiego czasu padło więcej sław na jej temat, niż w ciągu ubiegłych wieków na terenie całego Peru.

Gutierrez osowiał. Uderzył przecież w gringa i był święcie przekonany, że ludzie mu tylko przyklasną. Tak zawsze bywało, okrzykiem „cudzoziemiec” można było uśmierzyć największą burzę. Nawet Pierola wydawał się tym zaskoczony. Widząc jednak bezradność swego towarzysza, ochłonął szybko i raz jeszcze podsunął mu jakąś myśl.

- Trzeba się liczyć ze wszystkim, Peruwiańczy! - Gutierrez uciszał przez chwilę gwar i natychmiast uderzył w ten patriotyczny. - Możliwe zresztą - ciągnął dalej - że Malinowski, chociaż gringo, jest dzielnym człowiekiem. Co on jednak poradzi, gdy nie ma dział? Szykujemy się więc do obrony! Kto żyw, niech chwyta za broń!...

Ponownie przebudził grozę. Ludzie początkowo znieruchomieli, pobledli, lecz rozjarzyły się serca i głęboko zakorzeniana miłość do ojczyzny przemieniła niespodziewanie trwogę w żywiołowy entuzjazm.

- Do bronii! - rozbrzmiał potężny krzyk i poniósł że poprzez ulice. - Nie damy Hiszpanom Limy!

- Śmierć najeźdźcom! - Gutierrez kuł żelazo póki gorące. - Ja z wami, choćby przyszło się tutaj pogrzebać w gruzach. A z nami minister Pierola!

Antonio w nagłym podnieceniu poskoczył naprzód.

- Niech żyje Pierola! - zawiódł jak na paradyzie. - Śmierć najeźdźcom! Zwycięstwo z nami!...

Także miał mocny głos, mniej może dobitny aniżeli Gutierrez, lecz za to dźwięczny i czysty. Wsparły go natychmiast setki Okrzyków i ten tłum, który niedawno o mało nie skoczył sobie do oczu, teraz manifestował zgodnie i gotów był uznać za wodza każdego, kto tylko zechce go poprowadzić do bitwy. Po chwili jednak wkraść się do tych głosów dysonans: nazwisko Malinowskiego zastąpiło niespodziewanie Pierolę. I odtąd powtarzało się coraz częściej.

- Nie ma obawy, Malinowski wytrzyma - w grupie ludzi na uboczu odezwał się ktoś po francusku. - Człowiek bardzo rozważny. Jeśli podejmuje się czegoś, wykona na pewno.

- Tak pan sądzi? - wtrącił żywo jakiś Peruwiańczyk, który to widocznie zrozumiał. - Nie podda się?

- Wykluczone!

- Wobec tego noc prześpię spokojnie. Bo że nasi żołnierze, gdy mają dobrego dowódcę, nie ustąpią - to także pewne. Jest tam zresztą minister Galvez, jemu też nie brak dzielności... A co do Malinowskiego: rzeczywiście mądry człowiek. Słyszałem o nim niejedno...

Peta, przysłuchująca się tej rozmowie w wielkim napięciu, ruszyła powoli w baczna uliczkę. Gutierrez właśnie skończył i razem z Pierolą zaginął w tłumie. Z nimi Antonio. Rzuciła raz jeszcze za nim okiem i westchnęła bezwiednie.

Noc była piękna, przesycona napływającym zewsząd zapachem róż, widna i słodka jak większość tych nocy limańskich, kiedy to człowiek najchętniej oczy unosi w niebo i tam, wśród gwiazd, szuka wytchnienia po trudach dnia. Dziś jednak nie czarowała ona jak zwykle. Na Placu Broni ludzie milkli, głośnie przedtem słowa zamieniały się w szept. Za to nad słuchiwali czujnie, czy nad Callao nie rozlegnie się huk. I czy mimo wszystko nie trzeba będzie własną piersią bronić zagrożonej ojczyzny...

### III.

Człowiek zaś, o którym tyle mówiono, przespał najspokojniej tę noc w umocnionej silnie siedzibie naczelnego dowództwa twierdzy, a gdy z rana zaczął obchodzić poszczególne placówki, zachowywał się tak obojętnie, jakby naprzeciw wcale nie było wroga. Musiał mieć już dobrze pod sześćdziesiątkę, lecz trzymał się krzepko, a gdy przemawiał, czuło się w głosie prawie młodzieńczą energię. Nie szafował jednakże nadmiernie słowem, za to uśmiechał się chętnie. Natomiast spojrzenie nie zawsze szło w parze z tą pozorną beztróską: skupione i czujne zaskakiwało niejednokrotnie przenikliwością i jakąś dziwną zadumą, zmuszającą do mimowolnego szacunku.

- Duch wszędzie doskonały - powitał go Galvez, gdy spotkali się przy śniadaniu w kasynie. - Dziwię się tylko, że chłopcy przy swym południowym temperamentem tak potrafią trzymać się w karchach. Bez rozkazu nikt nosa nie wytknie na zewnątrz. Musiałeś coś im zadać, że tak się upodobnili do swego dowódcy.



Roześmiał się. Malinowski dobrodusznie pokiwał głową.

- Rozumieją, że nasza siła tkwi w tajemnicy - rzekł. - Ciszę nieprzyjacieli przyjmie za słabość i lęk, a ten jego błąd bardzo się przyda. O tym też wiedzą... Otrzymałeś jakieś wiadomości z Limy?

- Wrócił niedawno kurier. Powszechne przygnębienie. Obawiają się wszyscy, że nie wytrzymamy ataku. A Pierola pogłębia nieufność i wzywa do skupienia się z bronią w ręku pod jego komendą.

- Hm, Pierola...

Malinowski zamyślił się, a po chwili przeszedł na inny temat. Weszło zresztą zaraz kilku oficerów i zaczęto mówić o wrogu. Obserwowano go czujnie. Stał wciąż na kotwicy, lecz ożywiany ruch na pokładach wskazywał, że lada chwila można się spodziewać ataku.

- Ano, czuwajmy - Malinowski wstał. - Wracam do siebie.

Gdy znalazł się znów w swej słabo oświetlonej izdebce, usiadł przy stole i rozłożył na nim dużą, sporządzoną odręcznie mapę. W kim innym musiałaby ona wzbudzić zdziwienie, nie miała bowiem nic wspólnego z miejscem i sytuacją. Callao było wprawdzie na niej, lecz u samego dołu, jako nieznaczny punkt. Za to wpadający w pobliżu do morza Rimak zarysowany był na całej swojej długości, a wzdłuż niego biegła w górę mocna czerwona linia. Mijała go u źródeł, przeskakiwała przez Andy, prostowała się na rozległych kordylierskich wyżynach, zwręcznie okrążała poprzeczne pasmo drugiego łańcucha górskiego i wreszcie kończyła się kółkiem w odwiecznych puszczech nadamazońskich nad Ucayali.

Inżynier wziął do ręki ołówek. Przebiegł nim przez Limę, przesunął kolejno po ustawianych jedna nad drugą, coraz to wyższych liczbach i zatrzymał go na ostatniej: 3056. Oderwał od niej :na chwilę wzrok i spojrzął w niewielkie, osadzone głęboko okienko: skalista wysepka San Lorenza jakby drzemała w słońcu, chygotały się leniwie portowe wody. Przestał się tym zaraz interesować. Sięgnął do jakichś notatek, przysunął kilka arkuszy czystego papieru i coś zaczął obliczać. Po pewnym czasie nad tamtą liczbą umieścił inną: 3155.

Upływały godziny. Liczby na mapie nieustannie pięły się w górę, przeskakując raz po raz z jednej strony Rimaku na drugą. Nikt mu nie przeszkadzał. Tam, kolo San Lorenzo, panował nadal zupełny spokój, znikąd nie napływały alarmujące meldunki. I w sąsiedniej izbie, gdzie przebywali kurierzy i adiutanci, również nie czuło się ożywienia. Galvez niewątpliwie miał racje, podkomendni przystosowali się do obyczajów swego zwierzchnika i tak samo jak on przestrzegali starannie ciszy. Niespodziewanie jednak przerwał ją znajomy, wesoly głos: wszedł tam widocznie minister. Pogawędził, rozbawił żartem i w końcu ukazał się w drzwiach. Wbrew ;przewidywaniom, na jego twarzy rysowała się teraz głęboka powaga.

- Czy nie należałoby ogłosić alarmu? - zapytał cicho. - Słychać motory...

Inżynier popatrzył w okno.

- Mamy czas - odrzekł. - Nie należy za wcześnie targać żołnierzowi nerwów, bo później będą mu bardzo potrzebne.

Galvez skinął zgodnie głową i podszedł do stołu. Popatrzył na mapę, jakby i dla niego nie miała ona żadnych tajemnic. - Sporo dziś wykonałeś - rzekł jakby do siebie. - Minąłeś trzy tysiące pięćset metrów... I ciągle jesteś pewien, że uda się pokonać taką wysokość?

- Jak tego, że za San Lorenzo kryją się nieprzyjacielskie okręty.

Galvez trochę niepewnie pokręcił głową. Znał on dobrze tę groźną i ciasną, błyskawicznie wznoszącą się w górę dolinę Rimaku, przez którą trudno było nawet przejechać na koniu.

A na tej mapie widział wstępne opracowanie trasy, po której miały biec w przyszłości pociągi. Przesunął powoli wzrok dalej, ku Ucayali.

- No tak, tam nie będzie kłopotów - stwierdził po chwili. - Aby się tylko wydostać na Szczyt... A wtedy...

Zadumał się. Przez pewien czas tarł ręką czoło, jak gdyby chciał jakoś lepiej ułożyć kłębiące się za nim myśli.

- Ha, jeśli to się uda... - odezwał się cicho i naraz z jego głosu buchnął nieopanowany entuzjazm. - Człowieku, jeśli ten pociąg wedrze się choćby na Szczyt, Peru stanie się wtedy naprawdę naszą jedną wielką ojczyzną! Połączy wszystkich i wszystko, znikną wszelkie przeszkody. I nie będziemy drżeli jak dziś, że jeśli my tu padniemy, jutro padnie stalica. Bo wtedy nie zabraknie jej na pewno ani ludzi do obrony, ani żywności!

Twarz mu zapłonęła, piersią targnęło wzruszenie. Malinowski obserwował go bacznie.

- To jest ta wasza ujmująca cecha narodowa - rzekł dobrodusznie. - Niekiedy trudno z wami wytrzymać, za dużo tu warcholstwa i deklamacji. Ale gdy zabierzecie się w końcu do jakiejś roboty,

wkładacie w nią tyle uczucia, że wobec niego błędą zupełnie braki. A przy tym potraficie pięknie wyrażać wdzięczność. To chwyta za serce. I dlatego stąd nie uciekam.

- I nie uciekniesz! Pobijemy Hiszpanów, odbierzemy saletrę, wszystkie pieniądze rzucimy na...
- Aby tylko konserwatyści nie odepchnęli was znowu od władzy...
- Nas? Po zwycięstwie nad Hiszpanami? Niech się odważą! Cały naród będzie za nami!

W sąsiedniej izbie niespodziewanie rozległ się gwar. Malinowski spojrzął znów w okno i uważnie przebiegł wzrokiem po skalistych ścianach wysepki. Na razie nie dostrzegł nic nowego, lecz ciągle nie odrywał oczu. Na bocznym cyplu coś się poruszyło. Mocniej wytrzymał wzrok: jakiś żołnierz przesunął się chyłkiem, ukrył za kamienną ścianą, aby go, nie zobaczył nieprzyjaciel, i zaczął machać energicznie czerwoną chorągwią. Inżynier wstał.

- Zaczyna się - rzekł. - Chodźmy.

Galvez także zauważył wygnaty. W rozrządzeniu rzucił okiem na rozłożoną na stole mapę.

- Nie chowasz jej?... - zapytał, jakby nie mogąc od niej jeszcze oderwać myśli.
- A po co? Nie wiadomo, jak długo będzie trwała bitwa, a może znajdzie się też trochę oddechu. Warto go wykorzystać. Bo w normalnych czasach niełatwo mi się zabrać do tej roboty.

Wyszli na zewnątrz, a za nimi kurierzy i adiutanci. Gdzieś z północy dobiegło przytłumione odległością warczenie motorów, w twierdzy jednak panowała nadal kompletna cisza. Słońce prażyło niemilosiernie, najmniejszy wietrzyk nie poruszał gorącego powietrza. Natomiast tam na wschodzie, nad Limą, jak zwykle kłębiły się chmury, a wyżej strumienie deszczu biły o stoki Andów,

- Śnieg spadł na twoim Szczycie - Galvez uśmiechnął się na widok białej kopuły lśniącej wysoko ponad chmurami. - Kto by dawniej pomyślał, że chcąc się do niego dostać, musisz się najpierw przebić przez hiszpańską eskadrę... No cóż: zagramy chyba na alarm?

Inżynier nie odrywał oczu od San Lorenzo. Właśnie ukazał się inny żołnierz, lecz ten tylko unosił chorągiew w górę. A równocześnie z łądu, spoza zarośli nad Rimakiem, wzbiła się w niebo rakietą.

Malinowski odwrócił głowę.

- Wszyscy na stanowiska - zwrócił się do trębacza. - Graj!

Jakoś bardzo wesoło i nawet skocznie rozbrzmiały dźwięki i natychmiast przyłączyły się do nich inne. Przez chwilę wydawało się, że to gra wielka i dobrze zestrojona orkiestra, lecz nagle znowu zapadła cisza. Gdzieś z głębi, jakby spod ziemi zaczęły teraz dobiegać przytłumione murami rozkazy, gdzieś tam rozległ się szybki tupot żołnierskich kroków. Nad Rimakiem wzbiła się w niebo druga rakietą.

- Chodźmy do wieży - Malinowski skinął głową na ministra. - Nieprzyjaciel wpływa do portu.

Przemknęli szybko między schronami i rowami łącznikowymi i znaleźli się przed niepozornym budynkiem tak starannie zamaskowanym, że nawet z bliska trudno się było domyślić grubych stalowych pancerzy ukrytych pod cementową powłoką. Gdy znaleźli się w środku, załoga objęła ich czujnym spojrzeniem. Galvez popatrzył na młode i dziarskie postaci i rozweselił skupioną dotychczas twarz.

- Wyglądacie odświętnie - zażartował. - To dobrze, bo zbliżają się goście.

Rozszumiło się jak w ulu, jedni drugim zaczęli dawać rubaszne rady i sprawdzać wzajemnie wygląd. Galvez wyrzwał przez lukę. Zaciśnął naraz usta, skronie zaczęły pulsować mocno. Spoza San Lorenzo wychylała się właśnie czarna ruchoma plama. Powiększała się szybko, narzucała na siebie olinowanie, potężny kadłub rozbłysnął nagle lufami dział.

- Tym razem minister nieco nerwowo przyglądał węża. - Zaczynamy? - zapytał.

Stojący za nim inżynier przecząco podkręcił głowę.

- Jeszcze nie - odparł powoli. - Najpierw trzeba sprawdzić, co o nas wiedzą. Mamy jedynie pięćdziesiąt dział, a oni trzysta. Toteż nie należy ich płoszyć za wcześnie.

Największy pancernik „Numancia” już znajdował się w porcie, za nim wpływały inne. Szły! bez pospiechu, ostrożnie i czujnie, jak gdyby w obawie, że lada chwila zwali się na nich w tym ciasnym -przejściu lawina ognia. Twierdza jednak milczała. Nabierały więc ducha, przyspieszały, rozsypywały się wachlarzem, rozwijały coraz swobodniej front. I coraz więcej czuło się tam beztronski. Ukryte dotąd starannie załogi uniosły głowy, poruszyli się oficerowie, jakoś bardzo wesoło choć sprawnie przebiegały z pokładu na pokład rozkazy. Nie ulegało wątpliwości: uparte milczenie twierdzy przyjęta za dobry znak. Właśnie tak samo było tam, w Valparaiso. I zaczęła się budzić nadzieja, że jak Chilijczykom, tak teraz Peruwiańczykom opadły bezradnie ręce na sam widok tej potężnej hiszpańskiej eskadry.

Galvez wyprostował się, z oczu buchnęła wściekłość. Na głównym maszcie dojrzał urągliwą flagę, wzywającą do natychmiastowego poddania.

- Za tchórzów nas biorą! - uniósł się w gniewie. - Bez wystrzału chcą zdobyć naszą ojczyznę. Bijemy ze wszystkich dział!

- Poczekaj - zmięty go łagodnie inżynier. - Nam nie wolno walczyć do ostatniej kropli krwi, my musimy wygrać tę bitwę. A do tego jest potrzebna cierpliwość. Ale odpowiedź im damy. Daj sygnał do zamku - zwrócił się do trębacza. - Dwie salwy. Z najbliższych dział.

Z oczu Galveza umknął gniew, uspokajały się wzburzone twarze żołnierzy. Wydawało się, że ten dziwny z pozoru rozkaz, a przede wszystkim opanowany głos dowódcy rzeczywiście wywiera wpływ czarodziejski. Spoglądano na niego w napięciu, lecz jakoś bardzo pogodnie, jak gdyby spodziewano się za chwilę jakiegoś żartu. Wysłuchano się w ciszę, panującą w twierdzy: „przerwał ją naraz huk, tuż za nim drugi. Dobitny, chociaż dziwnie frywolny, niegroźny. Zgodnie bowiem z rozkazem odezwały się tylko działka najbliższe.

Malinowski wydawał się bardzo zadowolony.

- Chyba przekonał ich ostatecznie o naszej słabości - uśmiechnął się nawet. - I chyba nabrali pewności. że jak ongiś będzie się bronił jedynie zamek świętego Filipa. A jego słabość znają dobrze, zbudowali go przecież ich pradziadowie. Powinni więc teraz uderzyć w niego ze wszystkich dział. A to będzie oznaczało nasze zwycięstwo.

Żołnierz w tej wieży był starannie dobrany i nie potrzeba mu było wiele tłumaczyć. Że obrona jest znacznie słabsza od hiszpańskiego ataku, orientował się świetnie. Ale obecnie rozumiał: można mu się przeciwstawić mimo jego miażdżącej przewagi, tu bowiem pracuje mózg sumujący z matematyczną sumiennością nie tylko kule, ale także niedopatrzania. I na pewno potrafi on pomnożyć siły przez zręczne wykorzystanie błędów nieprzyjaciela.

Jakby w dowód szacunku dla dowódcy, który tak umiał dzielić się myślami z otoczeniem, zyskując sobie tym powszechną sympatię, pochylała się czujnie cała załoga. Tam zaś, w porcie, okręty nabierały rozpędu, gwałtownie burzyły fale, jak pieśnią potępieńczą zaniosły rykiem motorów. I niespodziewanie chlusnęły ogniem ze wszystkich baterii.

Malinowski odetchnął głęboko. Zdawało się, że wyrzuca z piersi resztki troski i niepewności.

- Biją w zamek, więc nic o nas nie wiedzą - rzekł. - Toteż nasza pierwsza salwa przyniesie zwycięstwo.

Galvez gorączkowym ruchem chwycił go za ramiona.

- Jesteś tego pewien? - wykrzyknął. - Zwycięstwo z nami?

- Z nami.

Ogień wzmógł się, na zamek waliła się coraz gęstsza lawina pocisków. Okręty szły naprzód jak burza, jak gdyby samym rozpędem chciały roztrzaskać twierdzę. Dudniły glucho sypiące się mury, pryskały cegły, jakiś barak wyleciał w powietrze. Galvez poruszył się niespokojnie: obrona ciągle milczała, wieże, schrony i forty wyglądały jak wyludnione. Popatrzył na kanonierów i niespodziewanie czoło pokryło się gęsto zmarszczkami. Coś go zastanowiło, czegoś nie mógł zrozumieć. Przecież to byli jego współbracia, synowie tej samej ziemi, Peruwiańczycy. Cisi w tej chwili i nieruchomi, gotowi na rozkaz. Jakże niepodobni do tych żołnierzy, którym się przyglądał od lat!... Gdzie ich temperament, gdzie podniecenie, gdzie się zapodziało choćby tak naturalny w podobnych sytuacjach entuzjazm? Trwają w bezruchu karni i chłodni, jakby nie byli ludźmi. Niepojęci w tym niemym wyczekiwaniu na słowo swego dowódcy...

Galvez przesunął powoli oczy na part. Okręty wciąż parły naprzód i biły z coraz większą szybkością. Błysk, huk, płomień i dym ze wszystkich pokładów, ze wszystkich dział! Można już wyraźnie rozróżnić twarze żołnierzy i oficerów.

- Kolej na nas - jak przez sen dobiegł do niego głos inżyniera. - Gotowi!...

Sprawdzono odległość, działa błyskawicznie ustawiono na cel. Malinowski kazał wnieść nieznaczne poprawki.

- Uważaj - zwrócił się do ministra. - Na mój znak dasz rozkaz do strzału.

Galvez drgnął, pierś mu zatętniła wzruszeniem. Energicznym ruchem uniósł do góry rękę, lecz ją zaraz opuścił. Zdał sobie nagle sprawę z wielkości tych słów: przecież ta pierwsza salwa miała zapewnić wolność ojczyźnie!

- Nie - przeciwstawił się cicha. - Ty jesteś naszym obrońcą i przy tobie jest naczelne dowództwo. Do ciebie więc należy ten zaszczyt.

- Ty za to jesteś moim zwierzchnikiem. Uważaj!

Galvez zamierzał przeciwstawić się znowu, lecz coś go wstrzymało. Ten uśmiechający się dotąd dobroduszenie inżynier rzucił właśnie okiem na port i zmienił się naraz zupełnie. Jakby urósł, spotęzniał. Spod na pół przymkniętych powiek buchnął chłodny, stalowy blask.

- Rozkazuj! - przypomniał dobitnie. - Okręty w celu!

Galvez wyprostował się w nagłym odruchu dumy.

- Za Peru wolne i niepodległe - ognia!

Rozbłysło, wieża wypełniła się dymem. Zamki szczęknęły ponownie, a równocześnie jak na hasło odezwały się inne baterie: te z fortyfikacji świętego Filipa i te silniejsze ukryte całkowicie pod ziemią, i te ruchome na szynach, które wychynęły z kryjówek, i te najcięższe z pancernych wież. Rozdygotało się dokoła, zaniosło hukiem, rozdzwijało stukotem łusek i rygli. Milcząca dotąd uparcie twierdza ożyła nagle i ze straszliwą siłą zaczęła oddawać na odlew.

Galvez z jakimś ogromnym uporem wpatrywał się w port. Coś go sparaliżowało, zdawało się, że nie może uwierzyć oczom. Tam bowiem, naprzeciw, kotłowało się teraz wszystko w jakimś potwornym tańcu i jak tornado ciskało okrętami, rzucało je na siebie, zrywało olinowanie, zwała ludzi i sprzęt. Jęczały tragicznie pancerce, maszyny hamowały gwałtownie, unosił się zewsząd paniczny krzyk, przenikliwie rozegrały się trąbki. A twierdza biła niezmordowanie, bez chwili spoczynku. Jak gdyby tym nadmiernym pośpiechem chciała odrobić stracony czas...

Galvez przychodził powoli do siebie. Zaczynał rozróżniać szczegóły, obliczał straty. I niespodziewanie z wielką fantazją podkręcił wąsa. Oto dziób „Numancii” poleciał ze świstem w bok, przechylił się okręt sąsiedni. Zmierzwione fale wdzierały się już tu i owdzie na pokład.

- Niesamowite! Wróg dał się zwieść, podszedł za blisko... Rozumiem nareszcie dlaczego ta pierwsza salwa miała zadecydować o naszym zwycięstwie. W tej chwili najmniejsze nawet działka mają wielkie znaczenie. Ale wyczekiwanie stanowiło bardzo męczącą próbę...

Wpatrzył się w Malinowskiego znieruchomiałymi oczyma.

- Bardzo męcząca - powtórzył. - Trzymać lont w garści i nie odpalić, gdy wróg sięga prawie do gardła... Nie wytrzymałibyśmy sami tego nerwowego napięcia. I całe szczęście, że mamy przy sobie polskiego wygnańca...

Ogarnęło go głębokie wzruszenie. Wziął Malinowskiego w objęcia.

- Nasza ojczyzna nie zapomni ci tego nigdy - odezwał się uroczyście. - Dokonałeś wielkiego dzieła. I już nie wątpię, że kiedyś także osiągniesz Szczyt!

Inżynier szybko odwrócił głowę. Pociski hiszpańskie, które padały dotąd wyłącznie na zamek, zmieniły cel. I jak grad zaczęły się teraz sypać na stanowiska tych najważniejszych baterii, o których przedtem nie miały najmniejszego pojęcia.

- Nieprzyjaciel ochłonął - odezwał się obojętnie. - Trzeba go więc dobijać. Podszedł do oficera dowodzącego i wskazał jeden z okrętów.

- Wycofajcie go z bitwy - polecił.

Bateria kilkakrotnie chlusnęła ogniem. Okręt przechylił się, rozhuśtał, a po chwili jak ciężko zraniony zwierzę zaczął ociężałe odwracać rufę.

- Dobrze - pochwalił Malinowski. - A teraz ten drugi. Znowu runęła lawina żelaza, rozleciało się tam nadburcie. Inne okręty w obawie, że może je spotkać za chwilę podobny los, odsuwały się coraz pośpieszniej. Malinowski zwrócił na ministra poczerniałą od dymu twarz.

- Nic więcej nie mamy tu do roboty - rzekł. - Zajrzyjmy do następnych baterii. A wy, chłopcy - dodał zwracając się do obsługi - bijcie bez przerwy, bo macie najcięższe działa. Aż do zniszczenia całej eskadry.

#### **IV.**

Do wieczora trwał ten pojedynek artyleryjski, a chociaż po stronie nieprzyjacielskiej ogień zmniejszał się nieustannie, do ostatniej chwili nic nie tracił na zaciętości. Hiszpanie walczyli mężnie, lecz była to już bitwa nie o zwycięstwo, ale o honor. Kiedy jednak stalowy kadłub potężnej „Numancii” zaczął rozpadać się w strzępy; odwróciła ona wreszcie strzaskany dziób. Za jej przykładem uczyniły to inne okręty. Zdołały się przemknąć za zbawcze ściany wysepki, lecz na dalszą podróż zabrakło im sił.

Straty w ludziach były olbrzymie, maszyny odmawiały posłuszeństwa, przez liczne szczeliny i dziury potokami lała się woda do wnętrza. I gdyby twierdza miała jakiegokolwiek jednostki pływające, wody peruwiańskie stałyby się niewątpliwie grobem dla tej całej, tak potężnej i dumnej w początkach boju, eskadry.

Nieprzyjaciel zarzucił więc kotwice i lała, co było możliwe do naprawienia. Wiedział, że zamówiony w stocznjach europejskich pancernik „Huascar” już płynie twierdzy na pomoc, pracował więc w ogromnym pośpiechu i w tydzień później zniknął za horyzontem. Żalose to były szczątki, tym smutniejsze, że wracały bez naczelnego dowódcy: admirał Paraleja popełnił samobójstwo, aby z tej klęski nie zdawać przed nikim rachunku. Toteż flagi powiewały na wszystkich kadłubach w połowie masztów. Ale i w Callao, te peruwiańskie, także zwieszały się nisko. Przy przypadkowym bowiem wybuchu prochowni, już po bitwie, zginął Józef Galvez, minister wojny.

Malinowski mocno odczuł tę stratę. Na tym człowieku budował wiele nadziei, jego entuzjazm i głęboki patriotyzm, a równocześnie dzielność i umiejętność patrzenia daleko w przyszłość powiązały ich z sobą; silnie. Nie śpieszył się więc do Limy i dopiero gdy „Huascar” pojawił się w porcie, wszedł do przysłanego przez rząd specjalnego pociągu. W stolicy czekała go wspaniale przyjęcie. Zdziwił się w pierwszej chwili, zaskoczył go przepych i rozmach. Gdzie spojrzął: bramy triumfalne, transparenty, chorągwie, usłane dywanami ulice. I morze głów: białych i śniadych, czarnych i żółtych płonących zapalem, roznamietnionych, radosnych. Zanim się spostrzegł, już go niesiono na rękach wśród gromkich braw i okrzyków, przy wtórze orkiestr, przy dźwięku dzwonów siedemdziesięciu sześciu limańskich kościołów, w huku i dymie bijącej na wiwat broni, w aureoli wielkości, w ogromnej chwale wypływającej z siłą żywiołu z głębi wzruszonych serc. Gdzieś nad Rimakiem odezwały się działa, tłum zawiódł potężnej swą triumfalną pieśń. I nie uciszył się nawet wówczas, gdy tego bohatera narodowego Peru oddał w ręce prezydenta państwa przed gmachem Kongresu.

Lima przeżywała niezwykle dzień. Nikt nie pracował, zamknięte były wszystkie urzędy. Jak tej pamiętnej nocy, gdy groza zaczęła się unosić nad miastem, znów było tłoczno na Placu Broni, przewijali się mówcy na stopniach katedry, nazwisko Malinowskiego powtarzano coraz donośniej. Dziś nikt jednak nie śmiał poddać w wątpliwość jego zdolności, każdy bowiem zdawał sobie sprawę z wielkości czynu. Przecież ta bitwa stanowiła nie tylko wielkie zwycięstwo, mające decydujący wpływ na losy zarówno Peru, jak i innych krajów Ameryki Łacińskiej, ale i koniec wojny. Hiszpania na pewno tu więcej nie zajrzy. Jak wolne jest Callao, tak wolne są już i wysepki z pokładami saletry. Skarb znacznie znowu napełniać się złotem, kraj zagrożony bankructwem odzyska szybko utracony dobrobyt.

O tym to rozprawiano wesoło i głośno, nikt bowiem nie wątpił, że co złe, przeminęło na zawsze. Ale też każdy zdawał sobie sprawę, czyja to zasługa. Rozpamiętywano więc raz jeszcze dzieje tego cudzoziemca, który odważył się stanąć do boju z pięćdziesięciu zaledwie działami, omawiano dokładnie szczegóły przygotowań i walki. Dziś rozumiano dobrze, dlaczego jeszcze w przeddzień bitwy Callaa wydawało się bezbronne i puste. Oto Malinowski nieznanie, w zupełnej tajemnicy zbudował obok zmurszałego zamczyska jak gdyby nową twierdzę ukrytą prawie zupełnie pod ziemią i tak samo niespostrzeżenie zmontował przywiezione po kryjomu ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej ciężkie działa i wieże. Że Hiszpanie niczego się nie domyślili i wpadli w pułapkę, mogło się zdarzyć; ale że i ci najbliżsi - mieszkańcy stolicy i portu nic nie zdołali odgadnąć, ciągle budziło wielkie zdumienie...

Kręceno głowami, śmiano się i żartowano ze swej słabej spostrzegawczości, ale też często zakradała się na twarze głęboka zaduma. Ta umiejętność zachowania milczenia stanowiła niewątpliwie jedną z głównych tajemnic zwycięstwa. Ale była też inna, którą pojąć było o wiele trudniej. Hiszpanie mieli przecież ciężkie działa, mieli ich zresztą sześć razy więcej. Dowódca obrony na pewno zdawał sobie sprawę z tej ogromnej przewagi. A mimo to podjął się trudnego zadania. I wytrwał, chociaż niejednen ciskał na niego gromy. Mimo że nie jest Peruwiańczykiem. I nie bronił własnej ojczyzny...

- Cóż, Polak - z przedziwnym uporem padała nieustannie ta sama odpowiedź. - A to naród, który zawsze broni wolności. Nie tylko swojej. Bił się o wolność Stanów Kościuszko, w ich obronie zginął Pułaski. Stanął więc wiernie na stanowisku i Malinowski...

Gwar rósł, coraz to nową podsuwano wiadomość. Zagubiony gdzieś tam w środku Europy niewielki naród, rozdarty w tej chwili na części przez trzech potężnych zaborców, umęczony niewolą, skrwawiony w walkach wyrastał tutaj, na Placu Broni i na limańskich ulicach, na szermierza wolności, na matkę bohaterów, którym bez wahania można powierzyć życie. Wzmagal się entuzjazm, przybawało okrzyków. A gdy Malinowski wydostał się wreszcie z gmachu Kongresu i w prezydenckim powozie wracał do domu, spotężniało to wszystko, potoczyło się za mim na podobieństwo burzy szalejącej na stokach Andów. Grzmiały wiwaty, unosiło się co chwila w niebo jego nazwisko. Ale też coraz częściej ;padały takie słowa jak Polacy i Polska, jak gdyby wobec tego tułacza, który już w

latach młodzięcych bił się w powstaniu listopadowym o wolność własnej ojczyzny, chciano specjalnie podkreślić, że wie się tu o nim więcej i że nie tylko na nim, ale i na całym kraju, z którego pochodzi, skupia się powszechna peruwiańska życzliwość.

Znalazłszy się w domu, Malinowski usiadł przy oknie i objął rękami skronie. Na uroczystym przyjęciu u prezydenta nasłuchał się tak dużo przemówień, że poczuł się w końcu zmęczony. Na ulicy jednakże ożył, te serdeczne okrzyki wzbudziły w nim głębokie wzruszenie. A teraz pogłębiało się ono, jak zza mgły zaczęły się wyłaniać dawno nie oglądane obrazy: dom rodzinny gdzieś ma Wołyniu, szkoła, wojna, wygnanie... A potem Francja. Znowu nauka, dyplom, jako inżynier wędruje z miejsca na miejsce. Po Europie, przez Anglię, przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej...

Drzwi uchyliły się bezszelestnie. Wszedł don Isidorio, stary sługa i zaufany przyjaciel, przebywający u niego od lat.

- Może coś podać? - zapytał cicho.

Malinowski oderwał powoli wzrok od różanych klombów za oknem.

- Trochę chłodnego soku - odparł. - Zgłaszał się ktoś do mnie?

- Niejeden. Odprawiam wszystkich z kwitkiem - don Isidorio mrugnął okiem porozumiewawczo - jako że dziś pańskie święto. I wróci pan po północy.

- Niech tak będzie. Gdyby zgłosił się jednak minister Pardo albo ktoś z naszych najbliższych, wpuść.

Malinowski odwrócił się znowu do okna. Słońce widocznie opadło już nisko, chmury bowiem usunęły się sponad Limy i w całej swej krasie ukazała się ściana Andów. Wydawało się, że wyrasta tuż nad drzewami w patio, tak bliska, że można by dotknąć ręką. Na dale tonęła w bujnej podzwrotnikowej zieleni rozwieszona malowniczo na zboczach. Wyżej ciemniała, poprzez błękit i brąz nasyciała się mocnymi odcieniami fioletu. Aż wreszcie gdzieś tam w górze, tak wysoko, że trzeba było unosić głowę, odcinała się ostro od horyzontu czernią postrzępionych wierzchołków. Przygniatała swoim ogromem. I jak jakaś groźna postać z archaicznej legendy trwała nieruchomo na skraju tajemniczej ziemi, do której nie chciała nikogo dopuścić.

Minęło z pół godziny. Malinowski zapatrzony w tę ścianę majestatyczną, a zarazem tak surową i nieprzystępną, ocknął się nagle z zadumy. Ktoś wszedł do domu, don Isidorio z kimś tam rozmawiał. Przez pewien czas słychać było pogodne głosy i śmiech, wreszcie ukazała się w drzwiach dziwna grupa: mały chłopiec w skromniutkim stroju, jakiego wcale nie widuje się w Limie, a obok postawny Indianin w poncho. Prowadził ich młody mężczyzna, który niedawno musiał chyba przekroczyć trzydziestkę, o twarzy pociągającej i bystrej, ubrany elegancko według najświeższej mody.

Inżynier zerwał się z miejsca.

- Wszystkiego mógłbym się spodziewać, ale nie takich gości! - wykrzyknął. - Santillanie, co cię do nas sprowadza?

Radosnym ruchem chwycił rękę Indianina i przytrzymał ją długo. Ten skłonił się lekko.

- Wielki szacunek, tatai - odparł, wypowiadając jakoś łagodnie i miękko to słowo szczególne, oznaczające w języku keczua więcej niż ojca. - Do nas też doszła wieść o twoim zwycięstwie. Przesłano mnie więc tutaj, abym wyraził ci wdzięczność, że nie dopuściłeś do naszego kraju hiszpańskich najeźdźców.

Malinowski mocno zacisnął usta, jakby go znowu ogarnęło wzruszenie. Z roztargnieniem spojrzął na chłopca.

- A to kto? - zapytał, chcąc odwrócić od siebie uwagę.

- Mój najmłodszy syn.

- Pablo?... Tak wyrósł? Prawda, nie widziałem go dawno... Ileż on dzisiaj ma lat?

- Dziesięć.

- Że też zdecydowałeś się zabrać go w taką podróż... Z gór zejść łatwiej. Ale z powrotem...

- On nie wróci już do Oroi.

Indianin umilkł nagle, jakby nie był pewien, czy coś jeszcze należy dodać. Wyręczył go ten, który go tu przyprowadził.

- Później o tym porozmawiamy - rzekł. - A tymczasem się ciesz. Bo że to niezwykła wizyta, nie możesz zaprzeczyć. I że bardzo dla ciebie miła, także nie wątpię,

Przemawiał z werwą, przypominając nieco Galveza żywością słowa i gestu. Zresztą i z innych względów był do niego podobny. Jak tamten zajmował wybitne stanowisko w partii liberalnej, mimo

młodego wieku upominał się głośno od lat o reformy w administracji i domagał się wprowadzenia powszechnego obowiązku nauki, w ostatnich zaś czasach wykazał publicznie wielkie zdolności i cywilną odwagę. Był to bowiem Manuel Pardo, który w najkrytyczniejszej chwili przejął od Pieroli urząd ministra skarbu i prawie z niczego zdołał nic tylko wydobyć fundusze na wzmocnienie i dobrojenie twierdzy, ale i na zakup „Huascara”. Z Malinowskim poznał się, gdy był jeszcze studentem. Chorował wtedy ciężko na płuca i za jego namową udał się poza Andy, w dolinę Chauchy<sup>1</sup>, gdzie w niezwykle zdrowym klimacie doszedł szybko do zdrowia. Od tej pory nie tylko inżynier stał mu się bardzo bliski, ale i jego śmiały projekt kolei; na ten temat napisał nawet książkę. Ludzie czytali ją chętnie. Umiał on bowiem pisać, gdyż był nie tylko zdolnym politykiem, lecz i poetą, członkiem madryckiej Akademii Literatury.

A i Santillan nie był tu postacią nieznaną. Pardo spotykał się z nim często, kiedy przebywał w dolinie Chauchy. Inżynier zaś, odbywając często dalekie wyprawy w głąb kraju, zabierał go zawsze na przewodnika. To on dostarczał mu ludzi zdolnych do pracy na tych ogromnych wyżynach, on był łącznikiem między nim a indiańską ludnością, on kierował jego krokami w okolicach, o których często nie wiedziano w Limie, że w ogóle istnieją. Swoją kraj przemierzył we wszystkich kierunkach i znał go na wskroś. Do stolicy jednak, jak dotąd, nie schodził nigdy. Nie lubił wielkiego miasta. Dzisiejsza wizyta świadczyła więc o jakiejś wyjątkowej decyzji.

Malinowski pogawędził chwilę, podsunął krzesła i wyszedł, aby omówić z don Isidorem sprawę posiłku. Jeszcze jej nie zakończył, gdy pojawił się Pardo.

- Don Isidoro da sobie radę bez ciebie - rzekł żartobliwie i ująwszy go pod ramię przeszedł do sąsiedniego pokoju. - Domyślasz się, po co on przyprowadził tu chłopca? Abyśmy umieścili go w szkole!

Rzadko się zdarzały takie wypadki. Na twarzy Malinowskiego ukazało się wielkie zdziwienie.

- Niezwykła decyzja... - odezwał się w zamyśleniu. - Ha, wobec tego zajmiemy się chłopcem! Miejsca przecież jest dość. Teraz zdziwił się Pardo.

- -Chciałbyś go zatrzymać u siebie? - zapytał niepewnie. - Sądziłem, że oddamy go może do jakiegoś zakładu?

- A po co? Jak powiedziałem, miejsca u mnie jest dość. A przy takim chłopcu człowiek odmłodnieje. I może zagna wreszcie trochę ojcowskich trosk...

Uśmiechnął się, lecz w tym uśmiechu nie czuło się wesołości. Ten człowiek, chociaż dobiegał już sześćdziesiątki, był ciągle samotny i poza don Isidorem w jego obszernym domu nie mieszkał nikt. Pardo rzucił na niego okiem i odwrócił głowę do okna. Zrobił naraz krok naprzód; z nagłym zainteresowaniem zaczął się przyglądać biegnącej z tej strony uliczce.

- Aha, jest! - rozbawił się. - Ten nigdy nie gubi mnie z oczu. Widzisz go? Przystojny młodzieniaszek... Coś tam opowiada żywo tej miłutkiej dzierlatce...

Wskazał ręką stojącego po drugiej stronie ulicy Antonia. Rzeczywiście rozgadał się on i gestykulował z tą samą werwą, jak wówczas, gdy obserwował hiszpańską eskadrę. Wprawdzie Petę zastępowało tu inne dziewczątko, lecz sądząc z wyglądu nie było między nimi wielkiej różnicy. Tak samo była ładna i zasłuchana, i z takim samym uwielbieniem wpatrywała się w swego rozmówcę.

Malinowski dostrzegł go bez trudności wśród przesuwającego się z wolna tłumu.

- Któż to taki? - zdziwił się nieco. - Chłopiec, jakich znajdziesz w Limie tysiące: trochę flirciarz i trochę gaduła.

- Ba, gdyby tylko to! To sławny młodzieniec, drugiego takiego w Limie nie znajdziesz. Sierota z kongregacji świętego Filipa! Głos Pardy rozdzwiewał wesołością, a Malinowski świsnął przeciągle, jakby i jemu przyszły do głowy jakieś swawolne myśli. Ostatnie zdanie wyjaśniło mu wszystko. Gdy przed kilkuset laty wygnana z Peru jezuitów, ich olbrzymi majątek powierzono kongregacji zakonnej świętego Filipa, aby z dochodów roztoczyła opiekę nad sierotami. Obecnie kongregacja wywiązywała się z tego zadania dość dziwnie: opiekę rozracała, to prawda, lecz na jej wychowaniu było tylko jedno jedyne dziecko. Sprawa ta często była przedmiotem żartów zarówno na ulicy, jak i w domach prywatnych. Inżynier wpatrywał się teraz w Antonia z wielką uwagą.

- Więc to jest ta słynna sierota!... - rzekł w zamyśleniu. - Trzeba przyznać, że opiekę ma chyba niezłą. Wygląda doskonale, a i ubranie dostatnie...

- Zastługa Pieroli. On mu je kupił, i chyba nawet z własnych pieniędzy.

- Pierola?... A co jego co łączy z tym chłopcem?

---

1 Pisownia hiszpańska: Jauja.

- Interes. Używa go do najrozmaitszych usług. A najchętniej do obserwacji.

Malinowski spojrział na niego z niewiarą.

- Chyba się mylisz - rzekł. - Przecież on od razu rzuca się w oczy. Zbyt hałaśliwy. I zbyt wiele w nim fanfaronady.

- To właśnie jego wielka zasługa. Raz i drugi zobaczysz jak flirtuje z coraz to inną dziewczyną i przestaniesz się nim interesować. Albo nawet zaczniesz uśmiechać się pobłaźliwie, bo - trzeba przyznać - robi to z humorem, dowcipnie i elegancko. Jest w nim dużo z romantyzmu caballera czy starohiszpańskiego rycerza. Ja jednak wiem, co się za tym kryje naprawdę, przecież mam także wywiad - głos Pardy spoważniał. - I wiem także, że od pewnego czasu jestem pod jego opieką. Przeprowadził mnie tu, gdy szedłem z Santillanem. A teraz będzie czuwał, dopóki stąd nie odejdę. Musi złożyć Pieroli szczegółowy meldunek.

Umilkł. Malinowski też się nie odzywał. Obserwował za to w coraz większym skupieniu stojącego naprzeciw młodzieńca. Rzeczywiście on tutaj nie raził. Takich flirtujących par przewijało się sporo, ludzi spacerujących też było mnóstwo, a wielu nawet przystawało i wskazywało ręką na okna, powtarzając widocznie te wieści, które tam, na Placu Broni, wykrzykiwano od rana głośno.

- Inteligentna twarz... - rzekł jakby do siebie. - Powiedziałbym nawet: wybitna inteligencja. Młody, więc nadmiernie nadrabia miną, lecz to chyba niegroźne. Widać odruchy samokontroli... Uczy się gdzieś?

- Uczy. I podobno dobrze się uczy, chociaż opuszcza немало lekcji. Za dwa lata powinien zrobić maturę.

Malinowski uśmiechnął się niespodziewanie do swoich myśli. - Twierdzisz więc, że to współpracownik Pieroli - zastanowił się głośno. - Zatem nasz wróg. Hm, miły chłopiec. I bystry...

Pardo popatrzył na niego czujnie i naraz dobrodusznie szturchnął go w bok.

- A ty co znów knujesz, stary konspiratorze? - rzekł żartobliwie. - Spodobał ci się chłopak? Może go odbierzesz Pieroli?

- Kto wie?... Szkoda, żeby się marnował w brudnej robocie. A nuż się uda...

- Oho, zaczynają cię ponosić ojcowskie uczucia!

- A żebyś wiedział! Im człowiek starszy, tym bardziej mu czegoś brak. Jest Pablo, może być i Antonio.

- A to by się Pierola ucieszył, gdybyś go wpuścił do swego domu! - Pardo rozbawił się teraz na dobre. - Miałby co dzień wspaniałe meldunki. Uprzedzam cię na wszelki wypadek, że zwracając się do Antonia, nie zapomnij nigdy powiedzieć „don”. Mógłby się na ciebie obrazić.

- A to dlaczego?

- Bo wywodzi się od oficera z armii Pizarra i inkaskiej księżniczki. Zawsze to starannie podkreśla.

W oczach Malinowskiego rozbłysła wesołość. Co najmniej połowa mieszkańców Limy miała taki właśnie rodowód, a ci, którzy mieli czarną skórę, zawsze podawali się za potomków murzyńskich królów z Afryki.

- Nie zapomnę o tym - pobłaźliwie pokiwał głową. - A teraz chodźmy do Santillana. Pewnie się niecierpliwi.

Indianin siedział w tym samym miejscu, gdzie go pozostawili i znieruchomiałymi oczyma przyglądał się ścianie Andów. Tu bliżej wszystko tonęło w głębokim cieniu. Za to stoki złociły się jeszcze w ostatnich blaskach zachodzącego słońca.

- Chłopiec zostanie pod moją opieką - oświadczył Malinowski takim tonem, jak gdyby odpowiadał na zadane mu przed chwilą pytanie. - I będzie przebywał w tym domu. Czego mam go nauczyć?

Indianin wstał. Na jego twarzy nie odbiło się żadne uczucie. - Twoja wola, tatai - odparł. - Jeśli mi jednak pozwolisz wyjawić swoje życzenie...

- Mów.

- Pragnąłbym, aby on umiał robić to samo, ca ty: chodzić po kraju i mierzyć, budować domy. I bronić naszego kraju przed najeźdźcami też tak samo jak ty.

Malinowski objął go zamyślnym spojrzeniem, potem przesunął wzrok na chłopca i zatrzymał go wreszcie na Pardzie.

- Musimy zabrać się ostro do pracy - przemówił tonem na pół żartobliwym, na pół poważnym, -



Zdążymy uruchomić politechnikę, zanim chłopiec dorośnie?

Na skupionej twarzy ministra przewinął się niespodziewanie żywiołowy entuzjazm,

- Zdążymy! - wykrzyknął. - Skarb będzie wkrótce znów pełny. Starczy na wszystko. Abyś miał tylko profesorów pod ręką!

Malinowski zastanawiał się nad czymś przez pewien czas.

- Tak, powinno się udać... - potwierdził głośno jakąś zaczęłą myśl, - Profesorowie oczywiście będą... A teraz - ożywił się - przejdźmy do sąsiedniego pokoju. Trzeba coś zjeść.

- Chwileczkę, tatai - powstrzymał go Indianin. - Chcę ci przedtem coś dać.

Podniósł z ziemi spore zawiniątko, które pozostawił przy wejściu, umieścił na stole i zaczął rozpakowywać. Robił to bardzo delikatnie, w jakimś uroczystym skupieniu odsuwał stopniowo spowijające je szmaty. Wydawało się, że wypełnia jakiś religijny obrządek, że usta szepczą jakieś modlitwy. Odetchnął wreszcie głęboko,

- Zamieszka on odtąd u ciebie, tatai - odezwał się cicho. - Zastanawialiśmy się długo, czy wolno go pozbawić spokoju i wynieść z górskich komnat, gdzie do tej pory przebywał. Po twoim zwycięstwie doszliśmy do wniosku, że wolno. Bo od dziś on już może kierować twoimi krokami.

Malinowski spoglądał w milczeniu. Miał przed sobą czarę o wielkości i kształcie głowy, jedną z tych wielu czar, których z mogił, pieczar i starożytnych kurhanów wydobywa się w Peru tysiące. Ta jednak była niezwykła. Przedstawiała jakąś surową, prawie że ascetyczną twarz o rysach szlachetnych i pięknych, z patrzących jak żywe oczu wybiegało władcze, pełne głębi spojrzenie. Spod hełmu zsuwała się na czoło barwna opaska. Zdziwiający był na niej deseń: równe, gęsto utkane geometryczne linie, przedzielone pośrodku trzema mocno zarysowanymi, równoramionymi krzyżami.

- Któż to taki?...

- Wiem niewiele, tatai. Człowiek, który w dawnych czasach budował drogi królewskie. Gdy zjawili się biali najeźdźcy, zamknął się w górskiej jaskini. Nie zdążył dokończyć swojego dzieła, lecz zapowiedział, że kiedyś zjawi się jego następcą. I on za niego to zrobi.

- Wier jednak wiesz o nim dużo...

Indianin przymrużył oczy, jakby chciał ukryć myśli.

- Sporo - przyznał po chwili. - Wiem też, że temu, u którego zechce on przebywać w gościnie, przekaże całą swą wiedzę. I doda sił do wytrwania. Toteż po długim namyśle postanowiliśmy go przenieść do ciebie

- I sądzisz, że będzie mu tutaj dobrze.

W tym dziwnym kraju legenda wiązała się najściślej z rzeczywistością, a rzeczywistość przemieniała się szybko w legendę, toteż Malinowski przyjmował wszystko z wielką powagą. Słowa Santillana zniewalały zresztą swą żarliwością, zdawało się, że jakąś świętość wydobywa z zamierzchłej przeszłości. I to sprawiało, że i Pardo, szczególnie na nią wrażliwy, słuchał z zapartym oddechem.

Santillan spoglądał długo na rysującą się ostro w zapadającym mroku twarz indiańskiego mędrca czy też kapłana.

- Sądzę, że tak - odezwał się wreszcie. - Najlepszy dowód, że tu szczęśliwie doszedłem. A przy tym ty chcesz przecież połączyć morze z Oroją...

- Oby tylko starczyło mi sił... Stary już jestem. Santillan nadspodziewanie energicznie pokręcił głową.

- O to się nie martw! - przemówił twardo. - Powiedziane jest: do kogo on trafi, ten życie zaczyna od nowa. I zbuduje Drogę Królewską! Twoje dalsze losy są wypisane na tej opasce. Musisz je sam z niej odczytać. Powiem tylko, że w tej chwili jesteś przed pierwszym krzyżem. A na opasce są trzy i od jednego do drugiego bardzo daleka droga. Jeśli...

Urwał nagle, jakby się zląkł, że powiedział za dużo.

- Chodźmy się pożywić - dodał, wpadając w swój zwyczajny, zrównoważony i beznamiętny ton. - Pablo na pewno jest głodny. A i tobie należy się wypoczynek, tatai...

Przy kolacji Indianin nic już nie mówił i o nic nie pytał. Za to słuchał bardzo uważnie. Pardo zaś jakby celowo rozwodził się szeroko nad reformami, które powinny obecnie nastąpić. Zaczynał go znowu ponosić, uzasadniony zresztą, entuzjazm. Przecież to po raz pierwszy w historii Peru zdarzyło się, że bez pronunciamentów i gwałtów doszli do władzy ludzie bezinteresowni i światli, a obecnie zyskali jeszcze powszechne uznanie. Był więc dobrej myśli i wypowiadał się coraz obszerniej, a że i Malinowski często coś dorzucał od siebie, więc ani się spostrzegli, kiedy minęła dziesiąta.

Pardo wstał i zaczął się żegnać.

- Więc za kilka miesięcy wybierasz się w góry - kończył w drzwiach rozpoczętą na nowo rozmowę. - To dobrze, linię należy skierować także w dolinę Chauchy. Wniosek w sprawie budowy przedstaw jednak natychmiast. Dziś nikt się nie sprzeciwi takiej budowie. A za rok czy dwa bodzie dość na nią pieniędzy.

Malinowski stał w progu, dopóki don Isidorio nie zamknął za nim bramy, potem zaś wszedł do pokoju z którego obserwowali przedtem Antonia. Przybliżył się po ciemku do okna. Uliczka była teraz prawie zupełnie pusta, tylko z rzadka przemyka? Jakiś przechodzień. Przez pewien czas przyglądał się uważnie każdej sylwetce, lecz widocznie nie dostrzegł nic ciekawego, gdyż cofnął się w końcu nieco, jakby miał zamiar zaprzestać tych obserwacji. Naraz drgnął, jakaś nowa postać przykuła jego uwagę. Gdy minęła okno, odsunął firankę i jeszcze patrzył, dopóki całkowicie nie znikła. Dopiero wtedy skierował się w stronę drzwi.

- A jednak Pardo miał rację - zastanowił się głośno. - Pierola czuwa...

Jak żywa przemknęła mu raz jeszcze przed oczyma młodzieńcza sylwetka, maszerująca raźnie w tym samym kierunku, w którym udał się Pardo. Że to był Antonio, nie mogło być wątpliwości...

Malinowski, jakby w nagłym przypływie złości, gwałtownie nacisnął klamkę.

## V.

Dni biegły jeden za drugim, przesuwały się nieznacznie miesiące. Po gwałtownych wstrząsach Peru dochodziło do równowagi i coraz radośniej patrzyło w przyszłość. Było się z czego cieszyć. Pardo, jako minister skarbu, zachowywał się jak skrzętny gospodarz planujący ostrożnie wydatki i z niewielkich początkowo dochodów łątający sumiennie dziury, jakie potworzyły się w czasie hiszpańskiego najazdu. Kraj wydobywał się z długów wojennych, zaczynały się już nawet tworzyć nadwyżki. I, co najważniejsze, dwa własne pancerniki strzegły teraz pilnie bezbronnych przedtem wybrzeży.

Ludzie z pewnym zdziwieniem obserwowali te rządy. Liberalowie nie mieli w nich przewagi, lecz opromienieni nimbem odwagi i ofiarności niewątpliwie nadawali im ton. Zaskoczyli wszystkich swoją postawą. Że przed bitwą o Callao zachowali się pięknie, można było jeszcze zrozumieć, mógł ich ponieść patriotyzm. Ale że teraz nie tylko pracowali rzetelnie, lecz nie grabili skarbu, nie rozdzielali państwowych pieniędzy między kumów i krewnych, wykraczało to już daleko poza wszelkie stasowane dotychczas zwyczaje. Konserwatyści przycichli zupełnie, wytrącono im bowiem najpoważniejszy argument. Zresztą nie mogli nawet marzyć o zorganizowaniu jakiegoś pronunciamenta, gdyż nikt by ich obecnie nie poparł, a zresztą nie było na nie zupełnie czasu. Co innego zajmowało umysły. Zewsząd dochodziły wyrazy uznania, najbliższy sąsiad - Chile uczciło zwycięstwo pod Callao potężnymi manifestacjami. Podobnie działo się w innych krajach Ameryki Łacińskiej. I niespodziewanie Peru, do tej pory przodujące jedynie w zamożności, zaczęło się wysuwać na czoło i ze względów politycznych, jako pogromca znienawidzonej wszędzie Hiszpanii.

Do zadowolenia ze spokoju doszła więc duma narodowa, toteż na Placu Broni słyszało się często pełne entuzjazmu okrzyki. W miarę upływu miesięcy przybywało im mocy, coraz ważniejsze omawiano tu sprawy. A któregoś dnia nabrały więcej ciepła niż kiedykolwiek. Słano wyrazy serdecznej przyjaźni pod adresem Benito Juareza, bohaterskiego prezydenta Meksyku zmagającego się nadal z francuskim najazdem.

Antonio, chociaż zbliżał się koniec roku i w ostatnich tygodniach sumiennie pilnował ksiązek, nie mógł sobie odmówić tej przyjemności, aby nie wziąć udziału w takiej manifestacji. Oklaskiwał mówców z wielką energią, huczał jak inni, jak inni domagał się wielkim głosem sprawiedliwości. Przewyższał jednak chyba wszystkich żarem uczucia. Toteż nawet starsi spoglądali na niego z nieklamana sympatią i coraz żywiej biegły ku niemu dziewczęce spojrzenia. A on zawsze potrafił je dostrzec, nawet w największym zapale, i w zależności od ich uroku to odplącił pełnym szacunku uśmiechem, to wyprężył się pięknie, to skłonił się wdzięcznie, to zastygł nagle w niemym podziwieniu. Aż wreszcie jedna z tych twarzątek przypadła mu bardziej do serca. Przybliżył się nieznacznie i swój głos przystosował umiejętnie do głosu swojej sąsiadki. Razem wspaniale wypadło. A kiedy ostatni mówca zszedł ze stopni katedry, stanowili już parę najlepszych przyjaciół.

- Śliczne masz imię, Mercedes - Antonio uwodzicielsko naszeptował do ucha. - I cudny głos. Zakochałbym się w jego dźwięku, nawet gdybym nie widział twojej piękności!

Mile ujęła ją szczerść tego wyznania. Zarumieniła się, ale że to Limanki są śmiałe z natury i również umieją ładnie dobrać słowa, natychmiast sprawiła i jemu przyjemność:

- Masz wygląd bohatera i widocznie dlatego przemawiasz jak rycerz z baśni. Gdybyś był trochę starszy, mógłbyś też stanąć na stopniach katedry, I jestem pewna, że porwałbyś tłumy swoją przemową!

Antonio machnął niedbale ręką.

- I dziś mógłbym to zrobić - rzekł. - Ale nie warto, za wcześnie. Przyjdzie czas, to mnie ujrysz na koniu. Tutaj, na Placu Broni. Gdy będę wjeżdżał na czele pronunciamienta!

Nie mogła ani przystanąć, ani poruszyć ręką, gdyż przesuwali się z tłumem, toteż tylko oczami wyraziła zachwyt i głębokie zdumienie.

- Antonio, tak będzie?... - szepnęła. - To prawda: ty na pewno jesteś do tego zdolny! A skąd weźmiesz ludzi? - zastanowiła się nagle, - Pronunciamienta robią przecież tylko generałowie i pułkownicy.

- Różnie bywa. Pułkownikiem, oczywiście, będę. To żadna...

Urwał raptownie. Niedaleko ujrzał Petę, wpatrzoną w niego tak gniewnie, jak gdyby miała zamiar rzucić się na niego z pięściami. Na szczęście tłok był wielki, a że właśnie znajdowali się tuż przy rogu jakieś uliczki, poruszył się szybciej, aby się tam wydostać i zniknąć.

- Uciekajmy, bo nas zadepczą - udał wesołość. - Każdy pędzi do domu, gdyż głodny. Za to kiedy ja tu się pojawię, będą stali choćby przez całą noc!

Zatoczył szeroko ręką i skręcił w bok, Z rozmachu wpadł na idącego z przeciwnej strony starszego mężczyznę.

- Najmocniej przepraszam! - rzucił na niego okiem i naraz poczerwieniał z wrazenia. - Serdecznie przepraszam za nieuwagę, panie inżynierze - dodał, gorąco, - Tam taki tłum...

Chyba po raz pierwszy w życiu zabrakło mu słów. Malinowski dostrzegł to zmieszanie i uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

- Nie tylko tłum, ale i bardzo bojowe nastroje - rzekł. - Rozumiem: wielka sprawa, sprawa niepodległości Meksyku. Można się oburzyć i wzburzyć. Niestety, widzę, że przychodzę za późno. Szkoda, że nie słyszałem. Cóż, człowiek ma ciągle pełne ręce roboty... Jakże tam poszło?

- Wspaniale, panie inżynierze! Ten prezydent Juarez to nie tylko bohater, ale i prawdziwy ojciec swojej ojczyzny. Gdyby któryś z mówców nas wezwał, ruszylibyśmy natychmiast do niego na ochotnika!

W głosie Antonia rozbrzmiał nieklamany entuzjazm. Malinowski popatrzył na niego z nagłym zaciekawieniem.

- Tak, to prawdziwy ojciec ojczyzny - przyznał. - Ładnie to pan wyraził... Pójdziecie tą właśnie uliczką?

- Tak.

Malinowski uśmiechnął się znowu.

- Wobec tego weźcie w środek starszego pana - odezwał się żartobliwie. - Dowiem się przy okazji, czego nie zdążyłem usłyszeć na placu. O ile wam nie przeszkadzam.

- Ależ panie inżynierze! - wtrąciła Mercedes żywo. - To dla nas zaszczyt!

Ruszyli powoli naprzód. Ludzie rozstępowali się przed nimi, Malinowskiego bowiem znali tu dzisiaj wszyscy i każdy choćby drobną przysługą chciał mu okazać szacunek. Antonio szybko odzyskał werwę i opowiadał swobodnie o tym, co mówiono i co się działo na placu. Był pewien, że Peta obserwuje go gdzieś z boku, że jest zaskoczona tym wszystkim i na pewno nie przyjdzie jej nawet do głowy, że to tylko przypadkowe spotkanie. Że jej zaimponował, to pewne. Ale i jemu ono imponowało. Szedł przecież obok zwycięzcy spod Callao, na nim też skupiała się w tej chwili powszechna uwaga. Toteż coraz staranniej dobierał słowa, coraz barwniej roztaczał obrazy, coraz zręczniejsze z przemówień mówców wyluskiwał najistotniejsze szczegóły.

Malinowski przystanął. Znajdowali się właśnie przed jego domem.

- Przestaję żałować, że nie zdążyłem wziąć udziału w manifestacji - przemówił z uznaniem. - Pięknie pan opowiada. Więc wezwano także do uwolnienia Kuby spod okupacji hiszpańskiej? Słusznie. A jak... - zastanowił się nagle. - Wiecie co, moi drodzy? Zamiast gawędzić na ulicy, wstąpcie lepiej do mego mieszkania. Sprawicie starym przyjemność.

Młodzi pokraśniali z wrazenia. Niejeden z ich rówieśników dałby dużo za taką okazję, toteż nie

potrzeba ich było namawiać. Kiedy jednak znaleźli się w niewielkim saloniku, a przed nimi don Isidorio zaczął rozstawiać kawę, owoce i ciasta, wydawali się bardzo onieśmieleni. Zwłaszcza Mercedes. Inżynier to dostrzegł, rozbawił więc żartem, potem wrócił na chwilę do przerwanej na ulicy rozmowy i niespodziewanie zwrócił uwagę na widniejące za oknem Andy.

- Ładnie dziś wyglądają. Chmury gdzieś znikły. Za tydzień lub dwa - westchnął lekko - będę się musiał przez nie przebijać.

Antonio wpatrzył się w niego w napięciu.

- Czyżby pan zamierzał przystąpić już do budowy kolei? - zapytał. - Mówi się o niej coraz więcej...

- To prawda. Na rozpoczęcie robót jednak za wcześnie, na to potrzeba wielkich pieniędzy. Tymczasem chcę się rozejrzeć szczegółowo w dolinie Chauchy. Tam bowiem także dojedzie się kiedyś pociągiem.

Na twarzy Antonia z nagłego podniecenia wystąpiły wypieki. - Cudowna podróż! - wykrzyknął. - Urwiska nad Rimakiem, puny, potężne rzeki spływające do Amazonki, wędrówki na koniu, noclegi pod namiotami... Gdybym ja mógł się tam kiedyś dostać!

Malinowski dobrotliwie pokiwał głową.

- Tak, dla takiego młodzieńca mogłaby to być piękna podróż - przyznał. - Nie to co dla mnie, starego. Ale w tym wieku potrzebna jest jeszcze zgoda rodziców, a oni na pewno nie puściliby syna w taką wędrówkę.

Antonio osowił. Tak nerwowo i szybko zaczął poruszać trzymaną w ręku łyżeczką, że Mercedes spoglądała na niego z coraz większym zdziwieniem.

- Ja nie mam rodziców - odezwał się cicho. - Jestem wychowankiem kongregacji świętego Filipa...

Dużo było smutku w tych słowach, toteż na ładniutkiej twarzyczce Mercedes przebiło głębokie współczucie. A i oczy Malinowskiego zmatowiały, jak gdyby i nim targnęło wzruszenie.

- No cóż, różnie ludziom układa się życie - rzekł ciepło. - Lepiej być w kongregacji niż się tulać bezdomnie... W tej jednak sytuacji o zgodę byłoby znacznie trudniej. Ojcowie nie wypuszczą przecież jedynego wychowanka spod swej opieki.

Antonio naraz odzyskał humor.

- Wypuszczą, wypuszczą! - uśmiechnął się pobłaźliwie. - Umiem sobie z nimi poradzić. Oni mnie też się trochę boją, bo mógłbym uciec. A wtedy nie mieliby nawet tej jednej sieroty... Zastanowił się nad czymś i jeszcze bardziej poweselał.

- Tak, oni pozwolą - dodał raźnie. - Mogę jechać, tym bardziej że zaczynają się wkrótce wakacje! Ech... - niespodziewanie wrócił poprzedni niedobry nastrój. - Cieszę się, jakbym już był na koniu. A przecież...

Malinowski milczał. Antonio wpatrzył się w niego w nagłym zakłopotaniu. Coś tam się działo w tych ciemnych, pogodnych zazwyczaj oczach, ścierały się tam jakieś gwałtowne uczucia. Powoli jednak zaczynały się przejaśniać, nabierać stopniowo coraz większej rozwagi i wreszcie stwardniały, jak gdyby zapadła w nich jakaś stanowcza decyzja.

- Panie inżynierze - w jego słowach rozdźwięczała żarliwość - niech mnie pan z sobą zabierze! O takiej podróży marzę od lat. Rozumiem, że to dla pana kłopot. I że z tym są związane wydatki, Ale ja sporo umiem i potrafię uczyć się szybko. Mógłbym więc kogoś zastąpić. I na pewno dobrze wykonam robotę!

Malinowski wpatrywał się w niego uważnie, lecz nie odezwał się słowem. Antonio osowił.

- Proszę mi wybaczyć... - przemówił nieśmiało. - Okazał mi pan dużo uprzejmości zapraszając do swego mieszkania. A ja od razu wykorzystuję okazję... Poniosły mnie zbyt marzenia. A przy tym wydawało mi się, że i tak będzie pan musiał zabrać ze sobą ludzi. Jedzie pan robić pewnie jakieś pomiary, a może wytyczać szlak... A do tego pomoc jest przecież potrzebna...

- To prawda: potrzebna.

Oczy Antonia rozbłyły. Te słowa dodały mu naraz otuchy.

- Więc słusznie rozumowałem! - rzekł żywo. - Może rzeczywiście do czegoś się przydam? Włóczyłem się nieraz po górach i kłopotu ze mną nie będzie!

Malinowski odwrócił głowę i zapatrzył się w Andy. Z tego miejsca szczytów nie było widać. Za to u podnóża bujna zieleń złościła się pięknie w promieniach słońca.

- A czy ojcowie rzeczywiście się zgodzą? - zapytał nie odrywając oczu od tego wdzięcznego obrazka. - Wbrew ich woli nie można podejmować takiej decyzji.

Mercedes, obserwująca całą tę scenę w wielkim napięciu, klasnęła w ręce z uciechy. Antonio zerwał się z miejsca.

- Panie inżynierze, będę wdzięczny do końca życia! - przemówił gorąco. - Taka wyprawa!... Ojcowie na pewno się zgodzą. Czy istotnie mogę te słowa uważać za ostateczną decyzję?

- Tak. O ile, oczywiście, ojcowie nie będą mieli zastrzeżeń. Bardzo radośnie przebiegała odtąd ta nie przewidziana przez nikogo wizyta. Antonio płonął ze szczęścia, Mercedes promieniała, salonik wypełnił się wesołością. A i Malinowski jakby zapomniał o przynależnej jego wiekowi powadze i bawił się tak samo dobrze jak oni.

Ktoś zakołatał do bramy. Mercedes spojrzała na Antonia wymownie. Wstali. Malinowski wyciągnął rękę na Pożegnanie. Proszę więc zgłosić się tutaj za dziesięć dni - rzekł. - O siódmej rano ruszamy w drogę,

- Będę punktualnie! - zapewnił Antonio gorąco.

Raz jeszcze rzucił okiem na cały salonik, jak gdyby chciał utrwalić w pamięci miejsce, w którym tak przyjemnie spędził to popołudnie.

- Piękna jest ta czara - dodał z namysłem. - Przyglądam się jej od początku i jeszcze teraz nie mogę od niej oderwać oczu. Kogo ona przedstawia?

- Chodź - pociągnęła go Mercedes za rękaw. - Pan inżynier ma nowych gości,

- Każda Limanka, młoda czy stara, jest jednakowo wrażliwa na formy - uśmiechnął się Malinowski. - Don Antoniowi nie można się jednak dziwić, że postawił takie pytanie. Przecież, o ile mi wiadomo, w jego żyłach płynie krew indiańskiej księżniczki...

- Pan o tym wie? - wtrącił żywo Antonio.

- O przeszłości wychowanka świętego Filipa wie cała Lima. A ta czara, to także indiańska przeszłość. Kogo ona przedstawia?... Nie wiem. Też przyglądam się jej bardzo uważnie. Kto wie, może kiedyś wyczytam z tych znaków jakąś niezwykłą historię

Gdy wreszcie wyszli, Antonio był bardzo zamyślony. Mercedes zerknęła na niego raz i drugi i doszła do wniosku, że mu nie należy przeszkadzać. Dopiero gdy doszli do domu, w którym mieszkała, przerwała milczenie.

- Wspaniały jesteś! - szepnęła z przejęciem. - Ile ty masz odwagi!... Wobec człowieka, który dziś słusznie uchodzi za bohatera narodowego, Peru, wysunąć przy pierwszym spotkaniu sprawę udziału w kordylierskiej wyprawie... I wygrać!

Antonio wyprężył się, jakby miał zamiar podkreślić swoim zwyczajem swe światoburcze zamiary, lecz zaraz wrócił do swobodnej pozycji. Uśmiechnął się tylko.

- Wszystko dzięki tobie - powiedział uprzejmie. - Przyniosłeś mi szczęście.

Pożegnali się serdecznie i Antonio wrócił do swego stałego miejsca pobytu. Opiekunom nic nie wspomniał o tej niezwykłej wizycie. Za to późnym wieczorem zjawił się u Pieroli i szczegółowo powiedział mu wszystko.

- Chciałem pana prosić o pośrednictwo - kończył. - Ojcowie mogą się bocyć, a jeśli pan powie im słówko, pobłogosławią mnie jeszcze na drogę. I będę miał nareszcie przyzwoite wakacje.

Zaniepokojona początkowo i nieufna twarz Pieroli pogodniała w miarę jak słuchał, lecz teraz znowu pojawiła się na niej czujność. Zastanawiał się nad czymś przez pewien czas.

- Hm, może tak być... - odezwał się wreszcie. - Rzeczywiście był to przypadek?

- Mówiłem przecież: wpadłem na niego wychodząc zza węgła.

- Jedź w takim razie. Z ojcami załatwię. Pamiętaj tylko: obserwuj uważnie. Jak w Limie, powinno obchodzić cię wszystko; co robią ci ludzie, którym będziesz towarzyszył, co mówią między sobą, z kim rozmawiają, u kogo nawet nocują.

Antonio naraz jakoś bardzo bezradnie opuścił głowę.

- Chciałbym prosić o zwolnienie mnie z tych obowiązków na czas podróży - rzekł cicho. - Nie wypada, abym podglądał człowieka, który wyświadcza mi taką uprzejmość...

- W naszej pracy nie może być żadnych zwolnień. Rób, co ci każe!

- Przecież Malinowski nie Pardo... To dziś największy... Twarz Pieroli nabrała nagle ostrości.

- Milcz! - wykrzyknął. - Za głupi jesteś, aby osądzać, kim jest Malinowski. Gdy dorośniesz, dowiesz się o nim więcej. A tymczasem wykonuj polecenia i ucz się posłuszeństwa, bo masz go ciągle za mało!

Zapadło milczenie. Antonio nie poruszył się, nie unióś głowy, coś tam ciągle przeżuwał w sobie. Wydawał się bardzo zmęczony, jakby przybity nieszczęściem. Pierola przyglądał mu się przez pewien

czas z wielką uwagą.

- O czym tak dumasz? - przemówił znacznie łagodniej. - Masz okazję do ładnej wycieczki, więc jedź. Obowiązek jednak trzeba wypełnić.

Antonio uniósł nareszcie głowę. Pogodna zazwyczaj i skora do uśmiechu twarz zaskakiwała teraz swoją bladością. Ciężko musiał przeżyć i okazywaną wobec tego człowieka pokorę, i te twarde słowa, i tę bezwzględność, z jaką narzucał mu on obowiązki.

- Nie! - głos mu zadrgał z nadmiernego wzburzenia. - Inżyniera nie będę szpiegował. Sumienie mi mówi, że tego robić...

Pierola skoczył jak oparzony.

- Śmiesz mówić o sumieniu, smarkaczu? - wybuchnął. - Inni są od czuwania nad twoim sumieniem! Wahasz się, gdy masz przed sobą wroga wiary i ładu?

- Pardo jest wrogiem wiary i ładu!

- Nie tylko Pardo! Wszyscy, których ci wskazujemy. Po to cię żywimy, ubieramy i kształcimy przez tyle lat, abyś takie wyciągał wnioski? Chcesz się odżegnać nawet od tak skromnej usługi?

- Nie mogę...

- Wobec tego wybieraj: jedziesz i będziesz robił, co każę albo nie ruszysz się z Limy przez całe lato. Jak chcesz!

Z oczu Antonia wyrzały niespodziewanie złe błyski.

- Wobec tego wybieram - rzekł ostro. - Zostaję.

Wstał, skłonił się i skierował do drzwi. Pierola patrzył na niego z niewiarą. Do tej pory nie zdarzył się jeszcze nigdy podobny wypadek w ich wzajemnych stosunkach. Na jego rozfanatyzowanej przed chwilą, chociaż niewątpliwie inteligentnej twarzy wykwitło nagle zakłopotanie.

- Antonio, nie śpiesz się - powstrzymał go miękko, - Przecież masz czas... Usiądź, pogadamy jeszcze - w głosie czuło się coraz bardziej przyjazny ton. - Zastanawiam się, co tak wpłynęło na ciebie, że stałeś się nieposłuszny... Nie wierzę, żeby to było sumienie. Sprawa jest jasna: mamy przed sobą wroga...

Wysunął szereg argumentów i wątpliwości, po niektórych robił przerwę, jak gdyby chciał zmusić słuchacza do przytaknięcia lub zaprzeczenia. Antonio milczał jednak uparcie. I nie wyglądało na to, aby odmienił zdanie. Pierola coraz staranniej dobierał słowa.

- Chyba tylko jednym można to wytłumaczyć - podsumował w końcu swoje wywody. - Przemęczyłeś się nauką i zajęciami. Rzeczywiście było ich w tym roku niemało... Wypoczynek jest ci niewątpliwie potrzebny, a w dolinie Chauchy wypoczniesz świetnie. Klimat podobno tam doskonały... Dobrze, jedź!

- Ale po powrocie nie będzie pan a nic pytał?

W słowach Antonia rozbrzmiała nieufność. Pierola roześmiał się dobrodusznie i przyjaźnie poklepał go po ramieniu.

- Nie będę - potwierdził. - Chyba że sam zechcesz mi coś opowiedzieć.

## VI.

W dwa tygodnie później niewielka karawana posuwała się coraz bardziej zwężającą, się doliną Rimaku ku źródłom tej rzeki, ukrytym gdzieś tam wysoko pośród podniebnych szczytów. Do tej pory podróż nie była zbyt trudna. Na odległość pięćdziesięciu kilometrów od Limy teren wznosił się dość łagodnie, a chociaż kolo miejscowości Chosica sięgnął tysiąca metrów nad poziom morza, nikt nie odczuł zmęczenia. Odtąd jednak zaczynało się ono dawać we znaki. Tam niżej pozostawała ziemia bezwodna, gdzie jak na Pomorzu nie padały zupełnie deszcze. Teraz wstępowano w kraj pełen wilgoci, tonący w mgłach lub w strugach tropikalnej ulewy. Coraz gwałtowniej piętrzyły się skały, coraz bliżej zamykały horyzont ciasnym pierścieniem, Wygodna przedtem droga zamieniła się w wąską ścieżynę: śliską i urwistą, wijącą się tuż prawie nad spienionymi wodami, to gdzieś znowu na szczycie przepaści, to wśród szczelin tak wąskich, że ledwie koń mógł się przecisnąć, to po zwałach kamieni walących się w dół za lada dotknięciem. I przybierała wciąż na ostrości. Jak ginąca co chwila w mroku, unurzana w błocie lub w kurzu, potargana brutalnie wstęga objiała się nieustannie o głązy, lecz mimo to coraz śmielej śmigała w górę.

Ludzie przestali rozmawiać, konie i muły ciężko robiły bokami. Jedynie Antonio nic nie utracił ze

swej zwykłej pogody. Spełniły się nareszcie jego marzenia: wędrował w świat. Nie był tu nigdy, lecz znał tę dolinę na wskroś. Była to przecież słynna droga, jedyna droga jaka na długości setek kilometrów pozwalała się przedrzeć przez Andy; od wieków wędrowali tędy zarówno Indianie i Peruwiańczycy, jak i dawni hiszpańscy najeźdźcy. Nie przejmował się więc niczym i w chwilach groźnych gładził jedynie delikatnie grzywę swego wierzchowca. Starał się w tych posępnych obrazach doszukać piękna. A właściwie nie było o nie zbyt trudno. Ledwie przedarli się przez chmury promienie słońca, już rozjarzała się dokoła, szare dotychczas skały rozbłyskiwały niespodziewanie wszystkimi barwami tęczy. Zmienacka wychylała się także zieleń. W każdej zapadłości, w każdej kotlinie, wszędzie gdzie tylko mogło się utrzymać trochę próchnicy już roślinność panowała wszechwładnie, drzewa i krzewy zachwycały swym tropikalnym bogactwem. I byli tu także ludzie, „synowie mgły”, gospodarzący tak sama skrętnie, jak ich pradziadowie w dawnych czasach inkaskich.

Wkrótce jednak bogata roślinność zaczynała zanikać, wsie stawały się coraz uboższe. Gorący klimat ustępował miejsce umiarkowanemu. Gdy wspięli się na wysokość dwóch i pół tysiąca metrów, osiedla nadal jeszcze spotykało się często, lecz teraz koło chat widać było jedynie ziemniaki i wielkie łany jęczmienia, na stokach stada owiec skubały trawę. A w dwa dni później i to także zniknęło. Znowu zmienił się klimat. Jak okiem sięgnąć - w chłodnym blasku słonecznym rozciągały się wokół nagie prawie zupełnie skały, pokryte jedynie z rzadka brązowymi mchami.

- Prawie cztery tysiące metrów - oświadczył Malinowski, gdy pod wieczór zatrzymali się przy szalasach pasterzy lam, zaglądających na tę wysokość. - Pobędziemy tu kilka dni, aby przyzwyczaić płuca do rozrzedzonego powietrza.

Antonio raźnie zeskoczył z konia. Krajobraz był smutny i monotony, nie miał nawet nic ze swej poprzedniej dzikości. Rzucił na niego okiem i z wielką energią zabrał się od razu do rozbijania obozu. Nikt go nie naganiał do pracy, nie wydawano mu nigdy żadnych zarządzeń. Mocno odczuwał tę delikatność i z tym większą pilnością przykładał się do każdego zajęcia. Szło mu to coraz sprawniej, rzeczywiście uczył się szybko. I pomagając teraz mulnikom, z wielką już wprawą rozbijał namioty.

Malinowski przyglądał się przez pewien czas tej krzątaninie, a potem odszedł spacerkiem w stronę Rimaku. Zupełnie nie przypominał on teraz tej mocarnej tam w dole, jak taranem bijącej w skały, zmierzwionej, wyjącej, rozszalałej, z siłą huraganu walącej się z góry rzeki. Tu wił się dość leniwie, wąską strugą łagodnie przepychał wody. Jak gdyby dopiero uczył się biegać, hartował siły, aby nieco później rozwinąć w pełni całą swoją potęgę. Malinowski zepchnął weń kępkę suchego mchu, popatrzył jak płynęła w podskokach, a potem przeniósł wzrok na tonące w śniegu szczyty, przez które miał się dopiero przedostać. Nie śpieszył się do obozu. Tam szło wszystko swoim porządkiem, każdy wiedział, co robić. Mulnicy już porządkowali bagaże, ktoś rozpałał ognisko, dwaj towarzyszący wyprawie miernicy rozbijali ostatni namiot. W tym zaś największym, który i jemu służył za dom podczas podróży, gospodarzył w najlepsze Antonio. Starannie rozłożył w kącie juki, rozmieścił poślania, pośrodku zawiesił podręczną latarkę. Raz jeszcze rzucił okiem na wszystko i ruszył do wyjścia. Przystanął raptownie. Za znajdującym się na uboczu namiotem dostrzegł jednego z mulników. Wpatrzył się w niego w napięciu. Ten stał pochylony, jakby się starał ukryć i coś majstrował przy zamku dużej walizy...

Antonio otworzył usta, chcąc krzyknąć widocznie, lecz je zaraz zacisnął. Coś go wstrzymało, na zachmurzonym nagle czole ukazały się zmarszczki. Cofnął się nieco za płachtę namiotu i obserwował w skupieniu. Nie mogło być wątpliwości: tamten usiłował podważyć zamek, miał w ręku jakieś stalowe narzędzie. Jak dotąd nic z tego nie wychodziło. Pochylił się mocniej, nacisnął i naraz uniół głowę: niedaleko dały się słyszeć kroki. Przestraszył się najwyraźniej. Chwycił walizę i szybkim krokiem skierował się do najbliższego namiotu.

Antonio odskoczył w głąb. Jak gdyby nic się nie stało, zaczął poprawiać poślania.

- Aha, przyniosłeś! - ucieszył się, gdy mulnik znalazł się obok niego. - Już się zastanawiałem, gdzie się ona podziała.

Mulnik wyszedł bez słowa. Gdy kroki ucichły, Antonio wziął walizę do ręki i przysunął do światła. Rzeczywiście przy zamku znać było nieznaczne rysy. Przyjrzał się im uważnie, jak gdyby chciał z nich odczytać jakąś zagadkę. Sam spróbował po chwili otworzyć; zamek wciąż trzymał mocno. Uspokojony, opuścił namiot. Malinowski wracał właśnie znad Rimaku, wyszedł mu więc naprzeciw.

- Jakże się czujesz? - zagadnął przyjaźnie inżynier. - Nie dokuczyła ci jeszcze wędrowka?

- Co to znaczy na moje siły! Żałuję tylko, że musimy tutaj pozostać przez kilka dni, chciałbym bowiem zobaczyć wreszcie, co tam kryje się poza Andami.

- Cóż, trzeba pozostać. Nie przyzwyczaisz płuc, nie przedostaniesz się przez te widniejące na wschodzie śniegi.

Antonio popatrzył na niego z niewiarą. Czuł się doskonale, a przecież te góry przed nimi wyglądały

łagodnie i w niczym nie przypominały tych przepaści i urwisk, jakie mieli za sobą.

- Chyba pan żartuje - przemówił niepewnie. - Jeśli idzie o mnie...

Swoim zwyczajem zuchowato wyprężył pierś. Malinowski uśmiechnął się lekko.

- Nie tylko o ciebie, ale i o nas - wtrącił. - Przede wszystkim jednak o ciebie, gdyż jesteś tu po raz pierwszy. Jeśli nie przyzwyczaisz płuc do rozrzedzonego powietrza, sorocze może cię nawet zabić.

Antonio spoważniał. O tej chorobie słyszał: pękała od niej skóra, pierzchyły wargi, brakowało oddechu, sączyła się krew, ogarniały człowieka mdłości. Nie wiedział tylko, że ona tu się właśnie zaczyna, ale że była rzeczywiście groźna, w kilka dni później przekonał się osobiście. Dosięgali wysokości pięciu tysięcy metrów. Rzadkie już od dawna powietrze rozrzedziło się jeszcze bardziej, płuca pracowały jak miechy. Dyszeli ciężko ludzie, dyszały kanie i muły. Osowiał, pobladł, zaczynało mu ssę wydawać, że się dusi, że głowa pęknie, za chwilę z bólu. A na domiar złego zwała się z góry śnieżycy i gnana gwałtownym wichrem zabieliła dokoła wszystko.

Malinowski przysunął do niego swego wierzchowca.

- Co, niełatwo? - odezwał się ze współczuciem. - Pociesz się jednak: śnieżycy nie trwa tu nigdy długo. A gdy tylko miniemy przełęcz, będzie coraz przyjemniej.

Antonio zwilżył językiem spieczone wargi. Poczł coś słodkawego, Dotknął palcem, popatrzył: krew.

- Niełatwo... - przyznał. - Ale i przez to przebrniemy!

Jechali odtąd razem. Śnieżycy rzeczywiście wkrótce ucichła, uciszył się nieco wicher. Duszność jednakże wzmagała się ciągle. Antonio przestał się interesować towarzyszami podróży, niebem a okolicą, wszystko stało się dla niego nieważne. Resztkami tylko woli kurczowo trzymał się siodła.

- Zatrzymamy się tutaj - jak przez sen dobiegły do niego słowa Malinowskiego. - Za chwilę powinno ukazać się słońce, a to w tym miejscu rzadka okazja. Sprawdzę więc raz jeszcze pomiary.

Antonio jakos bardzo leniwie skierował na niego oczy.

- Bardzo źle wyglądasz - zaniepokoił się nagle inżynier. - Weź któregoś z mulników i jedźcie naprzód. Teren zacznie się zaraz obniżać. Odetchniesz.

Antonio szarpnął głową jak żreback, któremu się usiłuje nałożyć uzdę.

- Nie! Nie pojedę!

Zęby szczerknęły silnie, w gardle po tym okrzyku poczuł męczący ból, Spojrzał nieco przytomniej.

- Zostanę, panie inżynierze - bardzo powoli wypowiadał słowa i z wielkim namysłem. - Jeśli pan może tutaj wytrzymać, ja także mogę. Muszę i do tego się przyzwyczaić.

Trochę sztucznie, lecz i trochę wesoło rozbrzmiało ostatnie zdanie. Malinowski raz jeszcze rzucił na niego okiem i zsunął się z siodła. Antonio pobiegł zanim wzrokiem: przybliża się do mierników, odbiera od nich jakieś przyrządy. Potem rozchodzą się w różne strony, on idzie pod górę. Sam jeden. Ależ tam śniegu!... Sięga mu za kalana...

Antonio znowu poruszył nerwowo głową. Coś go zaniepokoiło w tym widoku, jak smagnięcie bicza odczuł naraz tę samotność starego człowieka idącego tam, gdzie o połowę od niego młodszy miernicy nie mają odwagi się wdrzeć. Zeskoczył na ziemię i ruszył biegiem w jego kierunku. Zasapał się natychmiast, płuca zaczęły rzezić. Przystanął i otwartymi szeroko ustami łykał przez chwilę powietrze. Pomógł. Długim teraz krokiem zaczęła doganiać maszerującą przed nim sylwetkę.

Malinowski obejrzał się. Usłyszał za sobą nieustępliwe człapanie.

- A ty dokąd? - wykrzyknął. - Wracaj do koni. Tu liczy się każdy metr!

Antonio podszedł i nagłym ruchem wyrwał mu z rąk niesione przyrządy.

- Nie wypada, aby pan dźwigał - rzekł energicznie. - Zaniosę, gdzie trzeba.

Wysunął się naprzód i, nie oglądając się poza siebie, ruszył prosto ku wierzchołkowi.

- Wolniej, wolniej Antonio... - usłyszał cichy, jakiś bardzo w tej chwili łagodny i ciepły głos. - Jeśli mamy dojść razem na szczyt, nie należy się śpieszyć. Pamiętaj: liczy się każdy metr...

Ciężka to była droga. Antonio obłany potem dyszał ciężko, coraz powolniej wyciągał ze śniegu nagi, lecz wreszcie dotarł do celu. Zimno tu było, wiatr przenikał do kości. Zaraz jednak zrobiło się nieco cieplej, ukazała się bowiem słońce. Świeciło mocno, oślepiało blaskiem mieniącego się w jego promieniach śniegu, ogrzewało nawet, a mimo to nie dawało radości. Było zupełnie inne niż na nizinach i inne było też niebo. Ciemnogrnatowe, bezdenne i obce sprawiała niesamowite wrażenie pustki, której nie mogła dodać uroku nawet jasna okrągła plama.

Antonio nie ruszał się z miejsca. Inżynier odebrał od niego przyrządy, porobił pomiary, odnotował co trzeba i złożył wszystko z powrotem.



- Nieś więc dalej - uśmiechnął się, wręczając Antoniowi pakunek. - Mimo wszystko dobrze się trzymasz. Nie przypuszczałem, że masz tyle hartu.

- Jeśli pan może się tu poruszać swobodnie, ja także się tego nauczę - przemówił powoli. - Ale że tu... - zawahał się nagle. - Rzeczywiście zamierza pan przeprowadzić kolej doliną Rimaku? Czy...

Popadł w zakłopotanie. Wiedział przecież od dawna o tym projekcie, a mimo to teraz, gdy stał na szczycie, wydało mu się wszystko mało prawdopodobne. Rzucił raz jeszcze okiem przed siebie: ostre, kamienne iglice, poprzetykane cieniem i światłem rysowały się nieprzyjemnie jak księżycowy krajobraz i w jakimś oszalałym rytmie gwałtownie waliły się w dół, ku Oceanowi Wielkiemu.

- Niesamowite... - westchnął. - Jak się przedrzeć z tą masą żelaza, jaka się składa na pociąg, przez te przepaści i turnie?... Malinowski wziął go za ramię i zwrócił twarzą w przeciwnym kierunku.

- Nie patrz tam - odezwał się dobroduszenie. - Te iglice mogą rzeczywiście przerazić, zwłaszcza gdy gnębi człowieka sorocze. Za to ku wschodowi widok znacznie jest przyjemniejszy: stoki spływają łagodnie, gdzieś tam w dali, za horyzontem, wkrada się piękna puszcza nadamazońska. A ku północy - Cerro de Pasco: pokłady złota, srebra, węgla i miedzi...

- Zalane wodą.

- Nie szkodzi, odwodnimy. Tam są największe bogactwa Peru a na nich trzeba opierać przyszłość.

Antonio nadspodziewanie energicznie poruszył ręką.

- Dość mamy saletry - wtrącił niedbale. - Więcej ona warta niż złoto. Na długo jej jeszcze wystarczy.

Malinowski objął go uważnym spojrzeniem, jak gdyby nie był pewien, czy należy prowadzić dalej rozmowę.

- Tego właśnie nie jestem pewien - dodał jednak po chwili. - Co łatwo przychodzi, łatwo przepada. Pamiętasz Hiszpanów... A tych skarbów w Cerro de Pasco nikt nie ukradnie, znajdują się bowiem pośrodku Peru. I Andy bronią do nich dostępu...

Antonio zmarszczył brwi. W tych powoli i jakoś bardzo ostrożnie wypowiedzianych słowach wyczuł coś jak ostrzeżenie, jak gdyby ten człowiek duszący się z braku powietrza chciał specjalnie zwrócić na coś jego uwagę i korzystać z chwili, która na zawsze pozostanie w jego pamięci. Odtąd nie mówił już nic i nawet gdy znowu dosiedli koni i ruszyli w dalszą wędrówkę, nie mógł oderwać myśli od tej zagadki.

Raz jeszcze zwała się na nich śnieżycą. Antonio rozejrzał się: skłębiło się dookoła, zaginęło wszystko w gęstym тумanie. A gdy niespodziewanie wychynęła gdzieś z głębi :pokryta śniegiem ludzka sylwetka, drgnął nagle, jakby zobaczył przed sobą zjawę.

- To ty, Santillanie? - donośny, przyzwyczajony do wydawania rozkazów na otwartej przestrzeni głos inżyniera przebił nawet szalejącą wokół wichurę.

- To ja! - padła niemniej mocna odpowiedź. - Czekam tu na ciebie od rana, tatai.

Antonio wysunął się naprzód. Dostrzegł teraz wyraźnie twarz Indianina, lecz nie zrozumiał dalszej rozmowy. Prowadzili ją w języku keczua. Że musieli żyć w wielkiej przyjaźni, wyczuł od razu; wynikało to wyraźnie z tonu i gestu. Dziwił się więc coraz bardziej. Rzadko kto z białych znał język keczua i wyjątkowo tylko Indianin okazywał białemu tyle przyjaźni. Toteż odtąd obserwował go z wielką uwagą, a miał do tego niemało okazji. Santillan bowiem nie odłączał się już od wyprawy. Wraz z nią minął rodzinną wioskę Oroję, wjechał na punę, ukazała się wkrótce dolina Tarmy. Antonio wpatrywał się w nią jak urzeczony. Zapomniał dawno o sorocze. Posępne śniegi i góry pozostały daleko. Świat znowu zrobił się piękny. Zazieleniło się wszędzie, zabarwiło kwieciami, rozżłociło w słońcu, rozweseliło swawolnym pluskiem płynącej obok rzeczulki. A równocześnie zaczęły wypływać spod horyzontu jakieś zwaliska: to mury skruszone działaniem czasu, to całe osiedla niegdyś tętniące życiem, to jakieś poszarpane zarysy kamiennych budowli, rysujących się jak starożytne zamczyska na tle jasnego zupełnie nieba.

Antonio coraz szerzej otwierał oczy. Znał ten świat z opowieści, lecz bo nigdy nie widział. Toteż teraz wchłaniał go w siebie, powiększał w myśli, z pamięci wydobywał dawne legendy. Aż niespodziewanie coś go przyprawiło o wstrząs. Dotknął ostrożnie czoła i potarł, a spojrzał znowu: przed nim jak smuga światła - prosta i gładka - słała się w dal piękna droga kamienna...

Jadący obok Santillan objął go czujnym spojrzeniem i chyba odgadł nurtujące go myśli. On także w czasie podróży obserwował go bardzo uważnie.

- Widzisz? - szepnął w jakimś uroczystym skupieniu. - Nasza droga... Droga królewska Inków!

Antonio nie mógł z siebie wydobyć słowa. Konie wstąpiły na płyty, raźnie i dźwięcznie zastukały podkowy. Przedtem szły wąską, wyboistą, stratowaną, kopytami ścieżyną, a i teraz biegła ona wciąż

obok jakby na urągowisko, jak smutny przejaw współczesnej nędzy wobec dawnej świetności. Bo ta zrobiona przed wiekami i od trzystu lat przez nikogo nie naprawiana, trwała nadal i chociaż świętokradcze ręce europejskich najeźdźców tu i ówdzie wyrwały z niej płyty, to jednak ciągle jeszcze doskonale nadawała się do użytku...

Antonio jakby się ocknął.

- Więc tak wygląda Droga Królewska... - odezwał się cicho. - Piękna to droga, umiano dawniej budować... Ale tu gdzieś - zastanowił się nagle - don Ernesto zamierza ułożyć tory. Nie wiesz, gdzie one będą leżały?

- Właśnie tuż obok tej drogi.

- I sądzisz, że mu się to uda?...

Indianin popatrzył na niego czujnie, jak gdyby nie był pewien, czy wolno mu dać odpowiedź na to pytanie.

- Uda - potwierdził po chwili stanowczo. - A wiesz dlaczego? Bo on nie tylko dostrzega wszystko, co u nas pozostało z dawnej wielkości, ale te-i uczy się ciągle od tych, którzy tu niegdyś żyli. Toteż potrafi zbudować nową Drogę Królewską. I możesz mi wierzyć: zbuduje!

Uroczyście rozbrzmiały te słowa. Antonio rzucił na niego okiem, a potem przeniósł wzrok na inżyniera. Zdziwił się nagle. Jechał on w tej chwili samotnie, środkiem kamiennej drogi; ni stąd, ni zowąd jego smukła, tonąca w słonecznym blasku sylwetka wydała mu się olbrzymia...

## VII.

I znowu krajobraz się zmienił, Zniknęła zieleń, ukazała się pokryta zwirowiskami rozległa puna. Nie nastrojała ona do rozmów, smutek i melancholia wyglądały tu z każdego zakątka. Za to, gdy ją minęli, wydało się naraz, że przed nimi otwały się wrota raj. Buchnęło aromatem z nadrzecznych ziół, zaniosło szumem skrzydeł unoszącego się w górze ptactwa, rozbawiło oczy urokiem szeroko rozrzuconych uprawnych pól, rozświetliło się gwarem gęsto zaludnionych osiedli. Antonio jakby odżył. Umknęło natychmiast z oczu trapiące go znów zamyślenie, zręczniejszemu poruszał wodzami, pilnie dbał o wygląd i o postawę. Jak w Limie, tak i tu starał się zwrócić na siebie uwagę. Z okien bowiem, zza węgłów, spoza oplotków, z balkonów w mijanych miasteczkach bieżyły ku niemu liczne dziewczęce spojrzenia i wabiły swą promiennością.

- No i co? - zagadnął go zniecierpliwiony inżynier. - Przypomina się Lima? I tu nie brak pięknych twarzyczek. Zastanawiam się tylko - udał zakłopotanie - co na to powie Mercedes?

Antonio nie różnił się teraz wcale wyglądem od tego miłego młodzieńca, który jeszcze niedawno wahał się bez troski po ulicach stolicy. Machnął niedbale ręką.

- Nie widzi - odparł wesoło. - Moje serce jest zresztą bardzo obszerne. Zmieści się w nim niejedna Mercedes.

Roześmiali się. Malinowski też odczuł na sobie czar tej doliny. Bawił go zresztą widok tego młodzieniaszka, tak łasego na wdzięki niewieście. Gawędził więc żartobliwie, sam mu od czasu do czasu wskazywał co wdzięczniejsze sylwetki, to znów dla odmiany pokpiwał niekiedy z jego słabostek. Nie potrzebował się, jak dotąd, na niego skarżyć. Antonio zawsze zachowywał się bez zarzutu i, co najważniejsze, nigdy nie opóźniał podróży. Przenocowali w Chauchie, stolicy tej pięknej doliny. Pardo miał tu własny domek w pobliżu miasteczka i w nim się właśnie ulokowali, a że nazajutrz wypadła niedziela, więc Malinowski nie śpieszył się nadmiernie z wyjazdem. Ludziom i zwierzętom należało dać wypoczynek, a tu było bardzo wygodnie. Rozeszli się więc wszyscy i zebrali się razem dopiero przy obiedzie w oberży. Zjawił się także Antonio. Był jednak jakiś w tej chwili inny, zniknęła całkowicie jego zwykła wesołość. Jadł w milczeniu, znad talerza nie unosił zupełnie oczu, na pytania odpowiadał półgębkiem. Inżynier obserwował go nieznacznie i też wydawał się coraz bardziej markotny.

- Co się stało? - zapytał, gdy już wracali do domu Pardy. - Przyplątała się jakaś nowa Mercedes?

Antonio westchnął, lecz w tym westchnieniu czuło się tyle szczęścia, że Malinowski natychmiast rozchmurzył czoło.

- Więc zgadłem - rozbawił się. - A jednak Mercedes!

- Zgadł pan: Mercedes. To piękne imię, zawsze przynosi mi szczęście. Jest śliczna, jak ta cała dolina Chauchy, promienna jak samo słońce. Córnica miejscowego prefekta.

- O, wysoko celujesz! Szkoda, że zaraz musimy wyjeżdżać, bo chętnie bym ją zobaczył. Ale nic

straconego, zajrzemy do niej w drodze powrotnej. A tymczasem szykuj się do podróży.

Antonio westchnął ponownie, lecz odtąd już nie wracał do tego tematu, a w pół godziny później jechał ze wszystkimi na południe drogą wiodącą ku Concepcion. Zachowywał się nadspodziewanie spokojnie. Malinowski trochę się temu dziwił, był bowiem przekonany, że wymknie się on choćby na chwilę, aby rzucić jakieś miłe słowa swojej bogdance. Nic się takiego nie stało. Nie tylko trzymał się karnie w szeregu, ale im bardziej się oddalali od miasta, tym wydawał się nawet weselszy. W dali ukazały się kłęby kurzawy. Antonio uniósł się nagle w strzemionach.

- Wracają! - wykrzyknął. - Święty Jacek wraca do Chauchy! A widząc w oczach inżyniera niezrozumienie, wyjaśnił zaraz: - Święty Jacek przebywa stale w kościele w Chauchie i opiekuje się zwierzętami jucznymi. A że jego moc jest wielka, więc raz do roku składa wizytę i w Concepcion. A znowu stamtąd Chaucha wypożycza figurę Marii Panny, szczególnej patronki kobiet zamężnych.

- Prawda, przypominam sobie te miejscowe zwyczaje - Malinowski skinął poważnie głową. - I zgaduję, że w orszaku świętego Jacka idzie twoja Mercedes...

Antonio już na niego nie patrzył. Procesja była tuż. Płynęły majestatycznie barwne chorągwie, biało przybrane dziewczęta sypały świętemu pod nogi kwiaty, unosiły się dymy kadzideł, skupiony tłum nucił pobożnie pieśni. Podróżni zsiadli z koni i przyglądali się z zaciekawieniem przesuwającym się przed nim postaciom. Nikt pozornie nie zwracał na nich uwagi, nikt tam nie odwracał ani na chwilę głowy. Kiedy jednak procesja przeszła, inżynier mrugnął jakoś bardzo swawolnie na zmarmotniałego znowu Antonia.

- Ta z prawej strony, przy największej chorągwi - domyślił się. - To jest właśnie ta twoja Mercedes?

- Tak. Że też od razu pan poznał...

- Bo ładna dziewczyna. Zauważyłem od dawna, że na byle kogo nie zwracasz uwagi. A ja także mam oko. No, teraz wsiadajmy, Daleka jeszcze przed nami droga.

Antonio ciągle wydawał się nieswój. Objął rozgorączkowanym spojrzeniem oddalającą się coraz bardziej procesję, twarz pokryła się troską. Targały nim jakieś sprzeczne uczucia.

- Będziemy przecież tędy wracali - odpowiedział inżynier miękko. - Znowu ją wtedy zobaczysz.

Inni już dosiedli koni, zaczęły przesuwać się muły. Antonio patrzył na nie jakby bezmyślnie, lecz naraz twarda zacisnął usta.

Minął go właśnie człowiek, który tam, w Andach, majstrował z takim uporem przy zamku walizy.

- Prawda, będziemy tędy wracali - rzekł wskazując zręcznie na siodło. - I oczywiście będę panu jeszcze potrzebny...

Zamyślił się i przez dłuższy czas jechał w milczeniu. Wkrótce się jednak rozchmurzył. Im bardziej oddalał się od Chauchy, tym całe to zajście wydawało się zabawniejsze. Zaczynał pokpiwać sam z siebie. Gdy inżynier powracał do tej sprawy, śmiali się obaj z jego kochliwości, urozmaicając sobie żartami zarówno podróż; jak i wieczory pod namiotami.

Za to w miesiąc później, gdy Malinowski zakończył prace na południu i znaleźli się znowu w tej czarownej dolinie, spadły nagle kłopoty. Na widok dobrze mu znanych murów Antonio przycichł, rozmarzył się, odżyły dawne wspomnienia. A gdy następnego dnia zaczęto szykować się do odjazdu, oświadczył uroczyście, że się żeni i że pozostanie tutaj na zawsze.

- Wszystko już ułożone - wyjaśniał radośnie. - Ojciec także wyraził zgodę. Otrzymam dobrą posadę, gdyż takiego wykształcenia nikt tu nie ma i właśnie dlatego jestem bardzo potrzebny. A Limy mogę nie widzieć - jakby cień wrogości wkradł się nieznacznie w słowa. - Ma ona swoje uroki, to prawda... Ale też potrafi poszarpać nerwy.

Malinowski przyglądał mu się w wielkim skupieniu.

- A co na to ojcowie? - zapytał cicha.

- Ucieszą się, że wyzbyli się takiego nicponia. I będą mogli wziąć na wychowanie inną sierotę.

Antonio roześmiał się trochę sztucznie. Malinowski zastanawiał się nad czymś przez pewien czas, a potem wypytał szczegółowo o rodzinę prefekta i pożegnał serdecznie.

- No cóż, twoja sprawa... - dodał na zakończenie. - Jesteś w tej sytuacji, że masz prawo sam decydować o sobie. Szkoda tylko, że nie zdążyłeś zrobić matury... Zajrzę kiedyś do ciebie. Może już wtedy ,pociągciem...

Antonio skłonił się i trochę niepewnym krokiem ruszył do miasta.

- Co to, pieszo chcesz maszerować? - powstrzymał go Malinowski. - Zabierz konia. Nie wypada, abyś wchodził do obcego domu z pustymi rękami.

Antonio wbił oczy w ziemię. Coś go zaskoczyła w tych słowach, targnęła nim głębokie wzruszenie. Inżynier przybliżył się i położył rękę na jego ramieniu.

- Na co czekasz? - przemówił łagodnie. - Wsiadaj, koń twój. Niech to będzie prezent ślubny ode mnie.

Antonio coś mruknął w podzięcie i nie patrząc na nikogo wskoczył na siodło. Malinowski jakby zaraz a nim zapomniał. Przynaglił ludzi, osobiście dopilnował załadowania bagaży, a w kwadrans później jechał już dobrze mu znanym szlakiem ku leżącej gdzieś tam za doliną Tarmy maleńkiej wiosce indiańskiej Oroí.

- Szkoda chłopca - westchnął Santillan, gdy wieczorem stanęli obozem na punie. - Nie mogłeś go zatrzymać, tatai?

- Nie. Gdybym próbował to zrobić, nigdy by do nas nie wrócił.

- A ty sądzisz, że wróci?...

- Powinien wrócić.

Ludzie kończyli swe codzienne zajęcia i układali się powoli do snu. Zniknął też wkrótce Santillan. Przy ognisku pozostał jedynie inżynier i dumął nad czymś wpatrując się nieruchomo w nikły płomyk dogasającego zarzewia.

Naokoło zaległa cisza. W sączącej się z góry chłodnej, księżycowej poświacie uwypuklały się coraz ostrzej sterczące tu i ówdzie glazy, rozległe żwirowiska przybrały na surowa9ci. Zewsząd powiało pustką i melancholią.

Upływały godziny. Ogień wygasł, Malinowski skulił się i wydawało się, że zmorzył go :sen. Niespodziewanie jednak poderwał głowę. Gdzieś z dali nadbiegł równomierny przeciągły stuk, jak gdyby dwa młyńskie kamienie biły o siebie z wściekłością. Posłuchał chwilę: nic szczególnego, to tylko żaba kordylierska zanuciła swoją, niezwykłą pieśń... Objął rękami kolana i przymknął oczy, lecz wkrótce otworzył je znowu. Żaba skończyła; za to od południa dał się słyszeć odmienny stuk: krótki, urywany i szybki stuk pędzącego galopem wierzchowca.

Inżynier zaczął krzątać się energicznie. Podsunął kilka garści czinczanga tam, gdzie przedtem było ognisko, podpałił. Rozszedł się mocny zapach żywicy z tego dziwnego mchu, który rośnie nawet na punie i natychmiast po zerwaniu nadaje się doskonale na opał. Kilka razy odetchnął głęboko bardzo miłym teraz powietrzem, a potem nabrał w kociołek wody i zawiesił nad ogniem. Odtąd na pozór przestało interesować go wszystko. Usiadł na dawnym miejscu. Znowu zatonął w myślach i nie unióś nawet głowy, chociaż jakiś jeździec zatrzymał się nieopodal i wkrótce znalazł się przed nim.

- Pan nie śpi?... - rozległ się nard nim cichy, jakiś bardzo nierówny głos.

Malinowski poruszył się nareszcie i spojrział.

- A, to ty, Antonio - rzekł bez zdziwienia. - Rozsiodłaś konia?

- Tak...

- Więc usiądź. Masz tu kolację, bo jesteś na pewno głodny. A herbata zaraz się zagotuje.

Antonio przysiadł z boku i bez słowa zabrał się do jedzenia. Malinowski także nie przerywał milczenia. Dopiero gdy młody człowiek zaspokoił pierwszy apetyt i nalał herbaty do kubka, popatrzył na niego spod oka.

- Zapomniałeś czegoś, że do nas wróciłeś? - zapytał.

- Nie. Wracam do Limy.

- Do Limy?... Że też Mercedes się na to zgodziła!

Antonio, dotąd onieśmielony i osowiały, odzyskał werwę.

- Wspaniała dziewczyna! - unióś się nagle w pochwałach. - Opowiedziałem szczegółowo i jej, i jej matce o sobie i o tej kolei, którą pan przeprowadzi przez Andy. W końcu doszliśmy zgodnie do wniosku, że powinienem ukończyć szkołę. Bardzo rozumne kobiety!

- Bardzo rozumne. Nic się nie stanie, jeśli tu przybędziesz za rok, czy za dwa. A matura zawsze się przyda. No cóż... Chodźmy spać.

Malinowski wszedł do namiotu. Antonio rzucił w ką sakwę podrózną, a potem ostrożnie, aby nie przebudzić kóregoś z mierników, zaczął macać w tym miejscu, gdzie powinno się znajdować jego posłanie. Rzeczywiście było rozłożone, jak zwykle. Uklął na nim i z przyzwyczajenia wyciągnął rękę, aby dotknąć walizy inżyniera; zawsze stawiał ją obok głowy. Nie było jej. Wstał i w świetle zapalki rozejrzał się po namiocie. Nie dostrzegł jej nigdzie. Zapytał o nią Malinowskiego. Ten też szukał przez pewien czas.

- Nie ma - mruknął. - Ciebie nie było, więc pewnie gdzieś zarzucili, a ja o niej zapomniałem zupełnie... Ech, szkoda czasu! - zbagatelizował tę sprawę. - Śpij. Jutro się znajdzie.

Zdawało się, że Antonio również doszedł do tego wniosku, gdyż w namiocie zaległa cisza.

- Panie inżynierze - niespodziewanie odezwał się jego głos. - Czy te mapy i notatki, które się znajdują w walizie, bardzo są cenne?

- I tak, i nie... Dla kogo innego nie mogą mieć wielkiego znaczenia, gdyż i tak nic z nich -nie potrafi odczytać. A dla mnie?... To trud wielu wypraw. Niełatwo byłoby odrobić stratę... Martwisz się o nie?

- Nie lubię, gdy coś nie leży na swoim miejscu.

- No cóż, ciebie nie było... Nie przejmuj się jednak, na pewno wszystko się znajdzie. Po drodze nie zginęły. A tu nikt nie wsadzi przecież do kieszeni takiej walizy. Dobranoc.

Antonio ułożył się wygodnie, ale nie zasnął. Nie wyzbył się niepokoju. O nadmiernej ciekawości mulnika nie wspomniał dotychczas nikomu, a że pracował on bardzo sumiennie, dochodził stopniowo do wniosku, że chyba niepotrzebnie powziął wobec niego nieufność. Mogła się tam coś zdarzyć, może wytrzymałość zamka wzbudziła w nim jakąś wątpliwość. Teraz jednak odżyły na nowo obawy. Dlaczego właśnie dziś, gdy jego nie było przy rozładunku, waliza nagle zniknęła? Można ją było porzucić gdzieś w kącie; ten, kto niósł, mógł nie wiedzieć, gdzie ją należy ustawić. Ale na pewno nie powinna się znaleźć poza namiotem...

Im dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej pogłębiały się podejrzenia. Ale i w tym, co mówił inżynier, też było dużo słuszności: do kieszeni nikt walizy nie wsadzi. Więc po co by brał? Aby zajrzeć do środka? Bez wyłamania zamka tego nic zrobi, trzyma on mocno. Pozostaną więc ślady wyraźne. A jutro...

„Jutro? - zastanowił się nagle. - Jutro?...”

Poruszył się gorączkowo, rozgorzały mu nagle policzki. Ukląkł bezszelestnie i coś jeszcze przez chwilę rozważał. Raz i drugi poruszył ręką. Odnalazł wreszcie ubranie i zaczął je powoli nakładać. W kilka minut później zabrał koc i wymknął się nieznacznie z na-, miotu.

Przeniknął go mróz. Noc była jasna, na czarnym prawie zupełnie niebie lśniły jaskrawo gwiazdy. Rzucił na nie okiem i przesunął się chyłkiem do miejsca, gdzie się znajdowały zwierzęta. Poruszyły się na jego widok, niespokojnie zastrzygły uszami. Przystanął. Poznały go widocznie, gdyż znowu zastygły nieruchoma. Uszedł jeszcze trochę i przysiadł za dużym głazem, który całkowicie go zakrył od strony namiotów.

Czas płynął. Antonio, otulony starannie kocem, drzemał, lecz chwycił podświadomie najmniejszy szmer. Chrapnął niekiedy koń, któryś z mułów przestąpił leniwie z nogi na nogę. Doskonale znał te charakterystyczne przesunięcia żwiru i trzaski, toteż nie zwracał na nie uwagi. Niespodziewanie jednak wkradł się jakiś odmienny ton. Ocknął się momentalnie, mocniej natężył słuch. Nie mogło być wątpliwości: ktoś szedł...

Antonio wychylił nieznacznie głowę. Ostrożnie, krok za krokiem, podchodził dobrze mu znany mulnik, najwidoczniej szykujący się do podróży. Przez ramię miał przerzucone siodło, w ręku trzymał worek z jakimś dużym ładunkiem. Teraz przyśpieszył kroku, trafił na gołą ziemię. Zresztą i zwierzęta zaczęły się właśnie poruszać. Korzystał więc z chwilowego hałasu i w kilku susach znalazł się obok swego wierzchowca.

Antonio przemknął cicho między zwierzętami i wyrósł przed nim nagle jak zjawa. Mulnik zmartwiało, ręce przyciągające popręgi opadły bezwładnie.

- A, to ty!... - odetchnął wreszcie głęboko. - W pierwszej chwili myślałem że duch. Skąd się tu wzięłeś? Przecież zostałeś w Chauchie!

Jak gdyby nic się nie stało, zabrał się do przerwanej roboty. Antonio przytrzymał mu rękę.

- Dokąd się wybierasz tak wcześnie? - zapytał. - I do tego z takim :pakunkiem?

- Inżynier kazał mi odwieźć walizę do Limy. Nie przeszkadzaj. Śpieszę się, gdyż dziś jeszcze chcę stanąć w Oroi.

Pochylił się znów nad uprzężą. Antonio zastanawiał się przez chwilę, co robić. Nie chciał alarmować obozu i gubić tego człowieka, domyślał się bowiem, kto za nim stoi. W końcu wziął do ręki walizę.

- Nie potrzebujesz się śpieszyć - rzekł obojętnie. - Inżynier prosił mnie, abym cię zatrzymał do rana. Ma ci dać dodatkowe wskazówki.

Mulnik skoczył jak oparzony.

- Antonio, radzę ~zostawić mnie w spokoju - zasyczał przez zęby. - I milczeć! W przeciwnym razie...

- Co będzie?

Mulnik poruszył ustami, jakby przeżuwał jakieś przekleństwo. - W przeciwnym razie - dodał złowrogo - Gutierrez cię weźmie za kark! A Sylwester potrafi łamać nie takich...

Antonio w zamyśleniu ;pokiwał głową.

- Dużo w tym racji - przyznał. - Kończmy jednak tę sprawę. Daję ci do wyboru: albo spokojnie wrócisz do swego namiotu i ja wtedy zapomnę o wszystkim, albo narobię alarmu. Wiesz chyba, czym ci to grozi?

Mulnik przysunął do niego wzburzoną twarz. Antonio zaniepokoił się, było w niej za dużo dzikości. Odsunął się odruchowo, kątem oka dostrzegł pędzący gdzieś z dołu błysk. Skreślił się błyskawicznie, w ostatniej chwili uniknął ciosu. Ale nóż znowu pojawił się przed nim i skoczył do piersi jak iskra...

Antonio, nie przewidujący wcale takiego obrotu sprawy, poczuł naraz czającą się śmierć. Ogarnęła go wściekłość. Jeszcze raz się uchylił, jeszcze zaciskał zęby, jeszcze gdzieś tam w głębi działał nakaz milczenia. Ale już wzburzyły się myśli, oczy zapłonęły gorączką. Znow umknął i przysiadł, sprężyło się groźnie ciało. I nagle prysnęło naprzód, zwalając się na przeciwnika całym swoim ciężarem...

Ktoś wyrzwał z namiotu. Rozległ się krzyk, ludzie zaczęli nadbiegać ze wszystkich stron.

- Odbierzcie mu nóż! - odezwał się Antonio chrapliwie. Leżał teraz na mulniku i jedną ręką dusił mu gardło, drugą przytrzymał za przegub dłoni. Jakby skamieniał w tej pozycji; nie puszczał. Dopiero głos inżyniera przywrócił mu wreszcie przytomność. Wstał, jakoś bardzo długo otrząsał z kurzu ubranie. Nie wspominając nic o groźbach, które usłyszał, wyjaśnił zwięźle przyczynę tej bójki.

Malinowski objął mulnika zamyślonym spojrzeniem.

- Nie spodziewałem się tego po tobie - rzekł cicho. - No cóż, osiodłałeś konia, a koń twój... Odjeżdżaj. A po swoje muły zgłosisz się w Limie.

Mulnik ruszył bez zwłoki, niewątpliwie zadowolony, że na tym się tylko skończyło. Ludzie pogwarzyli przez pewien czas i znowu się ułożyli do snu. Przed namiotami stanął jednak obecnie wartownik.

- Okazuje się, że i tu trzeba czuwać - odezwał się Malinowski, wyciągając się na swoim postaniu. - Zmieniają się czasy, dawniej nie było to nigdy potrzebne... Ale ty spisałeś się dzielnie. Nigdy nie przypuszczałem, że masz tyle siły, bo przecież ten złodziej też nie ułomek. Muszę ci dać rewolwer. Mnie on niepotrzebny, a tobie się przyda. Możesz z niego strzelać, ile dusza zapagnie. Dość mamy naboju. Na przyszłość zapamiętaj sobie jednak; należy wzywać pomocy. Nigdy nie wiadomo, co się może kryć za takim spotkaniem...

Antonio roześmiał się jakoś bardzo beztrasko, jak gdyby dopiero teraz odczuł radość z odniesionego zwycięstwa.

- Przydałem się na coś! - przemówił z okrucieństwem dumy. - Jeszcze w Chauchie ogarnął mnie jakiś niepokój. Toteż pędziłem, co koń wyskoczy.

- I zdążyłeś na czas... W przyszłości krzycz jednak od razu. Na nóż nie należy się rzucać z gołymi rękami.

- Ha, stało się. Przyda się w każdym razie ta mała zaprawa. Przekonałem się, że odwagi mi nie brak. I mogę robić pronunciamiento.

- O tym myślisz?... Warto urządzać takie zabawy?

- Na pewno warto. Dla zdolnego człowieka jest to u nas najlepsza droga do wielkiej kariery. A mnie, jak twierdzą niektórzy, nie brak zdolności. Po co więc kto inny ma wybierać ze skarbu pieniądze, gdy i ja to potrafię?

W głosie Antonia czuło się rosnące wciąż rozbawienie. W czasie tej wędrówki rzadko w ten sposób uzewnętrzniał swoje marzenia. Teraz odniesione zwycięstwo podziałało na niego jak podniecający narkotyk.

- Nie wszyscy w ten sposób zajmują się skarbem - odezwał się Malinowski. - W obecnym rządzie na pewno jest wielu ludzi uczciwych. Każdy grosz oddają sumiennie państwu. Na przykład Pardo...

- Ech, Pardo! Niepoważny człowiek. To prawda: uczciwy. Ale co wyniknie z tej uczciwości? Gdy tylko podreperuje skarb, ktoś zrobi pronunciamiento i tak go rąbnie, że posypią się drzazgi. Panie inżynierze - w słowach Antonia rozbrzmiała naraz serdeczna nuta - z nim trzymać nie warto! To podobno nawet mądry człowiek, lecz nie nadaje się na nasze stosunki. Zbyt wiele mówi o praworządności, zbyt śmiało tępi nadużycia. A co najważniejsze - brak mu jest siły. Do prawa jest jeszcze potrzebny rewolwer. Nieboszczyk Galvez rozumiał to dobrze, on nie. Toteż wcześniej czy później ktoś palnie mu w łeb. Bo poza wszystkim, to przecież wróg kościoła i z dawna ustalonego porządku!

- I ty w to wierzysz?

Antonio nie odpowiadał przez dłuższy czas, jak gdyby wprowadzono go tym pytaniem w zakłopotanie.

- Hm, tak mówią... - mruknął, - Trzymać z nim jednak nie warto! - dodał już energicznie, - Pronunciamiento go zniszczy.

- Jesteś tego pewien?

- Tak,

Tym razem Malinowski jakoś bardzo długo się nie odzywał. Antonio doszedł do wniosku, że zasnął, więc też przymknął oczy.

- Nie śpisz jeszcze? - dobiegł go naraz szept.

- Nie.

- Przyszło mi na myśl, że bardzo się z sobą zżyliśmy w czasie podróży. I że powinieneś zaglądać do mnie niekiedy, gdy znajdziemy się znowu w Limie. A gdyby ci przyszła ochota, mógłbyś pomóc Pablowi. To synek Santillana, który u mnie przebywa. Nie mówił dawniej po hiszpańsku, więc nauka idzie mu trochę opornie.

- Bardzo chętnie, Zwłaszcza, że to syn Santillana. Bardzo go lubię.

Malinowski zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

- Powiedz mi szczerze, Antonio - zagadnął znienacka. - Nie lękasz się jakichś kłopotów z powodu tego zajścia z mulnikiem?

- Kto, ja? Niechby...

Antonio urwał nagle, jakby jakieś wątpliwości zdławiły jego czupurność.

- Nie, nie obawiam się - zakończył nadspodziewanie rozważnie. - Dopóki z panem przebywam, muszę bronić i pana, i pańskiego dobytku. Taki mój obowiązek. I takie prawo!

- To prawda: takie jest prawo...

## VIII.

Minął rok. W walce ze słońcem chmury i mgły spowijały na przemian limańskie niebo i stanowiły jakby odbicie tego, co działo się w całym Peru. Pardo i liberałowie odnosili zwycięstwa, wnieśli poprawki do konstytucji, po raz pierwszy złamali monopol kościelny na nauczanie i nareszcie mogły powstawać w tym kraju nie tylko szkoły zakonne. Ale już rozszalała się burza. Do walki wyszły kobiety: sfanatyzowane, zaciekłe, ruszające niekiedy wprost z nabożeństw na trybuny, z których ogłaszano reformy, i jak za czasów inkwizycji hiszpańskiej zamieniające je w płomienne stosy. A wkrótce ruszyli się generałowie i pułkownicy na czele zbrojnych oddziałów, Nie próżnował także Pierola: zawarł cichą umowę z paryskim domem bankowym braci Dreyfussów i chociaż nie był jeszcze u władzy, oddał im w pacht całą peruwiańską saletrę. Za to mógł teraz hojnie rozdzielać otrzymywane zaliczki. Bogaci więc byli dzisiaj konserwatyści, ludzie sypali się do nich hurmem. I przy wtórce rewolwerowych wystrzałów, w szczękę oręża, w ogromnym gwarze, przy wyciu roznamiętnionych dewotek wkraczali do stolicy szumnie i dumnie, aby raz jeszcze prawo zastąpić bezprawiem.

Malinowski wracał właśnie z dworca do domu, gdy niespodziewanie natknął się na ten pochód. Mima woli przypomniał sobie słowa Antonia: rządowi rzeczywiście zabrakło siły; tej armii zabijaków nie mógł przeciwstawić wojska ani policji, bo ich właściwie nie było. Toteż wkraczała ona bezkarnie. Tłok zrobił się wielki, dalej nie było przejścia. Stał więc i patrzył. Przepłynął jeden szwadron, przepłynął drugi. Ukazał się jakiś samotny jeździec na pięknym rasowym rumaku.

- Pułkownik Balta! - ktoś podał tłumowi hasło. - Niech żyje!...

Rozhuczało się jak po zwycięstwie nad Hiszpanami, tysięczne głosy obity się echem o mury. Malinowski przysłuchiwał się obojętnie, widział już bowiem w tym kraju niejedno, gdy naraz na jego twarzy ukazało się głębokie zdumienie. Oto za tym wspaniale przystrojonym dowódcą, który pierwszy dał hasło do buntu, pojawiło się czterech młodych, uzbrojonych po zęby junaków. A jednym z nich był dobrze mu znany Antonio!...

I on go dostrzegł. Rozpromienił się, radośnie pomachał ręką. Malinowski uśmiechnął się i dobrodusznie pokiwał głową, lecz gdy tylko konie się przesunęły, w oczach ukazało się zamyślenie. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego przed kilkoma tygodniami, gdy tylko otrzymał maturę, przepadł nagle jak kamień w wodę. Oczywiście musiał najpierw odbyć daleką drogę, to pronunciamiento szło

bowiem z głębokiego południa... I nic dziwnego, że wszedł do asysty. Prezentował się doskonale, nie brakowało mu bynajmniej odwagi. I nie brakowała niewątpliwie poparcia...

Oddział przemknął ku Placowi Broni, aby według przyjętego zwyczaju ogłosić tam uroczysty manifest, a za nim potoczył się tłum. Malinowski skorzystał z okazji, zniknął zaraz w bocznej uliczce i okrężną drogą dotarł wreszcie do domu. Odetchnął z ulgą, tu było cicho. wszedł do saloniku i usiadł. W jakimś wielkim napięciu wpatrzył się w stojącą przy oknie tę dziwną indiańską czarę, przedstawiającą tak wyraziście twarz mędrca czy też kapłana...

Minęła może godzina. Ktoś uderzył niespodziewanie kołatką w bramę i zamącił panujący dokoła spokój. Inżynier bez pośpiechu odwrócił głowę: w drzwiach ukazał się Antonio. Zatoczył wdzięcznie szablą, brzęknął ostrogami, zameldował się ostro. Promieniał. Długo i serdecznie ścisnął wyciągniętą ku niemu rękę.

- A co, nie mówiłem? - wykrzyknął triumfująco. - Z Pardą trzymać nie warto, wywraca się za lada podmuchem. Dziś Balta górą, bo przy nim siła. I on będzie od dziś prezydentem!

Malinowski objął go rozbawionym spojrzeniem.

- Siadaj, rycerzu - zaprosił. - Prawdę mówiąc, nieco mnie rozczarowałeś. Byłem pewien, że ty staniesz się prezydentem.

- Za wcześniej, panie inżynierze, za wcześniej! Najpierw zaprawa, potem ćwiczenia, następnie atak próbny bez nadmiernego hazardu i dopiero wtedy gwałtowny skok. A ja jestem dopiero na tym drugim etapie.

- A nie zabraknie ci cierpliwości?

- Komu, mnie? Przecież ja jestem sierotą z kongregacji świętego Filipa! Cierpliwości uczą tam dobrze.

- A jak z szablą? Wywinąłeś ją choć kilka razy? Bo chyba nie było okazji?

Antonio, nagle zmarkotniał.

- Nie było - przyznał, - I tego mi żal. Ma się ją przy boku, szumu się robi jak wszyscy diabli, a gdyby tak ktoś zręczny wyciągnął drugą i świsnął mi nią nad głową, pewnie bym jej nie unióś cało. Z rewolwerem radzę już sobie świetnie. A z tym żelastwem nie. I to mnie martwi. Bo przy Balcie tej sztuki na pewno się nie nauczę.

Zakłopotał się szczerze. Malinowski wpatrywał się w niego w milczeniu.

- Hm, rzeczywiście bieda... - przemówił po chwili, - Trzeba by ci jakoś dopomóc.

- Pan?... Pan chciałby mnie uczyć szermierki?...

- Tego nie powiedziałem. Był czas, że nieźle władałem szablą, lecz dziś jestem na to za stary. Wkrótce jednak przyjedzie tu inżynier Miecznikowski, ułan z tego ostatniego polskiego powstania. Poproszę go w twoim imieniu. I na pewno ci nie odmówi.

Antonio z nagłego podniecenia złożył ręce jak do modlitwy.

- Panie inżynierze, będę wdzięczny do końca życia! - wykrzyknął. - Polski ułan!... Słyszałem o nich niejedno. Tacy rębacze...

Wszedł don Isidoro i zaprosił do stołu. Znał on dobrze tego młodego człowieka, po wyprawie bowiem w dolinę Chauchy zaglądał on tutaj niejednokrotnie, a że sam za młodych lat brał udział w niejednej ruchawce, więc teraz najwyraźniej imponował mu zarówno wspaniały mundur, jak i widniejące na nim dystynkcje porucznikowskie. Znał przy tym doskonale jego apetyt. Zastawił więc stół obficie i usiadł przy nim także, podtykając mu od czasu do czasu jakieś szczególne specjały.

Antonio był w siódmym niebie. Przerwał na chwilę pogawędkę, bo wszedł Pablo, a gdy go wycisnął i usadził przy sobie, zabrał się znów do jedzenia. Widać ,było, że czuje się dobrze w tym domu i że każda z otaczających go twarzy sprawia mu dużo radości.

Toteż gadał za dwóch. A Malinowski, jakby od niechcenia, podsuwał coraz tonowe tematy. Przetaczał się ~przed jego oczyma barwnie zarysowany obraz polowych obozów, manifestacji, coraz żywiej przesuwały się twarze dowódców. I sypały się krotochwile i plotki: jak to Dreyfuss, sprytny kupczyk z Paryża, omołał zupełnie Pierolę i kupił na pniu największe bogactwo Peru, jak podzielono z góry stanowiska w rządzie, który dopiero ma powstać, jak to Sylwestra Gutierrez nazywa się publicznie ministrem wojny. I wreszcie padła najciekawsza wiadomość: obok bankierów pojawił się przy Balcie Henryk Meiggs, przedsiębiorca amerykański, zamierzający budować w Peru koleje.

- Kapitalny typ! - śmiał się Antonio. - Tam, w Stanach, narobił długów i chcieli wsadzić go do więzienia. Sprosił wszystkich wierzycieli na ucztę. Gdy się rozbawili, na ich oczach umknął z całą rodziną na własnym statku! Potem wypłynął w Chile, na kolejach zarobił kilka milionów. Trzeba



przyznać: uczciwy. Spłacił wszystkie poprzednie długi. Wesół jak rzadko kto, wszędzie go pełno. A przy tym umie się doskonale obracać w naszych stosunkach. Sypie dolarami, nie szczędzi łapówek, po królewsku zastawia stoły. Toteż wszyscy z otoczenia Bałty skaczą koło niego i noszą na rękach, gdy tylko sobie podpisują, Ale polubić rzeczywiście go można...

Antonio stawał się coraz weselszy. Obserwował przecież to wszystko z bliska, brał też udział w niejednej zabawie. I dorzucał coraz więcej szczegółów: jak z Dreyfussem, tak i z Meiggsem umowa właściwie już ;podpisana. Zaczyna on wkrótce budowę kolei z Arekipy do Puno nad Titicaca.

- Sprytny chłop! - Antonio unosił się coraz bardziej. - W Boliwii założył własny bank i teraz chce powiększyć jego obroty za peruwiańskie pieniądze. Wiadomo: ta linia wcale nam nie jest potrzebna. Przynajmniej nie dziś.

Wzruszył ramionami lekceważąco, lecz nagle spowaźniał. Objął Malinowskiego nieśmiałym i pełnym zakłopotania spojrzeniem. - A dla pana mam przykrą nowinę... - bąknął. - Z tą koleją przez Andy...

- No, no - zachęcił go Malinowski widząc, że w tym wyznaniu natrafia na jakieś wewnętrzne opory. - Co z nią? Nie chcą budować?

- Nie! - Antonio poruszył się gwałtownie, jakby ogarnęła go wściekłość. - Pierola przysięgał publicznie, że ponieważ to pański projekt, nie da na nią nawet jednego dolara. Gutierrez znów dowodził, że bez pomocy diabła nie da się tam wprowadzić pociągu i dlatego nie wolno dotykać tej sprawy. A Meiggs...

Antonio w zamyśleniu pokręcił głową.

- Ten dopiero zabił mi klina -dodał po chwili. - Z tamtymi można by sobie jakoś poradzić; zrobiłoby się w najgorszym razie pronunciamiento. Ale Meiggs... Zwietrył, że to może być świetny interes, toteż wysłał natychmiast w dolinę Rimaku swoich fachowców. A gdy wrócili, rozłożył bezradnie ręce: rzeczywiście nic nie da się zrobić... Więc ta kolej nie wchodzi w rachubę...

Obserwował inżyniera w coraz większym napięciu. Coś w jego zachowaniu wydała mu się w tej chwili nienaturalne. Nie patrzył na nikogo, całą swą uwagę skupił na trzymanym w ręku widelcu. Zdawało się, że drżą mu palce, że naciskaniem na metal stara się je utrzymać w ryzach, że za wszelką cenę pragnie je ustrzec przed gwałtem. A jednak się nie udało. Zacisnęły się naraz mocniej, rozległ się trzask. I ze zgrzytliwym pojęciem widelec rozpadł się na kawałki...

Antonio pobladał. Stał się świadkiem czegoś, co wykraczało daleko poza jego dotychczasowe pojęcia. Siedział przecież przed nim ten sam człowiek: zawsze miły, uprzejmy, uczynny, doskonale opanowany w słowie i geście, nie pozwalający sobie nigdy na jakąkolwiek niezręczność. A jednak teraz był inny. Coś tam kłębiła się w środku. Jak w gwałtownym odruchu bólu drżały nieznacznie szczęki...

Antonio odetchnął głęboko. Zaczynał rozumieć.

- Wszystko przeze mnie! - rozżalił się nagle. - Opasałem się błyskotkami, przypiąłem szablę i widzę jedynie siebie. Bawiłem się sprawami, które mogą innym wyrządzić przykrość! Po co ja to...

Z nadmiernego wzburzenia objął rękami skronie. Ta nieklamana rozpacz wywarła na Malinowskim wielkie wrażenie.

- Niestłusznie się oskarżasz - rzekł ciepło. - Gdybyś ty tego nie opowiedział, opowiedziałby kto inny. Nie przejmuj się więc. I nie dziw się. Człowiek nawet tak stary jak ja ma też nerwy i nie potrafi niekiedy ich opanować. Tak cię to zaskoczyło?

- Zaskoczyło... Powiniennem wiedzieć z góry, że pan odczuje to mocno. Przecież ta kolej arojska...

- Nie ona mnie zabolala. Ta kolej jest tylko częścią wielkiej całości, która nazywa się Peru. To z jego powodu chwycił mnie żal. Czy to nie przykre, Antonio, że za zgodą Peruwiańczyków mogą hulać po twojej ojczyźnie tacy Dreyfussi i Meiggsowie?... I trwonić olbrzymi majątek, z którego tylko procenty wystarczyłyby na szkoły dla wszystkich dzieci?...

- Bałta twierdzi, że ludzi wykształcanych nam nie potrzeba. Mamy dość pieniędzy na opłacanie cudzoziemskich fachowców...

- A ty co o tym sądzisz?

Antonio w nagłym zakłopotaniu zaczął gładzić kruczoczarną czuprynę. Do tej pory nie zastanawiał się nigdy nad tym pytaniem.

- Oczywiście, ty nie mogłeś wyrobić sobie na ten temat jakiegoś zdania - wyręczył go Malinowski. - Pomyśl jednak nad tym.

Wstał, gdyż właśnie w drzwiach ukazali się nowi goście: Sato-Marino, Peruwiańczyk, rolnik z

wykształcenia, wydobywający sumiennie spod ziemi zapomniane od wieków indiańskie kanały nawadniające i Polak Feliks Leonard - tutaj, w Limie, wyrabiający wspaniałe perfumy i pudry, którymi bił na głowę. najlepsze firmy paryskie. Antonio przyglądał im się z wielką uwagą. Z widzenia znał obu, słyszał też a każdym niejedno. Ale nie przyszło mu nigdy do głowy, że spotka ich kiedyś w tym domu. A i na niego spoglądano z zaciekawieniem. Kiedy zaś inżynier wspomniął o jego ostatnich przygodach, zainteresowanie jeszcze się wzmogło i coraz liczniej zaczęły się sypać najrozmaitsze pytania.

- Zamęczycie mi chłopca - Malinowski przerwał dobrodusznie rosnącą wrzawę. - Napracował się rzetelnie, zanim przyszlście. Powiem więc za niego tylko najważniejszą nowinę: nie będzie kolei orojskiej!

Soto-Marino objął go czujnym spojrzeniem, jak gdyby chciał odgadnąć, co się naprawdę kryje za tą niefrasobliwością.

- Jak widzicie - Malinowski mówił coraz weselej - wszystko przepadło, chociaż odtąd będzie w skarbie bardzo dużo pieniędzy. Pierola przysiągł, poparli go inni. Chyba że znowu wystąpiłyby do, bitwy kobiety. One dziś dużo mogą.

Wpatrzył się jakoś bardzo swawolnie w twarz Leonarda. Był to młody jeszcze i przystojny mężczyzna, mający bardzo rozgałęzione stosunki dzięki swym perfumom i pudrom, zwłaszcza wśród pięknych Limanek.

- Hm, kobiety... - zastanowił się. - Meiggs na pewno nie zechce podpisać umowy, jeśli taką opinię wydali jego doradcy. I to jest właśnie najgorsze... Ale kobiety...

- Wszystko zrobią! - wtrącił żywa Antonio. - Gdybyście panowie widzieli, jak w Arekipie rzuciły się na trybuny! Nikt nie śmiał! poruszyć palcem, spłonęło wszystko. Jeśli więc zajdzie potrzeba, spalą też i Meiggsa!

- Ba, gdyby on miał żonę!... Zmarła już dawno.

- Ale inni je mają. Taki na przykład Balta niczego swej nie odmówi. A z niego chłop, w gruncie, twardy. Jak się przy czymś uprze, nawet Pierola nic wtedy nie wskóra.

Leonard objął go rozbawionym spojrzeniem.

- Ten umie patrzeć! - wykrzyknął. - Więc Balta jest taki... Interesująca nowina. Chyba to jednak nam niewiele pomoże, bo przecież nie poprowadzimy kobiet na Plac Broni - westchnął i zmienił zaraz temat. - A jak tam wypadły potyczki? Mieliście ich dużo?

- Wcale - wtrącił Malinowski pośpiesznie. - Dla Antonia na szczęście. O szabli, jak sam twierdzi, nie ma wielkiego pojęcia. Obiecałem mu - kończył coraz weselej - że Miecznikowski weźmie go w swoje obroty.

- Hm, Miecznikowski... - zastanowił się głęboko Leonard. - Zanim się zjawi, upłynie kilka miesięcy. A może spróbowalibyśmy od razu?... Masz chyba w domu jakieś szablisko?

Pablo, siedzący do tej pory jak trusia, skoczył do sąsiednich pokojów i nim się spostrzeżono, już -był z powrotem z bronią. Leonard poklepał go po ramieniu.

- I z ciebie będzie żołnierz - pochwalił. - Więc jak, poruczniku, poprobujemy?

Antonio przestąpił niepewnie z nogi na nogę, Zbyt nagle to spadło na niego. Widać było, że ma szczerą ochotę, lecz boi się ośmieszenia.

- Rusz się - pognał go Malinowski. - Wiadomo, umiesz niewiele. Korzystaj jednak z okazji, bo dobry to nauczyciel. Też się wywodzi z ostatniego polskiego powstania.

Dodał swoje Soto-Marino, zachęcił don Isidorio. Stanęli naprzeciw siebie. Antonio pchnął trochę nieśmiało, odskoczył, zaatakował znowu i poszedł za ciosem. Rozgrzewał się szybko, tym bardziej że nie napotykał na większy opór. Przybił więc mocniej nogami, oślepił błyskami stali. Skronie zaczęły pulsować silnie.

Walczyli tak z dziesięć minut. Leonard wychwytywał zręcznie cięcia, uskakiwał sprężystości, nieznacznymi ruchami wstrzymywał gwałtowny atak. Aż wreszcie uderzył lekko raz i drugi i opuścił szablę.

- Hm, nieźle poszło - rzekł w zamyśleniu. - Gibkość znakomita, bojowość wielka, zaciętość... Tak, zaciętość za duża. Łatwo przy niej o błąd. A co do techniki... Proszę się na mnie nie gniewać: mniej więcej jak kijem. Zrozumiałe, brak wyszkolenia.

Antonio potarł nerwowo policzek. Leonard uśmiechnął się i objął go po przyjacielsku ramieniem.

- Niech pannie przejmuję się tymi słowami - rzekł. - Będzie dobrze, gdyż talent duży. To najważniejsze. Potrzeba jedynie wprawy. Zna pan chyba mój adres. Proszę zajrzeć do mnie od czasu

do czasu. Poćwiczmy, zanim zjawi się tu Miecznikowski.

Antonio popatrzył na niego z wdzięcznością. Wyczuł w jego głosie tę samą ciepłą nutę, która tak go przywiązywała do inżyniera, toteż podziękował serdecznie za zaproszenie i od razu umówił się na pierwsze spotkanie. Nie przedłużał już zbytnio wizyty. Chciał jeszcze popatrzeć na miasto i na Plac Broni, wkrótce więc pożegnał się, a Malinowski odprowadził go osobiście do bramy.

- Zatem tymczasem pronunciamiento - zatrzymał się przy niej i zastanowił. - Masz co jeść i wiesz chyba, gdzie złożyć głowę... A co dalej? Masz jakieś projekty?

Antonio w nagłym zakłopotaniu wbił oczy w ziemię.

- Dadzą mi chyba jakąś posadę - bąknął niepewnie. - Może zostanę w wojsku... Może Balta zatrzyma mnie przy sobie...

- Oczywiście, dopóki będzie przy władzy. Przyznam ci się szczerze: myślę nieraz o twojej przyszłości. Matura za tobą, to dobrze. A czy nie warto by teraz wstąpić na uniwersytet?

Antonio nabrał z miejsca energii.

- Nie warto! - zaprzeczył. - Balta nie ma żadnego wykształcenia a już właściwie jest prezydentem. Po co się męczyć?

- Aby mieć więcej w głowie. Twierdzisz ciągle, że zrobisz kiedyś pronunciamiento. Nie wchodzę czy to słuszne, czy nie. Jednakże wykształcony dowódca, zwłaszcza prawnik, na pewno nie wpuściłby nigdy do kraju takiego Dreyfussa czy nawet Meiggsa. A chyba to ważne?

Antonio znowu oświała. Te słowa musiały mu nasunąć jakieś nieciekawe refleksje. Twarz drgnęła kilkakrotnie i niespodziewanie ukazał się na niej niezwykle gość: smutek. Malinowski go dostrzegł.

- Tak, z czego utrzymać się w czasie studiów?... - odezwał się cicho. - To pytanie cię dręczy, Kongregacja nic więcej ci nie da, jesteś przecież dorosły. A gdybym ja pokrył wydatki?...

Antonio uniósł raptownie głowę.

- Nie! - przemówił nadspodziewanie szorstko i nieprzyjemnie. - Takiej pomocy przyjąć nie mogę!

- Nie idzie o pomoc. Byłaby to tylko ,pożyczka. Zwrócisz m wszystko, kiedy ukończysz studia. Albo dasz innemu młodemu człowiekowi, który będzie w sytuacji podobnej.

Antonio poruszył ustami, jak gdyby miał zamiar znowu się przeciwstawić, lecz zacisnął je nagle i po chwili jakoś bardzo bezradnie opuścił głowę, Przez dłuższy czas panowało milczenie.

- Tak, studia... - odezwał się wreszcie, bijąc się nadal z jakimiś dręczącymi myślami. - A jakie pan stawia warunki?...

- Żadnych. Chociaż nie... Omówmy sprawę uczciwie. Jeden stawiam: abyś uczył się dobrze. I stał się takim prawnikiem, jakiego jeszcze nie było w Peru. Na to cię stać.

- A jeśli zawiódłbym pańskie nadzieje?...

- Ech, Antonio, co ty wygadujesz? - głos Malinowskiego poweselał. - Chcesz zawojować Peru, a prawu nie dałbyś rady? Ja się o to nie martwię. I jestem pewien, że za cztery lata pojedziesz z dyplomem w kieszeni do swej Mercedes w Chauchie. A może o niej już zapomniałeś?...

Antonio poruszył się raźnie.

- O tej ślicznej dziewczynie? - roześmiał mu się oczy. - O niej nie można zapomnieć! Na pewno do niej pojedę. Tylko... - zawahał się. - Szkoda, że nie pociągiem...

- Ciągle w niego nie wierzysz?

- Czy ja wiem... O tym, żeby -państwo zbudowało tę linię, nie można dziś nawet marzyć, Balta nigdy się na to nie zgodzi. A Meiggs nie chce się podjąć...

- Podejmie się, podejmie.

Antonio drgnął, jak gdyby te wypowiedziane bardzo łagodnie słowa przyprawiły go nagle a wstrząs. Wpatrzył się czujnie w twarz inżyniera, coś z niej próbował odczytać. I im dłużej się jej przyglądał, tym większe go ogarniało zdumienie.

- Więc jak? - Malinowski wziął go za rękę i mocno uściskał. - Nasza umowa stoi?

- Stoi!

Bardzo stanowczo i twardo zabrzmiało to jedno Jedyne słowo. Antonio odszedł. Malinowski zamknął za nim bramę, popatrzył przez chwilę na pustą uliczkę i wszedł do mieszkania. Gwarno tu było nadal; teraz mały Indianin wywijiał szablą.

- I z tego będzie pociecha - uśmiechnął się Soto-Marina. - Młode to i na oko niemrawe, a gdy dotkniesz go umiejętnie, skacze jak iskra. A co z Antoniem?... Uda się go wyrwać temu diabłu Pieroli?

Malinowski jakoś bardzo długo zastanawiał się nad tym pytaniem.

- Jego nie można odbierać - odezwał się wreszcie. - Młody wprawdzie człowiek, lecz z charakterem. Sam stanowi o swoim losie. Moim zdaniem powinien kiedyś porzucić Pierolę... Będzie to jednak tylko jego osobista decyzja.

W tym zaś czasie Antonio już dochodził do Placu Broni. Bardzo był zamyślony, liczne zmarszczki na czole świadczyły o jakimś wewnętrznym napięciu. Pojawił się jeden przechodzień, pojawił drugi. Zdawało się, że ich wcale nie widzi, za to gdy niespodziewanie wyszedł zza rogu Pardo, natychmiast objął go czujnym spojrzeniem. Skręcił nieco, jakby miał zamiar przejść na drugą stronę ulicy, lecz się opanował zaraz i poszedł dalej normalnie. Minęli się obojętnie. Dopiero gdy się znalazł na Placu Broni, obejrzał się poza siebie: smukła sylwetka zmniejszała się coraz bardziej.

Antonio machnął niedbale ręką. Dziś ten człowiek stracił dla niego wszelkie znaczenie.

## Droga przez piekło.

### I.

Kończył się przyjemny sierpniowy dzień. Po porannym trzęsieniu ziemi, co w Limie była dość normalnym zjawiskiem, słońce wyjrzało zza chmur i grzało mocniej niż kiedykolwiek. Powietrze było suchsze, oddychało się łatwiej. I róże w ogródkach rozkwitły piękniej, a teraz, gdy zaczął się już sączyć wieczorny chłód, wypełniały wszystkie zakątki coraz silniejszym zapachem. Toteż każdy wołał spędzać wolny czas wśród kwiatów, a nie na ulicy.

Malinowski także przebywał w patio. Pracowity miał dzień. Jako naczelny inżynier Peru musiał zdecydować o wielu sprawach, przez jego gabinet przewinęła się nadspodziewanie duża interesantów. Balta też zajął mu ponad godzinę. Ten nowy prezydent odnosił się do niego dość dziwnie: nie żądał jego dymisji, lecz często powstrzymywał najkonieczniejsze roboty. A mimo to darzył go niewątpliwą sympatią a w razie ostrej sprzeczki ustępował zawsze. Dziś przytrafiło się właśnie to samo. Inżynier postawił sprawę na ostrzu noża, zagroził swym ustąpieniem. I na to otrzymał nieoczekiwaną odpowiedź: „O tym nie może być mowy. A wie pan dlaczego? Bo wyczuwam w panu jedynego naprawdę uczciwego człowieka w otaczającym mnie morzu kanalii”.

Malinowski uśmiechnął się, rozbawiła go to stwierdzenie. Balta był prostym, często rubasznym człowiekiem, ale posiadał dużo zdrowego rozsądku. W pronunciamencie był on niewątpliwie tylko narzędziem, główną rolę odgrywali najrozmaitsi przyjaciele i krewni. I to oni dzisiaj rządzą wszechwładnie. Mózgiem był oczywiście Pierola. Jednakże jego, jak się wydawało, Balta bardzo nie lubił...

Myśli urwały się, w otwartych bowiem drzwiach domu ukazał się don Isidorio.

- Pan Henryk Meiggs - oznajmił. - Otworzyć bramę, czy go odprawić?

Malinowski zsunął brwi. Że ten człowiek zjawi się u niego wcześniej czy później, wiedział od dawna, lecz dziś jeszcze nie spodziewał się jego wizyty. Toteż powiązał ją mimo woli z popołudniową rozmową z Baltą. To prawda: była ona dość niezwykła... I istotnie mogła się stać przysłowiową kroplą dla wypełnionej po brzegi czary.

- Wprowadź da saloniku - rzekł do don Isidoria.

Popatrzył jeszcze przez pewien czas na piękne różane klomby i wreszcie ruszył tam także. Meiggs stał obrócony plecami do drzwi, przyglądając się z wielką uwagą twarzy indiańskiego kapłana. Nie dosłyszał widocznie kroków, tłumiły je miękkie dywany. Dopiero gdy inżynier znalazł się obok, odwrócił się raptownie i w geście pełnym przyjaźni wyciągnął ku niemu rękę.

- Witam, witam serdecznie! - wykrzyknął. - I niech mi będzie wolno wyrazić słowa uznania człowiekowi, który postanowił przełamać Andom kręgosłup. Ba-rdzo duża a panu słyszałem...

Przemawiał z werwą, coraz zręczniejsze dobierał uprzejme słowa. Antonio miał rację: była to masywna postać, tryskająca życiem i żywiołową energią, postać zdobywcy podkreślającego każdym słowem i gestem, że nie ma dla niego niemożliwości. A mimo to nie była odpychająca. Twarz okraszał uśmiech: szeroki, bez troski, zaraźliwy, rozbrajający swoją szczerością. I to on właśnie budził ku niemu odruchową sympatię.

Malinowski uśmiechnął się również. Potoczyła się przyjemna rozmowa o pracach własnych i cudzych, a Peru, o stosunkach w Ameryce Łacińskiej. Meiggs był wspaniałym gawędziarzem, z

najbardziej przy tym poważnej sprawy potrafił wydobyć humor. Mówił dużo i dość swobodnie przeskakiwał z tematu na temat. Nieznacznie jednak zacieśniał go, coraz bardziej. Wspomniało Limie i Placu Broni, zatrzymał się dłużej na domu inżyniera i pięknej żelaznej kracie, która zdobiła bramę, i wreszcie zaczął wychwalać meble znajdujące się w saloniku.

- Co za prześliczna robota! - wzrok jego padł w końcu na czarę i zapłonął z zachwytu. - Gdy tu wszedłem, stanąłem przed nią jak wryty. I pomyśleć, że to wykonali jacyś tam barbarzyńcy, jak twierdzą uparcie Hiszpanie!... Wie pan co? - poprawił się z rozmachem w fotelu, a twarz mu znowu rozbłysła szerokim uśmiechem. - Ubijemy interes. Kładę za nią na stół dziesięć tysięcy dolarów!

Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął portfel i zaczął odliczać banknoty.

- Niech się pan nie fatyguje - Malinowski powstrzymał go chłodno. - Ta czara nie jest wystawiona na sprzedaż.

Po czole Meiggsa przemknęła chmura. Popatrzył przeciągle, jakby szacował siły tego człowieka, który nie chce przyjąć tej sumy, i wstał. Założywszy ręce do tyłu, zaczął się przechadzać po saloniku.

- Tak, dla pana to nie są pieniądze... - zaczął sam z sobą rozmawiać. - Za jakąś kamieniczkę w Limie czy willę w Chorillos też by pan dostał tyle, a może i więcej... Ha, nie będziemy się bawili w drobiazgi: sto tysięcy! To moje ostatnie słowa.

Malinowski podniósł się z miejsca.

- Czy to wszystko, co chciał pan ze mną omówić? - zapytał sucho. - Przykro mi, ale na takie rozmowy nie mam dziś czasu.

Meiggs spoglądał na niego, jakby nie wierzył uszom.

- Jak, to - mruknął - sto tysięcy za mało za ten kawałek gliny?... Nie, to nie wszystko - dodał z pośpiechem, zauważywszy na twarzy gospodarza odruch zniecierpliwienia. - Mam sprawę ważniejszą.

Potań ręką czoło i po chwili namysłu usiadł znowu w fotelu. - Okazuje się, że kupić pana nie można... - rzekł, sięgając po leżące na stoliku cygaro. - Teraz rozumiem, dlaczego Pierola pana tak nienawidzi. Taki człowiek musi dla niego być niebezpieczny... Uniósł powoli głowę.

- Niechże pan usiadzie, panie inżynierze - dodał. - Przrzekam, że odtąd będę mówił poważnie. Otóż przyszedłem do pana z prośbą: niech pan stwierdzi publicznie, że budowa linii orojskiej jest niemożliwa.

- Tego nie mogę uczynić. Tę kolej można i trzeba zbudować. Gęste brwi Meiggsa zsunęły się silniej.

- Trzeba!... -;powtórzył jak gdyby w złości. - Dawniej nikt mi tego nie mówił; dziś twierdzą tak wszyscy. Nawet Pierola... Ale to mrzonki, panie inżynierze! - wybuchnął nagle. - Czy pan sądzi, że ja nie chciałbym przy niej zarobić? I że nie wiem, ile mi ona może przynieść milionów? A jednak tej umowy nie chcę podpisać! Wysłałem w góry drugą komisję, złożoną z najwybitniejszych fachowców. Opinia jest jednomyślna: nie można wprowadzić pociągu na kordylierskie wyżyny przez dolinę Rimaku!

- Na taki spór szkoda naszego czasu. Odpowiadam za to, co mówię. I twierdzę: zadanie jest trudne, lecz wykonalne. Nie odwołam niczego.

Bardzo stanowczo rozbrzmiały te słowa. Meiggs milczał przez dłuższy czas i z wielką uwagą obserwował dogasające cygaro. Gdy je w końcu odłożył, oparł głowę na rękach. Wpatrzył się przenikliwie w obojętną teraz na pozór, zamkniętą w sobie twarz inżyniera.

- Ile ma pan lat? - zagadnął znienacka. - Pięćdziesiąt dziewięć.

- A ja pięćdziesiąt siedem. To prawda: w naszym wieku przykłada się do słów wielką wagę. Jeśli pan jest tak pewny swego, muszą być do tego podstawy. A ja wiem z doświadczenia, że trafiają się niekiedy ludzie genialni. Przyjmuję więc, że pan do nich należy. I teraz chcę zawrzeć przyzwoitą umowę: z mojego ramienia obejmie pan budowę tej linii. Zechce pan ją podpisać?

Zapadła głuche milczenie.

- Wiem, o czym pan myśli - słowa Meiggsa powiały ciepłem. - Od dziesięciu lat przedkłada pan projekt tej budowy kolejnym rządcom i albo pana nie rozumieją, albo w skarbie nie ma pieniędzy. Wiem też, że dąży pan do założenia przedsiębiorstwa państwowego, które by się tym wreszcie zajęło. Oczywiście Peru by na tym wygrało. Niech mi pan jednak wierzy: tą drogą niczego tutaj się nie uzyska. Jeszcze jedno pronunciamiento i diabli wezmą najlepszą robotę. A ja sobie dam radę!

Wysunął zuchwale głowę, palcami wybił na stole jakiś swawolny rytm.

- Więc jak? - dodał po chwili, wpadając w swój zwykły, nieco rubaszny ton. - Pozwoli pan Meiggsowi zarobić? Jeśli ten biedak nie schowa do kieszeni kilkudziesięciu peruwiańskich milionów i tak rozplyną się one jak woda. Wszystkie, ile ich będzie w skarbie. Zna pan przecież dobrze ten kraj. A ja

przynajmniej część z nich tutaj zostawię. W porządnej, solidnej budowie. Że ona taka będzie, nie można wątpić. Pan jej będzie pilnował!

Malinowski także zapalił cygaro,

- Zgoda - rzekł w zamyśleniu. - Mocne przytoczył pan argumenty... Chcę jednak postawić pewne warunki.

- Przyjmuję z góry! W sprawie wynagrodzenia nie będzie między nami żadnych nieporozumień.

- Nie to miałem na myśli. Pan, jako przedsiębiorca, będzie oczywiście dostarczał materiałów i ludzi. Natomiast w projektowaniu i wykonaniu pozostawi mi pan pełną swobodę.

- Choćby pan stawał wszystko do góry nogami, nie pisnę słowa!

Twarz Meiggsa rozbłysła w ujmującym uśmiechu. Jak na początku tej rozmowy, tryskał znowu energia, i wesołością.

- To nie wszystko - Malinowski uśmiechnął się także. - Robotnikami pan się zajmie. Natomiast techników i inżynierów dobieram ja.

- Hm... Mam kilkunastu doskonałych fachowców...

- Nie dla mnie. Jeśli ich zdaniem nie można zbudować tej linii, nie nadają się do roboty. Nam potrzeba młodych ludzi, o świeżym umyśle. Nie rutynistów.

Meiggs w nagłym przypięciu entuzjazmu chwycił go mocno za rękę.

- Rozumiem! - wykrzyknął. - Takich jak my: o wielkim polocie, nie uznających niemożliwości! Doskonale, i w tym ma pan pełną swobodę. A więc od jutra do dzieła!

- Jak to: od jutra?... Nie zawarł pan jeszcze umowy z rządem. I nie otrzymał pieniędzy,

- To je otrzymam. Skarb jest pełny, a ja umiem sobie z nim radzić. Jutro zaczynamy, A teraz wypijmy na przepięczętowanie umowy!

Malinowski poruszył się, jakby zamierzał wstać i zająć się poczęstunkiem, lecz naraz zamarł w bezruchu. Zdawało się, że nie chce uwierzyć oczom: oto Meiggs wyciągnął gdzieś spod marynarki butelkę rumu i triumfalnym ruchem ustawił na stole!

- Niech mnie pan nie bierze za gburę - rozbawił się niewyraźną miną Malinowskiego. - Gdy idę ubijać jakiś interes, jestem przygotowany na wszystko. Stare przyzwyczajenie z czasów, gdy w Kalifornii szukałem złota. A gdy tę butelkę wypróżnimy, na pana kolej!

Inżynier rozbawiony wstał, odbył krótką naradę z don Isidorem a gdy ten ustawił kieliszki i zakąskę, usiadł na dawnym miejscu. Meiggs pisał coś szybko na wyrwanej z notesu kartce ,papieru.

- A oto pełnomocnictwo do banku - rzekł. - Może pan podejmować z mojego konta, ile ,potrzeba na bieżące wydatki. Malinowski przeczytał uważnie i zaczął znów od początku.

- Jak to: bez ograniczenia?... - zdziwił się. - Niechże pan dopisze tu jakąś sumę!

- A po co? Do człowieka, który nie chciał przyjąć stu tysięcy za taki kawałek gliny - Meiggs wskazał lekceważąco na twarz indiańskiego kapłana - muszę mieć zaufanie. Zresztą płyniemy na jednej łodzi. Jeśli się ona rozleci, obaj pójdziemy na dno. Będzie więc pan brał tyle, ile potrzeba.

Kiedy wreszcie odchodził, był w znakomitym humorze. A i Malinowski wydawał się bardzo zadowolony z tej tak nieprzyjemnej zaczętej wizyty. Wrócił do saloniku, popatrzył przez chwilę w okno i zamierzał skierować się właśnie do swej pracowni, gdy niespodziewanie zjawił się przed nim Antonio. Zastanowiło go to nieco, zbyt mało czasu upłynęło od odejścia Jankesa. Ale że mógł to być tylko przypadek i że znajdował się w doskonałym nastroju, przestał tym sobie zaprzętać głowę.

- Szykuj się do podróży - powitał go wesoło. - Zaczynamy budować kolej oroską. A tam, na jej końcu, czeka na ciebie Mercedes!

Antonio poczerwieniał z nagłego wzruszenia.

- To pewne?... - wyjąkał. - Meiggs po to tu przyszedł?

- Widziałeś go?

- Widziałem...

Pogawędzili przez pewien czas o Rimaku, o Chauchie, o studiach i Malinowski odszedł do pracowni, miał bowiem rzeczywiście do wykończenia pilną robotę. Antonio wstąpił do Pabla, a wkrótce potem znalazł się na ulicy. Wydawał się zmęczony. Jakoś bardzo leniwie stawiał kroki, wbrew swym zwyczajom nie dostrzegał dziś nawet pięknych dziewczęcych oczu. Wydawało się, że błąka się w tych oświetlonych tylko księżycową poświatą limańskich uliczkach i właściwie nie wie, gdzie schronić głowę. Dotarł do Rimaku, posiedział chwilę na moście i zawrócił znowu do centrum. Przyśpieszył nieco kroku, a gdy w końcu znalazł się przed domem, w którym mieszkał Pierola, stał długo, zanim się

zdecydował uderzyć kołatką w bramę.

- Dlaczego tak późno? - powitał go gospodarz niechętnie.

- Nie mogłem wcześniej. Meiggs zasiedział się u inżyniera.

Pierola uderzył w dłonie w odruchu złości.

- A jednak tam poszedł! - wybuchnął. - No i co? - dopytywał się gorączkowo. - Wstąpiłeś do Malinowskiego? Wiesz, o czym mówili?

Antonio zwilżył językiem wargi, jakby nie był pewien, czy się one rozchylą.

- Tego, co się mówi u inżyniera, nie będę powtarzał - odezwał się cicho. - Oświadczyłem to dawno. I sądzę...

- Twoje zdanie mnie nic nie obchodzi! Pozwoliłem ci tam bywać, abys mnie informował o wszystkim. Więc mów!

Antonio wyprostował nieco pochyloną dotychczas postać, Widać było, że usiłuje nabrać mocy, wskrziesić zwykłą energię.

- Nie będę mówił! - odparł chrapliwie, lecz nadspodziewanie stanowczo. - Natomiast mogę powiedzieć, że Meiggs podpisze umowę z rządem na kolej orojską. A inżynier ją będzie budował.

Pierola zacisnął usta. Dotknął go niewątpliwie bunt, który wyczuł w tym młodym człowieku. Ale jeszcze mocniej dotknęła ta. nieoczekiwana widocznie przez niego wiadomość.

- Kto ci o tym powiedział? - zapytał po chwili. - Inżynier.

- Dam ja temu Jankesowi umowę! - Pierola przestał nagle panować nad swymi nerwami. - Postawiłem mu warunek: Malinowskiego dopuścić nie wolno!

- Widocznie nie ma innego wyjścia. Jego inżynierowie uznali tę pracę za niemożliwą.

Jakoś bardzo śmiało i rozważnie padły te słowa. Pierola popatrzył na niego bystro i zaczął się uspokajać,

- Hm, to prawda - przyznał. - A kolej, tak wszyscy twierdzą, trzeba zbudować... Zostawmy tę sprawę na :boku! - machnął ręką. - Pomówmy za to o tobie. U ojców nie możesz dłużej mieszkać. Skarżą się na ciebie, że nie wiadomo co robisz, że wałęsasz się całymi dniami po mieście. Zrozumiałe: jesteś dla nich za stary. Nam dziś, gdy rząd w naszych rękach, a Malinowski rozpoczyna budowę kolei, też właściwie nie jesteś potrzebny Oczywiście żyć z czegoś musisz; nie myśl, że o tym nie pamiętamy. Toteż damy ci jakąś posadę...

Antonio czujnie nadstawił ucha. Pierola przechylił się w fotelu i przez chwilę w wielkim skupieniu wpatrywał się w sufit.

- W ministerstwach taki tłok, że nawet nie ma gdzie wstawić nowego stołu... - zastanawiał się głośno. - Tam więc nie. Może by popróbować w zarządzie Limy?... Tak, chyba tam... Dostaniesz zaraz kartkę polecającą.

Napisał, włożył do koperty, zakleił i wręczył.

- Widzisz, nie zapomniamy a nikim - rzekł ciepło. - Oddaj ją jutro prezydentowi i coś otrzymasz na pewno, bo on bardzo się liczy z moim podpisem. Będziesz tam. urzędował czy nie - nieważne. Pensję zawsze otrzymasz w terminie. Wygodna posada. A w razie potrzeby będzie cię łatwiej odszukać. Bo za trzy lata nowe wybory. I wtedy znów pohulamy!

Uśmiechnął się przyjaźnie i wyciągnął rękę na pożegnanie. - No, dobranoc, młody urzędniku limański! - kończył wesoło. - Na pewno tam zrobisz karierę. Sprytu ci przecie: nie brak.

Znalazszy się na ulicy, Antonio przez długi czas wpatrywał się w upstrzone gwiazdami niebo. Oddychał głęboko, wydawało mu się bowiem, że jakiś ogromny żar rozpiera boleśnie płuca. Coś tam w końcu zelżało. Poruszył się, zaczął stawiać leniwie kroki. Przebiegł w myśli całą rozmowę. Przypomniał sobie list polecający wsunął więc rękę do kieszeni i dotknął go delikatnie palcami: szeleścił nieprzyjemnie. Wyciągnął go po chwili namysłu i znowu stanął. Spojrzał raz jeszcze na niebo: iskrzyło się pięknie, gwiazdy migały figlarnie jak w jakimś radosnym tańcu. Przeniósł oczy na trzymaną w ręku kopertę, obrócił ją kilkakrotnie i wreszcie bez pośpiechu, w wielkim skupieniu podarł na drobniutkie kawałki. Trzymał je jednak ciągle. Nad czymś jeszcze się zastanawiał, coś odgrzebywał w pamięci, lecz już zapadała decyzja. Bez gniewu, rozważnie uniósł dłoń do góry i dmuchnął. Zabieliło się dokoła migotliwymi strzępkami.

## II.

Upłynęło kilka miesięcy. Rok dobiegł końca, zaczął się nowy - 1869, a w kraju ciągle panował spokój. Balta nie rządził siłą, ale pieniędzmi. Na kraj spłynął potop złota, toteż komu potrzeba - łapówką albo ciepłą posadką umiejętnie zamykał usta. Nie przejmował się, że trzeba było robić to coraz częściej. Postępowanie bowiem Dreyfussa zaczynało już rzucać się w oczy. Do każdej tony zapłaconego towaru dorzucał sobie drugą i mnożył nadużycia w miliony. Bo on też umiał usypiać czujność zarządców i kontrolerów. Był zresztą spokojny. Tak się obwarował umowami, że gdyby nawet ktoś uczciwy doszedł do władzy, nie zdołałby go dzisiaj usunąć z Peru. On właściwie tu rządził. I on coraz bezczelniej stawiał warunki ludziom, którzy z nim zawierali umowę, a o prawie nie mieli żadnego pojęcia.

Któregoś marcowego poranka Antonio, siedząc na werandzie nie wykończonej jeszcze willi Malinowskiego w Chorillos, rozmyślał właśnie o tej potędze pisanego słowa, które użyte podstępnie może nawet kraje przemieniać w bezwolne narzędzia. Dziś miał już rok prawa za sobą, a w studiach wybiegł daleko naprzód. Zaczynał więc coraz lepiej rozumieć tę prawdę. Dawniej taka nieszczęsna umowa nie miałaby dla niego żadnego znaczenia, jak miliony Peruwiańczyków traktowały ją co najwyżej jak dopust boży. Dziś wpatrywał się w nią często, rozważał punkt za punktem, zdawał sobie sprawę z wagi umieszczonego nawet nieprawidłowo przecinka. I im więcej przybywało mu wiadomości, tym ze zdumienia coraz szerzej otwierał oczy.

Wiatr zaszeleścił w drzewach, znad oceanu dobiegi wyraźniej szum bijących o brzegi fal. Antonio spojrział w tamtym kierunku: wody przebłyskujące między pniami wyglądały tak samo pięknie jak wówczas, gdy siedział nad nimi z Petą. Tylko że wtedy niepokoił go ciągle horyzont. Dziś on był czysty, Hiszpanie przestali być groźni. I od tego czasu sytuacja zmieniła się znacznie: z wychowanka o nieznanym przyszłości przemienił się obecnie w studenta. Po rozmowie z Pierolą błąkał się przez pewien czas po poddaszach i suterrenach wśród ludzi obcych; teraz mieszkał w domu, w którym wprawdzie jeszcze nie wszędzie był dach, ale za to czuł się u siebie i wiedział, że go stąd nikt nie wypędzi. Przyjechał tutaj na własną prośbę, aby odsunąć od siebie jak najdalej wszelkie limańskie pokusy. Warunki do pracy rzeczywiście miał idealne. Studiował więc zapamiętane, przerabiał sumiennie księgę za księgą, recytując donośnie uczył się obcych języków. A do stolicy udawał się tylko na wykłady lub seminaria.

Po drugiej stronie budynku, od ulicy, trzasnęła furtka. Antonio odwrócił głowę i nasłuchiwał: istotnie ktoś wszedł. Zanim zdążył podnieść się z miejsca, wpadł na werandę zziębnięty Pablo, a po chwili ukazał się młody, nieznajomy mężczyzna.

- Śmigły jak sarna - śmiał się, wyciągając rękę na powitanie. - Chciałem go dogonić, ale to tyle, co chwycić wiatr. Jestem Miecznikowski - przedstawił się. - Zdaje mi się, że to pan ma mnie uczyć robienia pronunciamientów, Tak mi przynajmniej pisano w listach.

Po hiszpańsku wypowiadał się z pewną trudnością i to stanowiło niewątpliwą przeszkodę w płynnym wyrażaniu swych myśli. Antonio wiedząc, że przybywa z Paryża, przeszedł zaraz na język francuski. Znał go już nieźle, szkolne bowiem wiadomości uzupełniał od pół roku prywatnymi lekcjami, a że i na ulicach słyszał go często, gdyż w Limie mieszkało ponad trzydzieści tysięcy Francuzów, nie sprawiał mu on większych kłopotów. Miecznikowski bardzo się z tego ucieszył.

- Słusznie, tak będzie wygodniej - przemawiał teraz z temperamentem. - Coś nieco chyba pan o mnie słyszał, toteż oświadczyć krótko: przybyłem dziś z profesorem Habichem. A że zamiast inżyniera zastaliśmy w jego domu jedynie uprzejmy list, dałem się namówić Pablowi na tę wycieczkę. Sprytny chłopak. Widocznie miał w szkole klasówkę i dlatego tak mnie popędział.

Mrugnął wesoło na chłopca. Mały Indianin siedział w kącie i przyglądał mu się w wielkim napięciu. Teraz uśmiechnął się lekko.

- Niech ma święto - Antonio pobłażliwie poruszył ręką. - Przybycie takich gości, to nie lada zdarzenie. Profesor Habich jest również Polakiem?

Nie słyszał dotąd tego nazwiska. Dawniej Malinowski o nim nie wspominał, a ostatnio widywał się z nim rzadko, inżynier bowiem z grupą starannie dobranych przez siebie współpracowników piął się coraz wyżej doliną Rimaku, opracowując szczegółowe projekty.

- Powstaniec jak ja - rzekł Miecznikowski. - Tylko że on służył w piechocie, a ja w kawalerii. Starszy ode mnie wiekiem i rangą, kapitan. Chłop twardy jak stal. Warto go poznać. Wybierze się pan chyba z nami do Limy?... Szczerze mówiąc, nie bardzo umiemy się poruszać w tych nowych dla nas warunkach. Potrzebny jest nam przewodnik. Zwłaszcza taki, który ma mnie uczyć pro...

- To przecież pan ma mnie uczyć! - wtrącił żywo Antonio, nieco zdziwiony tym powtarzaniem już po raz drugi twierdzeniem. - Bo w szabli ze mnie patałach.



Miecznikowski parsknął śmiechem.

- Czuję, że inżynier wziął nas obu na kawał! - wykrzyknął. - Nie szkodzi, wobec tego będziemy uczyli się wzajemnie. Te wasze pronuncjamenta to bardzo interesująca zabawa. Więc jak: jedziemy?

Antonio wbił oczy w ziemię. Nie był pewien, jak postąpić w tej sytuacji. Do domu inżyniera zaglądał chętnie, interesował się Pabłem, żył za pan brat z don Isidorem. Kiedy jednak zjawił się tam ktoś obcy, zazwyczaj zaszywał się w kąt albo wychodził. Coś mu nakazywało usuwać się w takich przypadkach, bał się usłyszeć jakieś niebaczne słowo lub ściągnąć na siebie choćby cień nieufności. I teraz opadły go te same obawy. Że Miecznikowski tu przybył, rzeczywiście mógł to być pomysł chłopca. Ale że o nim, coś słyszał i raczej dobrego, też nie mogła być wątpliwości. Szczera to była twarz, nie potrafiła ukrywać sympatii. Z pewnością traktował go jak kogoś bliskiego, jak Pabła czy don Isidora. Listy musiały wprowadzić go w błąd. Czy więc należy zbliżyć się w takiej chwili?... I czy inżynier byłby zadowolony, że nastąpiło to w czasie jego nieobecności?...

- Więc jak: jedziemy? - przynaglił Miecznikowski, wyraźnie zaskoczony tym przydługim milczeniem.  
- A może pan nie ma czasu? - zastanowił się nagle. - Istotnie spadłem tu...

Antonio zdał sobie naraz sprawę, że pod nieobecność inżyniera ci ludzie, którzy po raz pierwszy znaleźli się na ziemi peruwiańskiej, rzeczywiście potrzebują jakiejś opieki. Przeszedł się wahać. W drodze jednak zachowywał się uprzejmie wprawdzie, lecz powściągliwie i starannie unikał niewygodnych tematów. A gdy ujrzał Habicha, jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Odpowiadał tylko na zadawane pytania.

- Student, nie dziw się - rzekł Miecznikowski po polsku. - Zgasiła go twoja profesorska powaga. Czuję jednak przez skórę - mruknął wesoło okiem - że za tą pozorną nieśmiałością kryje się nie lada gagatek. W pociągu obserwowałem go bardzo uważnie. Gdy się na chwilę zapomniał, opowiadając o jakiejś miejscowej ruchawce, aż łuna biła z całej postaci. Znam się na takich!

Antonio zapatrzył się w okno. Tych słów nie rozumiał, lecz zaniepokoił go ton: lekki, swobodny, dowcipny. Habich zresztą nie podtrzymał rozmowy i zaraz odezwał się po hiszpańsku. Zagadnął o Rimak, o Andy, o przypuszczalne miejsce pobytu Malinowskiego. Jak przedtem - starannie wyważał słowa, spojrzenie nic nie straciło na głębi. A mimo to zaszyły w nim wyczuwalne wyraźne zmiany. Stał się jakiś bliższy, cieplejszy, coraz częściej postugiwał się żartem.

Antonio ożywił się. Wyczuł, że za tym kryje się dużo dobrej woli i życzliwości. To go ujmowało, zanikały powoli skrupuły. A gdy zasiedli do obiadu, zachowywał się już tak beztrzesko, jak niegdyś przy Malinowskim na punie czy też w dolinie Chauchy.

- A co słyhać ze Szkołą Inżynierów? - zapytał Habich zniechęcony. - Zaczyna się o niej mówić?

- O Szkole Inżynierów?...

Antonio zacisnął usta. O takiej szkole nic dotąd nie słyszał. I zląkł się, że stało się właśnie najgorsze: dotknął jakiejś tajemnicy tego domu, o której przy nim nie wspomiano tu nigdy.

- Nic o niej nie wiem - dodał po chwili. - Jeśli kiedyś powstanie, na pewno nie przy tym rządzie. Dziś...

Spłoszył się znowu. „Nie przy tym rządzie”... - tym razem zakłopotaly go własne słowa. Zastanowił się głęboko nad nimi. Przecież Habich to dotychczas, jak opowiadał Miecznikowski, dyrektor Polskiej Szkoły Inżynierskiej w Paryżu. Ustąpił z tego stanowiska, ma tutaj pozostać na stałe. I wie, że ma tu powstać nowa, podobna do tamtej uczelnia...

Zląkł się naraz i własnych myśli. Za szybko one chwytały wnioski, na podstawie kilku przypadkowo usłyszanych słów zbyt energicznie usiłowały wybiegać w przyszłość. Habich, obserwujący go bardzo uważnie, natychmiast dostrzegł jego zmieszanie.

- Widocznie dotknąłem jakiejś drażliwej sprawy - rzekł dobrodusznie. - Musi pan wybaczyć cudzoziemcowi, który o tutejszych stosunkach ma niewielkie pojęcie. Więc inżynier wymierza... - zmienił temat. - Warto by do niego pojechać. Wprawdzie umowę z rządem peruwiańskim podpisałem jeszcze w Paryżu, lecz bez niego i tak nie rozpocznę przecież roboty.

- Don Ernesto nie zostawił panu jakichś wskazówek?

- Kazał rozgościć się w jego domu i czekać. Ale nie spodziewał się nas tak wcześnie, wsiedliśmy bowiem na szybszy parowiec. Z jego listu wynika, że będzie tu dopiero za dziesięć dni. A co robić w tym czasie?... Stał daleka do niego?

- Niedaleko. Może sto kilometrów, a może nawet i mniej. Tyle tylko, że droga trudna...

- Nie szkodzi. Przyzwyczajeni jesteśmy do siodła.

Habich zaczął wypytywać o szczegóły. Antonio odpowiadał sumiennie, znał przecież tę dolinę na

wskroś. Kiedy jednak uprzytomnił sobie, że to, co dla niego jest proste, im może sprawić wielkie kłopoty, ogarnął go nagły niepokój. Trafić, oczywiście trafią; droga jest tylko jedna. I z końmi dadzą sobie radę, obaj wojskowi. Ale co z noclegami, co z żywnością, co z przeprawą nad przepaściami, gdzie człowiek nie znający terenu w każdej chwili jest narażony na śmierć? Żadnej przecież mapy Rimaku dotąd nie było...

- Sami nie możecie tam jechać - rzekł bijąc się ciągle z jakimiś myślami. - Nie możecie! - powtórzył.  
- No cóż, pojedziemy więc razem...

Z trudem przyszła mu ta niespodziewana decyzja. Habich jakby się zdziwił. Za to Miecznikowski chwycił go radośnie w objęcia. - Toś mi brat! - wykrzyknął. - Nie śmieliśmy cię o to prosić. Skoro jednak sam się zdecydowałeś, dziękujemy serdecznie!

Antonio zajął się odtąd wszystkim i następnego dnia już byli daleko. Miecznikowski, widząc dokoła bogatą roślinność, pola trzciny cukrowej i łagodne wzgórze, zaczął żartować z wczorajszych obaw Antonia i jego ostrzeżeń. Śmiał się jeszcze dnia następnego, lecz po południu spoważniał, a nazajutrz, gdy wkroczyli w mgły, wichry, ulewy i skalne przepaści smętniał coraz bardziej i tylko wyjątkowo otwierał usta. Nie był góraliem, działało mu to wszystko na nerwy. Piął się jednak nieustępliwie za jadącym beztrąsko Antoniem.

- Przekłeta droga! - wybuchnął, gdy zatrzymali się w jakiejś kotlinie dla zaczerpnięcia oddechu. - I tędy inżynier chce poprowadzić kolej?

- Tędy. Innego przejścia tu nie ma.

- Nie ma? - Miecznikowski wpatrzył się w niego uważnie. - Wobec tego walimy naprzód! Jak trzeba, to trzeba!

- Właśnie! - ucieszył się Antonio. - Jak trzeba, to trzeba. Doskonała recepta.

Habich, obserwujący pobliskie, szczyty, pokiwał głową.

- Dziki to widok, lecz piękny - przemówił w zadumie. - A inżyniera na pewno nie wyminęliśmy po drodze?

- Wykluczone! Między Callao a Limą, gdzie obok starej ułoży się nową linię, teren jest prawie równy. Tam więc popędził szybko i dawno wyskoczył poza stolicę. Według moich obliczeń natrafimy na niego gdzieś tam wysoko...

- Ponad chmurami?

- Chyba ponad chmurami. Zresztą, kto wie?... - Antonio zastanowił się nad czymś. - Może już nawet nad Piekłem?...

### III.

Malinowski rzeczywiście posuwał się szybko. Tam w Limie był szanowanym powszechnie, ujmującym w objęciu człowiekiem; w tej dolinie wykazywał teraz, że nie brak mu żelaznej energii. Pracujący pod jego kierunkiem młodzi inżynierowie francuscy, angielscy i północno-amerykańscy - wpatrywali się w niego jak urzeczeni. Znał tu każdy zakątek, o każdym szczególe pomyślał wcześniej. Mimo swego wieku, był znacznie od nich ruchliwszy. I gdzie im zabrakło sił albo odwagi, on się wdzierał i osobiście robił pomiary.

Meiggs, który odwiedził kiedyś obóz z grupą swoich współpracowników, aż chwycił się za głowę na widok, drobnych ludzkich sylwetek, rozrzuconych dokoła po skałach i nad nim, i pod nim.

- Oszalał! - mruknął. - Nie dziwię się teraz, że to drogo kosztuje.

- Kosztuje - przyznał inżynier. - Każdy jednak tysiąc wydany nadwyżkowo na trasę, zaoszczędzi milion przy wykonaniu. Rozumie pan też chyba, dlaczego sam postanowiłem dobrać sobie współpracowników?

- Rozumiem...

Malinowski od tego-dnia przestał wysuwać się naprzód, wkrótce zaś wrócił do Limy i pozostał tam przez kilka tygodni. Ślęczał nad materiałem cyfrowym, przeglądał nieustannie dawne notatki. A gdy znowu wyruszył w drogę, tak się śpieszył, jakby odrabiał stracony czas. Uspokoił się dopiero w obozie. Nic się złego nie stało w czasie jego nieobecności, na stosunkowo łatwym odcinku jego współpracownicy nie mieli szczególnych trudności. Za to zaś w miesiąc później wpadł do jego namiotu jeden z inżynierów tak wzburzony, jakby się przytrafiło jakieś nieszczęście.

- Panie inżynierze - wykrzyknął - stanęliśmy przed zawrotną przepaścią! Nie wiemy, co dalej robić...

Malinowski odetchnął. Spodziewał się czegoś gorszego, ta zaś bezradność ludzi nie sprawiła na nim większego wrażenia. Niejednokrotnie natrafiano na sytuacje na pozór bez wyjścia. Dosiadł więc konia i udał się tam, gdzie utknęły pomiary. Miejsce była posępne. Wśród nagich, spadzistych iglic tonęła w mroku głęboka zapadłość, jak gdyby olbrzymia studnia wśród rozrzuconych beładnie głazów, z której dochodził jęklivy szum.

- Tak, to trudny odcinek - Malinowski dość obojętnie pokiwał głową. - Trochę z nim będzie kłopotu.

Owiązał się liną, padał ją do przytrzymania i wysunął się ponad krawędź przepaści. W pierwszej chwili wydało mu się, że jest ona bez dna. Mocniej wyteżył wzrok: w panujących w głębi ciemnościach ujrzał coś jaśniejszego. To Rimak, nie mogło być wątpliwości. Na pozór był spokojny i gładki jak jezioro w wygasłym kraterze. A jednak na pewno burzył się tam i wściekał, bijąc zaciekle w twarde ściany, wstrzymujące jego nurt. Tylko że tego nie można było dostrzec z tej wysokości...

Malinowski wycofał się ostrożnie.

- Trafiliście prawidłowo - rzekł. - Z jednego tunelu będziemy musieli tutaj przeskoczyć w drugi. Ponad rzeką. A że widoczność jest słaba, trzeba zejść niżej, aby rozejrzeć się z bliska. Przygotujcie liny i kosz.

Santillan, który w chwili, gdy zaczęto natrafiać na większe trudności, sprowadził z Oroi robotników indiańskich i odtąd nimi dowodził, zakrzętnął się żywo. Wiedział, o co chodzi, takie sytuacje zdarzały się nie po raz pierwszy. Rozdźwięczały się młoty, stalowe kołki ugrzęzły w skale. A wkrótce prowizoryczna winda pochyliła się nad brzegiem przepaści.

Dzień był mglisty, jak większość dni w tej okolicy, najdrobniejszy promień słońca nie potrafił się przedrzeć na ziemię przez gęstą, szarosiwą powłokę. Malinowski wydał ostatnie zlecenie technikom i inżynierom i spojrzął na niebo, jak gdyby próbował odgadnąć, jakie ono może sprawić mu niespodzianki.

- Czas na mnie - rzekł. - Wiatru chyba nie będzie... Sprawdzał kieszenie, zabrał narzędzia, a potem zsunął się do kosza, zwisającego już na krawędzi.

- Spuszczajcie - spojrzął na Santillana, który miał odtąd czuwać nad jego życiem i nad tym chybotliwym pojazdem. - Najpierw szybko, nie widzę przeszkód. Potem dam znak.

Kosz zapadł się, dało się słyszeć delikatne szuranie. Inżynierowie wymieniający cicho różne uwagi umilkli jak na komendę, Indianie stali się bardziej skupieni niż zwykle. Za to ich ręce pracowały coraz łagodniej, z jakąś niezwykłą sumiennością odmierzały odstęp. Zastępca Malinowskiego poruszał nieznacznie wargami, odliczając kolorowe supełki. Gdy doszedł do pięćdziesięciu, odetchnął głęboko, przy stu pochylił się, przy stu pięćdziesięciu nerwowo zadrgały mu szczęki. A oto dwieście! I jeszcze pięćdziesiąt metrów...

Linka sygnalizacyjna drgnęła. Santillan nieznacznie rozchylił usta.

- Wolniej - szepnął w języku keczua. Sygnał powtórzył się znowu.

- Jeszcze wolniej...

Kosz musiał o coś zaczepić i opadł nagle. Twarze Indian rozplómiły się z gwałtownego wysiłku, wyprężone ciała zaparły się mocno w ziemi. Zaraz jednak wróciło wszystko do zwykłego porządku. Kosz znowu spływał łagodnie. Santillan sprawdził drewniane rusztowanie, liny i kołki, z wielką uwagą popatrzył na ludzi. Po chwili namysłu położył się na ziemi i wytknął głowę poza krawędź przepaści.

- W porządku - odezwał się po hiszpańsku. - Don Ernesto zatrzymał się, wychodzi na skalną półkę... Ostukuje ściany... Umilkł, przez dłuższy czas panowało wokół głucho milczenie. Linka poruszyła się wreszcie. Tym razem drgnęła dwukrotnie. - Ciągnąć! Don Ernesto zakończył prace.

Nie była to ściśle. Znalazłszy się na górze, Malinowski kazał przesunąć dźwig o kilkadziesiąt metrów dalej i znów się opuścić. - Tak, to jest właściwe miejsce - oznajmił, gdy kosz wydobyło z powrotem. Pozostaje jeszcze zbadanie drugiego brzegu i wymierzenie odległości. Zrobimy to jutro.

Bardzo staranne i długie były przygotowania do tej jego nowej „podróży”. Gdy je zakończono, kosz raz jeszcze spłynął i zatrzymał się na tej samej wysokości, co dnia poprzedniego. Inżynier wysiadł, powtórnie obejrzał ścianę, a potem przeniósł wzrok na brzeg przeciwległy. Stało tam kilku Indian. Przytknął dłonie do ust, przekazując im jakiś rozkaz. Był to jednak daremny wysiłek. W tym miejscu, gdzie przebywał obecnie, „panował potworny huk. Rimak wył jak olbrzym ze średniowiecznej legendy, palony piekielnym ogniem. Malinowski patrzył przez chwilę na skaczące ku niemu bryzgi, a potem podniósł ku górze ręce. Ludzie naprzeciw zrozumieli i natychmiast skupili się bardziej.

Ściemniło się nagle, nad Rimakiem pogłębił się cień. Malinowski uniósł raptownie głowę, Tam wysoko nie było już właściwie widać nawet tego skrawka nieba, który przedtem rozjaśniał mroki; złał

się ze skałami w nieprzyjemną szarżynę. Popatrzył niepewnie na zamazujące się coraz bardziej sylwetki, jakoś bardzo leniwie pochylił się po chwili nad koszem. Wyciągnął gałkę ołowiu z przyczepionym do niej sznurkiem. Przez pewien czas ważył ją w ręku, jeszcze się ciągle namyślał. Aż niespodziewanie sprężył się energicznie i cisnął. Śmignęła łukiem, jak cienki warkocz ciągnęła za sobą rozwijający się ciągle sznur. Przeskoczyła na drugi brzeg. Jeden z Indian w jakimś szaleńczym skoku pochwycił ją w locie, wywrócił się, stoczył, ale nie puścił. I triumfalnym gestem podniósł do góry rękę...

Malinowski odetchnął z ulgą, Pierwsza część roboty została skończona. Pracował odtąd spokojnie. Tam już ściągano sznur, z kosza zaczęła się za nim wysuwać lina. A gdy jej koniec znalazł się na drugim brzegu, wypłynęła i druga.

Santillan, obserwujący to wszystko z góry, odwrócił głowę. - Uwaga! - rzeki do obsługi wyciągu. - Don Ernesto... Przeszkodził mu tętent koni. Zza załomu wyłonił się jeździec, a za nim drugi, i trzeci. Poznał wśród nich Antonia. - Cisza!... - syknął w jego kierunku.

Habich zsunął się z siodła i z pewnym zdziwieniem spojrzął na stojących w milczeniu ludzi.

- Co się tu...

I on nie dokończył. Jeden z inżynierów ostrzegawczym ruchem przyłożył palec do ust. Przybliżył się do niego Antonio.

- Gdzie don Ernesto? - zapytał szeptem.

Odpowiedziano mu gestem wskazującym w dół, ku przepaści. Zrozumiał. Podeszedł na palcach do Santillana i położył się obok, a po chwili zrobił to sama Habich. Ujrzeni w głębi maleńką sylwetkę. Wchodziła ona właśnie do kosza.

- Popuszczaj! - Indianin wydał rozkaz obsłudze.

Antonio coraz szerzej otwierał oczy, początkowo nie mógł niczego zrozumieć. Kosz widział, domyślał się też, że znajduje się w nim Malinowski. Ale oto już się poruszył, już się oderwał od skały, już zawisł w powietrzu. I płynie wolno wprawdzie, lecz nieustannie, wciąż naprzód ku tamtemu brzegowi, równo i majestatycznie jak kondor, który dostał się przypadkiem między skaliste zwały i teraz rozważnie rozkłada skrzydła...

Antonio przylgnął do ziemi. Coś się z nim działo. Z na pół otwartych ust wypływało coraz szybciej powietrze i z coraz większą siłą wydmuchiwało znajdujące się pod nim drabiny pyłu. Wpatrywał się w wielkim napięciu. Kosz dopłynął do drugiego brzegu, pochwyciły go ręce indiańskie; drobniejsza jeszcze niż na początku człowiecza postać wykonywała tam jakieś ruchy, rozbłyskiwały niekiedy lustra przyrządów. A potem tą, samą drogą wróciła na dawne miejsce...

Wyciągnięta przedtem daleko lina teraz oparła się o krawędź. Antonio odetchnął ciężko.

- Wyciągać! - usłyszał jak przez sen spokojny głos Santillana. - Don Ernesto ukończył prace.

Antonio wstał. Wkrótce ukazał się przed nim inżynier.

- I ty tu jesteś! - wykrzyknął zdziwiony. - Ale co się z tobą dzieje? - zaniepokoił się nagle. - Dlaczego jesteś tak błydy? Przytrzymał się dźwigu i stanął na twardej skale. Rzucił dokoła okiem. Dostrzegł Halbicha i Miecznikowskiego.

- Niespodzianka za niespodzianką! - poniosła go wielka radość. - Ja tu kształcę się na starość w cyrkowych sztukach i nawet mi na myśl nie przyjdzie, że obserwują mnie tacy widzowie. Witam serdecznie!

Padli sobie w objęcia. Antonio stanął z boku i patrzył w milczeniu. Że Malinowski był wzruszony do głębi, nie mogło być wątpliwości. Oczywiście rozmawiali po polsku, więc słów nie rozumiał, Ale nie trudno się była domyślić, że były to słowa, jakie trafiają się tylko wśród oddanych przyjaciół. Toteż trzymał się od nich z dala, nie chciał przeszkadzać. I nie ruszył się, gdy trzymając się za ręce ruszyli wreszcie w stronę namiotu.

Malinowski przystanął raptownie, jakby przypomniał sobie coś bardzo ważnego. Z pośpiechem odwrócił głowę.

- Antonio, a ty gdzie się podziewasz? - wykrzyknął. - Chodźże z nami! Niechże i ciebie uściskam. Że oni tu doszli, to przecież twoja wielka zasługa!

- Daliby sobie radę beze mnie - głos Antonia rozbrzmiał spodziewanie nieśmiało. - Zastanawiałem się nawet, czy się z nimi zabrać...

Malinowski objął go czujnym spojrzeniem. Dostrzegł w tych trochę przewlekłych zdaniach jakieś niedomówienie.

- A to dlaczego? - zapytał powoli. - Nie chciałeś zobaczyć, jak ja tutaj pracuję?

- Nie to... Nie byłem tylko pewien, czy mam prawo wchodzić w nieswoje sprawy. I czy pan będzie zadowolony z mojej wizyty...

Malinowski objął go ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Na przyszłość nie miej takich skrupułów - rzekł ciepło. - I rób, co uznasz za słuszne. Na pewno nie będę miał nigdy pretensji. Ty przecież też należysz do moich przyjaciół.

#### IV.

Miecznikowski już tutaj pozostał i następnego dnia zabrał się do roboty. Inżynier zorientowawszy się, jak łatwo potrafi on układać dobre stosunki z ludźmi i jak szybko przystosowuje się do nowych dla siebie warunków, oddał go pod opiekę swojemu zastępcy, a sam udał się do stolicy. Chciał osobiście przedstawić Habicha Balcie, ten bowiem człowiek był w innej sytuacji niż jego towarzysz: przyjeżdżał tu ze sławą wybitnego naukowca; rząd peruwiański zawarł z nim kontrakt z góry. Malinowski ściągając go tu i znając od dawna, miał co do niego własne projekty. Ciągłe jeszcze pełnił funkcje naczelnego inżyniera, prezydent bowiem nie chciał nawet słyszeć o jego ustąpieniu, twierdząc, że „bohater spod Callao ma prawo do pensji, nawet gdyby nie ruszył palcem”. Z konieczności należało więc pilnować i tej roboty, a to nie było łatwe, gdy w dolinie Rimaku pilne zadania trzymały go często jak na uwięzi. Teraz spodziewał się, że Habich wyręczy go w znacznym stopniu i że przynajmniej faktycznie będzie pełnił rolę jego zastępcy.

Omawiali po drodze te sprawy. Mówili między sobą przeważnie po polsku, Antonio więc niewiele z tego rozumiał, a zresztą trzymał się na ogół z daleka. Nie chciał im przeszkadzać. Nie zniknęły przy tym skrupuły, które zrodziły się w chwili poznania tych dwóch polskich przybyszów, a nawet pogłębiały się w miarę, jak się przybliżali do Limy. Czuł, że nie ma do tego powodów. Mimo to nie potrafił przełamać tej wewnętrznej sztywności i skoro tylko znaleźli się w mieszkaniu inżyniera, zaraz zaczął się żegnać.

- Dokąd ci się tak spieszy? - Malinowski powstrzymał go żartobliwie. - Do tej rudery w Chorillos? Zaniedbałem ją ostatnio - zakłopotał się nagle. - Całe szczęście, że tam nigdy nie pada deszcz, jednakże dach trzeba by wreszcie wykończyć. I pokoje jakoś urządzić. Ale jak to zrobić, gdy ciągle brakuje czasu?...

- Może ja w czymś pomogę? - wtrącił gorąco Antonio. - Przebywam tam przecież całymi dniami.

Wydawało się w pierwszej chwili, że inżynier przykłaśnie. Coś mu jednak przeszkodziło w tym wesołym odruchu.

- Nie, to nie dla ciebie robota - przemówił z namysłem. - Rozmawiałem z twoimi profesorami: zadziwiają ich pasją, z jaką się oddajesz nauce. To dobrze, nie należy jej niczym osłabiać. A zresztą - uśmiechnął się - za wcześniej, abym cię mógł powołać na swego sekretarza. Z Chorillos sam dam sobie radę.

- Rzeczywiście nie warto wykorzystać mojego czasu?...

- Nie warto. Jeśli masz go za wiele, zaproponuję ci co innego: temat do pracy dyplomowej. Można by już o niej pomyśleć... Czy nadal marzysz o zrobieniu pronunciamienta?

W na pół żartobliwym, a na pół poważnym tonie czuło się dużo ciepła i tej szczerej życzliwości, która tak bardzo ujmowała zawsze Antonia. Zresztą i to mocne słowo wywarło na nim niewątpliwe wrażenie. Odżył naraz, wyzbył się nieśmiałości. Wyrzwała z oczu dawna czupurność.

- Oczywiście! - potwierdził z werwą. - Chyba niezadługo się do niego zabiorę. Okazja jest wyjątkowa. Kto dziś tylko podniesie rękę na rząd, natychmiast sypią się na niego pieniądze, ordery i stanowiska. Jeden pułkownik wypada już na sześciu żołnierzy! Dlaczego więc i ja nie mam się o to pokusić?

- Aby ci w potyczce nie ścięli przypadkiem głowy. To prawda: Leonard nauczył cię sporo, lecz to, moim zdaniem, za mało jak na dowódcę. A Miecznikowski chwilowo w górach. Należałoby chyba trochę jeszcze poczekać. A tymczasem pomyśl o tej pracy. Może by taki temat: „Wpływ pronunciamienta na prawo”. Albo, krócej: „Pronunciamiento a prawo”. Człowiek, który dobrze się nad tym zastanowi, mógłby się stać wybitnym dowódcą.

Antonio zaczął się śmiać.

- Na pewno dużo w tym racji - przyznał. - Zamiast na pułkownika mógłbym od razu awansować na generała. Chociaż - zastanowił się. - „Wpływ pronunciamienta...” Kapitalne! - uniósł się nagle. - Nikt

nie pomyślał dotąd o takim temacie! „Pronunciamiento a prawo”... Jutro omówię go z profesorem!

- Niewątpliwie bardzo się z niego ucieszy.

Musiał tam spotkać się rzeczywiście z zachętą, od tego bowiem dnia każdą wolną chwilę spędzał w Bibliotece Narodowej nad starymi dokumentami i tak go pochłonięła ta praca, że zapomniał o całym świecie. Lima gwarzyła jak zawsze, odbywały się zebrania studenckie. Nic go to wszystko nie obchodziło. Dopiero gdy zgromadził stosy notatek i któregoś dnia popróbował wyciągnąć z nich wnioski, poczuł zmęczenie. Pospacerował nad morzem, wykąpał się, a pod wieczór udał się do stolicy. Zdziwił się, jakby ujrzał ją po raz pierwszy. Coś się w niej zmieniło, czuło się jakieś wzburzenie. Popatrzył badawczo na twarze, wzrok zaczął przyciągać rozklejane gęsto afisze. Aha, wybory!... Prawda, mówiono o tym od dawna: Lima ma otrzymać nowego prezydenta i nową radę. A to co?... Znowu wypłynął Pardo! I ma odwagę stanąć do walki z konserwatystami, chociaż przy nich jest władza i wojsko!...

Zastanowiło go to. Raz jeszcze przeczytał uważnie afisz, potem posłuchał, co mówi ulica i wraz z innymi skierował się na Plac Broni. Podniecał się szybko. Jak mocne wino działał na niego wir ludzki i ten, tak charakterystyczny dla Limy, roznamietniony gwar ścierających się nawzajem poglądów; coraz weselej spoglądał w płomienne oczy mijanych dziewcząt. A równocześnie dziwił się coraz bardziej. O rządzie mówiono sporo, padało niejedna słowo pochwały. Ale też słychać było głosy krytyczne: że przekupstwa, że nie ma porządku, że wszyscy kradną, że rząd dba jedynie o wypychanie złotem kieszeni własnych i swoich najbliższych...

Antonio uśmiechnął się radośnie do jakichś wpatrzonych w niego zalotnie oczu i przestał się tym wszystkim zajmować. Tak bywało zawsze przed wyborami, padały mniej więcej takie same zarzuty. A potem wygrywał ten, kto miał w ręku rewolwer i nie wahał się użyć go we właściwym momencie.

Przesunął się nieznacznie, urocze oczy przyciągały go do siebie jak magnes. Naraz zsunął niechętnie brwi: umknęły, gdzieś się zapadły w tłumie. Popatrzył niepewnie: coś tam przed nim zaczęło się dziać. Ludzie rozstępowali się z pośpiechem, ucichał gwar. I nagle rozbłysło wszystkimi barwami tęczy. Szedł jakiś wojskowy. Samotnie, beztrąsko, z hardo zadartą głową, w mundurze kapiącym od złota i srebra, tak błyszczący i pyszny, że aż raziała w tym bogactwie medali, ozdób i szamerunków wąsata twarz.

Antonio cofnął się szybko. Poznał Sylwestra Gutierrezza, obecnie ministra wojny. Kiedy indziej byłby chyba zadowolony z tego spotkania, może by nawet wybiegł naprzeciw. Dziś coś go odpychało od tej strojonej postaci. Najchętniej by uciekł, lecz tłum nie przepuszczał. Raz jeszcze zrobił beznadziejny wysiłek. Za późno. Tamten dostrzegł go także i za chwilę rubasznym ruchem położył rękę na jego ramieniu.

- Z nieba mi spadłeś, poruczniku! - dał się słyszeć w miarę wesoły i w miarę protekcyjny, przede wszystkim jednak nabrzmiały sztuczną powagą głos. - Chodź, przejdziemy się razem.

Wziął go pod ramię. Antonio, rad nierad, ruszył powoli naprzód. Szli jak w szpalerze; ludzie rozstępowali się coraz szerzej, biegły ku niemu zaciekawione spojrzenia. To mu się zaczynało podobać. Niekiedy rozlegały się oklaski, ktoś tam od czasu do czasu huknął na wiwat. Nie było to pewnie przeznaczone dla niego, lecz wydawała mu się, że i na niego coś spływa z tych pozłocistych szamerunków i przypadkowych owacji. Przecież minister wojny prowadził go przez ten tłum, naocznie okazywał mu swoje względy, wyróżniał. Toteż bezwiednie zaczął także podnosić głowę i czuł się coraz swobodniej, natarczywiej niż kiedykolwiek spoglądał na piękne twarzyczki. Gdy jednak wydostali się z tłoku, wracała powoli przytomność. Już dość ociężale dowlókł się do brzegów Rimaku. Gutierrez przybrał również bardziej naturalną postawę.

- Dotąd milczałem, bo było za dużo uszu - odezwał się wreszcie. - Teraz możemy pomówić spokojnie. Wybory za pasem, więc o tym. Nie będziemy wprawdzie wybierali prezydenta państwa ani Kongresu i właściwie można by na to machnąć ręką, lecz że Pardo wszedł w drogę...

Zatchnął się od przydługiego zdania i nagej wściekłości. Musiał nienawidzić tego nazwiska.

- Tak, ten łotr raz jeszcze chce zmierzyć z nami swe siły - dodał, gdy nieco ochłonął. - Czytałeś, co tam powypisywał w afiszach? Dałbym ja mu łupnia, gdyby nie powstrzymał mnie Balta! Plecie stary trzy po trzy: a to że tu Lima, a nie jakaś tam Chaucha czy Arekipa, a to że tu są przedstawicielstwa dyplomatyczne, a to że cały świat śledzi tu baczenie każdy nasz krok... Takie tam brednie. Ale że Balcie na tym zależy, nie robię szumu. Bądź co bądź, to przecież mój bliski krewny. Jednakże i te małe wybory musimy wygrać. Choćby dlatego, żeby Pardo nie zhardział?

Wpatrzył się uważnie w Antonia i niespodziewanie twarz mu rozbłysła w uśmiechu.

- Świetnie wyglądasz! - ucieszył się. - I jesteś bardzo przyzwoicie ubrany. Musi ci się doskonale powodzić?

- Ano, jakoś się żyje...

- Zawsze twierdziłem, że masz głowę nie od parady! Plunąłeś widocznie na tę nędzną posadkę, którą ci wskazał Pierola. I słusznie. Skląłem go wtedy od ostatnich. Jak to: wychowankowi kongregacji, porucznikowi pronunciamienta, naszemu tak zawsze oddanemu współpracownikowi taki ochłap? A on mi na to: że jesteś bardzo młody, że musisz się jeszcze poduczyć... Ech, ten Pierola! Zawsze filozof.

Gutierrez roześmiał się i z politowaniem pokiwał głową.

- Ale w gruncie chłop z niego niezły - dodał. - Zapomina tylko, że sam dopiero niedawno przekroczył trzydziestkę. Odtąd jednak ja cię biorę pod swą opiekę! - przybrał postawę pełną godności. - Idziemy razem i razem zniszczymy Pardę, A gdy prezydentura Limy dostanie się w nasze ręce, otrzymasz takie stanowisko, o jakim nawet nie marzysz. Co z tego, że jesteś młody i że umiesz niewiele? A inni umiejają?

Przez długi czas tak perorował i podsuwał coraz ładniejsze przynęty, Wreszcie przystąpił do spraw najważniejszych:

- Zgłosisz się na przedmieściu San Lazaro pod wskazanym adresem. Tam są ludzie, którzy wiedzą, co robić. Pójdiesz z nimi, będziesz podburzał tłum przeciw Pardzie, a w dniu wyborów otrzymasz dowództwo nad jedną z bojówek. Rozumiesz: delikatna robota... - ściszył głos. - Rewolwerów nam użyć nie wolno, bo tu dyplomaci i tak dalej... Co jednak wywojujesz pięścią, to twoje!

Roześmiał się hałaśliwie. Antonio jakoś niepewnie pokręcił głową.

- Do czego ja tam mogę się przydać?... - bąknął. - Na pewno macie lepszych ode mnie.

Gutierrez poklepał go po ramieniu.

- Nie wymiguj się! - rzekł raźnie, - Znam ja cię dobrze i wiem, co potrafisz. A niemało zarobisz. Zaraz po wyborach mianuje, cię rotmistrzem i otrzymasz dożywotnią pensję. Nie warto się o to pokusić? Zwłaszcza - głos nabrął nagle uroczystej powagi - że bijemy w największego wroga wiary i ładu, jaki zrodził się w Peru! Miałbyś śmiertelny grzech na sumieniu, gdybyś nie wziął udziału w takiej robocie!

Antonio opuścił głowę. Te argumenty i ten ton, tak dobrze mu znane od dziecka, niespodziewanie obezwładniły jego wole, odsunęły gdzieś daleko różne pytania i wątpliwości. Czuli się podle, najchętniej uciekliby z tego miejsca. A mimo to nie mógł się zdobyć w tej chwili na żaden wysiłek..

Gutierrez popatrzył na niego przeciągle.

- Ty, oczywiście, nas nie zawiedziesz - dodał. - Trochę o tobie zapomnieliśmy, to prawda. Nie dziw się jednak: gdy jest się ministrem, roboty zawsze po uszy. Zresztą dużo w tym twojej winy. Mogłeś przecież pozostać w wojsku i stukać do mnie jak inni. Ale teraz już ja będę o tobie pamiętał. Ech, Antonio - poniósł go nieoczekiwanie entuzjazm - czekają nas piękne czasy? Te limańskie wybory są dla ciebie jedynie zaprawą. Bo za dwa lata - wybory powszechne! Wtedy potańczymy, niejednokrotnie rozbłyśnie szabla i zahuczy rewolwer. Będziesz dowodził własnym oddziałem gdzieś pod Mollendo albo w dolinie Chauchy!

Twarz Antonia poczerwieniała z przejęcia, jak gdyby już owiał go pęd powietrza, rozbijanego piersią wierzchowca.

- Sądzi pan, że naprawdę będę wówczas potrzebny? - przemówił rwącym się głosem. - A nuż wszystko ułoży się gładko?...

- U -nas, w Peru? Wykluczone! Wybierzemy takiego prezydenta, jakiego jeszcze nie było, toteż i opory będą na pewno większe. Do takiej roboty trzeba dobrze się przygotować, Przejdź więc najpierw przez szkołę limańską. Ona jest może nawet trudniejsza: rewolweru ci użyć nie wolno. Tymczasem chyba powiedziałem wszystko... Do zobaczenia, rotmistrzu! I pamiętaj :nasze hasło: „Śmierć wrogom ładu i wiary!"

Gdy się pożegnali, Antonio udał się natychmiast pod wskazany mu adres na przedmieściu świętego Łazarza i tam zabawił do późnej nocy, ale gdy się znalazł w końcu w Chorillos, jeszcze zabrał się do pisania. Notował skrzętnie swe najświeższe wrażenia: „Sylwester twierdzi, że będzie to dla mnie doskonała zaprawa. Chyba ma rację. Człowiek się przy tym trochę odświeży i porobi znajomości, co także nie jest bez znaczenia. Zresztą Pardy rzeczywiście nie można dopuścić do rządów, nawet w stolicy. Że to wróg wiary, potwierdzają nawet robotnicy, z którymi rozmawiałem na przedmieściu świętego Łazarza. Wierzą w to szczerze. Szkoda, że inżynier darzy go nadal przyjaźnią"...

Gdy skończył, postawił datę, a potem raz jeszcze przeczytał wszystko. Po chwili namysłu wziął arkusz do ręki i włożył do solidnie wypchanej teki z ładnie wykaligrafowanym na wierzchu napisem: „Pronunciamiento a prawo".

## V.

Walka była zaciekle, jednakże w przeddzień wyborów liberałowie jakby się zapadli pod ziemię. Konserwatyści więc pewni, że udało się im zastraszyć przeciwnika wiecami i burzliwymi manifestacjami, jeszcze bardziej podnieśli głowy. Ale i następny dzień minął spokojnie. Wprawdzie nie brakowało szumu, tu i ówdzie doszło do bitki, bojówki Gutierrezza próbowały wystraszyć komisje obliczające głosy, lecz były to zjawiska normalne. Za to, gdy ogłoszono wyniki, Lima chyba po raz pierwszy przeżyła chwilę głębokiego zdumienia. Wbrew wszelkim zapowiedziom Pardo zwyciężył na całej linii!

Antonio nie mógł tego zrozumieć. Przecież widział na własne oczy druzgocącą przewagę partii rządzącej, doskonale się orientował w sile, której użyto, na placach i na ulicach bez przerwy rozbrzmiewały okrzyki przeciwko Pardzie, a mimo to do niego należało zwycięstwo!... Próbował zgłębić tę tajemnicę, lecz wkrótce przeskodziły mu egzaminy. Za to gdy się z nimi uporał i w początkach grudnia ruszył samotnie w górę Rimaku, zwała się ona na niego z podwójną siłą. Niewiele potrafił wymyślić. Markotniał więc i musiał się bardzo zmienić, kiedy go bowiem zobaczył Malinowski, natychmiast zwrócił na to uwagę.

- Coś cię gryzie - rzekł wpatrując się w niego bacznie. - Jakieś kłopoty?

- Nie. Nie potrafię tylko zrozumieć, dlaczego Pardo wygrał...

Antonio rozgadał się na ten temat. Rzecz dziwna: gdy byli we dwójkę, czuł się swobodnie i zwierzał się często nawet z takich myśli, których by nie ujawnił nikomu. Rozbrajał go szczery uśmiech i ta nuta głębokiej sympatii, którą wyczuwał w każdym słowie i geście.

- Rzeczywiście interesująca sprawa - przyznał inżynier wysłuchawszy cierpliwie do końca. Żebyś się dłużej nie męczył, zdradzę ci tajemnicę.

Antonio popatrzył na niego z niewiarą. Malinowski uśmiechnął się lekko.

- Zastanawiasz się pewnie, co może wiedzieć o wyborach taki starszy pan, spędzający większość czasu w andyjskich czeluściach - mówił dalej. - Otóż wie on czasem więcej niż inni... Zwycięstwo Pardy, to wynik doskonałej organizacji.

- Jak to: organizacji?... ich wiece były nieliczne, bojówek żadnych. Ani jednej manifestacji...

- Bo organizacja nie zawsze polega na krzyku. Możesz także przemawiać spokojnie do serc i ludzkich umysłów, i z milczenia wytworzyć siłę. Prawdę mówiąc, taka organizacja jest właśnie najlepsza. Przemyśl tę sprawę. A teraz powiedz mi coś o sobie. Egzaminy złożyłeś?

Gawędzili przez pewien czas na ten temat, a potem Antonio zaczął mówić o celu swojej podróży. Wakacje postanowił spędzić w dolinie Chauchy i właśnie dlatego tędy przejeżdżał.

- Stara miłość nie rdzewieje - zażartował inżynier. - Obyś tylko nie ugrzązł tym razem na zawsze. To powabna dolina.

Antonio przyjął te słowa nadspodziewanie poważnie.

- O tym nie może być mowy - rzekł. - Rozpocząłem studia, więc je ukończę. Zabił mi pan zresztą klina tą pracą o pronunciamientach. Co za zagadnienie! - poniosł go nagle entuzjazm. - Profesor chodzi koło mnie na palcach, ciągle podsuwa mi jakieś nowe książki i dokumenty. I wydaje mi się, że istotnie napiszę coś niezwykłego!

Zagadali się do późnej nocy, a nazajutrz pojechali razem. Inżynier zamierzał odwiedzić wysuniętą daleka ku wschodowi grupę roboczą, a że po drodze musieli się natknąć na Miecznikowskiego, który wytyczał jeden z przyszłych tuneli, więc i do niego wstąpili. Antonio przywitał się z nim serdecznie, a gdy się dowiedział, że przenosi się on wkrótce do Limy jako inżynier miejski, radość jego doszła do szczytu,

- Wyobrażam sobie, jak pan upiększy naszą stolicę! - wykrzyknął. - Wspaniałe jezdnie, chodniki, skwery, fontanny!...

- Oby tylko nie zabrakło pieniędzy - westchnął Miecznikowski. - Jak słyszałem, rząd nie będzie zbyt szczodry dla Pardy. Jeśli...

Przerwał mu tętent konia. Jak na te warunki, był on aż nazbyt szybki. Malinowski wpatrzył się czujnie: zza skalnego załomu wyłonił się właśnie kierownik tej grupy, do której podążał.

- Panie inżynierze - wołał z daleka - potrzebujemy pańskiej pomocy. Dotarliśmy do Piekła!

Antonio pobladł. Znał dobrze tę nazwę i przyzwyczał się do niej, a jednak w tej chwili sprawiła ona na nim wstrząsające wrażenie. Z wielką uwagą, jak gdyby w trwodze, wpatrzył się w zamyśloną twarz



inżyniera. Mimo że do tej doliny zaglądał rzadko, wiedział doskonale, co się w niej dzieje. Zdawał też sobie sprawę, że ta wyprawa w przepaść i przejazdka na linie, której był świadkiem, stanowiła zapowiedź prac jeszcze trudniejszych. Przecież wysokość rosła, rzędło powietrze, zaczęło się dawać wkrótce we znaki soroczce. I Malinowski rzeczywiście musiał się coraz częściej wysuwać na front; stało się już normalnym zjawiskiem, że to on zwiślał nad przepaściami i mierzył tam, gdzie inni dostawali zawrotów głowy. Nie miał o to do nikogo pretensji; dzieło, którego się podjął, przekraczało siły zwykłego człowieka. Niejednej zresztą pracy nie mógł nikomu zlecić. Zdarzały się bowiem sytuacje przedziwne, gdy decydującą rolę grało przeczucie, a zdrowy rozsądek kłócił się nieraz z natchnieniem. On wiedział, co wybrać. I gdy potem przemieniał ten wybór na ścisły rachunek, okazywało się zawsze, że spośród mnóstwa niemożliwości wyłuskał tę jedyną, niewidoczną zupełnie drogę, która jednak nieomylnie prowadziła do celu.

Antonio słyszał o tym niejedno, zwłaszcza wśród studentów było głośno o tym inżynierze-artyste, którego polot zaczynał wchodzić w przysłowie. A gdy w godzinę później znaleźli się w miejscu, w którym utknęły pomiary, odgadł od razu, że będzie znów świadkiem czynu, o którym kiedyś będą krążyły legendy. Patrzał w głąb w jakimś niesamowitym napięciu. Wiedział, że gdzieś tam w dole Rimak skacze z furią po skalnych progach, rwie zawzięcie brzegi, ciska głazami, zanoszi wyciem i świstem. Znał to dobrze, niegdyś oglądał z bliska. Teraz jednak nad wodami zalegał wieczysty cień. Wyniosłe ściany ciasno otaczały ten posępny kanion i nie dopuszczały tam nigdy światła...

I właśnie w tym ponurym ustroniu Malinowski zawisł znowu w powietrzu. Trzykrotnie przerzucał sznur, lecz za każdym razem na próżno. Za stromo tam było na przeciwnym brzegu, gałka jak żywa odskakiwała od skał. Kosz kołysał się niebezpiecznie, jak gdyby w śmiertelnym przerażeniu jęczała napięta lina, coraz lękliej biły serca ludzi obserwujących z góry tę walkę. Inżynier raz jeszcze wyrzucił. Skoczył jakiś Indianin, nadepnął, lecz naraz razem ze sznurem poleciał w dół. Zatrzymał się na szczęście na jakimś występie i znieruchomiał. Uratował życie; nieszczęsna jednak kula znowu zniknęła w wodzie.

Przez dłuższy czas panowała dokoła zupełna cisza. Już się wydawało, że wszystko przepadło, że w tych warunkach nie może być mowy o dokonaniu tego karkołomnego wyczynu, że Malinowski zrezygnował z beznadziejnych wysiłków, gdy naraz zaczął zmieniać się obraz: indiańskie sylwetki utworzyły ciaśniejszy krąg. I niespodziewanie coś śmignęło w powietrzu, ze wszystkich stron rozległ się okrzyk triumfu. Kula spadła w sam środek ludzkiego koliska i już nie zdołała się wymknąć...

Gdy inżynier zakończył pomiary i ukazał się znów nad brzegiem przepaści, długo nie wypuszczał ręki Santillana, która pomogła mu wysiąść z kosza.

- Gdybym nie wiedział, że ty czuwasz nade mną - mówił cicho w języku keczua - pewnie bym dzisiaj nie wytrwał... Trudno rzucać z kosza, gdy poza liną nie ma on żadnego oparcia... Gdy tę linię wybudujemy, będzie to także twoja wielka zasługa.

Indianin milczał. Surowa zazwyczaj twarz nabrała jeszcze większej ostrości, za to w oczach pojawiło się dużo ciepła. Inżynier spoglądał w nie przez chwilę i wreszcie powoli odwrócił głowę: Antonio stał w pobliżu i milczał jak ten Indianin. Natomiast nieco dalej inżynierowie i technicy wiwatowali donośnie. I właśnie z tej grupy wyłoniła się zaraz masywna postać Meiggsa.

- Widziałem wszystko - Janke objął Malinowskiego. - Brr, nie chciałbym być w pańskiej skórce!... Stwierdzam uczciwie: ryzykant z pana większy ode mnie. Trochę jednak zaczynam się lękać, patrząc na te przepaście. Ze sznurem się udało. Ale co będzie z pociągiem? Jak pan go tutaj przetrzeć?...

Rozejrzał się płochliwie po okolicy.

- Pańska sprawa, nie moja! - dodał szybko, jakby chciał odegnać od siebie złe myśli. - Powiedział pan, że się wędzemy na Szczyt, więc musimy się wdrzeć! A jeśli nie... W takim razie zginiemy obaj w tym Piekło!

Machnął beztrąsko ręką i roześmiał się, zawtórowali mu inni.

Wziął Malinowskiego pod ramię.

- Trzeba dzisiaj odpocząć - dodał mrugając do niego wesoło okiem. - Chodźmy do baraku. Mam bardzo poważną sprawę!

Podszedł do nich Antonio i zaczął się żegnać. Chciał dziś jeszcze wznieść się o kilkaset metrów w górę, aby tam przyzwyczaić płuca do rozrzedzonego powietrza.

- Ano jedź! - rzekł Malinowski. - Przy okazji pozdrów ode mnie swoją Mercedes. A gdy będziesz wracał, pojedziemy razem do Limy. Pomyśl po drodze o tej potędze milczenia...

Obserwował go, dopóki nie zniknął mu z oczu i wreszcie wszedł do baraku. Meiggs był już w środku i właśnie rozglądał się badawczo po wnętrzu. Dostrzegłszy szafkę, w której przechowywano kuchenne

naczynia, wyjął z niej dwa blaszane garnuszki, ustawił na stole i wyciągnął z kieszeni butelkę.

- Potwierdzimy naszą umowę - oświadczył raźnie. - Piję obecnie bardzo mało, lecz gdy poczuję świeże drewno baraku, nie mogę się od tego powstrzymać. A zatem za naszą przyjaźń!

Nalał, wychylił duszkiem. Twarz mu rozbłysła.

- Najwyższy czas, abyśmy zaczęli nazywać się po imieniu! - przemówił z werwą. - Właściwie pan to powinien zaproponować, ale że różnica wieku jest niewielka, a siwych włosów żadnemu z nas nie brakuje, mogę to zrobić i ja. A więc za twoje zdrowie, Erneście!

Przepili do siebie i uścisnęli się po bratersku. Meiggs się rozpromienił.

- A wiesz, dlaczego mi na tym zależy? - zapytał. - Bo słyszę coraz więcej głosów, że ta kolej jest istnym szaleństwem. Piszą do mnie wybitni fachowcy z całego świata, ostrzegają mnie przed tobą, w Europie wre na ten temat zacięta dyskusja. A ostatnio otrzymałem znów taki list. Od jednego z profesorów o sławnym nazwisku, który wykazuje czarno na białym, że jesteś szarlatanem wykorzystującym mą łatwo wierność!

Malinowski uśmiechnął się tylko. Meiggs obrzucił go nieco zakłopotanym spojrzeniem.

- Hm, dla ciebie taka pisanina stanowi tylko wesołą rozrywkę... - bąknął. - Oczywiście ty wiesz więcej niż oni. A po tym, co dziś widziałem, i ja nie mam już wątpliwości. Przyznam ci się jednak szczerze, że gdy otrzymałem ten list, ogarnął mnie strach. Gotów byłem odwołać wszystko, pozrywać umowy, zamknąć tę sprawę, zanim nie będzie za późno. I dlatego natychmiast dosiadłem konia.

- Niepotrzebnie uległeś panice. Co się znalazło na ,planach, tego nikt nie podważy. A z nimi dotarliśmy do Piekła. Stąd da czyścić w Oroi będzie o wiele łatwiej.

Meiggs parsknął śmiechem; bardzo mu się spodobało to powiedzenie. Przez pewien czas wybijał na stale jakiś swawolny rytm. - Przypomniało mi to inną sprawę - rzekł. - Dopytywał się o ciebie Pierola.

- Pierola?... O mnie?

- Właśnie o ciebie. Krótko mówiąc, zaproponował, abym cię szybko wyrzucił. I od tego uzależniał nowe umowy.

- Aha!... Stary kawał. I co z tego wynikło?

- Zamknąłem mu gębę. A kiedy zaczął się rzucać, zagroziłem, że zmniejszę swoje wydatki na propagandę.

- Na co?...

- Na propagandę - Meiggs roześmiał się od ucha do ucha. - To takie piękne słowo, którym określam łapówki. - Od razu pomogło

- A nie próbował mnie utracić na stanowisku głównego inżyniera? Słyszałeś może coś o tym?

- Ja wszystko słyszę. Próbował. Balta splawił go nieco ostrzej niż ja. Porządne z niego chłopisko. A do ciebie ma jakąś słabość... Gawędzili o tym przez pewien czas, potem przeszli na sprawy limańskie i wrócili znów do kolei.

- W przyszłym roku ukończę linie z Mollendo do Puno - zwierzył się Meiggs. - Urządzą wtedy taka uroczystość, jakiej w Peru nie oglądali nawet wicekrólowie!

- Z funduszków propagandowych?

- Oczywiście. Peru zapłaci przecież za wszystko. Wydam sto tysięcy, dostanę milion. Już mi przygotowują nowe umowy!

Inżynier oparł głowę na rękach i wpatrzył się w niego z nagłym zainteresowaniem.

- A może by coś uszczknąć z tych funduszków dla Limy? - rzekł miękko. - Pobudować na przykład skwery, fontanny, pomniki...

Meiggs wywinął wargi lekceważąco.

- Nie warto! - przerwał. - Jeśli urządzę przyjęcie da tysiąca ludzi i upiję ich do nieprzytomności., będą chwalili mnie wszyscy, a potem znajdę wszędzie przyjaciół. A jeśli dam Limie pieniądze, rozpląną się po drodze i pewnie wcale nie będzie skwerów. To zła propaganda.

- Nie bierzesz pod uwagę, że Limą rządzi obecnie Pardo. Dobry gospodarz. Przy nim pieniądz się nie rozleci.

Meiggs nastroszył brwi i niespodziewanie zaniósł się śmiechem. - Pardo! - wykrzyknął. - Ha, ha, ha!... Tylko mi jego jeszcze potrzeba do tego peruwiańskiego tańca...

Z nadmiernej uciechy zaczęły mu spływać łzy. Malinowski objął go zdziwionym spojrzeniem.

- Skąd ta wesołość? - zapytał niechętnie. - Pardo jest rzeczywiście uczciwym człowiekiem.

- Właśnie dlatego się śmieję - Meiggs przecierał przez chwilę chusteczką oczy. - Chociaż nie.. - zastanowił się. - Śmieję się właściwie z Pieroli. Trzeba go było widzieć po wyborach! Przy lada okazji pienieł się, jakby ogarnął go szał. Czego on wtedy nie wygadywał!... Czy ten Pardo jest naprawdę porządnym człowiekiem?

Inżynier przyświadczył. Jankes jakoś niejasno pokręcił głową.

- Dobrze to i niedobrze - zafrasował - się nagle. - Z uczciwym człowiekiem niewiele można zrobić, gdyż nie przyjmie łapówki. Z drugiej jednak strony nie wolno się od takiego odsuwać, bo wart na pewno szacunku. A że w tym kraju jest wszystko możliwe, więc jutro może stanąć na czele rządu. Podobno jest bardzo zdolny... Jesteś pewien - ożywił się - że on nie roztrwoni pieniędzy?

- Wykluczone! Śmiało możesz mu dać kilkadziesiąt tysięcy. Lima zyska, a Meiggs także. Będą parki Meiggsa, ulice Meiggsa, bulwary Meiggsa. A to chyba już propaganda?

Jankes rubasznym ruchem chwycił go za ramiona.

- Nareszcie mówisz jak człowiek rozumiejący interes! - wykrzyknął. - Jeśli dam, Pierola znowu się wścieknie. Nie szkodzi, ja na tym wygram. Im więcej krzyku, tym Meiggs ważniejszy. Rzeczywiście propaganda niezwykła!

- A widzisz. Chociaż i pożytek niemały. Na przyjęciu ludzie napiją się, najedzą, wygłoszą mowy pochwalne i pójdą do domu. A tu i za :sto lat będą wspominali człowieka, który upiększył miasto.

Meiggs popadł niespodziewanie w zadumę.

- Za sto lat... - zastanowił się. - Prawda: trzeba już i o tym pomyśleć. Sześćdziesiątka przecież wchodzi człowiekowi na kark... Zaczynam być ci wdzięczny, że mi podsunąłeś tę myśl. Kombinatorów mam w garści, każdy gra ślicznie na moją nutę. Warto więc zyskiwać sobie teraz uczciwych. A twój sposób jest doskonały...

Milczał przez dłuższy czas.

- Pierola i Pardo, dwaj śmiertelni wrogowie... - zaczął naraz mówić cicho, jakby do siebie. - Malinowski i Meiggs, dwaj przyjaciele... Malinowski i Pierola... Hm - spojrzał bystro na inżyniera - dlaczego on tak ciebie nie lubi?

Malinowski spoglądał obojętnie w okno, jakby nie usłyszał pytania. Jankes obserwował go z coraz większą uwagą.

- Już wiem! - klasnął naraz w ręce z uciechy. - Pierola nie może kochać człowieka, który za kawałek gliny nie chce przyjąć stu tysięcy dolarów. Stoicie na przeciwległych biegunach!

Coś go widocznie zaskoczyło w tych słowach, bo zmarszczył brwi.

- Na przeciwległych biegunach... - powtórzył powoli. - A z Pardą i Pierolą jest przecież to samo. Czyżbyś ty trzymał z Pardą?...

W oczach rozbłysła nagle nieufność. Malinowski podsunął mu kubek.

- Nie piję więcej! - przeciwstawił się ostrą. - Wiele rzeczy zrozumiałem w tej chwili... - Właściwie - rozjaśnił twarz - co mnie to wszystko obchodzi? Niech się tu pali i wali, abym ja miał umowy! Chociaż trochę dziwię się tobie... Po co się wtrącasz do tych peruwiańskich rozgrywek? Niech się rzną bez nas. Im większy bałagan w tym kraju, tym więcej będzie można zarobić.

Widząc zaś, że inżynier milczy, dodał z pośpiechem:

- No tak, ty siedzisz tu od dawna i patrzysz nieco inaczej niż ja. Wolno ci, mnie to nie przeszkadza. Wiadomo: jeśli ja upadnę, zginie kolej orojska. A do tego nie możesz dopuścić. I nawet dobrze, że jesteś przyjacielem Pardy; wiem, że i jemu ta droga leży na sercu. A więc za naszą dalszą współpracę!

Roześmiał się pogodnie, wziął kubek do ręki i wypił. Stał się znowu taki beztroski i miły, jak na początku rozmowy.

## VI.

Minął rak. Meiggs ukończył linię z Mollendo do Puno i rzeczywiście wydał przyjęcie, jakiego jeszcze nie było w Peru. Brał w nim udział prezydent, ministrowie i dwa tysiące gości. Bawiono się przez dwa tygodnie, wydatki wyniosły ponad dwieście tysięcy dolarów. I naprawdę musiała to być wspaniała reklama, kiedy bowiem w kilka dni po tej uroczystości Jankes spotkał się z Malinowskim w jego mieszkaniu w Limie, tak promieniał, jak gdyby to bogate peruwiańskie słońce zamknął całkowicie w

swym sercu i ośniewał teraz otoczenie jego blaskami.

- Dziś nie przyniosłem butelki! - wykrzyknął biorąc inżyniera w objęcia. - Na ciebie kolej. Stawiaj, co masz najlepszego, bo stąd nie wyjdę przed świtem!

Rozparł się wygodnie w fotelu. Monsieur François, niedawno przyjęty przez Malinowskiego francuski kucharz, który już widział go kilkakrotnie, ustawił na stole jego ulubione przysmaki, lecz nie otworzył butelki. W tym przypadku to nie należało do niego. Jankes pochwalił go pełnym uznania mrugnięciem, a gdy tylko wyszedł, sam nalał w kielichy.

- Zdrowie Meiggsa! - przemówił z poprzednią werwą. - Za zdrowie człowieka - coraz uroczyściej podkreślał słowa - którego przyszłe pokolenia Peruwiańczyków będą czcili jako cywilizatora i dobroczyńcę!

- Za zdrowie Meiggsa - potwierdził inżynier zgodnie.

Jankes przytknął kielich do ust, lecz go zaraz odsunął.

- Jak to: podtrzymujesz tylko połowę toastu? - zastanowił się przybierając marsową minę. - Przecież w ten sposób wyraził się sam prezydent Balta!

- Jemu wolno. Ale mnie nie wypada. Mam przecież trzeźwiejszą głowę.

Meiggs wyprostował się sztywno. Niedługo jednak wytrzymał w tej pozycji pełnej obrażonej świętości i parsknął śmiechem.

- Prawda, na trzeźwości tam zbywało - przyznał sącząc powoli trunk. - Za to co za reklama!... Zgadnij, na ile zawarłem dzisiaj kontraktów!

- Co najmniej na dziesięć milionów.

- Nie bawiłbym się w takie drobiazgi - Meiggs machnął niedbale ręką. - Na czterdzieści milionów, bracie! Pierola zaciąga nowe pożyczki, Dreyfuss je spłaci. Przedłużamy linię z Puno do Cuzco, na północy budujemy do Maranionu. A mniejszych nawet nie liczę. Każdy plantator domaga się teraz kolei do własnego mieszkania. I słusznie. Meiggs wykona wszystko!

Umilkł i uśmiechnął się do swych myśli.

- Szkoda, że tam nie byłeś - dodał po chwili. - Warto było popatrzeć na tych plantatorów, gdy szukali u mnie protekcji. Przytakiwałem każdemu, a nawet oburzałem się, że dotąd nie doprowadzono do niego linii kolejowej i odsyłałem ze skargą do Pieroli albo do Balty. Załatwiali sprawy od ręki. Ale cóż - kończył smętnie - ty nie chciałeś brać udziału w moim triumfie...

Inżynier istotnie nie skorzystał z zaproszenia. Wytłumaczył się nawalaniem prac, a ponieważ trasowanie miał już prawie całkowicie za sobą i przystępował obecnie do budowy, nikt nie wziął mu tego za złe. Toteż i tej wymówki nie potraktował poważnie.

- Całe szczęście - odezwał się żartobliwie. - Mógłbym zepsuć ci humor swoją trzeźwością. A tak bawiłeś się setnie.

- Też prawda. Przemili są ci Peruwiańczycy, codziennie mnie nasili na rękach!... Ale rzeczywiście szkoda była na to twojego czasu - i on nagle spowaźniał. - Budulec płynie, robotnicy także. W pierwszym rzucie daję ci pięć tysięcy ludzi. Przybędą za tydzień.

Nalał ponownie w kielichy.

- To nie wszystko, co ci chciałem powiedzieć - uśmiechnął się ujmująco. - Gdy tu roboty puścisz w ruch, zaraz powierzę ci inne. Z Puno do Cuzco!

- Ta linia mnie nie interesuje.

- Nie interesuje cię?... Człowieku, przecież to wspaniały zarobek! Jeśli jednak tej nie chcesz, dam inną. Może północną?

- Do Maranionu?

- W tamtym kierunku, lecz tymczasem nie tak daleko. Zaczniemy, a później będziemy rozszerzali umowy. Zgadasz się?

Inżynier przytaknął. Meiggs zatarł ręce z jakiejś wewnętrznej uciechy.

- Tam też będziesz miał trochę kłopotów... - popatrzył na niego spod oka. - Oczywiście ty sobie poradzisz. Ta więc linia dla ciebie. A że w pobliżu jest kilka krótkich, mających obsłużyć nadmorskie plantacje,...

- Te mnie wcale nie interesują.

Jankes zerwał się z miejsca i chwycił go za ramiona.

- Nie, mój drogi, od tego się nie wykręcisz! - wykrzyknął jowialnie. - Jeśli północ oddaję ci w pacht i

znów się narażam Pieroli, musisz tym biednym hacjenderom choć trochę ułatwić życie. Gdyby nie oni, nie byłoby tych wielkich kontraktów!

W oczach Malinowskiego rozfiglowały się niespodziewanie wesołe iskiarki.

- Ha, zgoda - westchnął. - Dwadzieścia tysięcy! Wymownym gestem wyciągnął przed siebie rękę. Meiggs patrzył na niego w zdumieniu.

- Co to, łapówka?... - mruknął.

- Łapówka. Człowiek zdolny i chętny, więc czegoś się przy tobie nauczył. Więc jak? Dajesz Limie dwadzieścia tysięcy, robisz te trudne projekty. Nie dasz, szukaj kogo innego.

Meiggs załamał ręce w geście pełnym rozpaczy.

- Człowieku, zwróć swoje zdolności w innym kierunku! - przemówił błagalnie. - Wkrótce będziesz mnie więcej kosztował aniżeli Pierola. Gdzie ruszę palcem, zaraz wyciągasz rękę: na Limę dziesięć tysięcy, na Limę dwadzieścia... Cóż to, twoja kochanka?

- A żebyś wiedział! Śliczna z natury, tylko że teraz dojrzewa i potrzebuje więcej na stroje. Wierz mi: nie szkoda na nią pieniędzy.

Malinowski zapatrzył się na stoki Andów, przysłonięte w tej chwili chmurami. Na ustach błąkał się pełen zamyślenia uśmiešek. - Wszystko dla reklamy - dodał z humorem, odwracając powoli głowę. - Business is business<sup>2</sup>. On najważniejszy.

Jankes pogroził mu palcem.

- Już ja cię przejrzałem na wskroś! - burknął niby to w złości. - Żal ci każdego dolara, który wydobywam ze skarbu.. Ale business is business, też racja. Pardo wylicza się publicznie i robi mi w ten sposób doskonałą reklamę. Sknerą zresztą nie jestem, niech wiedzą wszyscy! A więc zgoda: dwadzieścia tysięcy dla Limy.

Skończyli rozmowę dopiero nad ranem, lecz o dziewiątej już byli obaj w Callao. Rozładowywano tam pierwsze transporty. W tydzień zaś później przybyły wielkie partie robotników, praca nabrała rozmachu. W pokrytą starożytnymi cmentarzami, spaloną słońcem, jałową równinę między morzem a Limą uderzyły twardo łopaty, jak wąż olbrzymi pochyliły się ludzkie postacie, kopiąc ziemię pod torowiska.

Malinowski jakby odmłodził. Tam w górach, w czasie pomiarów, zadziwiał hartem, żelaznym zdrowiem i śmiałością poczynań. Tutaj za to poruszał się szybciej, twarz rozbłyskiwała iście młodzieńczą fantazją. Roboty posuwały się błyskawicznie. Meiggs bowiem działał też z niezwykłą energią. Po miesiącu dostał nawą partię robotników, materiały zaczęto przetrzucać za Limę. Inżynier zdwoił swoją ruchliwość. Kopano w pustynnych piaskach, w Callao zakładano już pierwsze szyny, na przedmieściach stolicy ustawiano rozjazdy, nad Rimakiem budowano baraki. Przez pewien czas wydawało się, że pomieszało się wszystko, że zaginął wszelki porządek, że przestał panować nad sytuacją. Niespodziewanie jednak rozbłysło coś w różnych punktach i łączyło się szybko. Jak smuga światła pobiegł naprzód długi, ginący gdzieś tam wysoko, srebrzyście połyskujący stalowy szlak.

Kolej orojska zaczęła stawać się faktem.

## VII.

Kończył się czerwiec 1871 roku. Chociaż był to sam środek limańskiej zimy, słońce przygrzewało mocniej niż kiedykolwiek, a w niedzielę tak przypieкло, że ludzie nie mieli odwagi opuszczać mieszkań. Dopiero po południu chmury przesłoniły jasne dotąd zupełnie niebo, od morza nadleciał znieścacka wiatr. I jak na hasło natychmiast zaroilo się wszędzie: na ulicach, na placach, nad Rimakiem, w pięknej alei prowadzącej w stronę Callao.

I w ogrodzie botanicznym zrobiło się tłoczno. Rozłożyste drzewa, malownicze zakątki, głęboki cień - to wszystko stanowiło zawsze atrakcję, Ostatnio jednak skupiał na sobie coraz większą uwagę zwierzyniec. Założono go niedawno, lecz rozbudowywano nad podziw szybko. I prawie każdej niedzieli można tu było znaleźć sporo nowych okazów.

Tłum więc falował, zaglądał do klatek, wymieniał głośno uwagi i obwieszczał z triumfem, kiedy dostrzegł nieznanego mu dotąd stworzenie. Ten i ów odwracał niekiedy głowę i spoglądał zdziwiony na znajdującą się w głębi szopę. Od czasu do czasu dochodził stamtąd gwałtowny szczęk, zdawało się, że ktoś tam walczy na szable. Ale że ogrodzenie zamykało dostęp do budyneczku, kiwano tylko

<sup>2</sup> Interes jest interesem. Popularne wyrażenie północno-amerykańskie

pogodnie głowami: w tym ogrodzie żaden odgłos nie mógł wzbudzić większego zdziwienia.

A w szopie rzeczywiście walczone. Antonio rozebrany do pasa, spocony, uwijał się jak w ukropie, jakby naprawdę bronił tu swego życia. Miecznikowski bowiem szedł na niego z niemiejszą furią. Przed rokiem miał z tym przeciwnikiem niewiele roboty, najwięcej czasu zajmowało mu wówczas dawanie wskazówek. Dziś musiał przyznać, że uczeń prawie doścignął mistrza. I już nie bronił się, lecz walił się naprzód jak burza - coraz groźniejszy i coraz bardziej czupurny.

Jak sędzia rozjemczy krążył koło nich czujnie Leonard. Ale nie tylko on tutaj przebywał, Na ławce pod ścianą siedział Soto-Marino, siedział także wybitny naukowiec i kierownik tego ogrodu profesor Raimondi, siedział Konstanty Jelski, znany ze swych wypraw badawczych do Gujany Francuskiej, a od dwóch lat właściwy twórca i organizator limańskiego zwierzyńca. Naprzeciw stał Habich i kilku innych mężczyzn, tak samo jak on uważnie przypatrujących się walce, Na pierwszy rzut oka można była sądzić, że odbywa się tu pojedynek, tak wielka była powaga na twarzach i tak głębokie milczenie. Zaprzęcały temu jednakże oczy: nie było w nich troski.

Leonard odskoczył nieco i podniósł rękę.

- Dość! - ostra komenda wdarła się naraz w kompletną ciszę. Szczęknęła broń po raz ostatni. Rozległy się dokoła oklaski.

- Proszę panów o wypowiedzi - Leonard powiódł dokoła wzrokiem. - Możemy uznać, że don Antonio złożył dobrze egzamin?

Padły zewsząd pochwalne przytakiwania.

- A z konia jak się bije? - zapytał Habich.

- Jak diabeł. Egzaminowaliśmy go przed tygodniem w dolinie Rimaku.

- Ha, wobec tego nie mamy żadnych zastrzeżeń - Soto-Marino z zadowoleniem pokiwał głową. - Znam się coś niecoś na tym i muszę stwierdzić, że rzadko widzi się taką klasę. Gratuluję serdecznie.

Uściskał rękę Antoniowi, a potem zrobili to inni. Był to sąd przypadkowy, wymyślił go kiedyś Leonard; ale ci wszyscy ludzie rzeczywiście znali się dobrze na szabli i każdy z nich miał prawo wyrazić a tej walce swoją opinię. Antonio pokraśniał, Nie przepuszczał nigdy, że będzie na niego patrzyło takie dostojne grono, każde więc usłyszane słowo napełniało go dumą.

Rozchodzili się powoli. Wyszedł Raimondi zabierając z sobą kilka osób, ruszył Soto-Marino, wysunął się zanim Leonard.

- I na mnie czas - Habich też zaczął się żegnać. - Muszę przygotować się do podróży, bo jutro odjeżdżam.

- A nie złam gdzieś karku - upomniał go Miecznikowski wesoło. - W tej Arice nie narzeka się podobno na brak trzęsień ziemi i huraganów.

- Jedzie pan do Ariki? - wtrącił żywo Antonio.

Minęły czasy, gdy w obecności tego człowieka zamykał się w sobie i odsuwał, aby nie usłyszeć przypadkiem czegoś nie przeznaczonego dla jego uszu. Jak z Miecznikowskim, tak żył się i z nim, a pewien dystans wy pływał obecnie jedynie z różnicy wieku i szacunku, jaki Habichowi okazywali wszyscy. Mimo że przebywał dopiero w Peru od dwóch lat, znano go już dobrze w kołach fachowych, a jego projekty nowoczesnej zabudowy miast peruwiańskich przedostawały się do prasy i zwracały powszechną uwagę.

- Do Ariki - potwierdził. - Zaczynam tam budowę komory celnej i wielkiego szpitala. Trzeba będzie posiedzieć w tym odległym porcie przez kilka miesięcy.

Antonio zdziwił się w duchu. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ten człowiek mający tu doskonałą posiadłość, przenosi się daleko na południe do zapadłej dziury. I to teraz właśnie, gdy zaczyna stawać się głośny. Habich musiał domyślić się tego, bo twarz mu rozbłysła uśmiechem.

- Kto chce pozostać w tym kraju dłużej, powinien poznać nie tylko Limę - odezwał się żartobliwie. - Przecież na niej nie kończy się Peru. I tobie, don Antonio, radziłbym o tym pamiętać. A może spotkamy się w Arice? Kiedy ostatni egzamin?

- W październiku.

- Ho, pędzisz ,z tym prawem, jak w ataku na szable! A co z pracą dyplomową?

- Wciąż piszę...

- O pronunciamientach?

- O pronunciamientach!

Antonio z fantazją przechylił głowę, To słowo nadal budziło w nim żywiołową energię. Habich

wyciągnął rękę na pożegnanie. - A więc po egzaminach radzę przyjechać do mnie - zachęcił życzliwie.  
- Dla takiej pracy dyplomowej będą tam, moim zdaniem, idealne warunki. Przecież to stamtąd wychodzą najczęściej pronunciamenta...

Gdy odszedł, Antonio długo nie ruszał się z miejsca. Miecznikowski, owijający starannie szablę, zwrócił na to uwagę.

- Na co się tak gapisz? - zagadnął, - Ujrzałeś jakąś papużkę?

- Nie to, Habich zabił mi klina. Pronunciamenta rzeczywiście wychodzą przeważnie z południa. Kto wie, czy się tam coś znowu nie zacznie, bo przecież wybory za pasem... A on właśnie tam jedzie...

- Ponieś! - Miecznikowski wręczył mu szablę. - Mnie nie wypada, gdyż jestem starszy. A teraz biegiem do mojego mieszkania! Tam dopiero czeka cię niespodzianka!

Miecznikowski zazwyczaj takim zwrotem zapraszał do siebie i rzeczywiście zawsze coś tam dobrego było u niego na stałe, toteż Antonio nie zwrócił na to specjalnej uwagi. Zresztą zaraz zainteresował go tłum kupujący się przed klatkami. Przepchnęli się przez niego z trudem i zaczęli zmierzać do wyjścia, gdy niespodziewanie powstrzymał go dźwięczny kobiecy głos. Odwrócił się szybko: ujrzał przed sobą Petę.

- Gdzie ty się ukrywasz? - w jej głosie czuło się wyrzut, ale też niemało radości. - Nigdzie nie mogę się o ciebie dopytać! Wyjeżdżałeś z Limy?

Antonio niejasno pokręcił głową. Był nieco zakłopotany. Właściwie już prawie o niej zapomniał, a zresztą tak ostatnio zapamiętał się w pracy, że na flirty nie miał zupełnie czasu. Ale Peta wyglądała dziś ładniej niż kiedykolwiek, zręcznie upięte manto doskonale uwydatniało jej zgrabne kształty, spod czarnych rzęs wypływało pełne ognia spojrzenie. A że umiało go ono wabić, więc szybko uległ czarowi i niemniej niż ona ucieszył się z tego spotkania.

- Ależ wypiękniałaś! - zaczął się unosić w zachwycie, unikając sprytnie odpowiedzi na jej pytanie. - Właściwie należałoby cię wziąć od razu pod rękę i poprowadzić do ślubu.

Umiał w takich sytuacjach posługiwać się zręcznie słowem. Zanim się spostrzegła, już tylko on prowadził rozmowę i dość dużo czasu upłynęło, nim przypomniał sobie Miecznikowskiego. Przedstawił go uroczyście.

- Miecznikowski? - Peta wdzięcznie przechyliła głowę w geście pełnym namysłu. - Pan inżynier Miecznikowski?... Aha, już wiem! Przecież to pan upiększa nam Limę! To pan...

Okazało się, że orientuje się dobrze w jego pracach i zna świetnie każdy świeżo powstały czy powstający uroczy zakątek. Ruszyli powoli naprzód, Miecznikowski coraz bardziej był zachwycony. Pięknie brzmiały w jej ustach liczne po-chwały i niejednokrotnie czuło się uwielbienie. A że Antonio umiejętnie podsyczał ten temat i sam często wtrącał to i owo od siebie, rozmowa stawała się coraz weselsza, a wkrótce zaczęło wydawać się wszystkim, że znają się chyba od lat.

Niespodziewanie wyrosła przed nimi duża kamienica czynszowa. Miecznikowski przystanął.

- Ha, jestem u siebie - westchnął. - Trzeba się więc pożegnać...

Czuła się w tych słowach niemało smętku. Peta roześmiała się i ujęła go mocno pod ramię.

- Dom nie ucieknie - rzekła rozweselona. - Zona pewnie nie czeka?...

- Stary kawaler! - Antonio przeciął czającą się w jej słowach cichą obawę. - Chodźmy dalej.

- Chciałbym jednak wstąpić do domu - Miecznikowski popatrzył na niego niepewnie. - Powiedziałem ci: mam niespodziankę...

- Więc i Antonio panu potrzebny - domyśliła się Peta. - No cóż, może poczekam?... Długo to potrwa?

Miecznikowski objął Antonia trochę bezradnym spojrzeniem, lecz że z jego twarzy nic nie wyczytał, postanowił działać na własną rękę:

- Nie miejcie do mnie pretensji, jeśli popełnię nietakt. Byłaby dobrze, gdyby i pani tam weszła. A później zastanowimy się wspólnie, co robić dalej.

Peta nadspodziewanie wesół pokiwała swą ładną główką.

- Ech, ci cudzoziemcy! - sporo w tych słowach była pobłażliwości. - Ciągłe o nas nie mają pojęcia. Oczywiście mogę tam pójść. Zwłaszcza gdy jestem w towarzystwie Antonia.

Miecznikowski zajmował duży pokój w kamienicy czynszowej. Gdy się w nim znaleźli, goście przede wszystkim rzucili okiem na stół. Wbrew przewidywaniom był on zupełnie pusty. A i gospodarz zachowywał się jakoś dziwnie. Wszedł za parawan, coś tam przesunął i po chwili przywołał do siebie Antonia.

- Włóż na siebie - szepnął, - Nagroda od zespołu sędziowskiego za postępy w szermierce.

Wskazał na rozłożony kompletny strój caballera, jaki spotykało się niekiedy nawet na ulicach Limy, lecz ten przewyższał wszystkie swą wspaniałością. Pas błyszczał, jakby nabito go złotymi ćwiekami, oblamowania porywały barwami, olśniewały blaskiem srebrne ostrogi. Antonio rzucił okiem na to bogactwo i pobladł, potem poczerwieniał i znowu pobladł. Nerwowym ruchem zaczął trzeć ręką czoło.

- Ubieraj się! - przynaglił go Miecznikowski. - Powinno pasować. Robiono na moją miarę, a jesteśmy przecież jednakowego, wzrostu. Niech Peta obejrzy.

Antonio chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Miecznikowski wymknął się i już po chwili gawędził w najlepsze z Petą. Nie pytała, co tam się dzieje za parawanem, jednakże od czasu do czasu rzucała w tym kierunku zaintrygowane spojrzenia. I naraz oniemiała z wielkiego zdziwienia. Z brzękiem ostróg, przy rewolwerze i szabli, zamasyście i twardo stanął przed nią Antonio tak wspaniały w tym romantycznym stroju, jak rycerz z legendy mający ruszyć do bitwy.

- Madonna Santissima!... - przeżegnała się z ogromnego przejęcia. - Jak ty pięknie wyglądasz! Antonio! - zerwała się nagle z miejsca - więc to prawda: staniesz kiedyś na czele pronunciamenta!...

Jak dwa brylanty rozbłysły jej oczy i to niewątpliwie napełniło go szczęściem, lecz nic nie okazał po sobie. Wzruszył nawet ramionami lekceważąco.

- A ty sądziłaś, że rzucam słowa na wiatr? - zapytał. - Oczywiście: wcześniej czy później zacznę zaprowadzać w tym nieszczęsnym kraju porządek. Jeśli...

Byłby pewnie nieprędko skończył, ale Miecznikowski zaczął właśnie sprawdzać dokładnie to szczególne umundurowanie i też wyrażać po-chlebne uwagi.

- Niczego nie brakuje - stwierdził zadowolony. - Jest i zapas naboju. Znajdziesz go tam, w kącie.

- Ale czy mogę to przyjąć?... Na wzruszonej twarzy Antonia wykwitła zakłopotanie. Miecznikowski roześmiał się.

- Nagroda od sędziów - przeciął krótko, jego skrupuły. - Nie masz nic do gadania!

Opowiedział Pecie o „egzaminie” i wreszcie postawił na stole butelkę wina. Gdy ją opróżnili, wyszli znowu na spacer. Antonio paradował już w nowym stroju. Pięknie się w nim prezentował, toteż zbierał więcej ponętnych spojrzeń niż kiedykolwiek. Zaczynał się nimi upajać. Wydawały mu się dzisiaj gorętsze, chwytając je nieustannie zapominał zupełnie o towarzystwie. I dopiero gdy jego nogi raz i drugi ugrzęzły w pyłe, zaczął powoli przytomnieć.

- Gdzie my właściwie jesteśmy? - rozejrzał się dokoła uważnie. - Aha, na drodze do Callao!... Po co tu się wlecemy? Niełatwo było się tutaj poruszać. Na dobry ład nie była to wcale droga, a tylko pas ziemi tratowany od wieków przez konie i dziś prawie nie używany z powodu biegnącej obok kolei.

- Nic, oczywiście, nie słyszał - w głosie Pety rozbrzmiała kpina. - Ciągłe coś go tam ciągnie na boki... A inżynier tak pięknie opowiada o pierwszej drodze kołowej w Peru! O prawdziwej szosie, po której będą mknęły prawdziwe pojazdy.

Antonio patrzył na nią, jakby nic nie rozumiał.

- O czym ty mówisz? - mruknął. - Jaka szosa?

- A nie mówiłam, że nic nie słyszał? Z Limy do Callao! - pochyliła się nad nim i krzyknęła do ucha. - Pan inżynier zacznie ją od jutra wymierzać!

Peta śmiała się coraz weselej. Antonio wciąż kręcił głową. Komu w Peru potrzebna jest szosa?... Nie było ich za czasów Inków, gdyż w tym dziwnym królestwie nikt nie znał koła ani nie była wówczas zwierząt, które by je mogły pociągnąć. Nie było ich także za panowania Hiszpanów. I nie ma teraz...

Antonio nagle przystanął.

- Zaraz, zaraz! - wykrzyknął. - Więc tu ma być szosa. I ty - spojrzał na Miecznikowskiego - od jutra zabierasz że do roboty. A co będzie po niej jeździło? Wozy? Skąd je weźmiesz?

Peta śmiała się coraz głośniej.

- Ten strój całkowicie wykoleił mu myśli - rzekła. - Będzie szosa, będą i wozy. Pan inżynier...

- Zaraz! - przerwał jej niecierpliwie Antonio. - Nie o wszystko jeszcze spytałem. A skąd weźmiesz pieniądze na tę budowę? Pardo ich nie ma. A Pierola nie da na pewno.

- Pierola nie jest wieczny. Tymczasem wykona się projekty. A drogę przeprowadzimy, gdy znajdzie się na nią pieniądze.

- Aha!...

Antonio popadł w głęboką zadumę. Peta objęła go rozbawionym spojrzeniem, widząc jednak, że nie ma zamiaru się ruszyć, wzięła go pod ramię i pociągnęła w stronę stolicy.



- Na mnie już czas - rzekła. - A i ty musisz się spieszyć, aby nie spotkało cię jakieś nieszczęście, Podobno koło Chorillos grasują od pewnego czasu jacyś bandyci.

Antonio nagłym ruchem przechylił głowę. - Koło Chorillos?... - zapytał, wpatrując się czujnie w przytuloną do niego w tej chwili twarzyczkę. - A skąd wiesz, że tam jadę?

- Pan inżynier opowiedział mi wszystko. Zajrzę tam przy okazji. Nie będziesz się mógł ukryć przede mną!

Śmiała się coraz dźwięczniej, Antonio jednak nie brał udziału w tej wesołości. Zaciśnął mocno usta, wzrok jego pobiegł ku Andom. Pokrywała je w całości srebrna księżycowa poświata.

## VIII.

W tydzień później koło San Bartolomeo zapłonęło olbrzymie ognisko. A wkrótce potem, coraz to niżej, zaczęły ukazywać się inne: i koło Cocachacra, i koło Chosica, i koło Santa Clara, i prawie tuż obok Limy. Na każdym szczycie, na każdym wzniesieniu. Potężniały nieustannie, coraz mocniej skrami sywały w niebo. I migotliwym węzłem staczały się gwałtownie z wysokości półtora tysiąca metrów w dół, ku stolicy. Jak powiew wojny, jak sygnał do boju dawany ludności w dawnych czasach przez Inków.

A był to rzeczywiście sygnał wojenny. W dwie godziny później, gdy tylko słońce rozproszyło nocne ciemności, Malinowski rozpoczął atak: dziesięć tysięcy ludzi oskardami rąbnęło zaciekle w ziemię, zaniósło dokoła dymem i hukiem rozrywających skały ładunków. A on parł wciąż naprzód, wysyłał już poza San Bartolomeo, jak ruchliwe patrole, niewielkie, lecz dobrze uzbrojone robocze kolumny. Drażył tunele. I tam, gdzie jak się zdawało nie ma żadnego przejścia, wgryzał się w kamienną powłokę i znikał, aby w przyszłości wypaść znienacka na drugim końcu góry i jak wódz doświadczony uderzyć z ukrycia na następną pozycję.

Cała Lima nie spała tej nocy. Widok był piękny, lecz zarazem jakiś niesamowity, budzący trwogę. Niejeden dopiero teraz zaczął sobie zdawać sprawę z wielkości dzieła. Przecież przez ten potężny masyw miała przejść droga do wnętrza Peru; olbrzymie, prawie nieznanne przeciętnemu mieszkańcowi stolicy tereny miały się stać mu bliskie, w jedną całość miała się nareszcie połączyć jego ojczyzna. Toteż początkowe milczenie przemieniało się szybko w entuzjazm. Przybywało okrzyków, coraz głośniej wymieniano między sobą wspomnienia. Aż wreszcie nazwisko Malinowskiego jak ongiś po bitwie pod Callao, znalazło się znowu na wszystkich ustach.

Antonio słuchał, Dawniej nie wytrzymałby spokojnie przy takiej okazji, huczałby jak inni, może nawet głośniej niż inni wznosiłby gromkie wiwaty. Dziś patrzył i obserwował w milczeniu, mimo że stojąca obok Peta, aż się zanosila od przepelniającej ją do głębi radości. Przeżywał jednak mocno te chwile i chyba bardziej był od niej wzruszony. Drgała mu nieznacznie twarz, gęste zmarszczki pokryły czoło. I oczy wydawały się jakieś niezwykle: jakby obojętnie, lecz mimo to wytrwale i nieruchomo wpatrywały się w dal.

- Chodźmy - rzekł, gdy wreszcie zrobiło się widno i ogniska przybladły. - Odprowadzę cię do domu, gdyż później będę zajęty.

Objęła go trochę swawolnym, a trochę nieufnym spojrzeniem lecz ruszyła bez słowa. Tłoczno było wszędzie, do rozmowy brakło okazji. Dopiero gdy się mieli pożegnać, zadała mu zgrzyliwe pytanie:

- Z którą się dziś umówiłeś? Już czeka?

Antonio uśmiechnął się. Dziś miał czyste sumienie.

- Z żadną - odparł. - Wiesz przecież dobrze, że żyję jak mnich. Wpadnę tylko do biblioteki i wracam do domu.

Pogroziła mu palcem. Antonio udał wesołość, kiedy jednak odeszła, na twarzy ukazała się troska. Wcale nie był zadowolony z odświeżenia tej zadawnionej przyjaźni. Peta miała wiele zalet, ale także niemało wad. Z natury ciekawa, wścibska i gadatliwa nie potrafiła niczego utrzymać zbyt długo przy sobie, a że przyjaciółek jej nie brakowało i jak większość Limanek spędzała na rozmowach całe godziny, więc pewnie zdążyła opowiedzieć o nim już Wszystko. A jemu zależało na ciszy. Rzeczywiście żył ostatnio jak mnich, lecz nie tylko z nadmiaru pracy. Bał się, że może go sobie przypomnieć Gutierrez albo Pierola. Ci ludzie napawali go dzisiaj niechęcią. Zbrzydły mu ich bezwzględne rozkazy, mierzyła łatwość z jaką się go wyzbywali, gdy im nie był potrzebny. A zresztą teraz, kiedy kończył uniwersytet i przybyło mu lat, wiele spraw lepiej rozumiał. Dawniej stanowili dla niego autorytet, wobec którego nie miał prawa podnosić głosu ani wyrażać własnej opinii. Obecnie

poddawał ich coraz sumienniejszej krytyce i jak cała Lima burzył się wobec omawianych coraz głośniejsze nadużyć. A mimo to wciąż nie był pewien, jakby się zachował, gdyby stanął przed nimi. Czuł kołącą się w nim resztki wpajanego od dziecka posłuchu, brutalna twarz Sylwestra budziła nadal podświadome odruchy lęku, Pragnął więc, aby o nim zapomniano i nikomu nie ujawniał swego adresu. Zwłaszcza teraz zachowywał wielką ostrożność, Za kilka miesięcy miały się odbyć wybory. Był święcie przekonany, że zaczną go szukać, że lada dzień może otrzymać od nich wezwanie. Zнали dobrze jego przydatność w takiej robocie. I chyba ciągle nie wątpili, że nie odważy się im odmówić współpracy...

Niewesołe były to myśli. Starał się je odganiać od siebie, lecz każde skrzypnięcie furtki budziło, w nim nagły niepokój. Popadał w rozdrażnienie, coraz bardziej pogłębiał swoją samotność. Zyskiwała na tym nauka. Do października złożył celująco prawie wszystkie egzaminy, a i ten jeden, który mu jeszcze „pozostał, odłożył tylko dlatego, że wiązał się on ściśle z pracą dyplomową o pronunciamientach. Jej też teraz zaczął poświęcać największą uwagę.

W tym czasie jedynie Peta zaglądała tu częściej. Ale i ona nie wprowadzała zbyt dużego zamieszania w ustalony przez niego porządek. Dziwił się nawet temu. O studiach uniwersyteckich nie miała żadnego pojęcia, a mimo to jakby wyczuwała intuicyjnie ogrom pracy, jaki należy w nie włożyć, zwłaszcza gdy się zbliżają do końca. Pospacerowała nad morzem, pogawędziła i wymykała się szybko. Dopiero któregoś październikowego popołudnia zmieniła niespodziewanie swoje dotychczasowe zwyczaje. Mówiła nad miarę, śmiała się głośno przy byle okazji, jak na nią - zbyt często interesowała się ptactwem, niebem, a nawet Andami. I wreszcie na nich zatrzymała się dłużej. Jakby od niechcenia wspomniała o Malinowskim.

Słuchał dość obojętnie. Ten temat poruszali niejednokrotnie. - A jednak on nie ukończy budowy! - palnęła naraz dobitnie. - Dotrze do Verrugas. Nie dalej!

Antonio nadstawił uszu. Niedowiarków wciąż było sporo, i znalazł ich argumenty na pamięć, toteż nie te słowa sprawiły na nim wrażenie. Zastanowiło go co innego. W tonie, którym je wypowiedziała, było zbyt dużo sztuczności.

- No, no! - uśmiechnął się lekko. - A to dlaczego? Dlaczego właśnie ma zatrzymać się na Verrugas?

Peta pochyliła się nad nim.

- Bo tam już działa ją moce piekielne - szepnęła trwożnie. - A co on chce zrobić, nie jest na ludzkie siły. Diabła jednakże nie zdoła poskromić i padnie. A z nim wszyscy, którzy pracują przy tej budowie.

Antonio chciał zbyć te brednie, jak w pierwszej chwili osądził, machnięciem ręki, lecz się powstrzymał. W tym kraju, gdzie trzęsienia ziemi były zjawiskiem codziennym, gdzie na uniwersytetach nie uznawano matematyki czy chemii za dyscypliny godne nauki i gdzie ludzie nawet ze średnim wykształceniem liczyli się ciągle na palcach - przesądów było mnóstwo, a diabeł, duchy piekielne, przekleństwa, straszyły często nie tylko wśród gminu, lecz i w domach inteligentnych. Toteż nie to go zaskoczyło, lecz dokładność, z jaką wypowiedziała tę przepowiednię. Ktoś długo musiał sączyć w nią trwogę, aby przemienić ją wreszcie w wiarę pełną głębi i żarliwości.

- Hm, wszystko możliwe... - przemówił również szeptem, jak gdyby sam uległ panice. - Twierdzisz zatem, że koło Verrugas... Dowiadywał się coraz to nowych szczegółów. Opowiadała z rosnącym przejęciem, w słowach było coraz więcej tajemniczości. Wysłuchał cierpliwie do końca i wstał.

- Nie gniewaj się - rzekł ciepło. - Mam dziś jednak jeszcze dużo roboty. Podniosła się także i przytuliła do jego ramienia.

- Odwieź mnie do Limy - spojrzała na niego prosząca. - Boję się. Tyle mówiliśmy o złych mocach, że może i do mnie przyczepić się jakieś paskudztwo... Zresztą, nie wszystko ci powiedziałam...

- No, co jeszcze?

- Pan Pierola...

Antonio zagryzł nerwowo usta. Stało się więc to, czego się najbardziej obawiał: rozpadła, Limanki wzięły go na swoje języczki... Nic dziwnego. Jako wychowanek kongregacji, który zaginął bez wieści po otrzymaniu matury, był wśród nich niewątpliwie sławnym człowiekiem i jego odnalezienie musiało wzbudzić sensację. Tym bardziej że po drodze dodano niejedno i, być może, zrobiono z tego pełną tajemniczości historię,

- Co z panem Pierolą? - podpowiedział jej miękko.

- Przesyła ci pozdrowienia. I prosił, abys zgłosił się do niego jutro o ósmej...

Ciężko jej poszło przekazanie tej „prośby”, na pewno czuła się winna. Antonio objął ją przeciągłym spojrzeniem i ruszył powoli w kierunku willi. Nie mówił nic, za to myśli krzątały się energicznie i wywoływały z pamięci twarze: Miecznikowskiego, który nie orientując się w sytuacji wyjawiał w najlepszej wierze jego miejsce pobytu; odpychające w tej chwili, rozkazujące i butne twarze Pieroli i

Gutierrez; i ta zadumana Malinowskiego... Ukazały się także obrazy: Rimak walący w skalne ściany jak młotem, ogniska na szczytach, szyny połyskujące stalowym blaskiem. I wreszcie jakąś groźną nutą rozświetliły się początkowo niejasne wnioski: wkrótce wybory... A inżynier dotrze do Verrugas mniej więcej w tym samym czasie. Tam zaś spadnie na niego nieszczęście... Przystanął przed stopniami werandy.

- Poczekaj - zdecydował się nagle. - Zamknę tylko mieszkanie i pójdziemy.

Gdy w pół godziny później znaleźli się w Limie, odprowadził ją do domu i pożegnał uprzejmie, jakby nic się nie stało, lecz potem przez długi czas błąkał się po ulicach. Rozważał coś sumiennie, z czymś się borykał, ciągle męczyły go jakieś skrupuły. Rodził że za to coraz uparciej wnioski, że należałoby zajrzeć do inżyniera. Początkowo odsuwał go od siebie z niechęcią i bronił się argumentem, że na pewno przebywa on w górach. Dotarł jednak w końcu do znanej mu dobrze bramy, a gdy się dowiedział, że Malinowski nie tylko jest w Limie, ale nawet coś tam kreśli w tej chwili w swojej pracowni, ogarnęło go tak wielkie podniecenie, że aż don Isidorio zwrócił na to uwagę,

Antonio zbył go żartem. Lecz i Malinowski dostrzegł od razu jego niepokój.

- Masz jakieś kłopoty?

- Nie.. Nie jestem tylko pewien, czy mam prawo zabierać panu czas. Sprawa bowiem, z którą przychodzę, jest trochę dziwna...

- Mów, mów - zachęcił go Malinowski życzliwie. - I na przyszłość nie miej takich skrupułów, Czas zawsze się znajdzie.

- O ile się orientuję, do Verrugas dotrze pan z budową mniej więcej w okresie wyborów?...

Malinowski szybko obliczył w myśli i potwierdził. Antonio nabrał głębiej w płuca powietrza. Nie wspominając nic o Pecie, omówił zwięźle wszystkie jej przepowiednie. Inżynier słuchał bardzo uważnie i wydawało się, że i jego ogarnął teraz niepokój. Zadał kilka pytań, dostał wyczerpującą odpowiedź. Byłby pewnie prowadził dalej te dociekania, gdyby nie don Isidorio, który wszedł niespodziewanie i powiadomił o przybyciu Meiggsa.

Malinowski wstał,

- Bardzo to wszystko ciekawe - rzekł w zamyśleniu. - Nie odchodź, porozmawiamy o tym jeszcze. Meiggs nie powinien dzisiaj zabawić zbyt długo.

Przeszedł do saloniku. Jankes, jak zwykle, powitał go wesoło i głośno, a że wracał właśnie z inspekcji linii znad jeziora Titicaca do Cuzco, opowiedział najpierw dowcipnie o swych przygodach w podróży. Malinowski wysłuchał, a potem zaczął mu skrupulatnie wyliczać potrzeby linii orozjskiej. Meiggs notował pilnie.

- W porządku - stwierdził, gdy z tym wreszcie skończyli. - Jak sobie życzysz, część mostów zamówimy w Stanach, a część w Europie. Dajmy już jednak spokój tym sprawom, gdyż zaschło ani w gardle. Przecież mówiłem ci, że pędzę bez wypoczynku na twe wezwanie!

Uśmiechnął się rozbrajająco i z ustawionej przez monsieur François butelki zaczął napełniać kielichy.

- Co za wspaniałe wino! - zadziwił się, kiedy spróbował. - Skąd je dostałeś?

- Przysłał mi jeden z przyjaciół. Z winnic w dolinie Rimaku.

Meiggs gwizdnął przeciągle.

- Nadzwyczajne! - wykrzyknął. - Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy!... Oczywiście ziemia tu żyzna, a słońca w bród. Toteż grunty wzdłuż kolei będą nabierały coraz większej wartości... - zastanowił się nad czymś. - Ależ tak, to również wspaniały interes! Trzeba coś natychmiast zakupić!

Rozbawił się,

- Meiggs poszukiwacz złota, Meiggs przedsiębiorca kolejowy, Meiggs bankier i nareszcie Meiggs plantator! - poniósł go nagle entuzjazm, - Doskonały zawód na stare lata. Zakładam winnice! A teraz - mrugnął okiem - opowiedz, co słyhać w Limie? Są jakieś nowe ploteczki?

- Bardzo ich dużo. Tak dużo, że nawet nie warto powtarzać. Za to wniosek, który z nich wypływa, jest bardzo poważny...

Meiggs wpatrzył się w niego czujnie.

- Bardzo poważny - potwierdził inżynier. - Powiem krótko i w tajemnicy: co się tylko da, wydobywaj ze skarbu. Możliwie najszybciej.

Meiggs roześmiał się trochę sztucznie.

- Aha. Lima potrzebuje pieniędzy! - spróbował się czegoś domyślić. - Ile?

Jego wesołość zaraz zniknęła, na twarzy bowiem Malinowskiego ukazało się głębokie skupienie.

- Tym razem nie o to idzie - przemówił powoli. - Dasz Limie lub nie, sprawa twojej reklamy. Natomiast mnie zależy w tej chwili wyłącznie na kolei orojskiej. Póki jest jeszcze czas - chwytaj gotówkę. Jutro nowiem może już być za późno.

Meiggs nie przypominał teraz zupełnie tego rubasznego człowieka, który tak chętnie przeplatał zawsze żartem sprawy poważne. Skupił się w sobie, na jego czole zarysowała się rzadko widoczna, głęboka, pionowa bruzda.

- Czy mam traktować te słowa jako ostrzeżenie? - zapytał cicho.

- Tak.

Meiggs wstał i zaczął się przechadzać po saloniku.

- Z tego prosty wniosek, że skarbowi grozi bankructwo - mówił jakby do siebie. - To prawdopodobne. Dreyfuss kradnie za tysiąc złodziei i chyba nieznacznie przygotowuje upadłość, gdyż na takiego mi patrzy... A zresztą wkrótce wybory. Hm, dobrze, naciśniemy Pierolę! Ale dlaczego ty mnie o tym ostrzegasz?...

Znieruchomiał i przez pewien czas wpatrywał się z jakąś ogromną natarczywością w opanowaną i beznamiętną twarz inżyniera.

- Aha, rozumiem! - odpowiedział sam sobie. - Bardziej niż mnie zależy ci na tej kolei, gdyż bawisz się w sentymenty. Jeśli pieniądze ja będę miał w garści, na pewno ją ukończymy, choćby Peru sprzedano na licytacji. A jeśli - ogarnęła go naraz wesołość - zabiorę wtedy wszystko i czmychnę? Jak to zrobiłem tam, w Kalifornii?

Malinowski dobrodusznie pokiwał głową.

- Zatrzymam cię, zatrzymam... - odparł. - Nie jesteś taki twardy, na jakiego wyglądasz. I także masz sentymenty.

Bardzo pogodnie i nawet żartobliwie rozbrzmiały te słowa, a jednak na Meiggsie uczyniły wstrząsające wrażenie. Jakby skarłał, poszarzał, stracił nagle całą swoją żywotność. A gdy się wreszcie opanował, w szeroko rozwartych oczach przewinęły się gniewne ogniki. Energicznym krokiem podszedł do czary z podobizną indiańskiego kapłana i stuknął w nią palcem.

- Płacę za tę glinę milion dolarów! - oświadczył ostro. - Od razu, czekiem na bank!

- Abym zrezygnował z posady?...

- Tak! Wolałbym, abys był ode mnie z daleka. Nie lubię koło siebie tajemnic. A czuję, że za twymi słowami nie tylko kryje się żart.

Inżynier zwiesił głowę. Przez dłuższy czas panowało głucho milczenie.

- Mów! - przynaglił go Meiggs. - Przyjmujesz?

- Ta czara nie jest wystawiona na sprzedaż. I dziwię się, że występujesz z tą propozycją. Nie lepiej mnie zwolnić? Zerwanie umowy nie pociągnie za sobą tak wielkich wydatków.

Meiggs znów przemierzał pokój wielkimi krokami. Doszedł do okna, zawrócił, wykręcił koło drzwi i raz jeszcze stanął przy oknie. - Dlaczego mieszasz się do spraw tego kraju? - wybuchnął w złości. - Co cię to wszystko obchodzi? Bierz, co się da, i gwizdź na wszystko. To najrozumniejsza zasada!

- Chyba nie. Peru, widzisz, to piękny kraj o wspaniałych tradycjach, ginących gdzieś w zamierzchłej przeszłości. Ale nie ma szczęścia do rządów, Trzeba mu więc trochę dopomóc. Bądź co bądź, to moja druga ojczyzna.

- Też wymyśliłeś: ojczyzna!... Business is business, on tutaj jest najważniejszy. Że też taki człowiek jak ty, umiejący fruwać nad przepaściami i przełamywać Andom kręgosłup, ciągle bawi się w takie głupstwa! Ojczyzna... Chociaż - Meiggs zastanowił się i naraz złagodniał - kraj piękny, to fakt. I przeszłość też piękna, sięgająca moim zdaniem nie tysięcy, ale setek tysięcy lat... Oglądałem te kamienne pomniki nad Titicaca - zaczął się rozpromieniać. - Te rzeki skierowane pod ziemię rękami człowieka, te pamiątki w Cuzco z czasów inkaskich. Co za rozmach, co za potęga! Można się w tym zakochać...

- Właśnie! - ucieszył się Malinowski. - Czujesz podobnie, a dziwisz się mnie. Piękny kraj, ale smutny. Jeśli więc tylko można, należy mu dodać trochę radości. Więc jak - wrócił niespodziewanie do pierwotnego tematu, - Sięgniesz do skarbu?

Meiggs wyprostował w całej okazałości swoją masywną postać. Pierzchnęła złość, zniknęły zmarszczki, twarz rozblęśta czupurnie. - Ha, zagram ja jutro Pieroli na nową nutę! - przemówił z werwą. - Nie wypłaci żołdu swym generałom i pułkownikom, a mnie dać musi. Wiadomo - uśmiechnął się kpiąco - kolej orojaska jest najważniejsza! Na nią nie może zabraknąć pieniędzy!

Gdy odszedł, Malinowski wrócił do swej pracowni i zabrał się do przerwanej roboty. Nie był zbyt długo samotny. Pojawił się wkrótce Antonio.

- O czym to mówiliśmy? - przypominał sobie inżynier. - Aha, o Verrugas! I o tych dziwnych prorocत्वach...

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął sztywną, zadrukowaną po obu stronach karteczkę.

- Wycygałem dla ciebie - rzekł żartobliwie. - Od Meiggsa. Bezpłatny bilet na wszystkie jego koleje. Przyda ci się na pewno. Wbrew bowiem tym przepowiedniom, zbudujemy kolej orojską.

- Więc jednak niepotrzebnie o nich mówiłem...

- O, nie! - Malinowski poruszył się energicznie. - Bardzo ci jestem za nie wdzięczny, gdyż czuję, że są w nich jakieś okruciny prawdy. Przecież w Peru rzeczywistość wiąże się ściśle z legendą... Musi być jakieś niebezpieczeństwa i należy zachować wielką ostrożność. A gdzie ono się czai?...

Zastanawiał się nad czym, przez pewien czas.

- Wiesz co? - odezwał się znowu. - Za dwa tygodnie Meiggs urządza małe przyjęcie dla prezydenta. Właśnie tam w górach, koro Verrugas. Przyjedź na nie również. Rozejrzysz się w terenie i może coś wpadnie ci w oczy, co uchodzi mojej uwagi.

- Pan mówi poważnie?...

- Jak najpoważniej. Umiesz patrzeć bystro, dobrze to wiem.

- A co powie Meiggs?... Będę tam przecież intruzem.

Malinowski mrugnął na niego porozumiewawczo.

- Nie intruzem, a moim sekretarzem - rzekł udając wielką powagę. - Meiggs wie o tym. Dlatego właśnie dał mi ten bilet.

Antonio spoglądał w zamyśleniu na zadrukowaną karteczkę. Coś go ciągle męczyło.

- A Pierola też tam będzie?... - zagadnął znienacka.

- Żadnych ministrów! Tylko prezydent Balta i jego najbliżsi współpracownicy.

Antonio odetchnął głębiej, jakby się wyzbył jakiegoś ciężaru. Podziękował i wstał chcąc się pożegnać. Malinowski spojrział na zegarek.

- Późno się zrobiło - zdziwił się i zakłopotał, - Po północy będziesz dopiero w Chorillos... A może zanocowałeś u mnie? W tym pokoiku obok Pabla. Przecież jest pusty.

Antonio jakby się zląkł. Po raz pierwszy usłyszał taką propozycję i wydało mu się, jak niegdyś przy spotkaniu z Habichem, że może niepotrzebnie zetknie się z czymś, czego nie powinien zobaczyć.

- Chyba jednak pojedę... - bąknął niepewnie. - Po co mam sprawiać kłopot?...

Malinowski objął go po przyjacielsku ramieniem.

- Jaki znów kłopot? - przemówił wesoło. - Jesteś moim sekretarzem czy nie?

Antonio roześmiał się. Wrócił mu dobry humor.

- Prawda - przytaknął. - Jestem sekretarzem. A wiadomo: jego miejsce przy szefie!

- Właśnie.

## IX.

Meiggs dorzucił znowu kilka tysięcy ludzi, szlak wydłużał się coraz bardziej. Blżej Limy lśnił on już szynami i gdyby nie brak mostów, można by przejechać pociągiem. Biegł tu swobodnie i lekko, jak baletnica unosił się nieznacznie ponad łańcami trzciny cukrowej we wdzięcznie zataczanych łukach i niespodziewanych zakrętach. Za to za Santa Clara poszarzał, tylko głębokie wykopy znaczyły go w zacieśniającej się szybko dolinie. Widać je było ciągle. Wrzynały się ostro w skałę, mknęły po zboczach, zanikały niekiedy w tunelach, lecz nieco dalej pędziły znów naprzód i coraz gwałtowniej pięły się w górę. Prowadziły zacieklą walkę z Rimakiem: o każdą piędź ziemi, o każdy metr wysokości.

Antonio śledził z zaciekawieniem ten spór między wysiłkiem człowieka a dziką naturą i coraz bardziej pogodniał. Właśnie dlatego wyjechał nieco wcześniej z Limy, aby przyjrzeć się temu dokładnie. O czym dawniej słyszał tylko, dziś stawało się faktem. Wchłaniał więc w siebie obrazy i myślom pozwalał wybiegać w przyszłość. Układały się one coraz radośniej: pod rytm kilofów, pod gwar ludzki, pod huk rozrywających się dokoła ładunków. Dolina bowiem tętniła życiem. I jak gdyby na przekór spadzistym ścianom i turniom - im wyżej się wznosił, tym więcej widział twarzy i tym robiło się

głośniej,

- Zmieniło się dużo od czasu twojej ostatniej bytności - powitał go Malinowski, gdy spotkali się wreszcie w obozie koło Verrugas. - I podróżować dziś łatwiej. Przydał się bilet?

Antonio się rozpromienił. Gdy po raz pierwszy brał do ręki ten niewielki kartonik, nie przywiązywał do niego szczególnej wagi w przeświadczeniu, że użyje go dopiero kiedyś w dalekiej może jeszcze przyszłości. Ale gdy się tylko znalazł na szlaku, zaczął on działać jak cudowne zaklęcie. Gdziekolwiek go okazał - otrzymywał natychmiast wszystko: i konia, i wyżywienie, i noclegi, i nawet przewodników w miejscach zagrożonych minami. Toteż ta podróż, której trudy znał dobrze, minęła tak wygodnie, jakby odbył spacer z Chorillos do Limy.

Uniósł się więc teraz w pochwałach, lecz wkrótce jego wzrok zaczął biegać niespokojnie po całym baraku. Urządzony był z przepychem, na ścianach wisiały obrazy, dywany zasłaniały podłogi. To nie mogło go dziwić; nawet baraki dla robotników były urządzone podobnie, Meiggs bowiem wiedział, że w tej głuszy musi stworzyć najlepsze warunki pracy i wypoczynku i nie szczędził na to pieniędzy. A jednak myśli układały się coraz niesforniej. Malinowski dostrzegł jego roztargnienie i zapytał o przyczynę.

- Te przepowiednie mnie gnębią - odparł Antonio. - Muszę zaraz zabrać się do roboty.

- Ano, zabierz się. Obserwuję wszystko uważnie, lecz ciągle nic złego nie widzę. Może tobie bardziej dopisze szczęście.

Antonio zaczął się wkrótce włóczyć po okolicy, gawędzić z robotnikami i inżynierami, zaglądać do baraków, kuchni i lazaretów, przypatrywać się skałom i Rimakowi i tak się zapamiętał w tym zwiadzie, że dopiero przybycie prezydenta i jego świty przerwało na pewien czas te dociekliwe zajęcia. Inżynier wyraził życzenie, aby był obecny przy powitaniu, zjawił się więc w oznaczonym terminie i odtąd szedł już razem z innymi. Malinowski oprowadził po trasie, w obecności gości przeprowadził kilka wybuchów w tunelach, a potem przeprowił się z nimi przez Rimak i pokazał świeżo rozpoczęte wykopy w kierunku Surco. Wieczorem wszyscy byli śmiertelnie znużeni. Meiggs to także przewidział. Stoły zastawiano obficie, trunków nie brakowało. Rozpoczęła się uczta.

- Wspaniała reklama! - szepnął inżynierowi na ucho, gdy już wszyscy byli w różowych humorach. - Sam nie przypuszczałem, że te roboty mogą sprawić tak imponujące wrażenie...

Przerwał, gdyż właśnie wstał prezydent i wniósł uroczysty toast za budowniczych kolei.

- A zatem - kończył z patosem - wprowadza pan nareszcie w czyn swoje marzenia. Nie pomógł prezydent Castilla, nie pomogli jego następcy. Aż zjawił się Bałta. Długo pan deptał wysokie progi, ale w końcu wydeptał i de pana należy zwycięstwo. Niech więc żyje don Ernesto Malinowski, najwytrwalszy człowiek w naszej ojczyźnie!

Rozległy się brawa, spełniono toast przy wtórce gromkich okrzyków. Meiggs ujął nieznacznie inżyniera za rękę.

- Kochany chłop z tego Bałty - mruknął z zachwytem. - Po dzisiejszym dniu mam w garści co najmniej kilka dodatkowych milionów. Pierola będzie chyba zgrzytał zębami. Znów mu zabraknie dla kumów i krewnych!

Siedzący w pobliżu Antonio wydawał się bardzo wzruszony. On inaczej odczuł przemówienie Bałty niż Meiggs, w tych prostych słowach dostrzegł dużo prawdy i serdeczności. Przesunął powoli wzrok na inżyniera i naraz ogarnęło go rozczulenie. Kiedyś już widział go w takiej pozie: skromnego i cichego, pełnego zadumy, zmuszającej mimo woli do głębokiego skupienia. Jankeś coś mu tam naszeptywał do ucha, on jednakże nie słuchał. Za to bardzo uważnie wpatrywał się w tonące za oknem w gwiazdnej poświacie ciemne, poszarpane wierzchołki...

Gdy rano goście odjechali, Antonio znowu zaginął wśród wykopów i urwisk i pokazał się w baraku dopiero koło południa. Malinowski uniósł głowę znad biurka.

- A, jesteście! - ucieszył się. - Właśnie miałem zamiar cię szukać, bo i nam czas zbierać się w drogę.

- Przedtem jednak chciałbym coś panu pokazać.

Inżynier wpatrzył się w niego uważnie.

- Doszedłeś do jakichś wniosków? - zapytał,

- Nie wiem. Mam pewne poszlaki. I czuję, że to właściwy trop.

Antonio poprowadził do lazaretu. Przebywało tu kilku chorych, lecz przy nich się nie zatrzymał. Przeszedł do następnej sali, gdzie sanitariusze układali na łóżku jakiegoś mężczyznę. Malinowski pochylił się nad chorym: śmiertelnie znużona, biała zupełnie twarz, nogi spowite w bandażu.

- Wypadek? - zapytał stojącego obok lekarza.

- Nie. Ta sama dziwna choroba, o której kiedyś panu mówiłem. Wrzody i krew...

Wyszli na zewnątrz. Lekarz, wypowiadający się ostrożnie na sali, tu zaczął mówić otwarcie:

- Niezrozumiała dla nas choroba. Człowiek chodzi normalnie, pracuje normalnie i nagle wali się na ziemię bez sił, a w butach pełno krwi. Nie wiemy, co to jest i nie znamy lekarstwa. Zdarzyły się już śmiertelne wypadki.

- Meiggs wie o tym?

- Wie. Za trzy dni przyjedzie tu specjalna komisja lekarska w celu zbadania tej niezwyklej choroby.

Malinowski wrócił do swego pokoju, usiadł za biurkiem i objął sękami skronie. Zastanawiał się nad czymś przed dłuższy czas.

- Sądysz, że na tym opiera się przepowiednia?... - odezwał się wreszcie, - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Przed wyjazdem poszedłem do Biblioteki Narodowej i przejrzałem różne stare szpargały. Są tam wzmianki o podobnych wypadkach i to właśnie w tej okolicy. Zjawisko więc się powtarza. Kiedy tu jednak przybyłem, szukałem najpierw w innym kierunku. Może szykuje się jakaś dywersja?...

- Aha! I do jakich doszedłeś wniosków?

- Że tymczasem można wykluczyć taką możliwość. Wróciłem znowu do przepowiedni i rozważyłem starannie treść. Mówi ona o złych mocach, które grasują w tym odludnym zakątku. Grasują od dawna i ze swej natury są nieuchwytny. A dywersja byłaby rzeczą uchwytną, Nie można by jej przypisać piekłu. A tę chorobę można. I łatwo pogłębić w to wiarę...

Coraz ciszej i wolniej rozbrzmiewały słowa, a mimo to nie można było wątpić, że kryje się za nimi ostrzeżenie, którego nie chce się postawić wyraźnie. Spojrzenie inżyniera nabrało większej ostrości.

- Możesz mieć rację - przytaknął. - No cóż, Meiggs o tym wie... Za trzy dni przyśle komisję, a on, trzeba mu to oddać, wyznacza zawsze do spraw trudnych tylko wybitnych fachowców. Może coś odkryją. A na wszelki wypadek zarządzę, aby natychmiast przystąpiono do budowy wielkiego szpitala. Należałoby sądzić, że tym piekielnym wrogiem będzie tu epidemia. Toteż nie powinna nas ona zaskoczyć.

W drodze wracali jeszcze do tej sprawy niejednokrotnie, ale kiedy Antonio znalazł się wreszcie w swoim pokoju w Chorillos, natychmiast o niej zapomniał. Książki leżały na stole, czekał go ostatni egzamin. Zabrał się do niego z wielką energią i w dwa tygodnie później mógł stwierdzić z ulgą, że odtąd nie będą go goniły żadne terminy. Przez trzy dni wędrował po całej Limie, jak za dawnych lat chwycił w lot każde ponętne spojrzenie, prężył się dumnie, flirtował na zabój, z Leonardem i Miecznikowskim szedł kilka razy na szable. Gdy się w końcu wyszumiał, usiadł przykładnie za biurkiem i zaczął się rozglądać w nagromadzonych notatkach. Dużo tego było, wnioski zajmowały oddzielną tekę. Przerzucił uważnie wszystko, coś tam skreślił lub dodał. A potem przysunął do siebie czysty arkusz papieru.

„Teza 74 - wypisał starannie tytuł, - W kraju, gdzie właściwie nie ma policji, a nieliczne wojsko składa się przeważnie z ludzi, którzy kiedyś w drodze gwałtu zmienili władzę, prawo nie ma znaczenia. Wniosek: powiększyć policję i wojsko, przeszkolić je, usunąć jednostki przekupne, od oficerów zażądać wykształcenia fachowego i ogólnego; kto nie przejdzie przez szkołę oficerską, nie ma prawa otrzymać stopnia. Wątpliwość: kto to robi, jeśli ciągle rządzi pronunciamiento? I jak to robi, jeśli w Peru nie ma dotąd ani jednej szkoły wojskowej?”

Uniósł głowę i wyjrzał poprzez otwarte okna. Barwny ptaszek usiadł właśnie naprzeciw na gałązce i kręcił dziobem w jakimś wielkim skupieniu. Antonio uśmiechnął się do niego, a chyba też do swych myśli. Nagle znieruchomiał, musiało mu przyjść, do głowy coś niezwykłego. Ptaszek odfrunął i on się dopiero wtedy poruszył. Ostrożnie wziął pióro do ręki.

„Wniosek szczególny - pisał znowu po chwili. - Trzeba poprawić istniejące prawo i konstytucję. Aby tego dokonać, potrzebne jest wyjątkowe pronunciamiento. Muszą stanąć na jego czele ludzie naprawdę uczciwi, umiejący wyzbyć się egoizmu, gdy idzie o interes ojczyzny”.

- O takich najtrudniej - westchnął głośno, gdyż w tej samotności chętnie nieraz rozmawiał z sobą. - Jak uczciwi, to niedołągi. A jak umieją posłużyć się szablą, przeważnie hultaje...

Za oknem dały się słyszeć kroki. Zmarszczył brwi niezadowolony: zobaczył Petę. Po tej rozmowie o tajemnicach Verrugas nie pokazała się więcej, toteż był święcie przekonany, że ta nieoczekiwana wizyta nie sprawi mu przyjemności. Nie usłuchał przekazanego mu wówczas przez nią wezwania Pieroli...

Wyszedł naprzeciw. Peta rzuciła mu się na szyję i nadspodziewanie gorąco zaczęła się zwierzać ze swoich uczuć. Przyjmował to dość obojętnie, a gdy się wreszcie uwolnił z jej objęć, zamiast pójść na

spacer, wprowadził ją na werandę. Uśmiechał się, to prawda, żartował nawet niekiedy, lecz starannie unikał wszystkiego, co by mogło wyjść poza zwykłą uprzejmość. Początkowo udawała, że tego nie widzi. W końcu jednak poruszyła się gniewnie.

- Domyślam się, a co chodzi - rzekła. - Nie możesz mi wybaczyć, że przybyłam wtedy jako poseł Pieroli. Wiedz zatem, że i dziś przychodzę w tej sprawie! - denerwowała się coraz bardziej. - Masz być u niego dziś jeszcze, o dziewiątej. W jego mieszkaniu prywatnym. A jeśli tego nie zrobisz, przyjedzie po ciebie osobiście Sylwester Gutierrez!

- To wszystko?

- Wszystko!

Antonio wstał.

- Wobec tego zakończmy rozmowę - rzekł chłodno. - I nie przychodź tu nigdy więcej. Choćbyś nawet przestała być już poseł Pieroli.

Peta znieruchomiała. Znała go od lat, lecz takim nie widziała go nigdy. Był na pozór uprzejmy, a jednak odpychający, cichy, a mimo, to władczy, spokojny a niebezpieczny w tej surowej, jakby przyczapajonej do skoku postawie.

- Antonio, co ty?... - szepnęła bezradnie. - Dlaczego,...

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. Powtórz, gdzie trzeba, że już wyrosłem z lat, gdy posłusznie wykonywałem rozkazy. To wszystko. Czy mam cię odprowadzić do bramy?

Sklonił się lekko. Poczzerwieniała, w oczach zakręciły się łzy. Zbiegła szybka ze stopni werandy. Antonio nasłuchiwał: kroki cichły, trzasnęła furtka. Zastanawiał się jeszcze nad czymś przez chwilę, a potem zszedł nad brzeg morza i zaczął się powoli przechadzać. Że atak nastąpi, był pewien; nie spodziewał się jednak, że będzie on taki gwałtowny. Więc sam Sylwester ma po niego przyjechać!... Przystanął i zapatrzył się w fale: nadbiegały bez pośpiechu, w równo odmierzanych odstępach, grzebień za grzebieniem składał głowę na piasku i znikał według ustalonego z dawna porządku. Wzburzone myśli układały się też coraz sprawniej. Uspokajały się.

Wieczorem Antonio pojechał do Limy i punktualnie o dziewiątej zjawił się w mieszkaniu Pieroli. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu zastał tam nie tylko Gutierrez, ale i zakonnika, który opiekował się nim w kongregacji. Domyślił się od razu, że czeka go ciężka przeprawa. Nie drgnęli, gdy wszedł, nie odpowiedzieli nawet na powitanie. Za to patrzyli jak nieubłagani sędziowie, którzy mają ogłosić za chwilę wyrok.

Postąpił krok naprzód, skłonił się i przystanął. Nikt nie wskazał mu krzesła.

- Wiemy a tobie wszystko - Pierola po długiej ciszy otworzył nareszcie usta. - Prosiłem kiedyś, abyś tu przyszedł. Nie przyszedłeś i nie przedstawiłeś żadnego usprawiedliwienia. Dziś kazałeś mi przekazać wiadomość, że nie będziesz słuchał już naszych rozkazów. A niedawno byłeś na przyjęciu w górach u inżyniera Malinowskiego. Z nim utrzymujesz obecnie bardzo bliskie stosunki, a nam odmawiasz współpracy. Chociaż to my znaleźliśmy cię na ulicy, my dawaliśmy ci jeść, my zrobiliśmy z ciebie człowieka!...

Przemawiał coraz głośniejsze i coraz namiętniej. Rzeczywiście wiedział wszystko i Antonio nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jak on niegdyś znosił mu wiadomości, tak teraz o nim przynosili je inni. Że wiadano o jego wyprawie w góry, nie dziwił się specjalnie, Balta bowiem poznał bez trudu swego dawnego adiutanta, ale że przy budowie pracowało przeciw dziesiątki tysięcy ludzi, więc ani go to nie zaskoczyło, ani nie wypytywał go o szczegóły. Zresztą ta sprawa miała najmniejsze znaczenie. Oskarżano go o gorsze uczynki: o odszczepieństwo, o zdradę, o przejście do wrogiego obozu.

- Straszne są twoje grzechy - Pierola może w udanym, a może i w prawdziwym oburzeniu objął rękami skronie. - Człowieku, dokądś ty zaszedł? Do Pardy? Do tego łotra, który gotów jest burzyć wszelkie świętości?... Co masz na swoją obronę?

Antonio zwilżył językiem wargi.

- Nic - odparł cicho. - Stwierdzam tylko: nikogo nie zdradzałem, nigdzie nie przechodziłem. I nikt mnie do tego nie namawiał ani nie zmuszał. A Pardę znam właściwie tylko z widzenia.

Gutierrez poruszył się, jakby miał zamiar wybuchnąć. Zakonnik przytrzymał mu rękę.

- Nie gorączkuj się - rzekł pojednawczo. - Ja tego chłopca znam dobrze. Wisus był zawsze z niego nie lada, lecz jeśli odpowiadał na pytania, mówił jedynie prawdę, Rzeczywiście nic nie wspominałeś o nas nikomu? - zwrócił się do Antonia. - Może ktoś cię o coś pytał, może coś wygadałeś niechcący?

- Nie!

Zakonnik powiódł wzrokiem po twarzach.



- Ja mu wierzę - oświadczył. - Że przyłgnał do Malinowskiego, nie należy się dziwić. Musi z czegoś żyć, a przy nim czy przy Meiggsie dziś o pieniądze najłatwiej. A przy tym nie zmarnował czasu i prawie ukończył studia. Za co? Wy daliście mu coś? - zwrócił się do Pieroli z cichym wyrzutem. - Nie. Zapomnieliście zupełnie i o nim, i o jego zasługach. Toteż i o zarzutach radzę zapomnieć.

Przyjemnie i łagodnie rozbrzmiewał ten głos. Antonio pamiętał go dobrze, a chociaż różnie tam bywało w dziecięcych latach i nieraz oberwał lanie, dziś nie miał o to pretensji; za surowością nie kryła się nigdy niesprawiedliwość. Spoglądał więc teraz na zakonnika z niekłamaną wdzięcznością, a on musiał to odczuć, uśmiechnął się bowiem do niego przyjaźnie. Pierola także złagodniał.

- Chyba tak będzie najśluszniej - przyznał. - Co złe, za nami. A przed nami, Antonio, wyb-ory! - słowa padły jak hasło. - Rozumiesz: Balta nie może kandydować, konstytucja tego zabrania. Wobec tego prezydentem musi zostać Tomasz Gutierrez. Jego wysuniemy i dopilnujemy, aby nie było niespodzianek przy urnach wyborczych. Ty znasz się doskonale na takiej robocie. A że przybyło ci lat...

Rozgadał się. Antonio poruszył raz i drugi wargami, jakby miał zamiar mu przerwać, lecz brakowało mu ciągle odwagi. Mimo zmiany tonu mroziły go te siedzące naprzeciw postaci, nie mógł się wyzbyć wrażenia, że stoi nadal przed sądem. Opuścił oczy i słuchał. Kiedy jednak podniecony Pierola zaczerpnął głębiej oddechu, uniósł raptownie głowę.

- Nie mówmy o tym - wtrącił chrapliwie. - Każdy człowiek jest wam dzisiaj potrzebny, rozumiem. Ale na mnie nie liczcie. Piszę pracę dyplomową - głos rozbrzmiewał coraz spokojniej. - Zajmie mi ona sporo miesięcy, A odkładać jej nie chcę ani nie mogę.

Gutierrez trzasnął pięścią w oparcie fotela.

- A nie mówiłem, że łotr? - wybuchnął w pasji. - On nie chce! Rozumiecie? Od nas nie przyjmuje rozkazów. A od Malinowskiego je przyjmiesz?

Antonio poczerwieniał. Nigdy nie pociągała go ta tępa twarz, a często nawet mierzyła. Poniósł go gniew.

- Przyjmę! - potwierdził zaczepnie.

Gutierrez zerwał się z miejsca, a równocześnie zrobił to sama zakonnik. Pchnął go z powrotem na fotel.

- Zastaw go! - rzekł niecierpliwie. - Antonio - dodał ciepło - zastanów się nad tym, co mówisz. Idzie przecież o wielką sprawę: nie można dopuścić do władzy burzycieli świętości. Od takiej roboty uchylać ci się nie wolno.

- Rozważyłem tę sprawę. Nie wezmę udziału w akcji.

- Aha, takie jest twoje postanowienie! - zasyczał Gutierrez przez zęby. - Wolisz służyć takim jak Pardo czy Malinowski...

- Malinowski, to nie Pardo!

- A kto?

- Przyzwoity człowiek. Na pewna zrobił on więcej dla Peru niż Tomasz Gutierrez, kandydat na prezydenta.

Niespodziewanie w oczach Antonia ukazały się twarde błyski. Wszystko, co do tej pory osłabiało mu wolę, przysło naraz wobec tej rzucającej się naprzeciw, nie uznającej żadnego sprzeciwu, brutalnej i nie okiełzanej postaci.

Sylwester dyszał ciężko, jakby zabrakło mu tchu. Z przekrwionych oczu zaczynała wyglądać furia.

- Ty szczeniaku! Śmiesz porównywać mojego brata do tych nędzników? Ty hultaju, ty diable, ty zdrajco, ty... ty... ty masonie! Ja z tobą teraz pogadam!

Skoczył, odepchnął zakonnika i zanim Antonio zdążył zdać sobie sprawę, do czego zmierza, dostał potężnie pięścią i rozciągnął się jak długi na ziemi. Znieruchomiał, zdawało się, że popadł w omdlenie. Ale nagle jakby się wytworzył nad nim powietrzny wir. Pryszył w górę jak iskra, w skoku pochwycił krzesła i byłby pewnie roztrzaskał głowę przeciwnikowi, gdyby zakonnik nie rozdzielił ich w ostatniej chwili swoją osobą,

Gutierrez wyciągnął rewolwer.

- Uprzedzałem: z takim trzeba rozmawiać zwięźle! - ryknął. - Idziesz z nami, czy przeciw nam? Odpowiadaj!

Antonio przymrużył oczy. Nie miał wątpliwości, że strzeli i nikt nie będzie sądził go o zabójstwo, bo przecież on dziś w Peru stanowił prawo. A mimo to nie zamierzał się poddać. Widząc przed sobą błyszczącą broń, wyzbył się lęku i wyzbył ostatecznie pokory. Po tym uderzeniu wołał zginać, niż

współdziałać z takim ,człowiekiem.

- Z wami nie idę! - odparł stanowczo. - A ciebie - poniosła go wściekłość - zapamiętam dobrze. I stanę ci do oczu, gdy ja będę miał przy sobie rewolwer!

Rzucił się zakonnik i przesłonił lufę. Uczynił się krzyk, Sylwester zaczął się szamotać jak oszalały. Przypadł Pierola. Wykręcił mu rękę, szarpnął do tyłu, pragnął go jakoś utrzymać w ryzach.

- Antonio, opamiętaj się! - zakonnik też stracił panowanie nad sobą. - Odsuń się od tych ludzi, którzy cię wiodą do zguby. Póki jeszcze jest czas. Bo inaczej pójdzie za tobą i moje przekleństwo!

- Niech idzie! Jeśli waszym zdaniem Malinowski jest łotrem, wy nie powinniście wyjść z piekła!

Teraz Pierola skoczył ku niemu z pięściami.

- Precz z moich oczu! - huknął na niego z góry. - Wcześniej czy później urwiemy ci głowę, możesz być pewien. Nie chcę tylko swego mieszkania zababrać krwią. Ale będziesz nas jeszcze błagał...

Antonio cofnął się od niego o krok.

- Nie będę - rzekł nadspodziewanie spokojnie. - Do tej pory nie wtrącałem się do tych rozgrywek. Po dzisiejszej rozmowie mogę wam jednak oświadczyć: jeśli sfałszowalibyście wybory i Tomasz zostałby prezydentem, ja wam wtedy zrobię pronunciamiento. A ja nie Pardo, umiem trzymać w ręku rewolwer! I wówczas...

- Bądź przeklęty! - uniósł się nagle zakonnik. - Obyś z piekła nie wyszedł za takie słowa!

- A tobie przepowiadam - Antonio nawet na niego, nie spojrzął, za to energicznie zaczął przygrażać palcem Gutierrezowi - zginiesz z mojej ręki jak zwykły bandyta, bo nim właściwie jesteś. Pamiętaj: ja nie Pardo, nie wstydzę się strzelać. I spod mojej kuli nie umkniesz!

Gutierrez chciał podnieść da góry broń, ale Pierola znowu trzymał go mocno. Antonio z hukiem zatrasnął za sobą drzwi.

## X.

Lima układała się do snu. Coraz rzadsi przechodnie przemykali z pośpiechem przez oświetlone tylko gwiazdną poświatą ulice, robiło się coraz ciszej. Antonio także szedł szybko. Ciągłe był jeszcze wzburzony, lecz dziś nie tracił ani na chwilę kierunku. Minął Plac Broni, skręcił w boczną uliczkę i zastukał śmiało do domu Malinowskiego. Że go zastanie, był pewien, inżynier miał bowiem przez dłuższy czas pozostawać w stolicy. Nie przejmował się też, że dawno minęła dziesiąta. Nawet się z tego cieszył, wiedział bowiem, że przebywa samotnie w swojej pracowni. A chciał z nim porozmawiać bez świadków, szczerze. Tam, za sobą, pozostawił spalone mosty, wszelkie tajemnice przestały go odtąd obowiązywać. Czuł się więc jak człowiek, który zrzucił nareszcie z siebie cuchnące i ciężkie brzemie i pragnie skoczyć da czystej wody, aby oplukać ciało.

- Pan inżynier przy pracy? - zapytał raźnie, gdy don Isidorio otworzył bramę.

- Nie wrócił jeszcze. Ale wejź, powinien być niezadługo, Czekaj na niego sporo ludzi.

Antonio zdziwił się. Od czasu, gdy monsieur François objął swe obowiązki, bywało tu liczne towarzystwo, lecz tylko w godzinach popołudniowych, weszło bowiem już w zwyczaj, że na obiad przychodził do tego domu, kto chciał. Potem jednak pustoszały pokoje, a o tak późnej porze gość był wyjątkowym zjawiskiem. Dziś było inaczej. Z głębi rzeczywiście dochodził przytłumiony gwar licznych głosów.

- Wejź do mnie - zaprosił don Isidorio, - Głodny chyba jesteś. Coś zaraz przyrządzę.

- Nie, dziękuję... Zajrzę do Pabla. Nie śpi jeszcze?

- Nie. Jest w saloniku.

Antonio zdziwił się po raz drugi. Tam nigdy chłopca nie widział. - Odprawia swe medytacje - don Isidorio uśmiechnął się dobrodusznie. - Wiadomo: Indianin.

Pablo istotnie wypełniał jakiś niezwykły obrządek. Obecnie był to chłopiec czternastoletni, dobrze wyrosnięty, zgrabny i żywy jak iskra. Wakacje spędzał zawsze z ojcem w górach i po każdym powrocie coraz bardziej skupiał się w sobie, a ostatnio bardzo starannie kontrolował wszelkie odruchy. Teraz stał przed czarą z podobizną inkaskiego kapłana i wpatrywał się w nią w takim napięciu, że nawet nie drgnął, gdy poruszyły się drzwi. Dopiero słysząc słowa, powoli i uroczyście odwrócił głowę.

- O czym dumasz? - Antonio uśmiechnął się na widok tak wielkiej powagi. - Dostrzegłeś coś ciekawego?

- Dostrzegłem. Ojciec kazał mi wpatrywać się uważnie w te krzyże i kreski. Więc patrzę często. I rozumiem je coraz lepiej.

- Co ty mówisz! - Antonio przysunął się żywo do czary. - Można to jakoś odczytać?

- Na pewno. Trzeba się tylko uczyć ciągle... Widzisz ten pierwszy krzyż? Oznacza on rok 1869, kiedy przepadł ostatecznie wniosek don Ernesta, aby rząd budował koleje w Peru, a nie przedsiębiorca prywatny. Tak mi ojciec tłumaczył... A te linie...

Pablo opowiadał bez pośpiechu i cicho, lecz potoczyście, jakby istotnie odczytywał jakieś archaiczne litery.

- Ciekawe - Antonio także przyciszył głos. - A ten następny krzyż? Na kiedy przypadnie?

- Tego jeszcze nie wiem.

- A może wkrótce?...

Pablo poruszył się energicznie.

- Wykluczone! - zaprzeczył. - Jesteśmy dopiero w tym miejscu - wskazał załamującą się twardo linię. - A stąd do drugiego krzyża bardzo daleko. Jest wprawdzie po drodze dużo cieni i nawet czarne plamy, lecz i niemało światła. A w najbliższych latach najjaśniej...

Przerwał swe objaśnienia, w drzwiach bowiem ukazał się Pardo. Pablo skłonił się grzecznie i zniknął. Natomiast Antonio oniemiał w pierwszej chwili z wrażenia. Znał przecież tego człowieka od lat, zdarzało się nawet niekiedy, że przy przypadkowym spotkaniu w tym domu zamieniali ze sobą kilka słów, wiedział, że on bywa tu często i domyślał się, że i teraz znajduje się wśród gości czekających na inżyniera. A mimo to z największym trudem dochodził do siebie. Zbyt nagle się tu pojawił, zbyt ostro wtargnął w to wszystko, co niedawno działo się u Pieroli. Ileż razy padało tam jego nazwisko!...

Pardo wyciągnął do niego rękę.

- Witaj, kolego po fachu - rzekł żartobliwie. - Dowiedziałem się od don Isidoria, kto tutaj jest, a że ze starymi już mi się znudziło, więc z panem postanowiłem pogadać. Okazuje się, że wszystkie egzaminy złożone i to celująco? Gratuluję serdecznie.

Raz jeszcze uścisnął mu rękę.

- Usiądźmy - dodał. - Inżynier wróci dopiero za pół godziny. A co z pracą dyplomową? Temat bardzo ciekawy...

Miał ujmujący sposób wyrażania swych myśli i zręcznie potrafił odnaleźć temat interesujący nie tylko jego, ale i siedzącego obok słuchacza. Nim się Antonio spostrzegł, już tkwił po uszy w dyskusji. Przecież pronunciamiento była to jego pasja. A ten człowiek też znał tę sprawę na wskroś i jego opinie zaskakiwały zwięzłością słowa i wnikliwością.

Pardo poprawił się w fotelu. Żywo do tej pory spoglądające oczy niespodziewanie przygasły.

- Tak, pronunciamiento jest naszym przekleństwem - rzekł w zamyśleniu. - I co najgorsze, nie widać żadnego wyjścia. Najcięższą karą, nawet za morderstwo, jest u nas piętnaście lat więzienia, a praktycznie znacznie mniej, gdyż można uciec przy lada ruchawce albo też wydostać się za łapówkę. Nikt się więc niczego nie boi.

W oczach Antonia przemknęły wesole iskierki.

- Ale mógłby się bać - wtrącił. - Gdyby sumiennie stosować prawo.

- Nie rozumiem... Najwyższa kara dla Peruwiańczyka...

- Wiem: piętnaście lat więzienia. Ale to samo prawo peruwiańskie pozwala Kongresowi w szczególnych wypadkach wyjąć obywatela spod jego ochrony. I wówczas każdy, kto go napotka, ma nie tylko prawo, lecz często i obowiązek położyć go trupem. Bo tego wymaga ojczyzna!

Głos Antonia rozedrgał się podejrzenie. Pardo znieruchomiał. Przez dłuższy czas z wielkim uporem wpatrywał się w przeciwległą ścianę, jak gdyby wciąż jeszcze chwycił jakieś niedostyszalne dźwięki.

- Spadło to na mnie jak objawienie - odezwał się wreszcie. - Istotnie można wyjąć spod prawa... Okazuje się - odzyskał wesołość - że młody prawnik maże starego nauczyciela! Że też mi to nie przyszło samo do głowy!...

- Pewnie dlatego, że dotąd nigdy nie skorzystano z tej możliwości. Przynajmniej nie znalazłem potwierdzenia w dostępnych mi dokumentach.

- Nic dziwnego, że nie skorzystano... Kongres, który by zastosował to prawo wobec przywódcy pronunciamienta, musiałby mieć dużo odwagi.

Wyglądzone dotąd rysy Antonia nabrały nagle ostrości.

- Kto chce wprowadzić do kraju prawa - przemówił twardo - musi mieć dużo odwagi!

Pardo popatrzył na niego przeciągle. - To prawda - przyznał. - Musi.

Popadł w zadumę. Antonio obserwował go z wielką uwagą i mimo woli porównywał jego twarz z twarzami ludzi, których niedawno porzucił. Ta wyróżniała się niewątpliwie wybitną inteligencją. Miała przy tym coś, czego było się trudno doszukać w tam tych: ciepło spojrzenia i blask prawie promienny, gdy padało słowo ojczyzna. Była w niej coś z marzyciela, ale nie tylko; gdy skupiła się w sobie, uwydatniała żelazny charakter.

Antonio zmarszczył brwi, jakby się nad czymś głęboko namyślał. - Panie prezydencie - przemówił naraz tonem nadspodziewanie suchym i oficjalnym. - Chcę skorzystać z okazji i poprosić o kilka wyjaśnień. Dlaczego wielu ludzi nazywa pana śmiertelnym wrogiem wszelkich świętości? I dlaczego tkwi w nich tak straszliwa nienawiść? Że ludzie u nas chętnie sobie wymyślają i jeszcze chętniej mieszają z błotem swych przeciwników, to normalne zjawisko. Ale w tym przypadku dochodzi coś więcej: jakaś dzika, prawie nieludzka zaciętość.

Pardo drgnął. Zdawało się, że te nieoczekiwane pytania zaskoczyły go nieco swoją szczerością.

- Dobrze, odpowiem - rzekł po chwili namysłu. - Pamięta mnie pan chyba co najmniej od czasów Callao, gdy byłem ministrem skarbu.. Późniejsza moja działalność była też publiczna, wszyscy zawsze mi mogli patrzeć na ręce. Czy kiedykolwiek zrobiłem coś, co mogłoby wyjść na szkodę ojczyzny?

- Nigdy!

- Czy to, do czego nawoływałem w hasłach wyborczych, jest słuszne?

- Tak.

Pardo spoglądał na niego przez pewien czas, jakby się zastanawiał, czy należy prowadzić dalej rozmowę.

- A teraz o nienawiści - przemówił jednak po chwili. - Aby to wyjaśnić, użyję znów pytań. Pana wychowała kongregacja z olbrzymich dochodów pojezuickich. Jedną sierotę. A obecnie na pana miejscu jest inna, ale też jedna. Ja zaś domagam się, aby powierzone kongregacjom przez państwo majątki wróciły znowu do państwa, bo wtedy będziemy mogli wziąć pod opiekę wszystkie sieroty, jakie znajdują się w Peru. Pieniądzy z tych dochodów wystarczy, Czy moje stanowisko jest słuszne?

Antonio poruszył raz i drugi szczękami, jakby odpowiedź nie chciała mu „przejsć przez usta.

- Słuszne... - przemógł się wreszcie.

- A teraz druga sprawa. Otrzymał pan maturę w szkole zakonnej. Ja też. Czy mogliśmy ją uzyskać gdzie indziej?

- Innych szkół przecież nie ma...

- A ja domagam się, aby były. I to nie tylko tam, gdzie są zakony, lecz w całym Peru, nawet na kordylierskich wyżynach. Zrozumiałe: musi się pojawić olbrzymia armia świeckich nauczycieli. Krajowi wyjdzie to na pewno na dobre, znikną w końcu średniowieczne programy. Czy takie żądanie jest słuszne?

- Słuszne.

- A czy w tej sytuacji trudno narazić się ludziom żyjącym dotąd wygodnie lub fanatykom, wyklinającym mnie nawet z ambony i nie rozumiejącym nie tylko interesów narodu, ale i interesów kościoła? Oczywiście nietrudno. Toteż wyklinają. Jak ci pułkownicy i generałowie nie mający o wojsku pojęcia, którzy też wiedzą, że wszystko utracą, jeśli ja dojdę do władzy...

Pardo zaczął trzeć ręką czoło. Widać było, że mimo wysiłku niełatwo mu utrzymać na wodzy wzburzone nerwy. Naraz nadstawił ucha. Ktoś tam wszedł, słyhać było jakiś donośny głos, dopytujący się natrętnie o inżyniera. Wstał i otworzył drzwi. Ujrzał człowieka pokrytego pyłem i dyszącego ciężko, jak gdyby dopiero zeskoczył z konia po długiej morderczej jeździe.

- Kurier specjalny z Verrugas - przedstawił go don Isidorio. - Ponieważ inżyniera nie ma, proszę, aby panu wręczył depeszę.

Kurier oddał przesyłkę i zawrócił do wyjścia.

- Stało się coś złego?... - powstrzymał go Pardo.

- Niestety, panie prezydencie! Krwawe wrzody przemieniły się w epidemię. Ludzie walą się na ziemię setkami. Śmierć zaczyna się unosić ponad Verrugas!...

Kurier pobiegł ku bramie. Pardo zamknął drzwi, usiadł na swoim miejscu i objął rękami skronie. Coś się z nim stało. Oddychał szybko, barki unosiły się niespokojnie. Zdawało się, że targa nim rozpacz.

- Przecież to nie nasza sprawa - przemówił Antonio bardziej przejęty tą nieoczekiwaną przemianą, niż straszną nowiną. - Meiggs musi się martwić o robotników.

Pardo uniósł powoli głowę.

- To klęska - odezwał się cicho. - Klęska przede wszystkim dla Peru. Ta bowiem kolej powinna być ukończona jak najszybciej, bo jeśli nie zdążymy, może się powtórzyć rok sześćdziesiąty szósty...

Antonio wpatrywał się w niego czujnie.

- Tak, sześćdziesiąty szósty - powtórzył Pardo. - Tylko że teraz nie odnieśliśmy zwycięstwa... Wśród żyjących w nędzy krajów Ameryki Łacińskiej wyglądamy jak magnat bezmyślnie syjący dokoła złotem. A to budzi nienawiść... Może być wojna. Nadmorskich równin wtedy nie obronimy, trzeba szukać ratunku poza Andami. W dolinie Chauchy przygotować zapasy żywności. I mieć tę kolej, którą będą napływały nieustannie posiłki. Dlatego ona jest taka ważna!...

Coraz wyraziściej rozbrzmiewały te słowa, coraz więcej w nich było uczucia. Antonio poruszył się nerwowo. Urzekła go ta zupełnie biała w tej chwili twarz, nadmiar myśli rozsadał mu mózg.

- Właściwie nie jest ważne, kto rządzi - Pardo odezwał się znowu. - Ważne są natomiast osiągnięcia, a jeszcze ważniejsze klęski. Ich zaś mamy ostatnio nadmiar. Klęską jest, że przy naszym bogactwie panuje w kraju analfabetyzm. Jest klęską, że wszystko sprowadza się zza granicy, że poza Indianami uprawiającymi swe pola na kordylierskich wyżynach lub w górach pasącymi owce, nikt u nas nie chce pracować i wyciąga tylko ręce do skarbu, że nawet tych robotników do budowania kolei trzeba sprowadzać aż z Europy. Straszliwą klęską jest Dreyfuss, który jutro może wystawić Peru na licytację...

Mówił dalej. Szczęki Antonia drgały nieznacznie, coraz gwałtowniej zaciskały się usta.

- Tak, nie jest ważne właściwie, kto rządzi - Pardo podsumowywał powoli myśli. - Przerazający jest jednak rząd, który sprowadził na kraj takie klęski. I on jest dla nas największą klęską!

Antonio zerwał się z miejsca.

- Na mnie już czas - rzekł dziwnie szorstko. - Pozwoli się pan pożegnać?

Pardo jakby się ocknął. Z oczu wyjrzał niepokój.

- We będzie pan czekał na inżyniera? - zapytał niepewnie. - Nie. Proszę mu tylko powiedzieć, że jutro wyjeżdżam.

- Można wiedzieć dokąd?

- W dolinę Chauchy!

Antonio wybiegł z pokoju. Zdawało się, że poniósł go gniew, rozplamiona twarz drgała silnie od wewnętrznego wzburzenia. Coś tam krzyknął do don Isidoria i skoczył do bramy. Przystanął raptownie, Właśnie wchodził w nią Malinowski.

- A ty dokąd? - zdziwił się. - Nie przenocujesz?

Antonio dyszał przez chwilę ciężko. Wreszcie powtórzył to sarno, co powiedział niedawno Pardzie. Inżynier, nie pytając o nic więcej, wyciągnął z kieszeni portfel.

- W tak daleką drogę potrzeba ci oczywiście pieniędzy - rzekł. - Zaraz...

- Nie, dziękuję! - w głosie Antonia zadźwięczała ta sama ostrość, jak i poprzednio. - Chociaż... - zastanowił się nagle i uspokoił. - Prawda, będą potrzebne. Mam trochę oszczędności. Jeśli to jednak nie sprawi panu jakichś kłopotów...

- Nie sprawi.

Malinowski wyjął z portfela wszystkie znajdujące się w nim banknoty i wręczył je bez liczenia, a potem pożegnał się, zamknął za nim bramę i poszedł do saloniku.

- Co się z nim stało? - Pardo objął go zaniepokojonym spojrzeniem. - Wybiegł, jakbym go śmiertelnie obraził. A przecież...

Opowiedział szczegółowo o przebiegu rozmowy.

- Dochodzę do wniosku - kończył wyraźnie z siebie niezadowolony - że okazałem mu za wiele szczerości.

- O to się nie martw. Im więcej wobec niego szczerości, tym większe będzie miał zaufanie. Taka natura, która szczerość ceni bardzo wysoko.

- Aha!... A nie sądzisz, że on jedzie w dolinę Chauchy z polecenia Pieroli? Narobiłby nam kłopotu, bo zdolny, a my tam prawie wcale nie mamy ludzi. Bardzo martwię się o ten teren.

Malinowski podszedł do czary.

- Zdziwiłbym się, gdyby sprawił nam jakieś przykrości - rzekł przyglądając się jej w zadumie. - Na pewno odczułbym to ciężko, a na tej opasce widzę wciąż jasne plamy... Nie, wykluczone! Coś innego

musiało go przyprawić o wstrząs...

Pardo także zapatrzył się w czarę.

- A jednak działają na ciebie te przepowiednie indiańskie - uśmiechnął się. - Czytasz w nich ciągle.

- Ca w tym dziwnego? - Malinowski uśmiechnął się również. - Gdy żyje się tyle lat wśród Peruwiańczyków, trzeba się od nich czegoś nauczyć.

Pardo pokiwał głową, jakby to doskonale rozumiał i sam teraz zaczął się przyglądać uważnie geometrycznym deseniom. Naraz wyprostował się szybko i poskoczył do stołu. Podniósł w górę depeszę.

- Przeczytaj! - wykrzyknął z przejęciem. - Klęska!

Malinowski rozerwał kopertę i rzucił okiem na pismo. Jakoś bardzo długo trzymał je przy oczach, jakby brakowało mu światła. Gdy wreszcie opuścił rękę, jego wzrok spoczął znowu na czarze. - Nie, klęska to jeszcze nie jest - przemówił powoli - Zwykłe nieszczęście. Wielkie nieszczęście. Ono jednak nie przeszkodzi budowie...

Zastanowił się nad czymś.

- Aha, Chaucha!... - pobiegł głośno za jakimiś myślami. - Nie masz nikogo, kto by mógł poprowadzić robotę?... To prawda, ludzi tam mnóstwo, ale i przesądów niemało, a Gutierrezowie będą je potrafili wyzyskać. Tym bardziej że w razie potrzeby użyją szabli... Na wszelki wypadek wyślę list do jednego z przyjaciół. Stary i sam niewiele już może zdziałać. Ale gdyby trafił do niego jakimś cudem Antonio...

Na stroskaną dotychczas twarz jak promień słońca zabłąkał się przedziwnie łagodny i ciepły, pełny wzruszenia uśmiezek. Pardo obserwował go w wielkim skupieniu.

## **A gdy rewolwer przemówił w obronie prawa.**

### **I.**

Inżynier Edward Habich stał z dala od robotników zakładających fundamenty pod nowy budynek celny w Arice i patrzył na stojący na redzie parowiec. Właśnie zarzucił kotwicę. Marynarze spuścili trap i szalupę, a gdy weszło do niej kilku pasażerów, uderzyli rażnie wiosłami i zaczęli płynąć da brzegu.

Habich poruszył się. Ktoś tam zwrócił na siebie jego uwagę. Nie mógł oderwać oczu od siedzącej pośrodku strojnej, wyróżniającej się od innych jak barwna plama na tle szarzyzny, pełnej energii postaci. Przyśpieszył kroku, łódź była tuż. I ledwie uderzyła o pomost, piękny caballero skoczył ku niemu jak iskra.

- Antonio! - wykrzyknął Habich otwierając szeroko ramiona. - Więc posłuchałeś mej rady!

Rzeczywiście był to Antonio. Przybywał amerykańskim parowcem, który część ładunku pozostawił w Callao, a i tutaj miał wyrzucić trochę żelastwa. Był szczerze rozradowany z niespodzianki, jaką zrobił inżynierowi, a to serdeczne powitanie przez człowieka o szanowanym już w Peru nazwisku i to publicznie, wobec tłoczącej się wokół gawiedzi, jeszcze bardziej wzmogło jego wesołość. Tryskął więc humorem, coraz wdzięczniej unosił głowę; Chociaż pozornie na nikogo nie patrzył, wiedział, że śledzi go tu z zachwytem wiele nie tylko kobiecych oczu.

Habich wziął go pod ramię i ruszył w drogę powrotną. Donośnie i melodyjnie rozgadały się srebrne ostrogi.

- Ho, ho! - zadziwił się. - Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem takiego cudnego dźwięku!

- Cudny, to prawda - Antonio od niechcenia rzucił dokoła okiem i mocniej uderzył nogami w ziemię. - Zachodzę w głowę, skąd je Miecznikowski wydobył, bo takiej drugiej pary nie znajdzie się w całym Peru. Nie chce zdradzić mi tajemnicy!

Stąpnał znów rażniej. Habich zerknął na niego rozweselony. - Mają jedną wadę - rzekł. - Nie znoszą ciszy...

- A cisza jest podstawowym warunkiem dobrej organizacji! Wiem, wiem. Ale tylko tej waszej, polskiej organizacji. Nasza natomiast, peruwiańska, musi być nieco inna. Jak rybie woda, tak jej potrzeba blasku i tańca.

Habich popatrzył na niego teraz uważniej. Pod pozorami bez troski dostrzegł jakąś ukrytą myśl.

- Hm, czyżby to była teza do pracy a pronunciamientach? - zapytał.

- Nie jestem głupi, jej tam nie umieszczę. Warto mieć coś wyłącznie na własny użytek,  
- Aha, dla tego pronunciamienta przyszłości! Więc co wreszcie z tą pracą dyplomową? Gotowa czy nie?

- Jeszcze nie.

~ Będzie pan kończył u mnie?

Antonio pokręcił głową.

- Nie - zaprzeczył. - Na kończenie za wcześnie. Niektóre wnioski są bardzo śmiałe. Muszę wypróbować je najpierw praktycznie.

- Tutaj, w Arice?...

Z oczu Habicha wyjrzał niepokój. Antonio musiał to dostrzec, gdyż trochę aż nazbyt szybko, jakby w popłochu, odwrócił twarz. - Teren niewygodny - rzekł obojętnie. - Jestem przekonany, że nawet w czasie wyborów będzie panowała tu polska cisza, a to nie dla mnie. Poszukam szczęścia gdzieś za Titicaca. A może w dolinie Chauchy... Jak pan słusznie kiedyś powiedział, Peru nie kończy się przecież na Limie. Trzeba więc poznać wreszcie swój kraj.

Tym samym parowcem odpłynął nazajutrz do Mollendo i tam wsiadł do pociągu. Rzeczywiście przyglądał się okolicy w takim napięciu, jak gdyby odbywał tylko krajoznawczą wycieczkę, Wrażenie to spotęgowało się jeszcze, gdy znalazł się w Puno. Miasto było licho zabudowane i brudne, toteż poświęcił mu niewiele uwagi, za to starannie przyglądał się ludziom. Tu, na pograniczu Boliwii, spotykały się dwa wielkie narody indiańskie: Keczuanie i Ajmarowie. A równocześnie kręciło się mnóstwo osób przyjezdnych, spędzonych z całego świata. Był to przecież punkt wypadowy dla budującej się kolei do Cuzco; tu mieściły się magazyny pomocnicze i stąd odchodziły na północ coraz to nowe transporty. Kręcił się w tym różnobarwnym tłumie, zaglądał do oberż, zawierał znajomości, gawędził tak samo swobodnie z miedzianoskórymi, jak i z białymi. Aż wreszcie znudziło mu się wszystko i zaczął robić wypadki poza osiedle. Wypłynął na trzcinowej łodzi na to olbrzymie jezioro wyniesione przez jakiś kaprys przyrody na wysokość prawie czterech tysięcy metrów i uwieńczone od wschodu spływającymi majestatycznie, pokrytymi śniegiem szczytami. Potem przemknął na koniu do rozrzuconych po okolicy wież granitowych, stanowiących według legend starożytne grobowce, a że urzekło go ich piękno, spędził w nich jedną noc, obserwując z zaciekawieniem przedziwną w tym miejscu grę księżycowej poświaty. W końcu zajął do jednej z wiosek, gdzie mieszkali, jak głośno słuchał, tajemniczy ludzie nie należący do żadnej z ras istniejących obecnie na ziemi. To go zastanowiło, i z nimi chciał się jakoś dogadać. Nic z tego nie wyszło. Mówili tylko własnym językiem, nieufność do obcych była tutaj ogromna. Żyli jak na wyspie i z nikim nie chcieli utrzymywać łączności.

Widząc, że nic nie wskóra, wrócił do Puna i jeszcze tego samego dnia wsiadł do pociągu. Bilet Meiggsa wciąż mu oddawał nieocenione usługi, od Mollendo podróżował jak księżę udzielny. Specjalnie dla niego uruchamiano lokomotywy, gdzie pociąg nie mógł się przedostać, przerzucano go drezynami, gdzie torów nie było - dawano konie. Pędził wzdłuż drogi królewskiej Inków, podniebnym szlakiem usianym dokoła pomnikami wspaniałej niegdyś kultury. Wysokość rosła. Gdy minął przełęcz Raya, wargi miał wyschnięte, łuszczyła się skóra, od nadmiernego blasku bolały oczy, chwytala go w swoje szpony soroczce. Mimo to stawał się coraz weselszy. Wiedział, że Cuzco jest coraz bliżej i że tam czeka go wypoczynek. W tym świętym mieście, które było ongiś stolicą jego ojczyzny, Rzymem Ameryki, do którego ścigały corocznie olbrzymie procesje. Tam bowiem biło serce wielkiego inkaskiego imperium...

Ujrzał je wreszcie: kamienne, szare i smutne. Na pierwszy rzut oka nie sprawiało imponującego wrażenia, a jednak poczuł się tak, jak gdyby wkraczał w sam środek historii. Porywał go ten pogmatwany labirynt uliczek, korytarzy, zaułków i schodów przeskakujących z tarasu na taras, tak pomieszany w stylach, że trudno było się rozeznać da jakiego wieku należy. Na olbrzymich głazach obrobionych jakby rękami cyklopów stały starohispańskie budowle, na gruzach świątyń chrześcijańskie kościoły, spośród ładnych parterowych domków strzelały nagle w niebo potężne mury jakichś archaicznych fortyfikacji. Jedynie Huakai-Pata pozostał bez zmian. Dziś wprawdzie nosił nazwę Placu Broni, lecz nadal stanowił centralny punkt miasta i jak dawniej zbiegały się tu ze wszystkich stron drogi królewskie Inków.

Antonio długo stąd nie odchodził. Zdawała się, że oszołomiło go to wszystko, że przygniotły swoim ogromem kamienne bloki, że nie maże odkryć dalszego kierunku w natłoku wrażeń. Wciąż zamyślony, powlókł się wreszcie do słynnej Kompanii, będącej jednym z najpiękniejszych kościołów w Ameryce Łacińskiej. Zatrzymał się zaraz przy wejściu. Wisiał tam obraz przedstawiający uroczystość zaślubin. Przyglądał mu się w wielkim skupieniu, a zwłaszcza od miłej, pełnej słodczy twarzyczki oblubienicy nie mógł oderwać oczu. Że mężczyzna był bratankiem świętego Ignacego Loyoli - wiedział, uczono go a tym w szkole. I wiedział także, że tą zachwycającą dziewczyną była prawdziwa inkaska księżniczka.

Rozmarzyła go ta postać, z jej delikatnych rysów starał się odgadnąć wygląd swojej prababki. Przecież i ona pochodziła, wierzył w to święcie, z rodu wielkich władców, mających ongiś w tym właśnie mieście swoją stolicę...

Gdy wrócił do hoteliku, w którym zaraz po przyjeździe pozostawił swe rzeczy, była już noc. Gospodarz wybiegł mu naprzeciw. - Bardzo się dopytywano a pana - zaczął mu naszeptywać do ucha. - Kiedy pan zamierza odjechać?

Antonio zmarszczył brwi. Myślni tkwił jeszcze w przeszłości, toteż nie od razu zrozumiał, lecz wreszcie ukazała się na jego twarzy zdziwienie. Wędrując po mieście zawarł wprawdzie niejedną znajomość, ale na pewno nikt go z tych ludzi nie szukał. Po chwili zastanowił go także ten szept, w którym gospodarz przekazał mu informację. Niewątpliwie czaiła się za nim nieufność. I wcale niepotrzebne była jego pytanie. Wyprężył się energicznie.

- A co to pana obchodzi? - odezwał się ostro, bo takich sytuacji nie lubił. - Bratem mi jesteś czy kumem, że zadajesz takie pytania?

Oberżysta speszył się. Znał takie malownicze postaci i wiedział z doświadczenia, że nie zawadzi okazywać im dużo grzeczności. - Pytam dlatego - odsunął się nieco i skłonił uprzejmie - że tamci...

- Jacy tamci?

- Ci panowie, którzy przybyli później. Gdy się dowiedzieli, że pan jest tutaj...

- Aha, opowiedziałeś jak ja wyglądam! I doszli do wniosku, że znają mnie doskonale. Skąd przybyli?

- Z Puno.

Antonio machnął ręką. Rzeczywiście mógł go ktoś dogonić, z kimś tam, nad Titicaca, zawarł przypadkową znajomość.

- Zatrzymali się tutaj? - zapytał już znacznie życzliwiej.

- Tak. Śpią wszyscy...

- Wobec tego, zobaczę się z nimi jutro.

Gospodarz był wyraźnie stropiony. Spodziewał się widocznie, że gość się spłoszy, że może zaraz umknie, a przynajmniej za ostrzeżenie da mu większy napiwek. Antonio jednak minął go obojętnie, wszedł na piętro, odnalazł swój pokój i zamknął za sobą starannie drzwi. Nie przewidywał żadnych kłopotów, lecz na wszelki wypadek ułożył pod ręką rewolwer. Ta podróż nauczyła go ostrożności, zdarzały się najrozmaitsze przygody. A co może przytrafić się w Cuzco, jeszcze nie wiedział.

Zbudził go gwar licznych głosów w sali jadalnej. Trochę był zaskoczony, gdyż o tej porze wydało mu się to nienormalne, ale gdy tam zeszedł, przestał się dziwić: jakaś dobrana kompania zakrapiała obficie alkoholem ranny posiłek.

- Który to z panów tak interesował się wczoraj mają osobą? - zapytał donośnie.

Skupiły się na nim wszystkie spojrzenia i naraz z ławy zerwał się jakiś młodzian.

- Nie poznaje mnie pan, panie inżynierze? - podbiegł ku niemu radośnie. - Piliśmy niedawno w Puna przez całą noc!

Hm, inżynier... Antonio w pierwszej chwili trochę niejasno pokręcił głową, ale zaraz wziął go w ramiona i rozradował się tak samo jak on. W Puno istotnie zaglądał do oberż i nawet pił, chociaż zawsze z umiarem i na pewno nie z nim. Doszedł jednak do wniosku, że nie należy zaprzeczać. Nie uwierzyłby, za bardzo był pewny swego. Każda zresztą znajomość mogła się przydać w przyszłości. Stosował tę wspaniałą zasadę z wielkim rozmachem w czasie całej podróży i już nieraz się przekonał, ile ona jest warta.

- Ciemno tam było w tej dziurze nad Titicaca - rzekł raźnie. - Nie przyszło mi przy tym do głowy, że mogę cię tutaj spotkać. Dokąd jedziesz?

Młodzian przechylił z fantazją głowę. Był w świetnym humorze. - Do mojej Mercedes! - huknął na cały głos. - Na weselisko!

Antonio rozpromienił się, jakby słońce go zalało złocistym blaskiem. Bardzo lubił to imię. A że jego nowy przyjaciel prezentował się przy tym pięknie i czuło się w nim mocne i gorące uczucie, wziął go więc ponownie w ramiona, złożył życzenia na zapas i palnął dowcipną mówkę, która i w innych okolicznościach mogłaby zyskać uznanie. Rozhuczało się dokoła, wszystkim przypadł do serca. I zanim się spostrzegł, już siedział przy stole, a jego towarzysz napełniał mu z rozmachem kieliszek.

- Jakże ci to na imię?... - zakłopotał się nagle.

- Antonio.

- A mnie Manuel. Zatem, bracie, za twoje zdrowie!



Antonio podniósł się z ławy. Na taki toast nie mógł się zgodzić.

- Wybacz, mój drogi - odezwał się uroczyście - lecz mój pierwszy toast należy się komu innemu. Za zdrowie twojej Mercedes!

- Brawo! - hurmem ryknęli wszyscy. - Niech żyje Mercedes!

Wypili. Wstał postawny mężczyzna, któremu, jak się wydawało, „okazywano tu szczególny szacunek.

- Oto caballero godny naszej kompanii! - zahuczał donośnie. - Manuelu, udał ci się przyjaciel!

Antonio drgnął. Tego człowieka widział po raz pierwszy, a mimo to jego głos wydał mu się znajomy i coś niemiłego, wydobywał z pamięci.

- Inżynierów nie cierpię - mówca wstrząsnął się, jakby w nagłym przyptywie gniewu, lecz się zaraz uśmiechnął. - Ten przypadek mi jednak do serca. Swój chłop! A więc za jego zdrowie!

I tak to szło. Humory różowiały, robiło się coraz goręcej. Antonio, pijący ostrożnie i korzystający z każdej okazji, aby pominąć kolejkę, doszedł wreszcie do wniosku, że należy opuścić tę wesołą kompanię. Wyciągnął z kieszeni zegarek.

- Trzeba uciekać - westchnął, udając ciężkie zmartwienie.

Manuel rzucił mu się na szyję.

- Inżynierze, bracie kochany! - rozczył się. - Gdzie się będziesz tułał po świecie? Jedź z nami. Na moje wesele!

- Chciałaby dusza do raj... - Antonio melancholijnie pokiwał głową. - Rozumiesz: obowiązki. A ci Jankeś są bez litości. Nie wykonam, co każą, wyrzucą i jeszcze każą płacić odszkodowanie.

Towarzystwo parsknęło śmiechem. Antonio trochę był tym zaskoczony, tym bardziej że Manuel śmiał się najgłośniej.

- Przejmujesz się takim głupstwem? - przemówił hamując z trudem wesołość. - I to tutaj, gdy siedzi koło ciebie Gutierrez?

Wskazał ręką mężczyznę, który wyznał tak szczerze, że inżynierów nie cierpi. Antonio poblądł i poczerwieniał, rozprzęgły się w nim na moment nerwy.

- Hm - bąknął - ministra zna w Limie każdy. Chyba to...

- Marcellan Gutierrez! - Manuel wpadł mu w słowa entuzjastycznie. - Brat rodzony ministra wojny. A mój kum! Możesz być spokojny: ma on wypróbowane sposoby na tych przeklętych gringów i dopilnuje, aby nie zrobili ci krzywdy.

Śmiech wzmógł się. Antonio powiódł wzrokiem po twarzach i poczuł się raźniej. Nie dostrzegł na żadnej zdziwienia czy nieufności. Widocznie jego zmieszanie przypisano zaskoczeniu, że odkrył wreszcie, w jakim znajduje się towarzystwie. Spojrzał na Gutierrez: śmiał się razem z innymi. Odzyskał natychmiast humor. Wiedział o tym człowieku dużo i orientował się, że zajmuje wybitne stanowisko, lecz dotąd nie widział go nigdy. Ale że i on go nie znał, więc nie było się o co martwić. Do Limy stąd przecież daleko.

- Boję się, że mnie namówicie - łypnął wesoło okiem. - Niełatwo rozstać się z taką zacną kompanią. Tylko czy rzeczywiście ci gringo... Bo to, widzicie, moja pierwsza posada...

Zręcznie wyszło to nagle zakłopotanie, Gutierrez podszedł do niego i poklepał go po ramieniu.

- Nie przejmuj się - oświadczył protekcyjnie. - Manuel ma rację: mamy na nich swoje sposoby. Przy mnie na pewno nie zginiesz. A możesz nawet zarobić więcej!

Antonio zerwał się z miejsca i stuknął obcasami. Rozdzwoniły się pięknie ostrogi.

- Hm, to interesujące! - zachwycił się. - A dokąd się wybieracie?

- Do Chauchy! - Manuel objął go ramieniem w nagłym przyptywie radości. - Śliczne miasto i śliczna dolina. Więc jedziesz?

- Tobie nie mogę niczego odmówić. Jak przyjaźń, to przyjaźń! Ruszajmy zatem do twojej cudnej Mercedes!

Tym razem Antonio nie potrzebował udawać. Do tej pory oglądał jedynie kraj i ciągle nie był pewien, gdzie w końcu osiadzie, a mimo to coś go nieustannie ciągnęło właśnie w tamtym kierunku. Miał tam przecież także swoją Mercedes. Toteż ten zbieg okoliczności potraktował jako dobry omen w podróży. Poza wszystkim jednak czaiła się nadal czujność, a mózg działał sprawnie. I podszeptował, że nie należy już dotknąć kieliszka.

- Nie śpiesz się tak na wesele - powstrzymał go rubasznie Gutierrez. - Zdażymy. Jeszcze tylko jeden toast.

Wrócił na swoje miejsce i uroczystym gestem nakazał ciszę.

- Bracia, wesele weselem, lecz nas czekają także wybory! - przemówił dobitnie. - O tym nie zapomnijcie. Przed nami Pardo, śmiertelny wróg! A z nami Tomasz Gutierrez, nowy prezydent. Za jego zdrowie!

Zahuczało w izbie, wszyscy zerwali się z miejsc. Antonio przelknął gładko jak inni i poza weselością nic nie można było z jego twarzy odczytać. Ujął tym towarzystwo, nie spodziewano się najwidoczniej, że ten toast przyjmie bez najmniejszego zdziwienia. Toteż nastrój stał się jeszcze bardziej serdeczny. Wbrew zapowiedziom wypito ponownie za jego zdrowie i dopiero wtedy zaczęto wysypywać się na ulicę.

- Gdzie by tu można kupić konia? - Antonio trochę zmarkotniał. - Pieszko przecież z wami nie pójde... Gutierrez poklepał go po ramieniu z tą samą protekcyjną miną, jak to uczynił przy stole.

- Powiedziałem ci: przy mnie nie zginiesz - rzekł. - Mam luzaka i otrzymasz go w darze. Na dobry początek naszej przyjaźni.

Gwizdnął przeciągle. Z podwórza wyskoczył siwek tak wdzięczny w linii, że Antonio oniemiał z wrażenia.

- Koń twój - Gutierrez nabrał naraz wielkiej godności. - Wiedz, że jeśli coś daję, daję zawsze najlepsze. Takiego konia i kula nie doścignie, i wiatr nie dogoni!

Antonio obejrzał siwka ze wszystkich stron, a potem ujął za uzdę i westchnął.

- Czy nie za cenny dla mnie?... - zapytał niepewnie. - Nie wiem, czy mogę przyjąć. A nuż się pogniewamy - rozbawił się naraz - i wystąpię przeciwko tobie?

- Nic by się złego nie stało. Zmiótlbym ci tylko głowę. Wystarczy przecież, abym gwizdnął, a natychmiast przybiegnie.

Roześmiali się a wkrótce znaleźli się wszyscy na siodłach. Antonio czuł się, jakby wyrosły mu skrzydła. Siwek niósł wspaniale, pęd chłodził przyjemnie czoło. Przemknęli przez miasto, potem przez pofalowaną z lekka, bezdrzewną równinę i w godzinę później zaczęli wymijać Orle Gniazdo - Sacsahuanan, tę potężną fortecę sprzed tysięcy lat, z którą nie może się porównać żadna inna budowla. Olbrzymie, ułożone na sobie bloki kamienne, masywne ściany, schody, wykusze, strażnice odcinały się ostro na tle brązowych skał. Ludzie milkli, wszyscy zmniejszyli tempo. Te mury, o których początkach wspominały jedynie legendy, te wieże i forty nawet na tym podpiętym towarzystwie czyniły wielkie wrażenie.

- Tak, tego nie można było wykonać bez diabelskiej pomocy - mruknął Gutierrez, powtarzając to, w co zawsze wierzyli święcie Hiszpanie. - Jak bez tej pomocy nie można przeprowadzić kolei w dolinie Rimaku...

Przeżegnał się uroczyście raz i drugi, to samo uczynili natychmiast inni. Gdy minęli fortecę, Antonio przysunął się nieznacznie do Manuela.

- Więc to twój kum? - zagadnął przyjaźnie. - Rzeczywiście podawałeś mu dziecko do chrztu?

- Jakże mogło być inaczej? Kum! Dlatego jedzie na moje wesele. A przy tym wkrótce wybory. Któż je lepiej przeprowadzi w dolinie Chauchy, jeśli nie on? A tam głosów dużo!

Antonio raźnie poruszył wodze: siwek dał szczupaka i pomknął. Serce mu uderzyło naraz jak dzwon: przecież ten koń do niego teraz należy! Nie dogoni go kula, szybki jak wiatr. A że Gutierrez go podarował?... Nie szkodzi, można brać bez skrupułów. To tak jakby go otrzymał od rządu. Bo na pewno zakupiono go za skarbowe pieniądze!...

## II.

Wjeżdżali do Chauchy. Antonio wzruszył się. Znał tu każdy kąt, każda uliczka przypominała mu dawne dzieje i jego słodką Mercedes. Nie widział jej od dawna, listy dochodziły do niego rzadko, a mimo to był pewien, że spotka się z gorącym przyjęciem. Ileż łez wylewało biedactwo przy każdym rozstaniu, ile padało zaklęć, jak wielkie były jej przysięgi, że wytrwa wiernie, dopóki nie skończy studiów!...

Rozczulił się, rozmarzył, coraz tęskniej spoglądał ku jasnej luce widniejącej na końcu uliczki, którą jechali. Tam był Plac Broni, przy nim właśnie mieszkała. Nie mówił nic. Za to jadący obok Manuel gadał za dwóch, wciąż się unosił nad urokami tego zakątka, coraz szerzej rozwodził się nad zaletami swojej wybranki. Antonio od czasu do czasu kiwał pogodnie głową. Rozumiał jego uczucia: chłopak

zakochany był do szaleństwa i trzeba było co najmniej udawać, że się go słucha.

Uliczka skończyła się, dalej był plac. Manuel przystanął i wyciągnął przed siebie rękę.

- Patrzcie, czeka już na mnie moja Mercedes! - wykrzyknął w zachwycie. - Tam w oknie, naprzeciw! Nie śliczna? Rzeczywiście było tam widać dziewczęcą główkę. Antonio spojrzał i nagle przeniknął go mróz, a plac, konie, ludzie, ulice i kamieniczki zakręciły się w jakimś potwornym wirze. W tym oknie bowiem stała jego Mercedes! Piękniejsza jeszcze niż dawniej, tak samo radosna jak wówczas, gdy przyjeżdżał tu w odwiedziny. I tak samo wdzięcznie powiewała teraz chusteczką...

Antonio cofnął się nieco. Zastonił go mur.

- Źle się czuję - mruknął, starając się trzymać na wodzy wzburzone nerwy. - Musiałem zjeść po drodze jakieś paskudztwo... Wybaczcie mi więc, moi drodzy, że skieruję się do oberży. Nie chcę wam psuć nastroju.

Nie potrzebował udawać. Serce biło jak dzwon, twarz pobladła, oczy przymykały się, same. Manuel rozżalił się nad nim i nie chciał nawet słyszeć o rozstaniu, lecz wtrącił się, na szczęście, Gutierrez:

- Daj mu spokój - zakończył spór. - Ma rację: po co psuć nastrój w chwili tak radosnego spotkania? Wypocznij przez noc, a rano dołącz do towarzystwa. Z Chauchy - roześmiał się - przecież nam nie ucieknie!

Nacisnął konia ostrogami i pomknął kłusem przez plac; za nim ruszyli inni. Antonio obserwował ich chwilę, a potem udał się w przeciwnym kierunku. Był przygnębiony, wściekły, targał nim głuchy, serdeczny żal. Wydawało mu się, że poniósł straszliwą klęskę. Tam w Limie mogło zdarzyć się wszystko. Ale żeby w tym odcięty od świata zakątku ta śliczna dziewczyna, wyczekująca, na niego cierpliwie przez tyle lat, zapomniała nagle o wszelkich przysięgach, nie chciało mu się pomieścić w głowie. Do żalu szybko przyłączył się gniew. Zwykła, prosta dziewczyna, a wystrychnęła go jednak na dudka!... I to dla kogo? Dla Manuela. Dla kuma Gutierrez, który wszedł w jego dom jako najlepszy przyjaciel!...

Przeżuwał w zdenerwowaniu tę porażkę, tym większą, że po drodze układał już piękne plany, w których ojciec Mercedes miał odegrać poważną rolę. Ubiegł go w tym Gutierrez, pomieszał szyki. A wszystko przez tę czarnooką dziewczynę, nie umiejącą dotrzymać wierności!... Dlaczego jeszcze trochę nie poczekała? Dlaczego...

Zbuntowało się w nim wszystko, pod naporem wściekłości uniósł raptownie głowę. Zadziwił się: koń puszczony swobodnie zabłąkał się między ładne domki, w których mieszkańcy Limy szukali zdrowia i wypoczynku. Przesunął dalej wzrok: przed jednym z nich stała jakaś dziewczyna i przyglądała się z zaciekawieniem strojnej postaci.

Antonio wyprężył się odruchowo, głowę przechylił z wdziękiem. Ładne dziewczęce oczy zawsze działały na niego jak czar. A jej oczy były naprawdę ładne.

- Dzień dobry! - skłonił się sombrerem z wielką fantazją. - Kogo tak wypatrujemy? Narzeczony przyjeżdża?

- Nie stałabym wtedy tutaj. Mógłby popaść w zarozumiałość.

Mówiła miękko, powabnie, w oczach rozigrały się wesołe iskierki. Bardzo jej było z nimi do twarzy. A przy tym umiała odpowiedzieć zręcznie żartem na żart. To także wielka zaleta. Antonio zatrzymał konia.

- Słusznie - pochwalił z wielką powagą. - Narzeczony niech szuka, dla niego zawsze to przyjemne zajęcie. Co innego taki biedny podróżny jak ja. Zmęczony, zgorzkniały, pokryty pyłem... Takiemu warto dodać otuchy.

Bardzo dźwięcznie rozbrzmiał jej śmiech i to ujęło go ostatecznie.

- Kto by przypuścił - wzmożnił natychmiast atak - że w dolinie Chauchy rośnie i taki kwiatuśzek! Płonący jak róża w słonecznym blasku... Jakże pani na imię, panno...

- Klaro - odpowiedziała.

Ostygnął nieco. Nie przepadał za tym imieniem. Nie okazał nic jednak, jako że miał we krwi uprzejmość dla dam, a zresztą i ta znajomość mogła się przydać w przyszłości, lecz już nie przedłużał rozmowy. Równocześnie z wyszukanyimi słowami pożegnania siwek zatańczył, wykręcił i pomknął, a pęd uniósł w górę przerzucone przez plecy poncho. Wiedział, że z daleka wygląda to ładnie, toteż przez pewien czas myślał jedynie o utrzymaniu pięknej postawy. Kiedy jednak zakryły go drzewa, natychmiast zniknęła dotychczasowa fantazja. Uprzytomnił sobie, że w jego sytuacji nie zmieniła się nic, że nie ma nawet gdzie schronić głowy. Stał wprawdzie gdzieś w pobliżu domek Pardy, lecz tam nie chciał zaglądać, nie było też po co wracać do miasta. Miał dość i Gutierrez, i Manuela i właściwie powinien być zadowolony, że się w końcu od nich uwolnił. Nie zamierzał przecież nigdy wiązać się z

nimi na stałe. Ale nie przewidywał tak nagłego rozstania. I to w takich warunkach...

Przez pewien czas błąkał się bez celu między domkami i ogrodami, przeplatając niekiedy gorzkie myśli rozmową z przypadkowo napotkanym przechodniem. Nieznacznie okrążał miasto, a wkrótce zaczął się od niego oddalać. Puścił znów wodze, siwek szedł według własnego uznania. Nie śpieszył się i jak jego pan wydawał się bardzo zmęczony. Raz i drugi odwrócił łeb, jakby zapytywał, dokąd tak będą jeszcze jechali, lecz że nie otrzymywał odpowiedzi, sam w końcu podjął decyzję. Rzeka płynęła obok. Skręcił więc ku niej i zaczął pić.

Antonio popatrzył w lustrzaną taflę i zdziwił się. Dostrzegł w niej własne oblicze, ale tak zmienione, że w pierwszej chwili nie chciał uwierzyć oczom. Odwrócił niechętnie głowę i spojrzał w prawo: skromnie z tej odległości wyglądały domy miasteczka. Zaciął usta w złości, przeniósł wzrok na południe: przed nim ciągnęła się prosta jak strzelił droga królewska Inków, prowadząca do Concepcion. Zapatrzył się na nią, a równocześnie wsłuchał w plusk toczącego się obok nurtu. Dopiero teraz dostrzegł w nim niezwykle interesującą melodię. Baczniej nadstawił ucha. Wydało mu się naraz, że rzeka się śmieje radośnie, że do niego przemawia, że wskazuje kierunek...

Zatroskana dotąd twarz Antonia zaczęła się wypogadzać, zeskoczył z konia. Pochylił się znowu nad wodą i umył. Już bez dalszego namysłu otrzepał starannie ubranie, oczyścił buty, otarte z kurzu strzemiona i ostrogi zalśniły jaskrawym blaskiem. Poweselał. Jest Chaucha, jest także i Concepcion! I wiele innych osiedli. Miejsce dla niego znajdzie się wszędzie!

Siwek przestał pić, ujął więc wodze, aby wskoczyć na siodło. Opuścił naraz wzniesioną nogę; jakiś jeździec zaprząłnął jego uwagę. Oderwał się właśnie od Chauchy i dążył w jego kierunku, lecz był jeszcze słabo widoczny. Obserwował go bacznie. Coś go w nim zaciekało, jakaś powiewność i miękkość spływała z całej sylwetki. Antonio uśmiechnął się do swych myśli i usiadł. Że to była kobieta, był tego już pewien, widział ją coraz lepiej. I że należało na nią poczekać, nie miał też wątpliwości. Na ogół nie lubił podróżować samotnie. A dziś towarzystwo było mu bardziej potrzebne niż kiedykolwiek.

Jeździec pomknął szybciej, otoczyła go chmura kurzu. Widocznie zjechał nieopatrznie z drogi królewskiej na wąską ścieżynę. Zwolnił zaraz, pył zaczął opadać. Antonio pochylił się do przodu i wpatrzył w wielkim napięciu. Coś go poruszyło do głębi. Rzeczywiście to była kobieta... Przybliżyła się szybko. Coraz wdzięczniej pochylała się w siodle jej wiotka sylwetka. I coraz wyraźniej zarysowywała się śliczna twarzyczka...

Antonio zerwał się z miejsca i wybiegł naprzeciw. Jak rycerz starohiszpański zatoczył szeroko sombrero, wymiatając pył spod nóg nadchodzącego już bez pośpiechu wierzchowca.

- O pani - odezwał się uroczyście jak przystało na peruwiańskiego caballera, wędrującego z zamiłowaniem po kraju ojczystym - niech mi będzie wolno złożyć ci hołd! I pozwól nasycić wzrok cudem, który Bóg ukazał mi w swej łaskawości w dolinie Chauchy!...

Zatrzymała konia. Pochylił się i raz jeszcze zatoczył tak wspaniale sombrero, że aż koń zastrzygł uszami.

- Nic piękniejszego nie uda mi się więcej zobaczyć w życiu - westchnął uszczęśliwiony. - Mogę umierać spokojnie!

Uśmiechnęła się, oczy zalśniły powabnie.

- Skąd takie czarne myśli? - odezwała się żartobliwie, - Nie lepiej żyć i patrzeć dalej na taki cud?

Antonio poruszył się, jakby wyrosły mu skrzydła. Zanim się spostrzegła, już był na siodle i zręcznie zataczał koniem.

- Jakże mam ci dziękować za te przemile słowa? - wykrzyknął, nie panując nad przepełniającą go do głębi radością. - Oczywiście wolę patrzeć dalej. I pojedę za tobą wszędzie!

- Nawet na skraj świata?...

- Nawet na skraj świata!

Objęła go przeciągłym spojrzeniem. Musiał się jej spodobać, skinęła bowiem uprzejmie głową i nie mówiąc nic więcej ruszyła naprzód. On, oczywiście, za nią, jak tego wymagał obyczaj od caballera, znajdującego się na grzeczności. Nie odzywał się, bo i ona przez długi czas nie wszczyniała rozmowy. Widocznie jednak w końcu zmęczyło ją to przydługie milczenie, gdyż przywołała go ruchem ręki.

- Jest pan bardzo miły - rzekła ze szczerym uznaniem, gdy się z nią zrównał. - Przybywa pan z Limy? Ale chyba nie dla poratowania zdrowia? Na chleraka pan nie wygląda.

Antonio wyprężył odruchowo pierś. Na pewno na brak zdrowia nie mógł narzekać, lecz mimo to wyjaśnił dość zawile, że to właśnie obawa o życie sprowadziła go do tego zakątka. Tym razem popatrzyła na niego trochę nieufnie. Dostrzegł to i natychmiast uprzedził możliwy atak postawieniem jej tego samego pytania.

- Nie - odparła śmiejąc się. - Mnie nie potrzeba powietrza Chauchy. Za to mój ojciec - spoważniała - nie czuje się dobrze i dlatego przebywa od dłuższego czasu w Concepcion. A że skończyłam niedawno szkołę w Paryżu, więc przyjechałam odwiedzić staruszka.

Oniemiał z wrażenia. Kobieta nawet ze średnim wykształceniem była w Peru zupełnie wyjątkowym zjawiskiem...

W gorących słowach wyraził jej i uznanie, i gratulacje, i współczucie dla ojca, a zrobił to tak ładnie, że musiał ją chwycić za serce. Popatrzyła na niego z wdzięcznością. Rozmowa ożywiła się, zmalowało jego początkowe onieśmienie. Dystansu jednakże pilnował i okazywał nadal głęboki szacunek. Potrafiła to należycie ocenić. Z jej ust popłynęły szczere, zaprawione nierzadko dowcipem zwierzenia o chorym ojcu i o jego starczych słabostkach.

Jechali wolno. Słońce pochylało się ku zachodowi, robiło się coraz przyjemniej. Śliczna była ta droga z Chauchy do Concepcion, najpiękniejsza chyba w całej dolinie. Niekiedy wydawała się płaska jak stół i zapominało się wtedy, że to przecież wyniesiona na kilka tysięcy metrów nad poziom morza kordylierska wyżyna. To znów zwężała się, a łagodne zbocza zaskakiwały mile bogactwem barw i świeżością. Spływał z nich spokój i przenikał do serc, jak czar niezwykle rozmarzał nieznaczenie dusze. Uległ mu Antonio, uległa i ona. Słowa przybierały wciąż na miękkości. Aż wreszcie przestali z sobą rozmawiać. Zasłuchali się w rytmiczne uderzenia podków po twardej nawierzchni inkaskiej drogi i w plusk toczącej się obok rzeczułki.

Ukazała się w dali wieża kościoła w Concepcion. Było cicho i pusto i zdawało się, że nic tu nie może zamącić panującego wokół milczenia, gdy nagle jakieś zwierzątko wyprysło w górę z przydrożnych krzaków. Krzyknęła z trwogi, bo koń jej stanął dęba. Antonio uniósł się błyskawicznie, pochwyił jedną ręką wodze i ściągnął, drugą przytrzymał ją mocno. Wierzchowiec przychodził powoli do siebie.

- Już dobrze...

Antonio odetchnął z ulgą, Zamierzał się odsunąć, lecz w tym momencie dostrzegł wpatrzony w niego uważnie oczy. Były one teraz jakieś inne, jakby cieplejsze, spod czarnych rzęs wybiegało bardzo tkliwe spojrzenie. Coś popchnęło go ku nim, stracił naraz zupełnie głowę. I zamiast odjąć rękę, którą do tej pory ją podtrzymywał, przyciągnął ją mocniej, zamiast wyrazić ubolewanie, zaczął całować.

Odsunęła się po chwili. Spojrzał przytomniej i twarz mu się pokryła szkarłatem. Zrozumiał poniewczasie, że palnął głupstwo.

- O pani! - przemówił skruszony. - Możesz mnie zwymyślać, oskarżyć, zabić. Nie ma takiej męki, która by wystarczyła dla takiego łotra jak ja. Dlatego nawet nie proszę o wybaczenie...

Bez słowa ruszyła dalej. Powlókł się za nią. Był zły na siebie, Zawstydzony, że zmartwienia zwiesił bezradnie głowę. Wszystkie zapomniane kłopoty zwały się znowu z furią. Do Chauchy nie miał dostępu, Concepcion spalił, zanim tam jeszcze dojechał. Mógł zyskać wielką przyjaźń, a natychmiast ją utracił. Ledwie piękne oczy rozbliły ciepłem, musiały zmrozić go pełnym niechęci spojrzeniem...

Jechali tak przez pewien czas każde oddane swym myślom i każde przeżywające na swój sposób to nieprzyjemne zdarzenie. Antonio uniósł wreszcie powoli zwieszoną dotychczas głowę. Wieża kościelna płonęła złotem, ostatnie promienie słońca padały na nią skośnie znad gór. Popatrzył na jadącą przed nim dziewczynę i bardziej zmarkotniał. Zachwycająco wyglądała w tej chwili jej smukła sylwetka, jak obraz szczęścia wdzierająca się w blaski zachodu. Targnął nim żal serdeczny; był pewien, że już więcej nie zamieni z nim słowa.

Siwek potknął się o coś, mocniej uderzył kopytem w ziemię. Antonio naraz szeroko otworzył oczy. Wydało mu się, że dziewczyna zwalnia, że zmniejsza się między nimi odległość. Pochylił się w siodle i znieruchomiał. Stała. Czekwała na niego...

- Słucham - przemówił pokornie, gdy zrównał z nią swego wierzchowca. - Uczynię wszystko, co mi pani rozkaże.

Wpatrzyła się w niego tak badawczo, jakby go chciała przeniknąć na wskroś. Mocny to był wzrok. Takich dziewczęcych oczu jeszcze nigdy nie widział.

- Jak się nazywasz? - zapytała znienacka.

Zawahał się. Kłamać nie chciał, a bał się powiedzieć prawdę. Za blisko była Chaucha, za blisko Gutierrez.

- Antonio... - zaczął przewlekłe.

- Aha, Antonio! - wtrąciła szorstko. - A nazwiska nie chcesz powiedzieć. Albo nie możesz... - zamyśliła się nagle. - No cóż, twoja sprawa... Niech więc pozostanie tymczasem Antonio. Gdzie się zamierzasz zatrzymać?

- W Concepcion - Antonio poruszył się raźnie, gdyż w tym przypadku nic nie potrzebował ukrywać.
- W oberży?
- W oberży.

Jakby w zakłopotaniu oderwała od niego wzrok i spojrzała w ziemię. Przez dłuższy czas biła się z jakimiś myślami.

- Antonio, słuchaj uważnie tego, co teraz powiem - odezwała się cicho. - Jeśli chcesz... Jeśli chcesz, możesz mnie znów pocałować...

Ostępiał. Wszystkiego mógł się w tej chwili spodziewać, ale nie takich słów. Nie wierzył uszom. Uniosła powoli głowę. Na twarzy wykwił gorący rumieniec.

- Wiem, co mówię, Antonio - dodała. - Możesz mnie pocałować. Pamiętaj jednak: ja kocham tylko raz i nie uznaję zabawy w miłość. Gdybyś mnie kiedykolwiek zdradził, nie wybaczę ci tego do śmierci. Zastanów się więc dobrze, zanim to zrobisz,

Te bardzo rozważnie wypowiedziane słowa uczyniły na nim wstrząsające wrażenie. Pochylił się jak człowiek przytłoczony nadmiernym ciężarem, serce zaczęło mu uderzać nierówno. Załknął się w pierwszej chwili. Te piękne oczy trzymały go jednak jak na uwięzi, przyciągały ciepłem, wielką słodczą pogłębiały wzruszenie. Ujął delikatnie jej rękę i przycisnął do ust.

- Ufaj mi - rzekł tak uroczyście, jak to ona zrobiła przedtem. - Nieraz palnęło się głupstwo, ta i owa zawróciła mi w głowie, lecz zawsze było w tym więcej zabawy aniżeli miłości. A to uczucie, które spadło na mnie tak zniecka, jest mocne. Znam siebie dobrze. I wiem, że ci dotrzymam wierności.

Zatrzepotała rękami, usiłując powstrzymać łzy. Przytulił ją do siebie, a potem wziął za rękę i odtąd jechali razem. Ukazały się pierwsze domy miasteczka.

- Jak ci na imię? - przypomniał sobie, że tego dotąd nie wiedział.

Zerknęła na niego zalotnie.

- Może ci nie przypadnie do gustu? - szepnęła. - Mercedes...

Ukazał się nagle dawny Antonio: trochę buńczuczny, wesoły a energiczny. Tego mu tylko brakowało do szczęścia! Zanim zdała sobie sprawę, co zamierza uczynić, już pochwycił ją wpół, przerzucił na swego wierzchowca, a potem w gorących słowach zaczął opowiadać, ile mu to imię przysparza radości.

Ostatni promień słońca zniknął właśnie poza górami, zatonąła w mroku wieża kościelna. Na drodze królewskiej Inków robiło się coraz ciszej. Jedynie podkowy wystukiwały nadal swój rytm twardy, ale powolny. I od czasu do czasu jakoś bardzo swawolnie dźwięczały srebrne ostrogi.

### III.

Domek Mercedes stał na uboczu, z dala od Concepcion. Jej ojciec, wysłużony generał, zdziwił się nieco przybyciem gościa, lecz równocześnie ucieszył, rad najwidoczniej, że będzie miał towarzystwo. Był zresztą zawojowany przez córkę i każde jej słowo stanowiło dla niego wyrocznię.

Dni zaczęły płynąć jak w bajce. Antonio wstawał wcześniej, szedł do ogrodu, coś tam zawsze kopał, sadił albo przycinał i czekał cierpliwie na swą Mercedes. Ukazywała się wreszcie: urocza, radosna, promienna. Potem już przez cały dzień świat był im niepotrzebny. Co prawda, wtrącał się do nich niekiedy generał. Lubił szachy, a że Antonio nauczył się tej sztuki od Miecznikowskiego i grał nawet niezłe, też zabierał się do nich chętnie. Mercedes siadała zazwyczaj przy nim i obserwowała w milczeniu. Za to staruszek był gadatliwy. Cieszył się jak dziecko, gdy wygrał, przesuwając figury - opowiadał w nieskończoność o swych wojennych przygodach. Od czasu do czasu przypominał sobie jednak, że i córka znajduje się obok. Zerkał wtedy na nią nieznacznie, przygrażał palcem, gdy się nadmiernie tuliła, na Antonia rzucał wówczas groźne spojrzenia, lecz zaraz pokrywał wszystko pobłażliwym uśmiechem. Widać było, że szczęście młodych jemu udziela się także.

Któregoś popołudnia, gdy tak zabawiali się w trójkę, dobiegł tętent koni od strony miasteczka. Antonio wyrzwał przez okno i mocno zacisnął usta. Jechał Manuel, a obok niego Mercedes z Chauchy!...

- Co się stało? - Mercedes dostrzegła natychmiast jego zmieszanie i wpatrzyła się w niego w napięciu. - To córka prefekta... Przyjeżdża chyba, aby nas zaprosić na ślub.

Antonio stłumił siłą wzburzone nerwy.

- Nie zależy mi na ich poznaniu - rzekł siląc się na beztroskę - Są powody...

Zaciął się. Wyjaśnienie nie było łatwe, a jej spojrzenie tak sama badawcze i przenikliwe jak wówczas, gdy spotkali się po raz pierwszy.

- Niech będzie, jak chcesz - przemówiła powoli. Podeszła do ojca.

- Antonio nie chce widzieć gości - oświadczyła zwięźle. - Ma swoje powody. Nie wspominaj o nim w czasie rozmowy.

Z kolei generał popatrzył na niego badawczo. Coś go zastanowiło, w zawsze pogodnych i uśmiechniętych dobrodusznie oczach ukazało się niespodziewanie dużo ostrości. Zdawało się, że ma na ustach jakieś zaskakujące pytanie.

- No, dobrze... - mruknął jednak dość obojętnie. - Wasza sprawa, nie moja. Chodźmy! - zwrócił się do Mercedes.

Wyszli, aby powitać gości, Antonio zaś przemknął do swego pokoju. Usiadł, przez pewien czas nad czymś głęboko rozmyślał. Wreszcie wyciągnął rewolwer i zaczął czyścić.

W pół godziny później wsunęła się cicho Mercedes.

- Odjechali - rzekła siadając obok i przyglądając się z wielką uwagą jego zajęciu. - Obawiasz się czegoś?...

- Ech, nie! Nudziło mi się, więc czyszcę, Broń zresztą może się przydać, wybory przecież za pasem. O awanturę w takich czasach nie trudno.

Antonio poweselał. Mercedes widząc, że jest znów w dobrym nastroju, rozpogodziła się także.

- Obyś tylko nie naraził się jakimś tam Gutierrezom - zaczęła żartować. - Nie wiem, kim oni są, bo przecież przez kilka lat nie było mnie w kraju, lecz z tego, co opowiadał Manuel, to smoki gotowe tu pożreć wszystko. Podobno ściągają w dolinę Chauchy wielkie oddziały. I płacą świetnie.

Zauważyła, że ten temat go zainteresował, powtórzyła więc i inne nowiny. Już dziś stronnictwo Pieroli groziło zdławieniem wszelkiego oporu i wcale nie kryło swych przygotowań.

- Ile w tych ludziach musi tkwić nienawiści!... - zastanowiła się naraz nad czymś. - Ten Manuel jest miłym chłopcem i w gruncie niegłupim, ale gdy tylko zaczyna mówić o Pardzie, czerwienieje z pasji. Jacy więc muszą być inni? Pardo i Pardo, wciąż Pardo... Aha, i jeszcze jeden! Jak to on się nazywa? Ten, co bronił niegdyś Callao...

- Malinowski - podpowiedział jej miękko.

- Właśnie: Malinowski. Obce nazwisko, toteż wypadło mi z pamięci. Buduje tę kolej przez Andy. Manuel jednakże twierdzi, że nigdy jej nie przeprowadzi przez Szczyt, gdyż zawisło nad ninn przekleństwo.

- Przekleństwo?...

- Tak się wyraził. Aż wierzyć się nie chce, że powtarzają to ludzie, jakby się wydawało, normalni. A Manuel najpoważniej twierdzi, że bez pomocy diabła pociąg nie może się wznieść na taką wysokość!

Antonio chwycił ją w pół i z wielkiej uciechy zakręcił jak w tańcu.

- Don Ernesto nie da im się spalić na stosie! - wykrzyknął. - Choćby nawet użyli przeciwko niemu święconej wody, przeprowadzi...

Urwał raptownie, zląkł się bowiem, że powiedział za dużo. Wpatrywała się w niego w napięciu, jakby dostrzegła coś niezwykłego. W tym spojrzeniu było jednak coraz więcej czułości, - Nie chcesz, nie mów nic więcej - rzekła serdecznie. Jesteś pełen tajemnic, lecz zbójcą nie jesteś na pewno. To mi wystarczy.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, wybrali się na wycieczkę w stronę klasztoru Santa Rosa de Ocopa. Przebywali tam franciszkanie bosy, mający główną siedzibę w Limie w jednej z najpiękniejszych budowli stolicy. Antonio lubił tych zakonników. Byli to właściwie podróżnicy uzbrojeni w najnowocześniejsze naukowe przyrządy, wdzierający się od wieków coraz głębiej w puszcę nadamazońską i sporządzający mapy terenów, o których często nikt nie miał nawet pojęcia. W zaciszu murów przebywali zazwyczaj krótko. Gdy opracowali zgromadzony materiał i uzupełnili swe wiadomości, wyruszali na nowe wyprawy.

Antonio z Mercedes obejrzawszy klasztor, zawrócili do domu. Nie spieszyli się zbytnio. Słońce wznosiło się powoli, napępniało ciepłem wszystkie zakątki, robiło się coraz przyjemniej. Gdy więc natrafili na zaciszną kotlinę, rozłożyli koc i usiedli. Konie puszczono wolno, zaczęły się paść. Antonio gawędząc, rzucał na nie od czasu do czasu okiem. Zdawało się, że się nad czymś namyśla, że ocenia odległość. Naraz przyłożył palce do ust i gwizdnął. Siwek zastrzygł uszami, lecz nie ruszył się z miejsca. Sygnał powtórzył się znowu. Pochylając się ku ziemi łeb poderwał się, jak odepchnięty

sprężyną.

- Uczysz go czegoś? - spytała zaintrygowana Mercedes.

- Próbuję.

Antonio gwizdnął raz jeszcze. Koń powoli, z ociąganiem, jakby nie był pewien, czy to jego wzywano, zaczął się jednak przybliżać. Nowy świst dodał mu widocznie otuchy. Przyspieszył kroku, a po chwili, galopując, znalazł się przy nich.

Mercedes zaklaskała z uciechy. Antonio przygotował się dobrze do tej zabawy: miał zapas cukru. Wyjął teraz kawałek i podał. Siwek schrupał zadowolony i odszedł znów na pastwisko.

Kilkakrotnie powtórzyły się te ćwiczenia. Skutek był coraz lepszy, koń pędził jak oszalały na każde nowe wezwanie. Antonio doszedł do wniosku, że można zmienić metodę i niespodziewanie dać taki sygnał, jakim go przywoływał Gutierrez. Siwek przyskoczył bez najmniejszego namysłu. Tym razem spotkało go jednak rozczarowanie. Nie tylko nie dostał cukru, lecz odpędzono go ostro. W oczach Mercedes zakręciły się łzy.

- To sygnał zdradziecki - wyjaśnił jej z pośpiechem Antonio. - Jeśli go nie oduczę, mogę przypłacić życiem.

O nic więcej już nie spytała, za to sama przyłączyła się odtąd do tej pozornej zabawy. Po kilku godzinach siwek odróżniał doskonale, co lepsze, a po dwóch następnych dniach takiej nauki znak Gutierrez, nawet najgłośniejszy, nie czynił już na nim najmniejszego wrażenia.

Antonio bardzo był z tego zadowolony. Zdecydował, że minęły czasy beztroskiej wędrowności i trzeba zacząć sprawdzać praktycznie tezy dotyczące pronunciamienta. Dawniej, siedząc obok pięknej dziewczyny, rozwodziłby się nad tym szeroko, głośno podniosłe hasła, rozrzucał przed jej oczyma wielkie obrazy. Dziś milczał. Nawet Mercedes nie powinna się niczego domyślić, chociaż czuł, że coś nieoczekiwanie jej będzie powiedzieć. Przecież to przy niej osiągnął szczęście i bał się podświadomie, aby go nie utracić. Postępował więc bardzo ostrożnie. Aż wreszcie któregoś dnia, gdy znów się znaleźli w kotlinie niedaleko klasztoru, ujął niespodziewanie jej rękę i przycisnął do ust.

- Chcę cię o coś zapytać - przemówił wzruszony. - Czy gniewałabyś się, gdybym odjechał na kilka dni?... Muszę odwiedzić przyjaciół.

Wpatrzyła się w niego czujnie. Coś tam musiała wyczytać w tej tak poważnej w tej chwili twarzy i chyba coś dobrego, gdyż zaniepokojone początkowo spojrzenie łagodniało szybko i wreszcie nabrało zwykłej słodyczy i ciepła.

- Jedź, jeśli trzeba - odrzekła. - Na długo?

- Nie wiem dokładnie... I jeszcze o jedno chciałbym cię prosić: nie dziw się, gdybym potem wyjeżdżał częściej.

Skinęła głową bez słowa. Antonio nabierał ducha.

- A czy nie wzięłabyś mi za złe, gdyby ktoś mnie niekiedy odwiedził? - zadał nowe pytanie. - Oczywiście mężczyzna! - zastrzegł natychmiast. - Może też przybyć w czasie mojej nieobecności jakiś posłaniec... Trzeba będzie za mnie odebrać listy...

Rozważała coś długo w wielkim skupieniu. Antonio zaniepokoił się.

- No tak... - przemówiła jakby do siebie. - Niewątpliwie masz jakieś obowiązki, bez powodu nie przybyłeś przecież w dolinę Chauchy. A jakie?... Antonio - położyła mu ręce na ramionach pod wpływem nagłej decyzji - powiem ci krótko: mój dom jest twoim domem! Gospodarz w nim jak u siebie: I o niczym więcej możesz nie mówić.

Antonio wbił oczy w ziemię. Nie mógł z siebie wydobyć słowa, wzruszenie zdusiło mu gardło. Od pierwszej chwili wyczuł w tej pięknej dziewczynie coś niezwykłego, co go porywało, a równocześnie napępniało onieśmieleniem; coś, co w sposób przemożny zmusiło go już przy pierwszym spotkaniu wyrzec słowa równające się uroczystej przysiędze. Wówczas działał jakby pod wpływem natchnienia, ze swych uczuć nie zdawał sobie jednak dokładnie sprawy. W miarę, jak upływały dni, zaczynał je coraz lepiej rozumieć, coraz jaśniej widział jej wielkie zalety. Nie znała go, a okazywała ogromną ufność. Natrafiała na sytuacje co najmniej dziwne i nie tylko potrafiła poskromić zwykłą kobiecą ciekawość, lecz z wyjątkową subtelnością unikała drażliwych tematów. Gdzie spodziewał się kłopotów, rozstrzygała w sposób świadczący o dużej mądrości. Świadomie czy nieświadomie pogłębiała nieustannie ich wzajemny stosunek, dodawała mu uroku bystrością spojrzenia, nagłą miłością przemieniała nieznacznie w mocne i trwałe, świadome odpowiedzialności i pełne powagi uczucie.

Gdy odjeżdżał, bardzo był zamyślony. Mercedes żegnała się z nim tak, jakby wyprawiała go w bój i mimo woli przyszła mu do głowy, że wie o nim więcej, że w jego myślach czyta jak w księdze. Zastanawiał się nad tym w drodze. Zniknęła bez śladu jego dawna beztroska. Dopiero gdy znalazł się



między ludźmi, ożywił się, gawędził odtąd swobodnie, zartował, jak dawniej przystosowywał się bez trudu do przypadkowej kompanii. Za to dziewczęce oczy nie miały na niego żadnego wpływu i coraz chętniej spędzał noce pod namiotami, z dala od zamieszkanymi osiedli. Przewędrował tak do Huancayo i Huancavelica, zajrzał nawet do Ayacucho, potem się przeniósł na północ, na tereny górnicze, i znowu zawrócił. Popadał w coraz głębszą zadumę. Do tej pory badał jedynie teren, ostukiwał sumiennie jak lekarz mający postawić diagnozę. Wnioski nie były nazbyt pocieszające. Gutierrez działał wszędzie i rzeczywiście wszędzie miał już zdyscyplinowane oddziały. Ludzie zaś dzielili się na dwie grupy: na jego zwolenników i na tych, którzy się boją jego rewolweru i szabli.

Antonio wrócił do domu i cały tydzień spędził przy boku Mercedes. Gdy teraz wyruszył w nową wędrówkę, nabrał nagle energii. Jak wicher mknął przez wieś i miasteczka, jak w swych najlepszych czasach czarował dziewczęta słowem i gestem, starszych rozśmieszał żartem do łez, poważnym matronom przesyłał wdzięczne całusy, gdy tylko się zdarzyła okazja - raźnie i szumnie pchał się w największy tłok. Niekiedy zniknął, ale na krótko. Za to gdy się znowu pojawił, rozbrzmiewały coraz donośniej nie słyszane tu nigdy hasła: „Kolej do Ucayali! Kolej do Cerro de Pasco! Odwodnić zatopione kopalnie, wykorzystać bogactwa doliny Chauchy! Szkoły dla wszystkich!” I naraz jak grom z jasnego nieba huknęło dobitnie: „Niech żyje Pardo!”

Antonio stał się jeszcze ruchliwszy. Za pełnymi entuzjazmu okrzykami niespodziewanie poleciał gniew: „Złodziei i łapowników pod sąd! Pieniądze na oświatę, a nie dla kumów i krewnych! Pierola - precz, Gutierrezom śmierć!...” I raz jeszcze jak refren: „Niech żyje Pardo, pierwszy cywilny prezydent Peru!”

Antonio śmiał się beztrudnie, kiedy to słyszał, obojętnie machał ręką, gdy go pytano o zdanie, lecz nie zaprzestawał wędrówek.

A gdzie przeszedł, tam nazwisko Pardy rozlegało się głośno, roznamiętniało umysły, wzmacniało ducha, na zalęknione dotychczas tereny wносиło bunt. Marcellan Gutierrez zaniepokoił się, potem przestraszył i wreszcie ogarnęła go wściekłość. Po wszystkich drogach krążyły jego patrole chcąc pochwycić tych, którzy wypowiedzieli mu wojnę. Nie trafiał na ślad. Użył więc ostatniego sposobu: rozbijał siłą przypadkowe zebrania, na placach i na ulicach zaczął ogłaszać nazwiska ludzi, którzy zginą, jeśli nie wygra wyborów. To rzeczywiście pomogło, jego przeciwnicy ucichli. Za to w mieszkaniach prywatnych, w oberżach, przy pracy na roli i na pastwiskach - wszędzie, gdzie tylko nie czaił się wróg, słychać było wciąż szepty. I w odpowiedzi na wzmagającą się brutalność narastał w sercach ludzkich coraz gwałtowniejszy bunt przeciwka nikczemnemu bezprawiu.

W przeddzień wyborów Antonio zajrzał do Concepcion. Z Mercedes nie widział się od dwóch tygodni, więc czułym słowem nie było końca. Dopiero generał zamaścił im czar tego przemiego spotkania.

- Jak tam z robotą? - przemówił raźnie, wchodząc do altanki, gdzie się przed nim ukryli.

Antonio parsknął śmiechem, jakby i to pytanie, i ta dziarska mina staruszka wzbudziły w nim nieopohamowaną wesołość. - Co za robotą? - wzruszył ramionami beztrudnie. - W dolinie Chauchy szkoda czasu na pracę. Wystarczy powietrze.

Generał usiadł. Popatrzył na niego trochę chmurnie, a trochę kpiąco.

- No, no, wisusie! - przygroził palcem. - Wpuściłem cię pod swój dach, nic nie mówię, gdy się zalecasz do córki, pozwalam się nawet ogrywać niekiedy w szachy, więc mógłbyś w końcu i o sobie coś opowiedzieć. Co prawda, nie ma to wielkiego znaczenia. Gdybyś zajmował jakieś wybitne stanowisko przy rządzie czy w rządzie, oczywiście bym cię wyrzucił, Pamiętam bowiem o naszej dobrej peruwiańskiej zasadzie: od takich, którzy stoją na świeczniku, uciekaj, ;gdyż za chwilę mogą się zwalić w dół; za to biedakowi zawsze uprzejmie uściśnij rękę, jutro bowiem może się znaleźć na górze.

Antonio zgodnie pokiwał głową. Znał tę zasadę i stosował sumiennie, tym bardziej że w jego pracy o pronunciamientach znajdowała ona głębokie uzasadnienie.

- A że ciebie muszę raczej zaliczyć do nędzarzy - generał uśmiechnął się dobroduszenie - więc masz do mnie zawsze otwarte drzwi. Coś niecoś o tobie wiem i na razie wystarczy... Chcesz być skryty, nie szkodzi. To także zaleta. Ale jedno mi powiedz: kto zwycięży? Gutierrez czy Pardo?

- Pardo!

Generał wpatrzył się w niego czujnie.

- Hm, Pardo... - mruknął. - Duża jest w twym głosie pewności... Po czym tak sądzisz?

Antonio tajemniczym ruchem przyłożył palec do ust. - Po organizacji - szepnął.

Staruszek zaczął trzeć brodę z takim rozmachem, jakby ogarnął go nagły niepokój.

- Toś ty niegłupi - oświadczył po chwili. - Organizacja... Organizacja w ciszy, bo szepcesz, a wiadomo, że taka najlepsza. A nie sądzisz, że Gutierrez okaże się zręczniejszym organizatorem?...

Antonio założył nogę na nogę, przechylił się do tyłu i zakolysał rytmicznie.

- Organizacja nie znosi nieuctwa - odparł beztrzesko. - A Gutierrezowie przy Pardzie to przecież analfabeci.

- Hm, dużo w tym racji. Prawdziwie inżynierską masz głowę, Antonio... I przy tym solidną: co powiesz, pasuje. Ale co będzie jutro, gdy odezwą się rewolwery? Bo że się odezwą, to pewne. A w tym zarówno Gutierrezowie jak i Pierola mieli zawsze nad Pardą przewagę.

Antonio spojrzął przed siebie. O kilkadziesiąt kroków od altanki siedział na wystającej gałązce maleńki ptaszek. Wskazał na niego ręką.

- Widzi go pan dobrze? - zapytał. - Chociaż nie, jego szkoda - zawahał się nagle. - Przecież to nie Gutierrez... Ale tam obok niego wystaje listek. Dostrzegł go pan?

- Dostrzegłem. Więc co...

Generał nie zdążył dokończyć, gdy Antonio ruchem tak szybkim, że prawie go nie zdążył pochwycić okiem, wyciągnął rewolwer i palnął bez celowania, od ręki. Ptaszek prysnął w bok. Ale już i listka nie było.

- No, no, no!... - staruszek z wielkim trudem przychodził do siebie. - Takiego strzału nie widziałem jeszcze w swym życiu. Zaczynam wierzyć w twe przepowiednie... A może naprawdę jesteś inżynierem?

- Nie. Prawnikiem.

- Też dobrze. Prawnik i inżynier to przyszłość Peru. Nie domyślasz się nawet, ile mi tym strzałem sprawiłeś radości. Najchętniej bym cię uścisnęła. Czułości zostawmy jednak na później, na pewno będzie wkrótce okazja... Mercedes zresztą ci powie...

Był bardzo wzruszony. Wyszedł zaraz. Antonio pobiegł za nim trochę zaintrygowanym spojrzeniem, gdyż w ostatnich słowach nie tylko wyczuł wielką życzliwość, ale i sporo tajemniczości. Odwrócił powoli głowę. Oczy Mercedes wydały mu się bardzo wilgotne i tak tkliwe, że serce rozkołatało mu się na ten widok jak dzwon.

- Antonio, jakis ty dobry!... - szepnęła przytulając twarz do jego policzka.

Przez dłuższy czas pieścił delikatnie palcami jej krocze loki. Zaskoczyły go te słowa odkrywające w nim jakąś prawdę, której dotąd nie poświęcał wcale uwagi, a łzy spływające teraz z jej oczu, zaczęły mu przepelniać duszę błogością.

- Antonio... - szepnęła. - Słucham.

- Jutro odjedziesz?...

- Odjadę.

- Po południu jednak powrócisz?

Odsunął się nieco i popatrzył na nią uważnie.

- Oczywiście, powrócę - odparł odzyskując wesołość. - Powiem ci więcej: jutro po południu nie będę już potrzebował ukrywać ani siebie, ani swego nazwiska. I nie będę odtąd wyjeżdżał. Chyba z tobą, do Limy!

Chciał ją przytulić, lecz go powstrzymała.

- A w Chauchie będziesz? - zadała znowu pytanie.

- Chyba będę. Może też tam zamierzasz się wybrać?

- Tak...

- Wobec tego ukażę się nawet na Placu Broni! A potem wrócimy razem. Ale dlaczego - zastanowił się nagle - dopytujesz się dziś o takie szczegóły?

Zapłonęła jak róża i ukryła szybko twarz na jego ramieniu.

- Bo widzisz... - zaczęła mówić płochliwie. - Ja wiedziałam, że ty będziesz od jutra wolny. I dlatego umówiłam się z ojcem, że jutro damy na zapowiedzi... Zaraz po wyborach...

Antonio chwycił ją na ręce, uniósł jak piórko i zatańczył z uciechy.

- A więc jutro! - wykrzyknął. - Na pewno tam będę i wspaniale zajadę na plac!

Pogładziła go po policzku.

- Tylko nie narażaj się niepotrzebnie - ostrzegła trwożnie. - Pamiętaj, że i mnie jesteś potrzebny. Nie tylko don Ernestowi i Pardzie...

#### IV.

Ranek wstał piękny i świeży, a wkrótce zaczął się ruch. Z północy i z południa, z zachodu i wschodu wszystkimi drogami i ścieżkami ściągali ludzie przystrojeni odświętnie, kierując się w stronę Chauchy. Jak zwykle w niedzielę, przybywali na nabożeństwa. A dziś mieli ponadto złożyć głosy do urny wyborczej, aby zdecydować na cztery następne lata o losach swojej ojczyzny.

Z dala od miasta i od drogi królewskiej znajdowały się ruiny dawnego fortu czy też starożytnej świątyni i właśnie stamtąd Antonio obserwował dolinę. Nieco dalej, za załomami kryli się ludzie piesi i konni. Spoglądał na nich od czasu do czasu i radował się coraz bardziej. Przecież to był żywy dowód wspaniałej organizacji. Wyrosli oni jak spod ziemi, przedtem ani ich nie znał, ani nie widział nigdy. A przy tym wiedział, że od Huancavelica aż po Cerro de Pasco czają się w tej chwili wszędzie podobne oddziały i jeśli ktokolwiek ośmieli się użyć gwałtu, uderzą bez wahania i zlikwidują bezprawie.

Cieszyło go jeszcze co innego: ci ludzie umieli działać w zupełnej ciszy, nikt nie domyślał się ich istnienia. Toteż najbliższe godziny wykazały, że zaskoczenie było zupełne. Gutierrez w przeświadczeniu, że tylko przy nim znajduje się siła, zaatakował śmiało, jego żołdacy otoczyli urny i grożąc rewolwerami domagali się okazywania kartek wyborczych. Niespodziewanie napotkali jednak na twarde opór. Rozbrajano ich szybko. Gdzie zaś zdążyli użyć broni, przeciwstawiali się natychmiast ludzie ofiarni i w sposób bezwzględny zaprowadzali porządek.

W miarę jak upływały godziny i przybywało zewsząd meldunków, Antonio stawał się coraz bardziej pogodny. Wróg szedł wszędzie w rozsypkę. Tu i ówdzie zakończono już głosowanie: zwyciężył Pardo. To nazwisko powtarzało się coraz częściej. Nikt nie wiatował, nikt nie podnosił głosu, aby nie spłoszyć ciszy. Ale nawet cisi zazwyczaj górale powtarzali je z coraz większym przejęciem.

W Chauchie panował, jak dotąd, zupełny spokój. Antonio trochę się dziwił. Tam przecież znajdowała się główna kwatera wroga, czuwał osobiście Gutierrez. Raz i drugi wysłał kurierów: nie zmieniała się nic. Nieprzyjaciel nadal był w dużej sile, wahał się po ulicach lub pił po oberżach, lecz nie przeszkadzał. Widocznie postanowił zastosować tu inną taktykę. W okolicy mieszkało sporo Limańczyków, nie chciał więc najwidoczniej z nimi zadzierać, a za to załatwić sprawę w sposób najprostszy: pochwytać urny, gdy -będą liczone głosy, i zmienić kartki.

Antonio spojrzął na zegarek: dochodziła druga. Doszedł do wniosku, że nadszedł czas. Za chwilę powinny się zakończyć wybory i za chwilę na pewno uderzy Gutierrez. Dał więc rozkaz, zbrojni ludzie błyskawicznie dosiedli koni. Stanął na czele oddziału, a potem bocznymi drózkami zaczął się nieznacznie przybliżać do miasta. Nie ujechał daleko. Z naprzeciwka wyskoczył kurier niosący groźny meldunek:

- Nieprzyjaciel skupia się w bocznej uliczce! Ludzie zaczynają uciekać z placu!

Przypadł do Antonia jego zastępca.

- Atakujemy? - zapytał w gorączce.

- Jeszcze nie. Tylko na gwałt odpowiada się gwałtem, bo inaczej będzie to z naszej strony bezprawie. Dotąd oni nie atakują. Trzeba poczekać.

Rozbrzmiało to uroczyście i bardzo spokojnie, a jednak sprawiło wielkie wrażenie. Uciszyło się natychmiast, mocniej się zwały szeregi. Antonio nie interesował się tym specjalnie, gdyż znał doskonale wagę tych słów. Właśnie dzięki nim zdołał od Cerro de Pasco po Huancavelica pozyskać powszechną ufność, one jednały mu serca swą niezwykłością w tym kraju burz, gdzie do tej pory decydował zawsze rewolwer. Toteż przestrzegał ich bacznie, samemu sobie nakładał często hamulce. Wiedział bowiem, że jeśli choć raz popełni błąd, rozpadnie się natychmiast cała jego misterna robota.

Wjechał w uliczkę. Ukazał się nowy kurier.

- Panie komendancie, wróg uderzył na lokal wyborczy! - meldował. - Na szczęście zdążono zatrzasnąć bramę na czas. Tłuką w nią teraz szablami.

Antonio uśmiechnął się lekko. Nadeszła właściwa chwila, ale nie to go wprawiło w wesołość. Wypłatał figla nie tylko Gutierrezowi, lecz i prefektowi, i całej komisji wyborczej. Nad bramą czuwali od rana jego ludzie i musieli maskować się dobrze, jeśli tak potrafili zaskoczyć wroga. Że utrzymają się przez pewien czas, nie wątpił, gdyż byli świetnie przygotowani na taki wypadek, toteż ciągle się jeszcze nie śpieszył, chcąc przepuścić uciekający w popłochu tłum. Dopiero gdy on przepłynął, rzucił hasło, i jak burza wjechał na plac. W pierwszej chwili zaskoczyła go pustka. Rozejrzał się gorączkowo: ludzi rzeczywiście nie było nigdzie; za to tam w dali, przy budynku wyborczym, rąbano zaciekle bramę

i z obu stron szpikowano ją gęsto kulami.

Antonio uniósł szablę da góry. Donośnym rozkazem porwał do boju szwadron.

- Za prawo! - wzbił się za jego plecami entuzjastyczny krzyk. - Za Pardę! Niech żyje pierwszy cywilny prezydent Peru!

Siwek wyciągnął szyję, kłęby kurzawy otoczyły go zewsząd. Z po-bliskich domów dały się słyszeć głosy zachęty. Rozplomieniły się twarze, sprężyły mięśnie, groźnie rozbłysła broń. Pęd rósł... Antonio już był przekonany, że zacznie za chwilę rąbać, już zaczynał dostrzegać przed sobą rozszerzone ze strachu oczy, gdy nagle dobiegł do jego uszu dolarze mu znany gwizd. Siwek nawet nie drgnął, mimo to gwałtownie osadził go w miejscu. I dobrze uczynił. Z boku wypadł Gutierrez, trzymający dotąd główne siły w ukryciu. Spodziewał się, że wysadzi go z siodła. A teraz pędził na czele wielkiego oddziału, aby wbić się klinem w przeciwnika i od pierwszego zamachu wymieść przed sobą wszystko.

Antonio rzucił okiem na swoich ludzi. Zamieszanie było ogromne. Targnął nim straszny gniew, zgrzytnął zębami.

- Za mną! - ryknął. - Śmierć Gutierrezom!

Skręcił i runął naprzód, za nim poszli natychmiast inni. Nic go już nie obchodziło z wyjątkiem tej jednej jedynej twarzy: roznamiętnionej, zacieklej, przybliżającej się błyskawicznie, dyszącej zemstą i nienawiścią. Nacisnął mocniej ostrogi, siwek skoczył jak iskra. Wróg tuż, a na czele Marcellan! W niego!...

- Bij, zabij! - rozległ się dokoła potężny wrzask.

Przydały się lekcje, których tak cierpliwie udzielał mu Leonard i Miecznikowski... Szabla Gutierreza odskoczyła w bok, dostał go lekko. Tamten zawył z bólu, nieopatrznie przechylił plecy. Uderzył go mocniej i przestał się nim zajmować. Przed oczyma migotała już inna klinga. Ciął, zanim zdążyła spaść. I jeszcze jedna! Rąbnął na odlew, zawinał, rozległ się krzyk. A potem przestał w ogóle rozmyślać. Ktoś tam spadał z konia, ktoś rozkrzyżowywał bezradnie ręce, ktoś błagał, ktoś wzdychał ciężko, ktoś zanosił się jękiem, sypały się kule, kłębił się dym. Szedł jak śmierć pracująca zażarcie kosą, jak jeden przerażający błysk stali zmiatający ludzi i konie. Przerznął się Przez środek kolumny, zawrócił. Jazgotliwy tumult i kwik, biją w niebo paniczne głosy, wróg rzuca się do ucieczki... Spojrzał przytomniej: jakiś młokos. Nieznacznym ruchem strącił go z siodła. Sprężył się w sobie i uniósł nieco w strzemiączkach, gdyż pojawiła się nowa sylwetka. Zmarszczył naraz brwi, ze zdumienia przymknął na moment oczy: znowu Gutierrez! Skąd się tu wziął? Jakim cudem wymknął się śmierci?...

Zagryzł wargi do krwi, silnie szarpnął cugłami. Widział jedynie plecy, gdyż tamten uciekał co tchu. Dopadł go za chwilę i ciął. Zaklął, bo znowu się wymknął. Szabla odcięła tylko przerzuconą przez ramię sakwę.

- Podnieś! - krzyknął do pędzącego za nim jakiegoś jeźdźca. Odwrócił natychmiast głowę. Gutierrez dobywał resztek sił ze zmordowanego wierzchowca. Dojechał do krańca placu, pognął uliczką, niespodziewanie uskoczył w inną. Siwek minął ją z wielkiego rozpędu i dopiero ściągnięte gwałtownie wodze osadziły go w miejscu.

Antonio ochłonął.

- Nie będziemy ścigali - rzekł do tłoczących się przy nim ludzi. - Sprawdźmy, co się dzieje przy urnach. Gdybyśmy tam przegrali, nie byłaby wcale potrzebna ta bitwa.

Oprzytomniał zupełnie. Rozesłał patrole, aby czuwały nad drogami, a z resztą zawrócił na plac. Istotnie atakowano nadal bramę i to tak gwałtownie, jak gdyby rozumiano dobrze wagę chwili i starano się wykorzystać ich nieobecność. Na widok jednak nadciągającej kolumny pierzchli natychmiast wszyscy.

- Więc po kłopotcie - Antonio odetchnął. - Komisja będzie mogła odtąd obliczać spokojnie głosy.

Podjechał do niego ten, który zgodnie z rozkazem pochwylił sakwę.

- Przejrzałem ją - zameldował. - Nic ciekawego. Chyba ten list.

Antonio obejrzał uważnie kopertę: była zaadresowana do Gutierreza. Wyjął papier ze środka, popatrzył na podpis: „Sylwester”.

Poczerwieniał z wrażenia. A więc brat pisze do brata?... Rzucił niespokojnie okiem na treść i naraz zrobiło mu się bardzo gorąco. Była przerażająca w swej brutalności. Sylwester Gutierrez nie ukrywał swoich zamiarów: w razie przegranej - zamach stanu, a Pardzie zetnie się głowę. Wzywał Marcellana do natychmiastowego powrotu do Limy...

Antonio pochylił głowę, ręka mu opadła bezwładnie. Obserwującym go ludziom wydało się, że drży na całym ciele, że targa nim jakieś gwałtowne uczucie i wyładuje się za chwilę w straszliwym

przekleństwie lub w krzyku, który poruszy znów całe miasto.

- Bracia, tutaj odnieśliśmy zwycięstwo... - głos Antonia rwał się, lecz rozbrzmiewał nad podziw spokojnie. - Tam Jednak, w stolicy, przygotowuje się mord. Muszę natychmiast odjechać. Czuwajcie więc tu nad porządkiem i za siebie, i za mnie. A gdybyście znaleźli Marcellana...

Zawahał się.

- Nie, puśćcie go - dodał. - Jeszcze nie dokonał zbrodni, toteż nie wolno go sądzić, a za dzisiejszy napad na komisję wyborczą został już ukarany. Jeśli nie jest ciężko ranny, postarajcie się tylko, abym ja przed nim był w Limie... A tam go odnajdę. W momencie zbrodni!

Antonio szarpnął wodze aż siwek przysiadł, rąbnął go ostrogami, zamiótł kłębem kurzawy, wyprysnął w górę i pomknął przez plac. Zaszumiło mu w uszach, rozłętniły się skronie, rozpacz biła się o lepsze z wściekłością. Co zostawało za nim, stało się naraz nieważne. Tam przed nim był cel: dolina Tarmy, przełęcz orojaska, Rimak, stolica, a w niej śmierć już unosząca się może nad głową Pardy...

- Antonio, Antonio! - dobiegł do niego niespodziewanie rozpaczliwy niewieści krzyk.

Spoza tumanów kurzu wyrosła naprzeciw jego Mercedes. Zwolnił nieco, schylił się, pochwycił ją w pędzie i uniósł.

- Antonio, dokąd? - krzyknęła w panicznej trwodze. - Co się stało? Zatrzymaj konia!

- Nie mogę - ponaglił ostrogami wierzchowca. - Muszę ratować Pardę! Mają go... Jeśli nie zdążę, zabraknie w Peru zwycięzcy. Pardo zginie! Rozumiesz? Zginie w naszym kraju początek prawa. Zginie pierwszy cywilny prezydent, zanim obejmie rząd!...

- Antonio - odezwała się gniewnie. - Pozostań!

- Nie mogę. Wierz mi: nie mogę!...

- Antonio - jej głos nabral niespodziewanie tej niezwyklej tklivości, która zawsze przepelniała mu duszę szczęściem - nie opuszczaj mnie chociaż dziś... Pamiętasz, co mieliśmy załatwić? Widziałam cię w boju... Byłeś wspaniały! I tak się cieszyłam, że wkrótce będzie nasz ślub...

Wypadli na drogę królewską. Siwek niósł, jakby nie odczuwał zwiększonego ciężaru. Przemknęły ostatnie drzewa rosnące wokół miasteczka, wstęga rzeki rozbiły się w słońcu. Antonio rzucił na nią okiem i ogarnęło go rozczulenie.

- Nie płacz, najdroższa... Przecież i mnie jest ciężko. Załatwię tylko sprawy w Limie i wrócę. Natychmiast wrócę.

Pęd rósł, siwek gnał, jakby wyrosły mu skrzydła. Antonio puścił wodze, pochylił się nieco i spojrzał Mercedes w twarz. Zamarł z wrażenia. Chłodna to była obecnie twarz, zupełnie inna niż zwykle, skamieniała i nieprzystępna. Jego czułe słowa odniosły skutek odwrotny: zacięła się w sobie, poruszyły się w niej jakieś mu dotąd zupełnie nieznanne, pełne wrogości uczucia.

- Mercedes - próbował znów do niej przemówić. - Moja...

- Przestań! - przerwała szorstko, - Chcesz jechać, jedź. Ale pamiętaj: nie masz już po co zaglądać do Concepcion. Powiedziałam ci wczoraj, że jesteś potrzebny nie tylko Pardzie i don Ernestowi, ale i mnie. A ty nawet tych kilku godzin nie chcesz poświęcić... Więc jedź. I wiedz, że nie spotkamy się więcej!

Targnął nim żal serdeczny, w miarę jednak jak padały słowa pełne chłodu i nieoczekiwanej twardości, zaczynał się rodzić gniew. Ubodła go ta wzmianka o Concepcion; przecież sama powiedziała mu kiedyś, że ten dom ma traktować jak własny. Ale jeszcze się trzymał w ryzach, jeszcze próbował jej coś wytłumaczyć.

- Mercedes, moja...

- Nie chcę słyszeć nic więcej! - zachnęła się wściekle. - Zatrzymaj konia!

Zacisnęła mocno usta i ściągnęła wodze. Siwek przystanął.

- Pamiętaj - ostrzegła raz jeszcze, gdy stanęła na ziemi. - Nie spotkamy się więcej!

Coś tam załamała się jednak w tym tak dotąd stanowczym tonie, spoza szorstkości wychyliła się bezradność i cicha nadzieja. Nie spojrzał na nią. Spiął mocno ostrogi, go-chylił się, przylgnął prawie do grzywy. Jeszcze miał przed oczyma tę tak słodką zawsze twarzyczkę, jeszcze wydobywał z pamięci tak śliczne niegdyś Obrazy. Ale stopniowo zacierała się wszystko, ginęło w stukocie kopyt, w żałoki, w głębokim poczuciu krzywdy. Natomiast coraz wyraźniej ukazywała się inna twarz. Męska twarz, pełna zadumy, a mimo to mocna w wyrazie, świadoma celu. Przybliża się coraz bardziej, nabiera życia, przemawia: o roli pronunciamienta w podtrzymywaniu bezprawia, a klęskach, o potrzebie reform, o pogłębiającej się wciąż nienawiści w sercach ludzi roznamiętnionych ciemnotą i fanatyzmem. Mądre to

słowa. I tak gorące, jak ,bijące z nich głębokie uczucie dla udręczonej ojczyzny...

Siwek mknie jak strzała, wiatr świszcze w uszach. Antonio się nie ogląda. Przed sobą bowiem widzi już całą postać, widzi dokładnie Pardę, pierwszego cywilnego prezydenta w historii Peru. Nie jest mu on dziś obojętny, w tę niebezpieczną grę w dolinie Chauchy włożył całą swą duszę. I nie pozwoli, aby mu zabrana zwycięstwo, Toteż wie, że pędzić musi. Ile sił, ile tchu w piersiach. Bo tamten człowiek, dla którego nieważne są rządy, a który tak sumiennie potrafi obliczać klęski, w swym szacunku dla prawa nie chce uznać, że w tym kraju rządzi nadal brutalna siła i nie potrafi się bronić. Trzeba mu więc stworzyć osłonę, bo zginie! I użyć siły przeciwko bezprawiu. Tak, jak on to robi, Antonio!...

## V.

Dochodziło południe. Odbywająca się w głównej siedzibie Meiggsa w Limie konferencja przedłużała się i ludzie wydawali się już nieco zmęczeni. Jednakże nikt nie wychodził. Przed chwilą komisja badająca tajemnicę Verrugas zakończyła sprawozdanie, a teraz zaczęła wysuwać wnioski. Nie były one pocieszające: ta dziwna choroba, która pochłonęła dotąd ponad pięć tysięcy śmiertelnych ofiar, pozostawała nadal nieznana. Za to stwierdzono fakt niewątpliwy: kto pracował powyżej Verrugas, nie ginął.

- To nas zastanowiło - omawiał tę sprawę referent. - Zajęliśmy się z kolei Rimakiem. W największym ośrodku epidemii połowie robotników zaczęto dawać wodę sprowadzaną specjalnie z górnego biegu. Śmiertelność w tej grupie poważnie spadła już w pierwszym tygodniu, a po dwóch zniknęła prawie zupełnie...

Malinowski, słuchający dotąd uważnie, odwrócił głowę. Uchyliły się drzwi i po chwili podszedł do niego jeden z urzędników administracji, zawiadamiając o przybyciu jakiegoś interesanta.

- Niech poczeka - inżynier trochę niecierpliwie strząsnął popiół z cygara. - Przecież teraz nie mogę wyjść.

- To samo mówiłem, Twierdzi jednak, że sprawa jest wielkiej wagi.

- Któż to taki?

- Jakiś młody człowiek. Nie chciał wymienić nazwiska.

Malinowski jakby się zdziwił i nie pytał o więcej. Ale gdy się znalazł na korytarzu zdziwienie jego wzrosło, ujrzał bowiem przed sobą Antonia.

- Ach, to ty! - chwycił go radośnie w ramiona. - Skąd wracasz?

- Z Chauchy.

- Więc tam cię jednak zaniósł! A dlaczego tak szybko?... Nie patrzyłeś, jak się odbywają wybory?

- Patrzyłem. Brałem nawet w nich udział.

Malinowski odsunął się nieco i objął go uważnym spojrzeniem. Coś go zastanowiło w tych odpowiedziach, nie było w nich ani zwykłej werwy, ani dźwięczności. A teraz dostrzegł coś więcej: wychylające się spoza na ,pozór dziarskiej postawy i pięknego stroju caballera śmiertelne znużenie.

- Musiałeś pędzić, ile tchu w piersiach... - rzekł miękko. - No, co się tam stało? Kto wygrał?

- Parda!

W oczach Malinowskiego ukazało się zdumienie.

- Jesteś tego pewien?... - zapytał cicho. - Przecież konserwatyści rzucili tam duże siły!

- Już ich nie ma. Rozbite. Zwyciężył Pardo!

Antonio jakby się zadyszał z wysiłku, krótko i sucho padały zdania. Malinowski wpatrywał się w niego w coraz większym napięciu.

- Więc Pardo zwyciężył... - odezwał się w zamyśleniu. - Wszędzie zwyciężył. Ale że tam... Wprost nie chce się wierzyć. Rewolwery musiały grać od Cerro de Pasco po Huancavelica, siła przeciwko Pardzie była olbrzymia... I kto ją rozbił?

Szczęki Antonia drgnęły, twardo zacisnęły się usta. Milczał.

- Kto rozbił te zbrojne bandy, krążące tam od wielu tygodni? - przynaglił go Malinowski. - Do tego była przecież potrzebna zupełnie niezwykła organizacja!

Antonio wbił oczy w ziemię. Inżynier zmarszczył brwi; coś zaczął odgadywać z tego upartego milczenia. I naraz przycisnął go mocno do serca.

- Więc to ty zrobiłeś!... - w jego słowach rozbrzmiało głębokie wzruszenie. - No wiesz, wszystkiego mógłbym się spodziewać... Wielkie głowy biedziły się, jak tam się wedrzeć, i nic z tego nie wyszło. A ty, człowiek młody, prawie nieznan na tamtym terenie... Dokonałeś wielkiego dzieła, Antonio, bo to była z góry stracona pozycja. A tyś ją uratował. W tajemnicy przed nami, samotnie... Dla kogoś to zrobił, Antonio? Chyba nie dla mnie?

- Dla pana także. Przede wszystkim jednak dla Pardy. Byłem mu winien dużo... Należało jakoś...

Pierś Antonia uniosła się gwałtownie, jak gdyby targnął nią suchy szloch, nie mogący się wydobyć na zewnątrz.

- Należało! - potwierdził raźniej jakąś ukrytą myśl.

Malinowski objął go ramieniem i poprowadził do krzesa.

- Usiądźmy - rzekł. - Wielką sprawiłeś mi niespodziankę... Musiałeś lecieć na skrzydłach, gdyż jesteś pierwszym zwiastunem tego nieoczekiwanego zwycięstwa. Oczywiście zrobiłeś słusznie wywołując mnie z sali. Taka nowina...

Antonio jakby się ocknął.

- Nie wywołałbym pana dla niej - przerwał mu. szybko. - Mam znacznie ważniejszą sprawę.

Podał list Gutierrezza. Malinowski przeczytał i znieruchomiał. Przez dłuższy czas wpatrywał się w pusty zupełnie korytarz,

- Tak, to istotnie bardzo ważna wiadomość - odezwał się wreszcie. - Sylwester chyba się nie zawaha przed zbrodnią...

- Na pewno się nie zawaha. Dobrze go znam!

Malinowski wstał.

- Trzeba zatem działać natychmiast - rzekł. - Zaszły w twojej nieobecności inne fakty, które potwierdzają, że sytuacja jest groźna. Zastanawiałeś się może, gdzie ukryć Pardę?

- W Peru nie będzie nigdzie bezpieczny. Jeśli Gutierrezowie sami go nie zabiją, wynajmą mordercę. Powinien odpłynąć i to, bezzwłocznie. Niech poczeka, dopóki Balta nie zakończy urzędowania.

- Chyba tak będzie najsluszniej... A tymczasem należy załatwić jeszcze pilniejsze sprawy. Poczekaj tu na mnie z pół godziny. A może chciałbyś posłuchać dyskusji o chorobie Verrugas? Po drodze obserwowałeś pewnie jej skutki?

Antonio skinął głową. Jak podmuch grozy wyłoniły się przed nim oglądane niedawno obrazy: przepełnione lazarety, olbrzymie cmentarze koło Verrugas, baraki wiejące kompletną pustką. Uciekli stamtąd robotnicy lub wyginęli, powrócili do domów pracujący dotąd ofiarnie Indianie, przerażeni sprawdzaniem się przepowiedni. A chociaż niżej ujrzał tory wykończone już całkowicie i do Limy wjechał nawet na parowozie, to jednak ten piękny szlak nie mógł zatrzeć w pamięci nieprzejrzanym szeregów nagrobnych krzyży.

- Tak, to straszne - Malinowski domyślił się widocznie, co się w nim dzieje. - W Oroi, oczywiście, byłeś... - zastanowił się nad czymś. - Wstąpiłeś do Santillana?

- Wstąpiłem, lecz nie było go w domu. Spotkałem się z nim dopiero w obozie przed Surco.

Malinowski wydawał się zaskoczony.

- Przed Surco - potwierdził Antonio. - Chociaż nie miał tam nic do roboty, nie odszedł. Ale po rozmowie ze mną odjechał. Po ludzi.

- I sądzisz, że uda mu się ich sprowadzić z powrotem?...

- Na pewno. Wybory przecież za nami - w oczach Antonia przewinęła się jakiś wesoły chochlik. - A na krótko przed głosowaniem odkryłem nareszcie prawdę - słowa wciąż przybierały na sztucznej powadze. - To Gutierrezowie wezwali na pomoc piekielne zastępy, aby ludzi z gór nie dopuścić do Pardy! A że rozbiliśmy ich doszczętnie, diabły przestaną hulać. Santillan potrafi dobrze wykorzystać tę prawdę.

- Masz głowę nie od parady. Rzeczywiście wspaniały argument. A co najważniejsze, ma on obecnie pokrycie. Choroby nie znamy nadal, lecz przestała być groźna. Sam zresztą posłuchaj.

Wprowadził go do sali. Potem podszedł do Meiggsa, coś mu szeptnął na ucho i przeszli do jego gabinetu.

- Dobrze, że mnie wyciągnąłeś - uśmiechnął się Jankes zadowolony, - Zmęczyło mnie to Verrugas. Nikt mi nic nie może zarzucić, gdyż w komisji znaleźli się najwybitniejsi fachowcy ze Stanów i z Europy. Lecz zawsze to nieprzyjemne...

Nalał do szklanki chłodnego soku owocowego i wypił.

- Więc Pardo - zagadnął - zwyciężył wszędzie? A tam w górach?

- Także.

Meiggs popatrzył na niego spod oka i zabębnił nerwowo palcami.

- No, wygrać wybory, a objąć władzę, to w takich krajach dwie sprawy różne - przemówił z namysłem. - Widziało się w życiu niejedno... Ani Balta, ani Gutierrezowie, ani Pierola nie odejdą dobrowolnie od skarbu.

- Pierola - wtrącił inżynier miękka - odpłynął rano do Europy.

- Kto ci to mówił? - Meiggs poczerwieniał. - Pierola do Europy?... Dlaczego?

- Bo z nich najmądrzejszy. Czuje, że może pohańcić się wkrótce krew, a on nie lubi nadstawiać głowy. Zadłużył przy tym kraj na miliard franków i Dreyfuss kręci nim teraz jak chce, więc woli nie ponosić dalej odpowiedzialności. Niech przez pewien czas użera się Pardo. I niech on ratuje Peru od ostatecznej ruiny.

Meiggs zasapał ciężko.

- A to łotr! - wściekł się. - Dlatego nie chciał ostatnio wypłacić ani dolara. Topił wszystko w wyborach. A resztę zabrał na statek!

- Chyba tak zrobił, bo nie lubi odchodzić od skarbu z pustymi rękoma. No cóż, stało się... Szkoda mi tylko Balty, gdyż pozostał teraz sam na sam z Gutierrezami, a to wyjątkowo nieprzyjemna kompania. Może popełnić głupstwo. I po co mu to? Chłop porządny, zgadzamy się na to obaj. I lepiej by było, gdyby przekazał Pardo władzę w oznaczonym przez konstytucję terminie. Bez walki.

Meiggs wpatrywał się długo w spokojną twarz inżyniera, jak gdyby chciał z niej odczytać i tę resztę, której mu nie przekazano słowami.

- Sami mu to wytłumaczcie - odezwał się wreszcie szorstko. - Nie dla mnie robota. Kończę, co do mnie należy, zabieram zysk i pędzę do Ekwadoru lub do Boliwii. Business is business. Z bankrutami nie chcę mieć da czynienia!

Tym razem Malinowski przysunął do siebie szklankę i napełnił ją sokiem, a potem nalał do drugiej.

- Napij się - rzekł. - Masz rację: business is business. Za powodzenie twojej nowej wyprawy!

Meiggs coś mruknął pod nosem, lecz wypił. Inżynier nalał ponownie.

- W każdym razie - dodał - będziemy się musieli widywać jeszcze przez pewien czas. Pobranych zaliczek wystarczy co najmniej na rok.

- Cóż to: prowadzisz za mnie rachunki?

- Nie, obliczam na oko. Natomiast po roku może się wszystko zmienić. Z Pardy dobry gospodarz.

Meiggs popatrzył na niego przeciągle.

- Więc co? - zapytał. - Mam iść do Balty i wytłumaczyć mu, że nie powinien siłą zatrzymać władzy?

- Byłby to bardzo rozsądny krok. Ja mu już o tym mówiłem, lecz że twoje zdanie też ceni wysoko, mógłbyś mnie poprzeć. Bo chyba i dla ciebie tak będzie lepiej. Przy nim nic więcej nie zarobisz, to pewne. A przy Pardo wszystko jest jeszcze możliwe.

Meiggs zastanawiał się nad czymś przez pewien czas. Poprzednia czupurność zniknęła bez śladu, na czole pogłębiały się zmarszczki.

- A jeśli nie zechce ustąpić? - mruknął. - Albo jeśli Gutierrezowie wystąpią zbrojnie? Co wtedy?...

Malinowski wzruszył ramionami i wstał.

- Muszę dziś jeszcze załatwić kilka poważnych spraw - rzekł wyciągając rękę na pożegnanie. - A co będzie?... Czas to pokaże.

Wyszedł, zabrał po drodze Antonia i skierował się z nim do domu. Na ulicach panował rozgłośny gwar. Limańczycy, jak zawsze pełni temperamentu, omawiali głośno wypadki, ktoś co chwila podawał jakiś nowy meldunek. Czuło się w tym dużo radości. Znudziły się wszystkim dotychczasowe rządy, niepokoił ogrom nadużyć, przerażała klęska, która za nimi się kryła. Toteż i nazwisko Pardy rozbrzmiewało coraz donośniej, gdyż nawet jego wrogowie widzieli w nim dziś jedyny ratunek. Ale też często wspomniano, Pierolę. Rozeszła się już wieść o jego ucieczce. Mówiono więc o niej i coraz zajadziej rozprawiano o jego przeszłości. Przecież postąpił jak w czasie hiszpańskiego najazdu: umknął, gdy groziło niebezpieczeństwo, skrył się, gdy trzeba było złożyć przed narodem rachunek. I znowu pozostawił skarb ,pusty...

Antonio wsłuchiwał się z zaciekawieniem w te głosy, lecz dziś sływało to po nim jak woda, a jedynie twarz nabierała coraz większej powagi. Rozumiał lepiej od tego tłumy, co się naprawdę dzieje, dostrzegał jaśniej, co się stanie w przyszłości. To go męczyło. Nie rozpogodził się nawet podczas



obiadu, bardzo był skupiony w czasie późniejszej narady, którą zorganizował u siebie inżynier. Wieczorem zaś wyszedł samotnie i ,przepadł odtąd jak kamień w wodę.

W tydzień później Malinowski znowu go jednak zobaczył, lecz tym razem w skromnie urządzonej mieszkanie przy drodze prowadzącej do portu w Callao. Nie był tu sam. Obok niego siedział Pardo i Habich, w sąsiednim zaś pokoju przebywało kilku młodych ludzi i przy świetle naftowej lampy zabawiali się w karty.

Inżynier wstąpił tam najpierw, przyjrzał się twarzom, pogawędził chwilę i wrócił do pierwszego pokoju.

- Wydaje mi się, że już najwyższy czas - rzekł wyjmując z kieszeni zegarek. - Dziesiąta... Czuję w powietrzu coś niedobrego. Balta przed godziną złożył oświadczenie dla prasy, że nie tylko ustąpi, ale i dopilnuje, aby nowo obrany prezydent nie natrafił na żadne trudności. Ale mam też wiadomości, że Gutierrezowie lada chwila chwycą za broń. Zbierajcie się więc w drogę, aby nie było za późno. Statek przygotowany, pod parą. Gdy znajdziesz się na nim, odpłynie i będzie krążył przy brzegach, dopóki nie damy ci znać.

Antonio wpatrzył się w Parda ze szczerym uznaniem. Ten prezydent, który zgodnie z konstytucją ma objąć za tydzień urząd, nie chciał szukać schronienia na obcej ziemi. Nie brakuje mu wcale odwagi. I chociaż zabezpiecza się od bandyckiego napadu, nie opuszcza ojczystej ziemi...

Antonio podniósł się z miejsca.

- Ruszamy? - zapytał.

Pardo skinął głową. Antonio zabrał młodych ludzi, wyszedł z nimi do patio, gdzie stały kanie, i w kilka minut później niewielki oddziałek ruszył do portu. Niekiedy rzucił na nich okiem jakiś zapóźniony przechodzień, chociaż się specjalnie nie dziwił. W tym mieście, gdzie do tej pory nie było ani jednej dorożki i nawet piekarz czy rzeźnik rozwoził towar do klientów w koszach czy jukach umieszczonych za siodłem, taka kawalkada była normalnym zjawiskiem, jak normalnym zjawiskiem była broń u baku osoby cywilnej.

Antonio jechał na czele. Puścił wkrótce konia klusem, za nim pomknęła szybciej cała kolumna. Znikaly drzewa, ginęły coraz rzadsze domy przedmieścia, aż wreszcie zrobiło się pusto. Przed nim rozciągała się szara, tonąca w księżycowej poświacie, monotonna płaszczyzna. Równocześnie coś się zmieniło pod nogami wierzchowców: twarda powierzchnia urwała się nagle, kopyta miękko zaczęły uderzać w ziemię. Odruchowo odwrócił głowę: za nim pozostała jasna i prosta jak strzała szosa; przed nim słał się tylko piaszczysty szlak wydeptywany od wieków przez konie.

Zamyślił się, lecz zaraz oczy pobiegły czujnie ku kępie drzew rosnących samotnie w dali. Z przyzwyczajenia dotknął ręką rewolweru, tempa jednak nie zmniejszał. Wiedział, że tam się czai Miecznikowski z rezerwą.

- Witam, witam! - ucieszył się, gdy zrównali się z sobą w pędzie. - Dużo wody upłynęło od naszego ostatniego widzenia.

- Nic dziwnego. Rzeczywiście musi być cudna ta dolina Chauchy, jeśli tak długo nie mogłeś się od niej oderwać. Jak to właściwie tam było?

Rozgadali się na ten temat. Po pewnym czasie Antonio skinął ręką na dwóch caballeros jadących za nim. Oni teraz wysunęli się naprzód,

- A my do tyłu - rzekł do Miecznikowskiego. - Callao niedaleko, łatwiej o niespodziankę. Lepiej być od nieprzyjaciela z daleka.

Roześmiał się, odskoczył w bok, przystanął i przepuścił przed sobą wszystkich.

- Pędzimy jako straż tylna. Aha! - przypomniał coś sobie. - Miałem cię ,zapytać o tę szosę pod Limą. Zabrałeś się więc do tej pierwszej drogi kołowej w Peru! Spory odcinek... Kiedy ukończysz?

- Właściwie już ;skończyłem. Oczywiście w granicach Limy, gdyż Pardo mógł dać tylko na to pieniądze. A gdzie zaczyna się królestwo Pieroli, pieniędzy zabrakło.

- Ale dokończysz?

- Na pewno. Przecież Parda wkrótce obejmie rząd.

Umilkli. Od zachodu napłynął wilgotny wiatr zwiastując bliskość morza i portu. Kończyła się ziemia stanowiąca jeden olbrzymi cmentarz z zamierzchłych czasów, który w ciągu dnia poszukiwacze skarbów rozkopywali skwapliwie, znajdując często nie tylko kości i urny, ale i złoto. Teraz było tu cicho i pusto. Za to w dali zaczęły się już ukazywać barwne okrętowe światła, a wkrótce i pierwsze budynki. Potrzeba. było odtąd większej czujności. Jak do tej pory wszystko szło dobrze. Długa ulica Limańska ciągnęła się w nieskończoność, lecz że było już późno, nie czuło się nigdzie żadnego ruchu.

Niespodziewanie jednak coś zamąciło panujący dokoła spokój, Baczniej nadstawił ucha. Nie mogło być wątpliwości: jakiś duży oddział konny pędził w jego kierunku.

- Hm, niedobrze - mruknął. - Rzadko się zdarza, aby po nocy wałęsały się jakieś patrole, a to na pewno wojsko. Gutierrez musiał już wydać jakieś rozkazy. Przygotujemy się zatem na wszystko. Zgrupuj ludzi i odsuń się z nimi od Pardy.

Ściągnął wodze, koń zaczął iść wolno. Nie omylił się: zbliżał się patrol wojskowy i wkrótce zagroził drogę tym, którzy jechali na czele. Rozległy się jakieś krzyki.

- No i co dalej? - zaniepokoił się Miecznikowski. - Zachowują się jak na wojnie...

Habich i Pardo, trzymający się ciągle razem, posuwali się naprzód, jakby nic ich nie obchodziło, co się dzieje przed nimi. Jednakże zaraz i ich zatrzymano. Antonio rzucił dokoła okiem.

- Może być ciężko, dużo ich jest - rzekł. - Obejmij komendę nad chłopcami i posuwaj się za mną. Nie za blisko. Aby cię przypadkiem nie okrzyżyli.

Puścił konia galopem i osadził dopiero tuż przed dowódcą. Habich coś wyjaśniał, tłumaczył ostro, że jest cudzoziemcem, pokazywał nawet swe dokumenty. Oficer przerywał mu często i zachowywał się coraz brutalniej.

- O co chodzi? - Antonio wpadł na niego z góry - Co to wojsko, pronunciamiento czy banda?

- Milczeć! - warknął oficer. - A ty czego tu chcesz? Dokąd jedziesz i po co?

Antonio objął go bacznym spojrzeniem. Znał dobrze ten typ: tępą, okrągłą twarz, przypominająca mu żywo Sylwestra. Żołdak wierzący jedynie we własną siłę.

- Do mnie na „ty”? - krzyknął tak samo groźnie, a równocześnie niedwuznacznie położył rękę na rewolwerze. - Co ty hultaju sobie wyobrażasz? A może uznałeś się już za prezydenta? Dość tego warcholstwa, bo palnę w łeb! Ruszajcie z Bogiem - zwrócił się ostro do Habicha i Pardy. - Nikt tu nie ma prawa napadać na wolnych obywateli Peru, a tym bardziej na cudzoziemców!

Oficer osłupiał, żołnierze także. Ci zresztą spoglądali bardzo życzliwie na tego caballera, który nie tylko imponował postawą, ale też potrafił bronić swego honoru, zwrócenie się bowiem do nieznanego przez „ty” oznaczało w tym kraju obelgę. Pardo pochwyił natychmiast sposobną chwilę i wymknął się z ciżby, za nim ruszyli inni. A i Miecznikowski wiedział, co robić: wpadł błyskawicznie ze swymi ludźmi w lukę i odgrodził uchodzących od wojska.

Szybko to poszła. Oficer dopiero teraz zaczął przytomnieć.

- Ach, ty łotrze! - wybuchnął zamierzając się pięścią. - Ty na nas? Brać ich! To zwolennicy Pardy. A może nawet sam Pardo!

Antonio odetchnął. Sytuacja stała się jasna: Gutierrez działa! Wiedział odtąd, czego się trzymać. Bez wahania wyciągnął rewolwer i podsunął przeciwnikowi pod nos. Żołnierze, którzy już się gali do szabel, jak na komendę opuścili bezradnie ręce. Oderwał od nich na chwilę wzrok i spojrzał w ulicę: Habich z innymi pędzili galopem. Niełatwo ich było dogonić.

Zajął się znów oficerem.

- Toś ty zuch - odezwał się żartobliwie. - Chcesz pokazać ludziom, jaką masz władzę, A przy tym występujesz - podniósł głos - przeciwko prezydentowi, którego powołał naród. Do buntu nawołujesz, łajdaku! I sądzisz, że ujmie się za tobą któryś z żołnierzy? - zaczynał ponosić go gniew. - Za kogo ich masz? Też za łajdaków? Zapomniałeś, że to Peruwiańczycy? A który to Peruwiańczyk ośmieli się podnieść rękę na konstytucję?

Gniew niewątpliwie był szczery, lecz nie zaciemniał myśli. Wiedział dobrze, co czyni. Grał na zwłokę, aby dać tamtym najwięcej czasu. Taka zresztą przemowa musiała mieć wpływ na żołnierzy, a na nich mu zależało. Wiedział przy tym, że jest chwilowo bezpieczny; wystarczyło pociągnąć spust, aby tamten zwał się z konia. Umiejętnie wykorzystywał więc sytuację.

- Usuń się z drogi! - rozkazał bez szczególnej urazy. - I wy także - zwrócił się do żołnierzy. - Powiedziałem dużo, powinniście z tego wyciągnąć wnioski. Kto łamie konstytucję, trzeba mu palnąć w łeb. W pierwszym rzędzie należy się to waszemu dowódcy, gdyż się przyłączył do buntu.

- Zginiesz! - przerwał mu ponuro oficer. - Powieszę cię osobiście na najwyższym maszcie w Callao.

- Chyba nie zdążysz, gdyż ja potrafię się ubezpieczać. Toteż radzę ci odnosić się do mnie z większym szacunkiem.

Antonio pchnął go łufą w pierś, oficer cofnął się odruchowo. Ucichł odtąd zupełnie. Żołnierze też się nie rwali do walki. Usłyszeli tu sporo, zrozumieli niejedno. A że wszelkie pronunciamienta opierały się z zasady na dowódcach, interesowało więc ich tylko, kto jest tutaj silniejszy. Ten caballero miał niewątpliwą przewagę, toteż słuchali go chętnie. Antonio zaś, przemyślawszy sumiennie wszystko,

doszedł do wniosku, że nie należy się śpieszyć. Znowu zaczął rozmowę, tematów mu przecież nie brakowało. Zmiana rządu, wybory, walka o władzę - to musiało trafić do serca każdego Peruwiańczyka i rzeczywiście się nie omylił. Poweselało w szeregach, odezwały się liczne głosy. A wkrótce cały patrol dyskutował z nim żywo o rozwoju wypadków.

Od strony portu rozległ się znowu tętent. Nadjeżdżał Habich z towarzyszami, lecz Pardy przy nich nie było. Antonio poruszył się rażnie.

- Wszystko w porządku?

- W porządku - przytaknął inżynier. - Wsadziłem go osobiście na statek.

Antonio z zadowoleniem pokiwiał głową.

- Możecie wracać do koszar - rzekł, zwracając się do obserwującego ich w milczeniu patrolu. - I panu też radzę - skłonił się uprzejmie oficerowi. - Po co się męczyć po, nocy, kiedy to niepotrzebne? Wierzcie mi: do rana nikt już nie przybędzie do portu.

Habich rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, lecz to tylko wzmogło jego wesołość.

- Wiwat konstytucja! - zawiódł donośnie. - Niech żyje Pardo, pierwszy cywilny prezydent Peru!

W szeregach zrodził się cichy, pochwalny szmer. Tylko oficer nie pisnął słowa. Wkrótce rozległa się jego komenda i cały oddział ruszył spokojnie w drogę powrotną. .

- A gdyby zjawił się w twierdzy któryś z Gutierrezów - krzyknął za nim Antonio - palcie mu w łeb bez namysłu. Jeśli nie zaprzestanie buntu, będzie wyjęty spod prawa!

Począł, dopóki nie zniknęli mu z oczu i dopiero wtedy sam ruszył konia.

- Wspaniale rozegrałeś tę partię! - uniósł się Miecznikowski. - Spodziewałem się ciężkiej przeprawy. Tak przeciwstawić się wojsku!

Antonio roześmiał się.

- Bo to, widzisz, nasze wojsko jest dosyć dziwne - rzekł. - Gdyby stanął naprzeciw wróg, będzie się biło jak wszyscy diabli, z gołymi pięściami będzie szło na bagnety. Ale tak na co dzień jest ono inne. Za często zdarzają się pronunciamienta, a ono z nich się właśnie wywodzi. Toteż lubi i pogadać, i wiedzieć, o co naprawdę idzie. A już przeciwko konstytucji występuje bardzo niechętnie. Dlatego nie ma go u nas za wiele. Dyktatorzy nie są go nigdy pewni.

Dojeżdżali właśnie do krańców Callao. Antonio przystanął,

- Nie będę wam dłużej potrzebny - zwrócił się teraz do wszystkich. - Pozwólcie się zatem pożegnać.

- Jak to: nie wraca pan do Limy? - zdziwił się Habich. - Sądziłem, że spotkamy się na obiedzie u inżyniera Malinowskiego.

- Nie będę miał czasu. Trzeba się ostro zabrać do pracy dyplomowej. Zanadto ją zaniedbałem w ostatnich miesiącach.

- Za to zdobył pan chyba wspaniałą materiał?

- Cudowny! Przecież jeden Gutierrez dostał już lanie w dolinie Chauchy!

- Prawda - Habich mocno uścisnął mu rękę. - Życzę więc nadal tak dobrych wyników. Kiedy się znowu spotkamy?

- Zależy to od materiałów, które są mi potrzebne do ostatniego rozdziału - Antonio uśmiechnął się zagadkowo. - O nie niełatwo, gdyż znowu muszę zdobywać je w samotności. Przypuszczam jednak, że powinienem się z nimi uporać w ciągu najbliższego tygodnia. A później będę już często zaglądał do inżyniera.

Dotknął lekko ostrogami swego wierzchowca. Siwek skoczył naprzód i pomknął z taką szybkością po odchodzącej w bok wąskiej drożynie, jak niedawno po drodze królewskiej Inków. Tym razem jednak kierował się na południe, w stronę Charillos.

## VI.

Nazajutrz, już o ósmej, Antonio był znowu na nogach, a chociaż spał niewiele, wyglądał rześko i zaraz po śniadaniu wyciągnął z szafy teki z notatkami i rozpoczęły rękopis. Osiadło na nich niemало kurzu w czasie jego nieobecności. Oczyszczył wszystko starannie, rozłożył na stole i zabrał się do roboty. Szło to nad podziw szybko, jak doskonała maszyna co pół godziny odkładał na bok zapisany arkusz papieru. Dopiero, koło południa przerwał tę pracę. Rzucił okiem na zegarek, odetchnął głęboko, a w

kwadrans później wsiadł do pociągu i odjechał do Limy.

Stolica wyglądała jak wyludniona. Rządcy przechodnie, najwyraźniej czymś mocno przejęci, mijali się szybko, nikt nie próbował nawiązać rozmowy. Antonio nie wydawał się tym zaskoczony. Dowiedział się niejednego od współpasażerów w wagonie, zdążył już zresztą przejrzeć gazety. W odpowiedzi na ugodową deklarację Balty Gutierrezowie dokonali zamachu stanu, a jego osadzili w więzieniu. Były też świeższe wieści, których nie zdążano podać w dziennikach: Tomasz został mianowany przez nich prezydentem Peru. Mimo to Kongres, który miał potwierdzić dziś wybór Pardy, nie uląkł się pronunciamenta i w tej chwili prowadził obrady, chociaż obaczono go natychmiast kordonem wojska.

Żołnierzy nie brakowało także gdzie indziej. Po ulicach krążyły patrole, posterunki stały przed każdym urzędem. Antonio szedł bez pośpiechu a na pozór tym się wcale nie interesował, natomiast jemu przyglądano się z wielką uwagą. Jego piękny strój caballera od razu rzucał się w oczy, a zwisający swobodnie, wykładany słoniową kością rewolwer mógł budzić nie tylko niepokój, ale i pożądliwość. Co prawda nie miał dziś szabli, zamienił też srebrne ostrogi na zwykłe. I minę miał mniej zadzierzystą, w oczach czaiła się wielkie skupienie. Mimo to nadal prezentował się okazale i gdy tak szedł krokiem lekkim, bez nadmiernego pośpiechu, lecz pręźnie, sprawiał wrażenie człowieka bardziej obeznanego z wojną aniżeli ci, którzy mijali go obok na koniach.

Nikt go nie zaczepił. Wstąpił na Plac Broni, zajął nad Rimak, zawrócił i zatrzymał się dopiero przed gmachem Kongresu. Kordon rzeczywiście był mocny, przed nim jednak skupiło się niemało gawiedzi. Spoglądano uważnie w okna budynku, jak gdyby spodziewano się, że za chwilę ktoś tam się ukaże i ogłosi jakąś niezwykłą nowinę. Antonio wmieszał się w tłum. Łatwo było nawiązać rozmowę, kto bowiem tu przyszedł, nie należał na pewno do ludzi lęklwych. Korzystał więc z okazji i przesuwając się nieznacznie z miejsca na miejsce, jakby od niechcienia wdawał się w pogawędkę. Trochę zaczynał się dziwić: nie była tu nikogo, kto wykazywałby jaką taką choćby życzliwość dla tego, co zasza. I każdy był ciekaw tylko, jak zachowa się Kongres.

- Gutierrezowie przysłali list grożący aresztowaniem każdego posła, który by głosował za potwierdzeniem wyboru Pardy - informował go właśnie jakiś przypadkowy znajomy. - Mają w gmachu swoich obserwatorów.

Antonio machnął ręką lekceważąco.

- Nie zastraszą! - oświadczył. - To twardy Kongres. Uzupełniono go przecież w ostatnich wyborach.

- Naprawdę się nie ulękniesz? - zaczęły padać dokoła zaintrygowane pytania. - Jest pan tego pewien?

- Powiedziałem: to twardzi posłowie. Wyjmą Gutierrezów spod prawa.

Miał podstawy do takiego twierdzenia. Czuwając nad bezpieczeństwem Pardy i przebywając z nim przez cały tydzień w tym samym mieszkaniu miał okazję omówić niejedno, toteż nazwiska posłów znał dziś na pamięć i wiedział, czego się można po nich spodziewać. Kolo niego zrobiło się gwarno. Po chwili przesunął się więc nieco dalej i z kim innym wdał się w rozmowę. Umilkł jednak wkrótce, uciszyl się wszyscy. Naprzeciw otworzyły się drzwi. Wychodzili posłowie i grupkami lub pojedynczo przenikali przez kordon.

Antonio wysunął się naprzód, gdzie było luźniej.

- Co słychać? - zapytał jednego z nich. - Wyjęliście Gutierrezów spod prawa?

- Wyjęliśmy! - padła mocna odpowiedź. - Pardo jest prezydentem zgodnie z wolą narodu i w wyznaczonym terminie obejmie rząd!

Antonio roześmiał się.

- A nie mówiłem? - zwrócił się do gawiedzi. - Twardzi posłowie! Tacy niczego się nie ulękną.

Stojący niedaleko oficer popatrzył na niego groźnie. Antonio dobronudnie pokiwał głową w jego kierunku.

- Twardzi posłowie - potwierdził. - A wam też teraz lżej: wiecie, czego się trzymać. Niech żyje armia! - krzyknął donośnie. - Nasza podpora ładu i konstytucji!

Rozhuczało się jak na wiecu, gdyż wszyscy spoglądali na żołnierzy i oficerów z nietajoną sympatią. Wbrew ostrym rozkazom, nikt się z nich nie poruszył, nie zatrzymano żadnego posła. Antonio posłuchał chwilę, a potem tak samo bez pośpiechu jak przyszedł, zaczął się oddalać od gmachu. Raz jeszcze przewędrował przez miasto, potem wstąpił do restauracji na obiad, a gdy znowu znalazł się na ulicy, rozejrzał się jakby trochę bezradnie. Po chwili zastanowienia ruszył jednak już pewnym krokiem w stronę Rimaku, przeszedł przez most i zniknął gdzieś na przedmieściu świętego Łazarza.

Lima popadała w coraz głębsze milczenie. Zdawało się, że ta odważna uchwała pogłębiła jedynie niepokój i wzbudziła lęk przed tym, co się za chwilę stanie. Nie trwała to długo. W trzy dni później ulice się ożywiły, od Rimaku i z dalekich przedmieść sypał że mnogi tłum. Gęstniał ciągle, chodnikami było

że coraz trudniej precyzyjnie, lecz mimo to zachowywał się nad podziw spokojnie. Coś poskramiło podniecenie widniejące na wszystkich twarzach. Chociaż dokoła unosił się gwar, nie był to ten normalny gwar limańskiej ulicy: wesoły lub gniewny, ale zawsze beztroski, donośny, przerywany rzadziej lub częściej mocnym okrzykiem. Dziś jakby się przycisnął, jakby dopiero wyczekiwał na hasło, jakby nie był jeszcze pewien, w którą uderzyć strunę. Już jednak wydawał się groźny. Coś w nim zgrzytało niekiedy i jak powiew nadciągającej burzy zanosilo przejmującym pomrukiem.

Koło gmachu ministerstwa wojny było podobnie, lecz niespodziewanie zapadła głęboka cisza. W drzwiach ukazał się Sylwester Gutierrez. Obciągnął bluzę, poprawił pas, popatrzył na tłum. Najwyraźniej ważył w myślach jakąś decyzję. Musiał dostrzec coś przyjemnego w tym wielkim milczeniu, wpatrzone w niego z żywym zainteresowaniem twarze wzmocniły widocznie poczucie własnej ważności. Uśmiechnął się do nich, przyjaźnie pomachał ręką, coś tam powiedział wesoło do otaczających go adiutantów, a potem zbiegł raźnie ze stopni i zaczął iść. Samotnie, bez żadnej eskorty. Wiedział, że zaskoczy tym wszystkich i rzeczywiście się nie omylił. Poczł się więc dumny z własnej odwagi, mocniej wyprężył pierś. Jak niegdyś w tych pięknych czasach, gdy bito mu brawa, tak i dziś maszerował wśród morza głów lśniący i pyszny, pewny swej siły, ufny w potęgę swego imienia, tak swobodny, jakby nie zmieniło się nic.

Skręcił, skierował się w stronę dworca. Jak dwie ciemne smugi rysowały się z boków stłoczone na chodnikach ludzkie postaci, jak jasna wstęga płynęła przed nim pusta zupełnie jezdnia. Szedł jej środkiem, coraz dobitniej odmierzał krok. Zaczynał ponosić go gniew. Spodziewał się oklasków; był pewien, że wcześniej czy później ktoś huknie na wiwat, ktoś wykrzyknie gromko jego nazwisko. Wbrew tym nadziejom, nie działo się nic. Hardziej podniósł głowę, pogardliwie wysunął szczęki, coraz groźniej spoglądał w dal. Naraz coś zamąciło mu wzrok. Gdzieś tam na końcu jezdni ukazała się barwna sylwetka i maszerowała tak samo energicznie jak on. Też środkiem jezdni i też samotnie. Zamrugał, jakby nie wierzył oczom, trochę nerwowo poruszył ręką. Bo równocześnie zewsząd odezwał się gwar. Ludzie nareszcie ożyli i jak na hasło zaczęli wychylać głowy. Obserwowali w coraz większym napięciu. Tu był Sylwester Gutierrez, jeszcze niedawna minister wojny a dziś uzurpator, człowiek wyjęty spod prawa, lecz nie liczący się z nikim i z niczym, posępny w tej chwili jak samo piekło. Tam szedł mu naprzeciw caballero w romantycznym stroju peruwiańskiego błędnego rycerza, młody i wdzięczny, barwny jak motyl w słońcu. Ten mocno uderzał butami w ziemię, co stąpnął - wzbijał się pył; tamten ,posuwał się miękko, jak w tańcu zaokrąglął pięknie każdy swój ruch. Okrągła, tępawa twarz Sylwestra odpychała swą ponurością; twarz tamtego była przystojna i bystra, porywał oczy bijący z niej twardy, lecz mimo to miły, młodzieńczy blask...

Gwar rósł, nabierał śmiałości, rozległ się jakiś niejasny krzyk,. A zaraz potoczył się inny, wyraźny:

- Niech żyje Pardo!

I natychmiast rozhuczał się gniew:

- Precz z dyktaturą! Precz z wyjętymi spod prawa zdrajcami?

Gutierrez spąsował, prawa ręka ostrzegawcza osunęła się w dół. Ludzie to dostrzegli. I niespodziewanie zamiast trwogi rozpałiła się w sercach zaciełość:

- Śmierć Gutierrezom! Na wieże!...

Sylwester wyciągnął rewolwer i palnął na oślep, w sam środek tłumy. Ktoś zwałił się ciężko, ktoś jęknął, ktoś z twarzy ocierał krew. Ludzie znieruchomieli, sparaliżował ich strach. A on splunął tylko z pogardą i obojętnie odwrócił głowę. Pobladał nagle, wydało się, że i jego teraz ogarnął lęk. Antonio był tuż. Jeszcze szedł, jeszcze nogi poruszały się elastycznie, jeszcze nie dotknął broni. Ale oczy mówiły już wszystko: że dobrze pamięta, że wie, co ma robić, że on nie Pardo, że nie będzie się wahał, że potrafi uderzyć. I że uderzy. Na pewno uderzy. I tak bezwzględnie, jak sama śmierć...

Gutierrez uniósł w górę dymiący ciągle rewolwer. Nie zdążył. Jak błysk słońca, tak szybko, że nikt nie zdołał zdać sobie sprawy, ręka Antonia śmignęła w węzowym skręcie i rozległ się huk,

- Zgodnie z uchwałą Kongresu! - dał się słyszeć jego donośny głos nad walącym się ciałem. - Za zdradę interesów narodu, za wszystkie twoje poprzednie zbrodnie. I za tę ostatnią. W imieniu prawa!

Sylwester Gutierrez leżał nieruchomo w ulicznym pyle. Na czole, w samym środku, rysowała się krwawa plama.

## VIII.

Wielki to był dzień i obfitował w tragiczne zajścia. W godzinę ,później Marcellan, dowiedziawszy się

o śmierci brata, wpadł do więzienia i zamordował prezydenta Baltę, a potem udał się do Callao i kazał wymierzyć ciężkie działa na Limę, lecz wtedy jeden z oficerów położył go trupem. Wieczorem zaś tłum uliczny rozszarpał Tomasza. Skończyła się dyktatura. I skończyło groźne pronunciamiento, zanim się zdołało rozpaść.

Nazajutrz panował już wszędzie spokój. Antonio, który i tę jeszcze noc spędził na przedmieściu świętego Łazarza, wyszedł wczesnym rankiem na miasto. Nie wędrował dziś swoim zwyczajem i nie tracił zbytecznie czasu. Zajrzał tylko na Plac Broni i popatrzył na ciała Gutierrezów, zawieszane przez tłum na wieżach katedry, a potem skierował się prosto na dworzec i w godzinę później był już w swoim pokoiku w Chorillas. Zabrał się znów do pisania. Praca szła szybko, jak dawniej z sumiennością zegarka odkładał z dnia na dzień równą ilość wypełnionych arkuszy. Dopiero w tydzień później coś się zepsuło w tym mechanizmie. Postawił datę: 2 sierpnia 1872 roku, podkreślił ją starannie i bardzo długo jej się przyglądał. Pod wieczór zaś wsiadł do pociągu i pokazał się nareszcie w domu Malinowskiego.

- Jest nasz uciekinier! - Miecznikowski wybiegł mu naprzeciw. - Zamierzałem właśnie po ciebie pojechać, złąłem się bowiem, że sam się nie domyślisz. Przecież u nas dziś wielkie święto!

Wziął go pod ramię i wprowadził do dużego salonu. Rojno tu było i hucznie. Antonio nie dziwił się. Pardo objął rano swe obowiązki, a teraz spędzał czas w gronie najbliższych przyjaciół w tym domu, z którym był najmocniej związany. Na widok gościa, chociaż akurat słuchał jakiegoś toastu, zerwał się z miejsca i wziął go w objęcia tak samo serdecznie, jak przedtem zrobił to Miecznikowski.

- Więc jesteś! - cieszył się głośno. - Don Ernesto zapewniał mnie wprawdzie, że zajrzysz na pewno, lecz zaczynałem już wątpić. Według jego obliczeń powinieneś dzisiaj zakończyć pracę dyplomową. To prawda?

- Prawda. Wiadomo: don Ernesto nie popełnia nigdy błędów w swych obliczeniach.

Łączyły ich obecnie prawdziwie przyjacielskie stosunki i Parda dawał teraz temu wyraz publicznie.

- Każdemu z panów nasz kraj zawdzięcza dużo - przemówił, gdy zakończyły się powitania i znów usiadł przy stole. - Ale jemu, proszę mnie dobrze zrozumieć, zawdzięcza więcej. Bo to młody jeszcze człowiek, nie ma naszych doświadczeń. A mimo to wykonał olbrzymią pracę. I wbrew wielkim przeszkodom, jakie spiętrzyły się wokół niego, doszedł szybciej niż inni do zrozumienia, co to jest prawdziwa miłość ojczyzny. Wznoszę więc toast za jego zdrowie!

Antonio spojrzał na twarze. Te polskie znał wszystkie, z peruwiańskich niektóre. Na jednych i na drugich jednak widział tę samą życzliwość. Wzruszył się i zamyślił, a w miarę jak radził się gwar i przybywało wciąż słów, jakby zanikał w tym salonie, stawał się częścią całości. Słyszał o sprawach niezwykłych, wobec niego nie było tu żadnych tajemnic. Rozumiał: obecne były to także i jego sprawy. Te właśnie, o których mówił tak dobitnie w dolinie Chauchy...

- Pogawędźmy - rozległ się naraz tuż obok niego głos Pardy. - Rzeczywiście praca dyplomowa skończona?

Antonio jakby się ocknął. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że goście rozchodzili się do sąsiednich pokojów lub siadali grupkami przy bocznych stolikach.

- Skończona - odparł wstając. - Najwyższy czas - uśmiechnął się. - Gdyby nie przeszkadzali mi Gutierrezowie, byłbym uporał się wcześniej.

Przenieśli się pod okno i znowu usiedli. Przez dłuższy czas rozmawiali na ten temat. Antonio ożywił się, jego wypowiedzi przybierały niejednokrotnie formę pełnego entuzjazmu wykładu. Naraz rozejrzał się po sali i przygaś.

- Mam kilka pytań, nad którymi się będę od dawna - rzekł w zamyśleniu. - Nie chciałbym być źle zrozumiany...

Zawahał się. Pardo wziął go za rękę.

- Ależ mój drogi! - odezwał się ciepło. - Dawniej mógłbym cię może niewłaściwie zrozumieć. Dzisiaj na pewno nie. Mów szczerze.

- Przyglądałem się tym ludziom przy stole: Peruwiańczycy i Polacy. Innych tu nie ma. A tacy Polacy, jak na przykład don Ernesto, odgrywają w naszym życiu ogromną rolę. Przy tym stoją wiernie przy panu...

- Nie przy mnie. Przy naszej ojczyźnie. A mnie uważają tylko za człowieka, który jest jej szczerze oddany.

- Aha!... Słusznie, ta poprawka była potrzebna. Wracam więc do pytania. Oni chcą z panem współpracować, rozumiem. Że pan z nimi współpracuje tak ściśle, rozumiem także. Ludzie mądrzy, dzielni, ofiarni, wykryształizowani w bojach o wolność własnej ojczyzny. Ale dlaczego nie ma tu ludzi

innych narodowości? Polaków w Peru zaledwie jest kilku czy kilkunastu. Innych - kilkadziesiąt tysięcy. Może niemniej ofiarnych i dzielnych.

Pardo przez pewien czas tarł ręką czoło, jakby układał myśli. - Ofiarnych i dzielnych... - powtórzył powoli. - Są tacy. Chyba jednak żaden nie zastąpi Malinowskiego. A może i o zastępcę dla Habicha czy Leonarda nie byłoby łatwo... Spójrzmy na tę sprawę tylko z peruwiańskiego punktu widzenia, jakby Spojrzał ktoś przypadkowy. Otóż każdy człowiek innej narodowości z zasady jest w naszym kraju tylko przechodniem. Zrobi majątek i umknie.

- Polacy tak nie postąpią?

- Może niektórzy. Większość nie. Bo dokąd wrócić? Ich ojczyzna jest rozdzielona między zaborców. Niedostępna, przynajmniej dla tych, którzy brali udział w powstaniach. Toteż oni przywiązują się do nas łatwiej. I mocniej.

- Aha!...

- A teraz punkt najważniejszy. Każdy inny ma własne państwo i wcale nie wiadomo, czy jutro nie zechce ono uderzyć w nas w taki czy inny sposób. Przyjacieli może się nagle stać wrogiem. A może już jest wrogiem mimo pozornej przyjaźni...

- Prawda: ze strony Polaków takie niebezpieczeństwo nie grozi.

- Właśnie. Dlatego nie tylko chętnie z nimi współpracujemy, ale postaramy się też, aby przybyło ich więcej. Szkołę Inżynierów - pierwszą politechnikę w Ameryce Łacińskiej trzeba otworzyć, bo ona jest nam szczególnie potrzebna. Ich projekt i oni dadzą główną obsadę profesorską, gdyż nie brak im wybitnych fachowców. Trzeba wreszcie stworzyć wydziały matematyczno-przyrodnicze na naszych uniwersytetach? Trzeba. Zajmie się tym Polak, znam już jego nazwisko. Trzeba odwołać kopalnie w Cerra de Pasco? Trzeba...

Przybliżył się Malinowski.

- Tak czule gawędzicie, jakbyś wprowadzał Antonia w urządowanie - rzekł żartobliwie. - Jaką mu dajesz posadę?

- Jaką ,zechce! Sam wie doskonale, do czego jest zdalny.

Antonio roześmiał się.

- Nie będę chyba mógł zasiąść w rządzie, gdyż obecny prezydent, a ile mi wiadomo, stawia zbyt wielkie wymagania swoim ministrom. A niżej nie wypada, gdy człowiek radzi sobie nieźle nie z takimi rządami. Toteż poprzestanę na skromniejszej posadzie. Mam ją zresztą przyobiecaną od dawna...

Popatrzył na inżyniera wymownie. Odpowiedział mu uśmiech tak ciepły i ujmujący, że serce zaczęło mu bić mocniej z nagłego wzruszenia.

- Na cóż, prezydent musi się poddać wobec takiej decyzji - Malinowski objął Pardę trochę przekornym spojrzeniem. - Że jesteś moim sekretarzem osobistym od dawna, w to nawet Meiggs nie wątpi... A posada rzeczywiście przyjemna. I na koniu można się powłóczyć, i pokłócić o porządek w aktach, i gości przyjąć, i od czasu do czasu wysadzić jakąś skałę w powietrze...

Rozbawili się. Miecznikowski, zwabiony gwarem, podszedł szybko, a gdy mu opowiedziano o przyczynie tej wesołości, sam się do niej przyłączył.

- O jedno mam tylko do ciebie żal - udał naraz surowość. - Dlaczego nie przybyłeś w stroju caballera? Bardziej ci w nim do twarzy niż w ubraniu cywilnym. A zresztą przynosi ci szczęście!

Antonio jakoś bardzo melancholijnie pokiwał głową.

- To prawda - przyznał z namysłem. - Przynosi szczęście...

- A widzisz! Kiedy go znowu włożysz?

- Na rozkaz prezydenta. Weszliśmy przecież dziś w rządy prawa...

Miecznikowski jowialnie poklepał go po ramieniu.

- Pewnie włożysz i bez rozkazu - rzekł, nie zwróciwszy uwagi na kryjącą się za tymi słowami zadumę. - Na swoje wesele, bo w czym wyglądałbyś piękniej? A ta ślicznotka?... Jak to jej było na imię? Aha, Mercedes! Wciąż czeka?

Antonio wbił oczy w ziemię.

- Wyszła za męża - odparł. - Za gutierrezawskiego kuma.

Miecznikowski dopiero teraz spostrzegł, że dotknął niechcący jakiejś bolesnej struny. W zakłopotaniu wziął go pod ramię i spacerując po sali zaczął przeproszać za swą niezręczność. Antonio uśmiechnął się.

- Nie przejmuj się, wcale mnie nie dotknąłeś - zbagatelizował tę sprawę. - Ta Mercedes z Chauchy

dawna mi wypadła z pamięci... A co z Petą? - zmienił temat. - Spotkałeś ją może?

- Niejednokrotnie - Miecznikowski ożywił się. - Naprawdę piękna z niej dziewczyna! I wcale niegłupia.

Gawędzili odtąd coraz weselej a limańskich ploteczkach, kiedy jednak przyłączyło się kilka osób, Antonio wymknął się nieznacznie do patio. Przyjemnie tu było, zacisznie i cicho. Zaszył się w kącie i wsiadł na ławce. Coś tam zaszeleściło w krzewach, delikatnie musnął go wiatr. Przechylił głowę do tyłu, oczy dostrzegły gwiazdy: duże, liczne, błyszczące. Zupełnie jak pod Concepcion... Tylko że tam wydawały się jeszcze jaskrawsze. Więcej także było w nich ruchu. I przepelniały przedziwną błogością duszę...

Przymknął oczy, myśli pobiegły w dal. Jak bystry nurt zaczęły się przesuwają obrazy: piękna dolina, gwarne osiedla, droga królewska Inków, wieża kościelna, ostatnie blaski zachodu... Jakże ona ślicznie wygląda, jak uroczyste dźwięczą jej słowa! Łączą się usta, słyszy bicie własnego serca... I jej...

Drgnął silnie, jakby przeniknął go dreszcz. Niespodziewanie ujrzał w jej oczach chłód. Popatrzył na oświetlone okna salonu: Pardo i Malinowski byli doskonale widoczni. Zmarszczył brwi, na nich teraz starał się skupić myśli. Pierwszy cywilny prezydent w historii Peru... Na cztery lata, konstytucja zabrania ponownego wyboru. A ileż on przed sobą ma prac, ile musi pokonać trudności! Zginęli Gutierrezowie, lecz jest przecież nadal Pierola, gotów w każdej chwili uderzyć zniemacka. Jest Dreyfuss, jest fanatyzm, są roje zwykłych bandytów rozbestwionych za czasów Bałty i czyhających na wszystkich drogach, są miliony ludzi nie umiejących czytać i pisać. Straszna chwila wybrał dla siebie Pardo, nie brak temu człowiekowi odwagi... Czy się zdoła utrzymać? Gzy przedwcześnie nie padnie?...

Antonio objął rękami skronie. Wiedział, że tu będzie jeszcze nieraz potrzebny, że Pardo wszystkiego sam nie udźwignie. Zaczął zastanawiać się nad tym, ale smukłe paluszki musnęły go znów pieszczotliwie, jak promień słońca olśniło tkliwe spojrzenie uważnie w niego, wpatrzonych oczu. Zachnął się w sobie, rozum przywalał na pamięć chwilę rozłąki. Po co tam wracać? Zbyt bolesne było to pożegnanie. Nie ma od niego odwrotu!...

Przymknął powoli powieki. „Chyba nie ma...” - powtórzył cicho. Zamąciły się myśli, poruszyły obrazy. Parę widział ciągle, Malinowskiego także. Ale obok rozkwitała coraz wspanialej przepiękna dolina Chauchy. I Concepcion. I altanka w ogrodzie. I bardzo dobre w tej chwili, jakby zamglone łzami, a jednak promienniejsze niż kiedykolwiek słodkie oczy Mercedes...

## **Błogosławieństwo mądrości.**

### **I.**

Już drugi rok rządził Pardo i nawet jego najzaciętsi wrogowie musieli przyznać, że w tym czasie zmieniło się dużo na lepsze. Administracja działała tak sprawnie, jak nigdy dotychczas, wszelkie nadużycia tępiono w sposób bezwzględny. Armię oczyszczono z dowódców nie mających o wojsku pojęcia, uruchomiono pierwszą w Peru szkołę wojenną. Zniknął prawie doszczętnie bandytyzm. I nareszcie marzenia tych najświatlejszych stały się faktem: obowiązek nauczania był teraz powszechny. Szkoły powstawały w najbardziej zapadłych zakątkach, w każdym mieście municypalnym tworzone gimnazja, reformowano wyższe uczelnie.

Którejś lutowej niedzieli Antonio jedząc obiad w pięknie już urządzonej willi w Chorillos, zastanawiał się nad ogromem tych reform i rzucał od czasu do czasu zamysłane spojrzenie na siedzącego naprzeciw Pardę. Prezydent miał obok swą własną willę i obecnie był częstym gościem, lecz dziś jego wizyta miała szczególny charakter. Pragnął poznać i pogawędzić z ludźmi, którzy przed kilku dniami przybyli tu z Europy: Władysławem Folkierskim, do niedawna wiceprezesem Towarzystwa Nauk Ścisłych w Paryżu, mającym zająć się zorganizowaniem wydziału matematyczno-przyrodniczego na uniwersytecie limańskim i objąć na nim katedrę, oraz dużo młodszym od niego Władysławem Klugerem, inżynierem-hydraulikiem, przygotowującym się do ujęcia wód Rimaku u źródeł i nawodnienia nimi niżej położonych, pustynnych dotąd przestrzeni.

Antonio mimo woli uśmiechnął się do swych myśli. Pardo ściągają nieznacznie polskie posiłki... Za tymi dwoma, którzy znajdują się tutaj przy stole, płyną następnymi: Aleksander Babiński, Ksawery Wakulski, Tadeusz Stryjeński... Inżynierowie lub architekci. Potem nadciągną znów inni: rolnicy i naukowcy, wojskowi...



Myśli urwały się nagle, wzrok się zatrzymał na Pablu. Obecnie był to rosty młodzieniec, już po maturze. Bardzo spoważniał w ostatnich czasach. Zamknięty w sobie, skupiony i ,czujny, zachowywał się tak, jakby go wcale nie była,

- Zdaje się, że otrzymasz nowego nauczyciela - przemawiał właśnie do niego Pardo. - Na zorganizowanie Szkoły Inżynierów brakuje nam dotąd pieniędzy. Zanim więc do niej wstąpisz - uśmiechnął się - radzę iść na praktykę do inżyniera Klugera. Obaj zyskacie. Ty znasz świetnie góry i całą przeszłość, jaka jest w nich zawarta. Dla niego to bardzo ważne. A ty znów nauczysz się przy nim tego, co niekiedy trudno zdobyć nawet w uczelni.

Kluger, przystojny mężczyzna, któremu pięknie przycięta bródka według ostatniej paryskiej mody dodawała nie tylko uroku, ale i profesorskiej powagi, przyklasnął gorąco. Pablo przesunął wzrok na Malinowskiego, jakby go chciał zapytać o zdanie. Dostrzegł widocznie w jego oczach zachętę, skłonił się bowiem zaraz z tą spokojną godnością, jak to robił jego ojciec, Santillan.

- Słuszna to rada, tatai - zgodził się. - Należy wyzyskać czas. Ja się na pewno dużo nauczę. A chyba i pan inżynier będzie ze mnie zadowolony.

Nowo przybyli Polacy, nie znający dotychczas zupełnie Indian, przypatrywali się z żywym zainteresowaniem temu potomkowi starożytnego narodu. Widać było, że zarówno jego sława, jak i powściągliwość czynią na nich wielkie wrażenie. Malinowski rzucił na nich okiem i spojrzał znowu na Pabla.

- Po maturze zamierzałem cię oddać pod opiekę Miecznikowskiemu - rzekł w zamyśleniu. - Ale cóż... Zmarł biedaczysko...

Antonio westchnął ciężko na to wspomnienie. On szczególnie boleśnie odczuł tę stratę. Zżyli się z sobą bardzo. A katastrofa nastąpiła nagle. Miecznikowski zdążył ukończyć drogę z Limy do Callao, lecz w tydzień później zmarł na malarię...

Przez pewien czas mówiono o tym tak świetnie zapowiadającym się inżynierze i o jego zasługach, a potem wrócono znów do spraw peruwiańskich. Gdy goście zaczęli się zbierać w drogę, słońce pochyliło się już mocno ku zachodowi. Antonio odwiózł ich do stolicy, a gdy się pożegnał, zamiast wracać do domu, skierował się przez Plac Broni w jedną z bocznych uliczek. Zatrzymał się przed ładną ,bramą w stylu starohiszczańskim i jakby trochę nieśmiało uderzył kołatką. Po chwili ukazał się stary sługa uśmiechający się do niego przyjaźnie.

- Są listy! - wykrzyknął na powitanie.

Twarz Antonia pobladła.

- Są? - powtórzył przewlekłe. - Od pana generała?...

Sługa z namaszczeniem przekręcił klucz w zamku

- I od generała, i od panienki - odparł. - Proszę, niech pan wejdzie. I dla pana są pozdrowienia.

- Od generała?...

- Od generała także. Sam pan zresztą przeczyta.

Weszli do zbyt kownie urządzonego pokoju. Sługa wskazał mu fotel i podał listy. W tym od staruszka nie było specjalnie nic ciekawego. Zawiadamiał, że wraca za miesiąc i wydawał różne zlecenia, aby dom był odpowiednio przygotowany na jego przyjęcie. Dopiero zakończenie mogło nasuwać najrozmaitsze domysły: „A co do tego młodego pana, który tak się dopytuje o nas od roku - wiem, kto to jest. Powiedz mu ode mnie: niech przygotuje się na partyjkę. A poza tym zawiadam, że ze względu na zły stan zdrowia musiałem przedłużyć pobyt w dolinie Chauchy. Córka oczywiście pozostaje przy mnie, bo dobre z niej dziecko. Gdy wrócimy, drzwi naszego domu są dla niego zawsze otwarte. Nie zapomnij powtórzyć dokładnie. A najlepiej niech sam wszystko przeczyta.”

Kiedy Antonio dotknął drugiego listu, ręce zaczęły mu drżeć. Ujrzał ładne kobiece pismo, migwały mu niewyraźnie litery. Początkowo nic z nich nie mógł zrozumieć. Poprawił się w fotelu a dostrzegł wyrozumiałe i pełne życzliwości spojrzenie starego sługi. Opanował siłą wzburzone nerwy. Litery zaczęły się układać wyraźniej, lecz i tu nie było nic ciekawego; mówiono wyłącznie o kwiatach, o ich przesadzaniu i przycinaniu. A mimo to nie mógł od nich oderwać oczu. Kiedy zaś odwrócił stronę i zaczął dobiegać końca, wydało mu się naraz, że przed nim rozkwitła cała dolina Chauchy i cała przeszłość. „Pozdrów don Antonia ode mnie”... To ona pisała! I ona podpisała: „Mercedes”...

- Panienka ładnie pisze - odezwał się cicho sługa. Antonio jakby się ocknął.

- Bardzo ładnie - potwierdził.

Popatrzył na salon. Dopiero teraz uderzył go przepych kwiatów. Zdziwił się, rzadko to się zdarzało w domach limańskich, gdzie przecież tuż za ścianą przeważnie znajdowało się patio... Wstał i

podszedł do okna. I tam było pięknie. Nie tylko na klombach, lecz w każdym narożniku, na krużgankach, na schodach i na balkonach - wszędzie widniały kwiaty. Ogromne, odurzające aromatem bogactwo prześlicznych kształtów i barw...

- Musi pan mieć dużo pracy przy pielęgnacji - Antonio z zainteresowaniem popatrzył na służę. - To panienska tak lubi kwiaty?

- Ona. Ale i ja cieszę się z tego widoku. W takim otoczeniu jakoś przyjemniej upływa życie.

Uczy Antonia rozbłąsły.

- A miałyby mi pan za złe, gdyby tu przybyło ich więcej? - zapytał z werwą. - Tak samo pięknych. A może jeszcze piękniejszych!

Sługa skłonił się przed nim uprzejmie.

- Sprawiałyby mi to tylko przyjemność - odrzekł. - Modłę się nieraz - dodał po chwili ciepło - aby moja panienska dostała męża, który by kochał tak kwiaty jak ona...

Antonio rzucił na niego spłoszone spojrzenie i z pośpiechem skierował się do drzwi. Po rozplamionej nagle twarzy staczała się łza.

## II.

W tydzień później parowóz z jednym tylko wagonem wyruszył z Limy, a wkrótce przeskoczył przez most Balty na Rimaku i odtąd coraz wyżej wznosił się w górę pędząc bez chwili wytchnienia. Malinowski czytał najspokojniej gazety, nie obchodziło go bowiem, co tam widać za oknem. Nie interesował się tym również ani Pablo, ani Antonio. Za to Kluger, który był czwartym pasażerem tego krótkiego pociągu, obserwował w napięciu. Tam we Francji, gdzie dotychczas przebywał, stykał się niejednokrotnie z opiniami wybitnych fachowców, utrzymujących nadal, że zbudowanie tej linii nie jest możliwe. A on teraz jechał tędy, słyszał pod sobą dudnienie kół, czuł pęd parowozu, razem z nim kręcił i wspinał się po urwiskach, to znów znikał pod ziemią, wyskakiwał ponad przepaści i pędził wciąż ku wschodowi jak groźny pocisk, któremu najpotężniejsza skała nie potrafi zagrozić drogi. Już pozostała za nim tropikalna roślinność, już zniknęła plantacje trzciny cukrowej, już robi się ciasno, już z nieba wałę się chmury, już w mgłę i deszczu zanika wszystko...

Pociąg zazgrzytał i stanął. Koło Verrugas, Tu takie kończono roboty, lecz jeszcze nie było wiaduktu. Zarzucano właśnie ostatnie przęsła. Spomiędzy rusztowań wylaniała się niezwykła budowla: smukła i lekka, przerażająco cienka w stosunku do wysokości, delikatna jak sieć pajęczna, która tylko przybrała nieco odmienne formy. Ca prawda była to mocna sieć. Zrobiono ją z twardego żelaza.

- Zachwycające... - Kluger nie mógł od niej oderwać oczu. - Najwyższy wiadukt na świecie! Wyobrażam sobie, ile trzeba tu była pokonać trudności...

Jakby w popłochu Irzucił dokoła okiem: poszarpane ściany, zwisające zewsząd potężne głazy, dzikość i pustka. I barw nie było. Jedna wielka smutna szarzyzna, jak gdyby padł tu cień śmierci tych tysięcy robotników wymordowanych przez straszną epidemiją Verrugas...

Malinowski przeszedł z pośpiechem po belkach na drugą stronę. Nie lubił tego miejsca. Za bardzo mu ona przypominało te ciężkie chwile, kiedy to ważyły się losy całej kolei orojskiej, gdy wszechwładnie gospodarzyła tu śmierć, gdy ludzie szaleli z bólu i lęku, gdy siane podstępnie przesady zachwiały wiarę we wszystko, gdy przestały mieć już jakiegokolwiek znaczenie nawet pieniądze Meiggsa. Na szczęście były to już czasy bardzo odległe. Dziś nic nie zamącało spokoju. Zniknęła bezpowrotnie choroba, zniknęły także przesady. A tunele i tory dociągnięto do Piekła.

Jeszcze tego samego dnia i oni tam się znaleźli.

- Tu się rozejdziemy - Malinowski zwrócił się do Klugera. - Pablo poprowadzi pana jutro do źródeł Rimaku i zawróćcie. Przypominam sieć nawadniającą z czasów inkaskich. Przyda się lub nie, ale obejrzeć na pewno warto.

Z Antoniem pozostał na miejscu. W ciągu kilku dni kontrolował roboty, rozstrzygał od ręki istniejące trudności, a gdy się upewnił, że wszystko idzie znowu normalnie, skierował się w drogę powrotną. Do stolicy jednak nie dotarł, gdyż w Cacachacra spotkał niespodziewanie Meiggsa.

- Gonię cię - powitał go Jankes wesoło. - Okazuje się, że dwaj naczelni wodzowie, chociaż roboty ubyło, mają obecnie mniej czasu niż kiedykolwiek. A ich drogi rozchodzą się stale...

Malinowski objął go czujnym spojrzeniem. Meiggs, wbrew pozorom, nie wyglądał na szczęśliwego i niewątpliwie nadrabiał miną.

- Chcę cię zabrać do swej hacjendy - dodał nie doczekawszy się odpowiedzi. - Pana oczywiście także - uśmiechnął się do Antonia. - Przyznam się szczerze, że nieraz przychodzą mi do głowy wcale niegłupie myśli: przekupić sekretarza i przeciągnąć na swoją stronę. Z szefem byłaby wtedy łatwiej.

Meiggs nie tracił odtąd dobrego humoru, a gdy się znaleźli przed świeżo ukończonym, nie otynkowanym jeszcze budynkiem wydał się nie tylko szczęśliwy, ale i dumny. To prawda: na zewnątrz panował nieład, cegły i wapna walały się nadal wszędzie. Za to wewnątrz było już urządzone. Na ścianach wisały cenne obrazy, podłogę zasłaniały puszyste dywany, stylowe meble wypełniały wszystkie pokoje.

- Szybko się z :tym uwinąłem? - zatarł ręce obserwując z widoczną uciechą zdziwienie gości. - Ha, Meiggs potrafi działać!

Kazał podać kolację i zachowywał się jak miły, pełen uprzejmości gospodarz. Dopiero gdy służba sprzątnęła ze stołu, niespodziewanie spoważniał.

- Przejdźmy do spraw urzędowych - rzekł. - Powiem krótko: za tydzień wstrzymuję wszelkie roboty. Dziś oświadczyłem to Pardzie. Nie da nowych zaliczek, nie ruszę palcem!

Spodziewał się widocznie jakiegoś spięcia, a co najmniej perswazji, gdyż zaczepnie nastroszył brwi. Nic się jednak nie stało. Malinowski wzruszył ramionami, jakby ta sprawa nie miała żadnego znaczenia.

- Po co mi to mówisz? - odezwał się obojętnie. - Uprzedziłeś Pardę, wystarczy. A wypowiadanie pracy należy przecież do ciebie.

Jankes nerwowo poruszył głową. Wyglądał jak zapaśnik, któremu nagle umknął sprzed oczu cel.

- Hm, do mnie.. - bąknął. - Oczywiście do mnie... Musiałem to zrobić! - wybuchnął, jak gdyby targnęły nim naraz wyrzuty sumienia. - Diabli wezmą Peru, gdyż Dreyfuss ogłosił plajtę i nie spłaca pożyczek. Pardo zbyt mocno chwycił go w garść, za dokładnie wyliczył ukradzione miliony. Ich sprawa, niech się ze sobą biją, Ale ja nie mam zamiaru stać się przez nich bankrutem!

Przestał panować nad nerwami. Twarz mu poczerwieniała, oczy błysnęły w złości. Malinowski pobłażliwie pokiwał głową.

- Rozumiem cię dobrze - rzekł. - Business is business. Ze swego majątku nie możesz przecież dokładać. Dziwię się tylko, że zbudowałeś ten dom...

- Zawsze się przyda. Ziemia doskonała, kolej dochodzi. Sprzedam i jeszcze zarobię!

Malinowski pokiwał z uznaniem głową i wstał.

- No cóż, Antonio, będziemy zbierali się w drogę. Zrobiło się późno. A jeśli mamy kończyć roboty, trzeba jak najszybciej być w Limie.

Wyciągnął rękę na pożegnanie. Meiggs nie poruszył się i patrzył w osłupieniu, jakby nie wierzył oczom.

- Co się z tobą dzieje? - przemówił niepewnie. - Jak to: rozwalam ci dzieło twojego życia, a ty nic na to?... Przyznaj się: co tam ukrywasz w zanadrzu? - uśmiechnął się chytrze. - Stawiam tysiąc dolarów, że szykujesz na mnie pułapkę!

- Przegrasz. Człowiek zmęczony i stary, to wszystko. O co tu zresztą się bić? O pieniądze? Wystarczy tego, co mam. O sławę? Także nie warto. Jeśli nawet przebijemy się kiedyś przez Szczyt, nazwą go z pewnością Szczytem Meiggsa. I słusznie. Bo jeśli kolej tam dojdzie, będzie w tym jego wielka zasługa.

Malinowski ponownie wyciągnął rękę. Jankes wbił oczy w ziemię i nawet na nią nie spojrzął. Był czymś mocno przejęty.

- Nie, tak cię nie mogę wypuścić... - poruszył się wreszcie i objął go wpół. - Nie wierzę, że nie masz do mnie żalu, a nie chciałbym utracić twojej przyjaźni. Siadaj, Lima nam nie ucieknie. Napijemy się jeszcze czegoś...

Posadził go z powrotem w fotelu, potem wydał kilka poleceń służbie.

- Rozchmurz się stary! - przemówił rubaszenie. - Czy sądzisz, że mnie jest do śmiechu? Przeszliśmy razem niejedno, toteż człowiek przywiązał się w końcu i do tego kraju, i do kolei. Wierz mi jednak - dodał gorąco. - Naprawdę nie mogę inaczej postąpić! Co otrzymałem, wydałem wszystko.

Lokaj wniósł wino i wyszedł. Meiggs napelił srebrne puchary.

- A więc za Szczyt Malinowskiego! - zwrócił się do Antonia. - Pan jest Peruwiańczykiem i na pewno pan nas przeżyje. Proszę więc dobrze zapamiętać: ten Szczyt należy tylko do niego. Nawet gdyby nie on, a ktoś inny dotarł tam kiedyś pociągiem: Ta budowa nikomu nie przyszlaby nawet do głowy. I nikt inny nie potrafiłby tutaj wytyczyć szlaku. Ja to mówię: Meiggs! Malinowski roześmiał się, jakby

potraktował to jako żart.

- Nie rób testamentu za wcześnie - rzekł. - Do Szczytu obaj dotrzemy, a wtedy własną ręką wpiszę na mapę Górę Meiggsa. Będzie to piękna chwila - przemawiał coraz weselej. - Naokoło przedstawiciele władz peruwiańskich, posłowie. Stoją w śniegu, hula dokoła wiatr! Ty tam jeszcze nie byłeś, ale my z Antoniem staliśmy nieraz na Szczycie... Wspaniały widok, może podnieci nerwy. A ty wchodzisz na sam wierzchołek, podciągasz sztandar na maszt. Twój sztandar: Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Niech wiedzą i w Nowym Jorku, i w San Francisco, że wbrew wszelkim przepowiedniom Meiggs odniósł zwycięstwo!

W głosie brzmiał coraz większy entuzjazm. Jankes wpatrywał się w niego jak urzeczony.

- Ha, poszaleliby moi dawni wierzyciele z zazdrości!... - rozmarzył się. - Góra Meiggsa, wspaniale to brzmi! Urządę wówczas - i jego zaczął ponosić entuzjazm - taką uroczystość, jakiej jeszcze nie widział świat. Nie za dwieście tysięcy, a za pał miliona! Za milion!...

Głos załamał się nagle, na twarzy ukazało się zniechęcenie. - Głupstwa gadam - mruknął ze złością. - O czym tu marzyć, gdy nie ma pieniędzy?... Ze swoich przecież nie dołożę, gdyż mam dwóch synów i córkę. Trzeba im coś pozostawić.

Popatrzył na Malinowskiego niepewnie. Inżynier zabawiał się ostrożnie napelnionym pucharem. Nie wypił dotychczas.

- To prawda - przyznał nie odrywając od niego oczu. - O rodzinie należy pamiętać. Co prawda ty zaczynałeś karierę bez jednego dolara. I takiego pomnika, jak Góra Meiggsa, dzieci ci nie wystawią. Choćbyś zgromadził dla nich nawet największy majątek...

Uniósł powoli głowę: Jankes niespokojnie nawijał na palec dewizkę. Objął go zamyślnym spojrzaniem i usiadł wygodniej.

- Kto wie zresztą - dodał po chwili - czy nie uda się wybrnąć z tej sytuacji. Że Pardo jest mądrym człowiekiem, nie potrzebuję ci tego tłumaczyć. Wydatki ogromnie wzrosły, Dreyfuss nie płaci, a mimo to trzyma się jakoś wszystko. Za rok zaś rząd zacznie sprzedawać saletrę na własną rękę i skarb się znowu napelni. Aby tylko przetrzymać ten trudny okres.

Palce Meiggsa znieruchomiały, dewizka ułożyła się ,znowu normalnie.

- Można by ci zresztą trochę pomóc - głos Malinowskiego rozbrzmiał bardzo łagodnie. - Otrzymałeś wiele zaliczek na inne linie. Nie wszystko wydałeś. Gdyby zebrać nadwyżki i rzucić na linię orojską, popracujemy za nie z pół roku. I przebrniemy przez Piekło.

Meiggs poprawił krawat i wygładził go z wielką uwagą.

- Pardo poszedłby na to? - zapytał.

- Oczywiście. Wobec tej linii inne są dla niego nieważne.

Meiggs przez długi czas wpatrywał się w srebrne naczynia.

- Powiedzmy: zgoda... - odezwał się wreszcie. - A co dalej?

- Dalej? Jasne: dotrzemy do Góry Meiggsa! Jeśli nawet zabraknie nam trochę pieniędzy po drodze, dołożysz ze swoich. Z tych milionów, które zarobiłeś na Peru.

Malinowski roześmiał się. Meiggs popatrzył na niego i też się rozbawił.

- Jak Boga kocham - wkrzyknął bez żadnej urazy - znów mnie wystrychnąłeś na dudka! Ja tu już pakuję walizy, a okazuje się, że muszę pozostać. Dawaj tysiąc dolarów, bo don Antonio jest świadkiem: wygrałem! Więc mam oddać Peruwiańczykom, co udało mi się z nich z takim trudem wycisnąć? Za co? Za jedną górę?

- Nie za górę. Za pomnik. Takiego nie mają nawet faraonowie w Egipcie. Mount Meiggs! Pięć tysięcy metrów wysokości w miejscu, gdzie przełamiemy Andom kręgosłup!... A zresztą nie jest powiedziane, że stracisz gotówkę. Jeśli skarb się napelni, na pewno otrzymasz wszystko. I jeszcze górę za darmo!

Zapanowała wesołość. Meiggs rozparł się wygodniej w fotelu.

- Miewasz kapitalne pomysły! - zaniósł się nagle śmiechem. - Mount Meiggs!... Dobrze to brzmi. Żaden z moich wierzycieli nie doczeka się nigdy takiego pomnika. Wobec tego wypijmy na zgodę!

Chciał napęlić naczynia, lecz Malinowski przytrzymał mu rękę i po chwili wyciągnął z kieszeni flaszkę koniaku.

- Człowiek uczy się ciągle, toteż i ja jestem teraz przygotowany na każdą okazję - rzekł. - Niech ci się przypomną stare dzieje, gdy to w Kalifornii szukałeś złota.

Meiggs zerwał się z miejsca.

- Ależ ty umiesz chwycić człowieka za serce! - wykrzyknął uszczęśliwiony. - Gdy w Kalifornii... Ha, jeśli to ma być taka zabawa, trzeba się zabrać do niej inaczej. Chodźmy!

Zakrzętała się energicznie i wkrótce zasiedli na gołym ~polu, wśród cegieł i wapna. Na ledwie się trzymającym murarskim stoliku służba ustawiła metalowe garnuszki.

- Don Antonio, patrz na starszych i bierz z nich przykład! - Meiggs stawał się coraz weselszy. - Inżynier ma dziś sześćdziesiąt cztery lata, ja - sześćdziesiąt dwa. Mimo to jesteśmy wciąż młodzi i potrafimy nadal brać się za bary z Andami. A wiesz dlaczego? Ba nie uznajemy przeszkód. I czujemy się najlepiej na otwartej przestrzeni!

Z rozmachem napełnił kubki.

- Masz rację: z Pardy chłop mądry - zwrócił się teraz do inżyniera. - Wybrnął z wielu kłopotów, wybrnie chyba i z tego. A gdyby nawet coś przyszło dołożyć - machnął beztrosko ręką - z głodu nie zginę! Ale co do tej góry - dodał trochę nieufnie - to pewne?...

- Pewne! Powiedziałem ci: sam wpiszę na mapę. A ja umiem dotrzymać słowa.

### III.

Wróciwszy do Limy, Antonio wpadł od razu w wir wytężonej codziennej pracy, a wkrótce ,przybyły mu nowe kłopoty. Wrócił z Paryża Habich, gdzie z ramienia rządu peruwiańskiego brał udział w międzynarodowym kongresie dróg żelaznych, a przy okazji zawarł kontrakty z kilkoma polskimi inżynierami i obecnie przywiózł ich z sobą. Trzeba się więc była nimi zająć, a niektórych wkrótce wyprawić w drogę. Taki bowiem na przykład Babiński, przewidziany do odwodnienia kopalni srebra w Cerro de Pasco, otrzymał tymczasem pilniejsze zadanie: opracować dokładną mapę Peru i przeprowadzić w określonych punktach badania geologiczne.

Trudno było o wolną chwilę, lecz Antonio zawsze ją jakoś wynalazł i wtedy wymykał się do Jelskiego. Bardzo się z sobą ostatnio zaprzyjaźnili. Przyrodnik wrócił niedawno z dalekiej wyprawy do wnętrza Peru i przywiózł stamtąd wiele okazów zoologicznych, a że doglądał ich osobiście i podpatrywał niejedno, zawsze miał dla niego jakąś interesującą nowinę. Widocznie jednak nie tylko to ich łączyło. Któregoś dnia, zapomniawszy nawet o powitaniu, wprowadził za ogrodzenie, gdzie profesor Raimondi hodował rzadkie rośliny i pełnym zachwytu gestem wskazał zgrupowane z boku doniczki.

- Widział pan kiedyś takie storczyki? - wykrzyknął. - Najpiękniejszy zbiór, na jaki kiedykolwiek patrzyłem w życiu!

W podziękowaniach, jakie padły z ust Antonia, czuło się nie tylko entuzjazm, ale i głębokie wzruszenie. Jelski zerknął na niego spod oka i zdawało się, że się także rozczulił.

- Sam się dziwię, że dotarły tu w takim stanie - rzekł miękko. - Tydzień na statku: bardzo dużo dla tak delikatnych roślinek... Widocznie - uśmiechnął się dobrodusznie - płynęły wraz z nimi jakieś serdeczne uczucia.

Antonio zarumienił się, Jelski, jako że chłop był potężny, z nagłego rozbawienia podrzucił go w górę, a potem wziął w ramiona i ucałował.

- Nie potrzeba być prorokiem, aby się wszystkiego domyślić, gdy taki caballero zalewa się pąsem - rzekł. - Składam więc z góry swe najlepsze życzenia. I sam się zapraszam na ślub.

Antonio osobiście dopilnował transportu, a po godzinie głębokich narad ze starym sługą i wspólnego wysiłku dom generała zagrał nowymi barwami. Piękno, które i przedtem rzucało się w oczy na każdym kroku, teraz nabrało blasku.

- Chyba wszystko... - odetchnął siadając w fotelu. - Zatem pojutrze? - zwrócił się z pytaniem do zadowolonego staruszka. - Sprawimy im niespodziankę...

Posiedział jeszcze z pół godziny i wreszcie ruszył do wyjścia.

- Proszę powiedzieć panu generałowi - dodał na pożegnanie - że będę o siódmej.

Liczył od tej pory godziny, a chociaż pracy miał dużo, nie mógł ani na chwilę oderwać myśli i od tych storczyków, i od tego domu, z którym wiązał tyle nadziei. Zwalały się z siłą dawne wspomnienia, ukazując dziś jedynie to, co w nich było najmiłsze. Toteż kiedy znalazł się znowu przed dobrze znaną bramą, serce mu waliło jak młotem.

- Przyjechali - staruszek poinformował go szeptem. Wprowadził do środka i wskazał drzwi do bocznego pokoju. Antonio zapukał, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Nacisnął klamkę i wszedł. Z

twarzy spłynęła mu nagle krew. Spodziewał się ujrzeć generała, może i ją, ale przy jego boku. A tu stała tylko ona: samotna, cicha, dziwnie bezradna i chyba tak samo blada jak on. Patrzył, jakby jej nie poznawał.

- Antonio - doszedł go cichy szept. - Nie możesz mi tamtego wybaczyć? Bardzo zawiniłam, to prawda... Ale przecież kocham cię ciągle...

- Płakała. Objął ją ramieniem i przycisnął do serca. Przez długi czas nie mogli się zdobyć na słowa.

- Moja wina - odezwał się wreszcie. - Powinienem być znaleźć wtedy trochę czasu i wyjaśnić ci więcej. Cóż, poniosła mnie gorączka walki. I obawa, że lada chwila Pardo może utracić życie...

- Nie masz racji - przerwała nieśmiało. - Choć właściwie dopiero dziś wiem naprawdę, kto to jest Pardo czy Malinowski, Ojciec opowiadał mi później o nich dużo w długie, samotne wieczory... Ale wówczas - głos jej nabrał naraz twardości, jak gdyby przełamywała siłą jakieś wewnętrzne opory - nie postąpiłabym inaczej, nawet gdybyś opowiedział mi wszystko. Mnie także ogarnął lęk, lęk o własne szczęście... Chciałam na tobie wymusić posłuch. I przegrałam. Musiałam przegrać, ty bowiem nie należysz do ludzi schodzących z wytkniętej drogi... Za późno to zrozumiałam...

Przez dłuższy czas panowała zupełna cisza. Antonio spoglądał na widoczne za oknem Andy w takim napięciu, jakby po raz drugi przeżywał tę morderczą wędrówkę po drodze królewskiej Inków, przez puny i śniegi, poprzez przepalce i skalne urwiska, wśród zawiei, ulew i wichrów. Na twarzy obserwującej go bacznie Mercedes wykwitł niepokój.

- O czym myślisz?... - spytała trwożnie.

- Ech, nie warto wspominać!

Antonio poruszył się raźnie. Długo oczekiwane szczęście doszło nareszcie do głosu, kruszyło odtąd szybko serca i dusze. I wraz z pocałunkami płynęły coraz gorętsze i coraz tkliwsze zwierzenia. W sąsiednim pokoju dały się słyszeć kroki.

- Ojciec się niecierpliwi - uśmiechnęła się Mercedes. - On też chciałby cię wreszcie zobaczyć.

- I zagrać w szachy. Dam mu dziś mata! Chodźmy więc. Przedtem jednak przyjmij ten podarunek.

Ujął ją za rękę i wsunął na palec pierścioneł. Mercedes spłonęła rumieńcem, na twarzy ukazało się głębokie skupienie. A i Antonio spoważniał.

- Oby zawsze nam było tak dobrze - rzekł cicho. - Zaraz oświadczę się ojcu. Szkoda - zmarkotniał - że don Ernesto wyjechał w góry... Chciałbym go też widzieć w tej chwili przy sobie.

- Don Ernesto?... Aha, Malinowski! Kim on jest właściwie dla ciebie, że go traktujesz jak ojca?

- Więcej niż ojcem. Co we mnie wartościowego, od niego pochodzi.

Wzruszenie, które wyczuwało się ,w jego głosie, udzieliło się także Mercedes.

- Niezwykły to musi być człowiek, jeśli tak o nim mówisz - rzekła z przejęciem. - Mój ojciec też to twierdzi. Przecież to obrońca Callao!

- Tak, obrońca Callao...

Antonio wziął ją pod rękę i otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju. Generał przeglądający właśnie jakąś gazetę, uniósł raptownie głowę.

- Witaj synu utrapiony! - uradował się. - Ładnie tak porzucać dziewczynę na środku drogi? Dała się wreszcie przebłagać?

- Dała - Antonio uściśnął wyciągniętą ku niemu rękę i zaraz przybrał pełną godności postawę - I za jej zezwoleniem mam zaszczyt prosić pana o jej rękę.

Generał objął go trochę rozbawionym, a trochę krytycznym spojrzeniem.

- Najwyższy czas - mruknął niechętnie. - Potrzebna wam była ta długa rozłąka?... Dobrze, zgadzam się - machnął ręką, - Już ci kiedyś powiedziałem, co myślę o takich jak ty. Moim zdaniem doskonale się nadajesz do naszej rodziny. Stawiam tylko jeden warunek...

Podniósł groźnie palec do góry i ściągnął brwi,

- Raz w tygodniu - kończył dobitnie - zięć musi rozegrać z teściem partyjkę szachów!

Antonio bez chwili namysłu i uroczyste potwierdził przyjęcie tego warunku. Staruszek dobrodusznie pokiwał głową.

- Wiadomo: ty nie sprawiasz zawodu - rzekł. - Kiedy ślub?

- Choćby natychmiast!

- No, tak szybko nie można... Do Wielkanocy trzeba poczekać, gdyż teraz post. Ucztę zaręczynową mażemy jednak urządzić. Wprawdzie jakiś tam sekretarz inżyniera to zaszczyt niewielki, lecz że nie

wiadomo czy jutro nie będzie ministrem, warto go ludziom pokazać.

Uśmiechnął się rozbrajająco, Antonio natomiast zmarszczył nieznacznie czoło. Nie dotknęły go te słowa, niewątpliwie krył się za nimi żart. Zastanowiło go natomiast, skąd ten człowiek wie, jakie zajmuje on stanowisko. Przecież dopiero co wrócił do Limy...

Rozjaśnił twarz. Należało coś odpowiedzieć.

- Chyba warto - odezwał się żartobliwie. - Zięć nie ośmieli się przynieść teściowi wstydu, gdy zabiera mu taką córkę. A co do zaręczyn... Prosiłbym a wyznaczenie terminu nie wcześniej niż za dwa tygodnie. Wtedy don Ernesto powróci z gór.

- Aha, Malinowski!... Słusznie, on musi być na takiej uroczystości. Więc poczekamy. A teraz siadajcie, moje dzieci - objął oboje ciepłym spojrzeniem, - Dziś także należy mi się partyjka. Tymczasem wy musicie dotrzymywać mi towarzystwa. A później, gdy będą wnuki...

Pokryta zmarszczkami twarz rozbiła się w uśmiechu. Antonio zaczął rozkładać szachy.

#### IV.

W tym czasie Malinowski przejmował wiadukt w Verrugas. Tragiczna przepaść nie straciła wprawdzie na ponurości, nie przypominała jednak obecnie niczym strasznych zmagających z dziką naturą, chorobami i śmiercią. Smukła, wdzięczna budowla, łącząca dwa przeciwległe wyloty tuneli, złagodziła ostre kontury, przecięta na pół głębia przestała przerażać swą bezdennością. Co wydawało się dawniej olbrzymie, jakby skarłało, stało się człowiekowi bliższe i zrozumialsze. Zmalały odległości, pozornie przysunęły się do siebie ściany, gdzieś dalej odpłynęła dawna przygnębiająca surowość.

A wkrótce wdarło się tutaj życie. Rozdźwięczały się szyny głucho zadudniły stalowe podkłady, spoza kłębow dymu wyłonił się parowóz ciągnący za sobą kilka wagonów. Z dołu wydawał się maleńki i skromny, pocieszny jak dziecinna zabawka. Rozważnie, bez nadmiernego pośpiechu przetoczył się po wiadukcie i zniknął w zięjącym czernią otworze następnego tunelu.

Próba na wytrzymałość wypadła świetnie. Malinowski poinformował o tym telegraficznie Meiggsa, a ten swoim zwyczajem natychmiast to wykorzystał i już następnego ranka pojawili się goście: Pardo, kilku ministrów, Habich, Folkierski. Byli też inni: ludzie z Ameryki i z Europy, pragnący zaspokoić swoją ciekawość. Inżynier powitał ich przed Verrugas, potem osobiście poprowadził lokomotywę i zatrzymał ją dopiero pod Pieklm.

- Sto trzydzieści kilometrów od Limy, trzy tysiące pięćset metrów nad poziomem morza - obwieścił Meiggs donośnie, gdy pasażerowie wysiedli. - Który z panów nie wierzy, że to jest jednak możliwe?

Popatrzył trochę wyzywająco. Wśród gości, zwłaszcza tych spoza Peru, było sporo takich, którzy jeszcze na peronie limańskim powątpiewająco kiwali głowami. Teraz milczeli i ocierali chusteczkami twarze, jakby zrobiło się im naraz bardzo gorąco.

- Chodźmy na obiad - Meiggs mrugnął na nich wesoło okiem. - Proszę z góry o wybaczenie, że będzie skromny. Za to gdy się wędzemy na Szczyt, wyprawię królewską ucztę!

Wskazał ręką na widniejący w dali, pokryty śniegiem wierzchołek, na który przepływające wysoko chmury rzucały posępny cień. Pardo poszedł za jego spojrzeniem.

- Jak pan sądzi - odezwał się żartobliwie - zdążę złożyć panu gratulacje, czy też będzie pan wolał otrzymać je od mego następcy?

Meiggs zakłopotał się szczerze.

- Trudne pytanie. Robota może się przeciągnąć na lata, chociaż to stosunkowo krótki odcinek. Bez pieniędzy, niestety, niewiele się zrobi...

- W najbliższych dniach postaramy się coś panu dorzucić. W tej chwili mam do wyboru: szkoły lub kolej orojka. Wybrałem szkoły Ale o kolei też nami nie wolno zapomnieć... Wiem o tym dobrze. Toteż za rok ona się wysunie na front.

Goście odjechali wkrótce do stolicy, a Malinowski ruszył w przeciwnym kierunku do Chicli. Odległość od Piekla nie była wielka, za to wzniesienie duże. Spoglądał z troską na rozpoczęte wykopy. Na niektórych odcinkach ludzie pracowali jak dawniej, lecz zniknęły zupełnie te masy, które niegdyś wgrzyzały się w skałę na podobieństwo olbrzymiej armii. Pieniądże wykorzystywano obecnie przede wszystkim na budowę tuneli i mostów.

Wieczorem wrócił do Piekla, a wkrótce po nim przybył tu także Santillan. Wszedł do baraku, skłonił się lekko i usiadł. Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu, jak gdyby coś przekazywali sobie

bez słów, a może tylko odprawiali im tylko znany powitalny rytuał.

- Dużo mamy kłopotów - odezwał się wreszcie inżynier. - Trzeba będzie nieco inaczej zorganizować robotę. Wszystkie tunele już są zaczęte z wyjątkiem tego przez Szczyt. Chciałbym więc, abyś od jutra przerzucił tam swoich ludzi. Bo jedynie oni mogą wykonać tę pracę.

- Ty rozkazujesz, tatai. Pójdziemy na Szczyt.

Do późnej nocy omawiali szczegóły tej wyprawy, a nazajutrz z trzema młodymi inżynierami i wszystkimi indiańskimi robotnikami ruszyli na wschód. W miarę jak posuwali się naprzód, zmniejszały się coraz bardziej wykopy, ubywało wciąż robotników, aż wreszcie zniknęło wszystko, co mogło przypominać tu życie. Rimak znowu płynął samotnie wśród gór, bardzo spokojny i cichy, a niebawem i on także zaginął. Przed nimi widać było tylko kamieniste zbocza, które coraz częściej pokrywał śnieg,

Ujrzeni nareszcie cel. Malinowski raz i drugi rzucił okiem na bardzo bliski stąd Szczyt i oznaczył wkrótce miejsce stałego obozu. Zaczęto budować drewniany barak. Dał jeszcze kilka dodatkowych wskazówek i przestał się tym zajmować. Skinał na Santillana i skierował się z nim dalej prosto ku wierchołkowi, jak gdyby chciał stamtąd raz jeszcze rzucić okiem na widok, który natchnął go ongiś myślą połączenia Limy z dziewiczymi terenami nad Amazonką. Nie zabrał żadnych przyrządów, nie miał zamiaru robić pomiarów. Patrzył za to długo na tę utkaną z kamiennych iglic posępną ścianę walącą się gwałtownie ku zachodowi, jakby poszukiwał tam śladów tego, co dotąd zrobił, a równocześnie bardzo sumiennie obliczał ogrom czekających go trudów i swe możliwości. I w miarę jak patrzył, stawał się coraz chmurniejszy.

- Aby tylko przebić ten tunel!... - westchnął. - Stąd na wschód każdy inżynier rozwinie tory. Nawet gdyby mnie tutaj zabrakło...

Wiatr zadał mocniej, płatki śniegu zaśniły w słońcu wszystkimi barwami tęczy. Santillan przyglądał się im w zadumie.

- Ciebie, tatai, tu nie zabraknie - odezwał się cicho. - Twoje dzieło nie kończy się na tym szczycie. Budujesz Drogę Królewską i nie odejdziesz stąd, dopóki jej nie połączysz z drogą królewską Inków. Takie jest twoje zadanie.

Malinowski uderzył lekko nogą o wystający odłamek.

- Kto wie, może masz rację... - zastanowił się. - Czuję się ciągle świetnie, to prawda. Chociaż to niełatwe zadanie... Na wszelki wypadek pamiętaj: ten tunel należy wyłącznie do was. Nie otrzymacie żadnych posiłków poza tymi trzema inżynierami i ładunkami. Trzeba więc kuć i wysadzać, dopóki nie przebijecie góry na wylot.

- Ty rozkazujesz, tatai. Dotąd będziemy kuli, dopóki pod ziemią nie zacznie przepływać światło.

W kilka dni później Indianie zaatakowali górę równocześnie z dwu stron, a po południu Malinowski ruszył w drogę powrotną. Początkowo jechał samotnie, w Verrugas jednak natknął się niespodziewanie na Klugera i Pabla. Wracali właśnie z wędrowki, a dowiedziawszy się, że lada dzień tu się pokaże, postanowili na niego zaczekać.

- Wspaniała wycieczka! - opowiadał młody inżynier z zachwytem. - A te dawne indiańskie kanały: prawdziwy cud. Przecież ludzie, którzy je budowali, nie znali nawet żelaza! Można się od nich dużo nauczyć.

Ogorzały na twarzy, ruchliwy, wymowny, nie przypominał obecnie wcale tego przybysza z Europy, który się znalazł niedawno na peruwiańskiej ziemi i w pierwszych dniach swego pobytu nadrabiał trochę oneśmielenie sztucznością. Ze wzrastającą werwą opowiadał o swych wrażeniach i spotkaniach z indiańską ludnością. Przeszedł w końcu do własnych projektów:

- Wody jest w bród. Starczy i dla Limy, i dla całej doliny, i jeszcze sporo będzie można jej odprowadzić w stronę Callao. Pierwszy szkic już rzuciłem na papier...

Rozwinął duży arkusz i zaczął z przejęciem objaśniać znaki. Malinowski przyglądał się z wielką uwagą. Mile był zaskoczony zarówno tym entuzjazmem, jak i bardzo porządnie wykonaną robotą.

- Świetnie - chwalił co chwila. - Tak, tędy, słusznie. A ta linia? Aha!... Dobrze, dobrze... Więc droga właściwie wytknięta - uniósł głowę. - Chwycił pan od razu najlepszy ślad, to bardzo ważne. Toteż proszę się przygotować wkrótce do nowej wyprawy. Takiej roboczej, aby sporządzić plany. Pieniądze są na to przygotowane.

Gdy znaleźli się w stolicy, wstąpił najpierw do biura, potem odwiedził kilku znajomych i dopiero pod wieczór zjawił się w swoim mieszkaniu. Ale i tu nie zabawił zbyt długo.

- Jadę do Chorillos - oznajmił odszukawszy don Isidora. - Jeśli przypadkiem zjawi się Antonio, powiedz mu, że chciałbym dziś jeszcze omówić z nim ważną sprawę.



Zajrzał tylko do swojej willi, a potem udał się zaraz do Pardy. Prezydent jakby czekał na niego. Na opanowanej zazwyczaj twarzy czuło się wyraźnie niepokój.

- Tak, to przykra sprawa - powitał gościa nowiną, która widocznie im obu była już dobrze znana. - Gdy my robimy wszystko, aby kraj ocalić od klęski, tamten myśli jedynie, jak pochwycić władzę...

Zamknęli się w gabinecie i coś omawiali do późna. Inżynier, wróciwszy do siebie, bardzo był zamyślony. Nie wchodził do domu, lecz usiadł na werandzie w najgłębszym cieniu i zapatrzył się w skrzące między drzewami smugi księżycowej poświaty. Ciemnymi plamami o fantastycznych kształtach rysowały się na jej tle karany i pnie i trwały nieruchomo jak nocne zjawy, które powstrzymało w ruchu groźne zakłęcie. Dokoła panowała kompletna cisza, a jedynie znan oceanu dochodził rytmiczny plusk. Nie przeszkadzał, pogłębiał nawet milczenie. I swym delikatnym poszumem uskrzydlał myśli szukające rozwiązania jakiejś niezwyklej zagadki...

W dali rozległ się gwizd lokomotywy, a wkrótce na ulicy dały się słyszeć kroki. Malinowski szybko zapalił cygaro. Wbiegł Antonio: sprężysty, dziarski, radosny. Dostrzegł natychmiast ukrytą w cieniu sylwetkę i zaczął się witać serdecznie.

- Czuję, że znowu się zakochałeś - uśmiechnął się Malinowski. - I chyba bardzo szczęśliwie.

- Bardzo szczęśliwie! Co prawda, to stara historia. Cudna historia z doliny Chauchy!

- Aha! Ta dolina nadal cię przyciąga jak magnes. Jeśli jednak nie wspominałeś mi dotąd o tej historii, odłóżmy ją do jutra. Teraz bowiem chciałbym z tobą omówić sprawę dość niecodzienną. Że Dreyfuss przestał płacić, wiesz. Ale chyba nie wiesz, że nasi wierzyciele przygotowują przeciwko niemu akt oskarżenia...

Antonio skupił się w sobie. Jeszcze przez pewien czas przemykały mu przed oczyma urzekające oczy Mercedes, jeszcze czuł pocałunki. W miarę jednak, jak słuchał, zanikały te miłe wspomnienia, za to wyłaniała się coraz wyraziściej peruwiańska tragedia: Dreyfuss ogłosił upadłość, Dreyfuss sprytnie przepisał olbrzymie zapasy wywiezionej z Peru saletry na nazwiska swych krewnych, Dreyfuss odżegnuje się od wszelkich zobowiązań, udaje nędzarza. A bronić go ma kandydat na prezydenta Francji, adwokat Grévy. Przed sądami francuskimi, gdyż tak przewiduje nieszczęsna umowa Pieroli, który swym podpisem oddał w ręce obcych władz losy własnego narodu.

Antonio zacisnął zęby. Znał tę umowę świetnie i to ona właśnie torowała mu drogę do zrozumienia smutnej strony pronunciamenta, które pomijając prawo stawia wszystko na jedną kartę i gotowe jest kraj obrócić w ruinę, aby tylko osiągnąć upragnione zwycięstwo. Myśli wzburzyły się na chwilę, ale zaraz nabrały większej czujności. Zza słów, które ciągle do niego dochodziły, wychyliła się nowe niebezpieczeństwo i smagnęło go nagle jak ogniem.

- Tak, Pierola zaczyna znów działać - Malinowski powtórzył ostatnie zdanie. - Skupuje broń i amunicję, za granicą gromadzi przyszłych dowódców. A wkrótce pewnie wyląduje w Peru. Aby podłożyć minę...

Przerwał i wpatrzył się w ledwie widoczną w mroku sylwetkę Antonia. Zdawało mu się, że drgnęła silnie.

- Sporo tych kłopotów - odezwał się znowu. - Oczywiście tam, w Europie, czuwają ludzie wyznaczeni przez rząd. Ale i im ktoś powinien przyglądać się z boku, aby od czasu do czasu przekazać Pardzie swe obserwacje. I podsunąć mu taką czy inną myśl... A nad Pierolą trzeba czuwać bez przerwy i przez wcześniejsze poznanie jego zamiarów uprzedzić atak.

- Nie lepiej tu na niego poczekać?...

- Nie można. Nie wiemy przecież, kiedy uderzy i gdzie. Gdyby udało mu się wdrzeć w góry z bronią i amunicją, za drogo mogłaby nas kosztować walka. A z zagranicy wystarczy przysłać depeszę. Toteż dla dopilnowania tych spraw musi ktoś z nas wyjechać. I to wyjechać natychmiast.

Pierś Antonia zaczęła unosić się szybko. Zrozumiał, do czego prowadzi ta nocna rozmowa. Niejednokrotnie omawiali sprawy niemniej poważne, nieraz wstrzymywał oddech słuchając niezwykłych wieści, lecz nigdy nie wyczuwał takiego pośpiechu. I tak wyraźnie wykreślonego kierunku. A przy tym nie było wówczas, tak blisko jak dziś pięknych oczu Mercedes...

- Więc trzeba jechać natychmiast... - odezwał się głucho. - Ja mam tam jechać?...

Malinowski nie odpowiedział od razu, jak gdyby zastanawiał się nad tonem tych słów i pragnął coś z niego odgadnąć.

- Chyba ty się do tego najlepiej nadajesz - przemówił powoli. - Znasz przy tym te sprawy na wskroś. Objiesz się przy okazji o dyplomatów, adwokatów, o najrozmaitsze prawa i konstytucje. Na pewno to ci się przyda w przyszłości. A już Pieroli nikt nie dopilnuje lepiej niż ty...

Pierś Antonia poruszała się coraz szybciej. Słowa słyszał wyraźnie, doskonale rozumiał treść,

automatycznie wypełniał myślami niedomówienia. A jednak było to wszystko jakieś dalekie, jakby zwarzone chłodem, każde zdanie pogłębiało przenikający go mróz. Przed oczyma przemknęła znowu zachwycająca sylwetka i naraz ogarnął go bunt. Gotów był zerwać się z krzesła, odżegnać się od wszystkiego, skoczyć gdzieś w ciemność i zniknąć. Ale zniemacka wychyliła się inna twarz: mądra, łącząca świadomość celu ze szlachetnością, poszarzała z nawału trosk. I jeszcze jedna: Gutierrez leżący w ulicznym pyłu. I ta Pieroli: wciąż żywa, zacięta, pełna niewyżytych ambicji...

- Dlaczego milczysz? - doszedł do niego jak przez sen niespokojny głos inżyniera. - A może ten wyjazd nie jest ci na rękę? Powiedz szczerze. Niełatwo, byłoby znaleźć kogoś odpowiedniejszego na twoje miejsce, lecz jeśli...

Antonio odetchnął głęboko.

- Długo tam będę musiał pozostać? - zapytał.

- Nie wiem. Według moich obliczeń Pieroli można się spodziewać za trzy, cztery miesiące, najdalej za pół roku. Inne sprawy pewnie przeciągną się dłużej, chyba więc rok to potrwa. Sam zresztą zadecydujesz o terminie powrotu. Jeśli jednak...

Antonio poruszył nerwową głową.

- Przestańmy o tym mówić! - rzekł szorstko, jak gdyby ostrością tonu pragnął zagłuszyć bolesne myśli. - Rozumiem: jestem potrzebny. Natychmiast, dla dobra Peru. Toteż pojedę. Bo rozumiem także: w sprawie Pieroli na pewno nikt mnie nie może zastąpić!

Gniewnie i twardo rozbrzmiały ostatnie słowa. Antonio wstał, odwrócił się na pięcie i nie powiedziawszy nic więcej odszedł do swego pokoju. Nie spał wcale tej nocy. Jednakże nazajutrz pracował normalnie, wziął nawet udział w konferencji na mieście i nikt nie zauważył w nim jakiegokolwiek szczególnej zmiany. Natomiast Mercedes, gdy go zobaczyła wieczorem, od razu wyczuła nieszczęście.

- Antonio! - krzyknęła w progę. - Co się stało?

- Jutro wyjeżdżam.

Zaczął oględnie wyjaśniać cel swojej podróży. W pierwszej chwili w oczach Mercedes pojawił się bunt, lecz w miarę, jak słuchała, zanikał szybko i wreszcie jej twarz pokryła się śmiertelną bledością.

- Nie mów nic więcej! - przerwała mu nagle. - Musisz jechać?

- Muszę.

- Wystarczy, jedź. A to... A to zabierz z sobą. Niech ci przypomina, że zawsze jestem przy tobie...

Zdjęła duży pierścień i włożyła mu go na palec.

- Jedź, jeśli musisz - powtórzyła jak niegdyś tam, w Concepcion, i jak wówczas zarzuciła mu rękę na szyję. - Po raz drugi nie popełnię już błędu. Ufam ci zresztą. Dlatego nie pytam o nic...

## V.

W listopadzie Pierola wylądował i jak gdyby dla podkreślenia, że na tej starożytnej ziemi Inków jego moc wywodzi się z kościoła, połączył się natychmiast z oddziałami zbrojnymi, przywiezionymi nad brzeg morza przez proboszcza Toraty. Jeszcze jednak nie zdążył wydobyć spod pokładu broni i amunicji, gdy jak orzeł spadł na niego potężny „Huascar” i porwał jego okręt z całym ładunkiem, a równocześnie z górskich kryjówek wyskoczyły oddziały wojska. Rozbiły go za pierwszym atakiem, niedobitków pchnęły na Arekipę, a tam dały mu tylko tyle czasu, aby skupił swych zwolenników i ujawnił siły, które od dwóch lat przygotowywał do walki. Wtedy uderzyły ponownie, znosząc nieprzyjaciela doszczętnie. Jedynie Pierola zdołał się wymknąć. Zawsze ostrożny i zawsze trzymający się tyłów, zniknął zaraz w początkach bitwy i uciekając dzień i noc przed pościgiem, odetchnął dopiero w Chile.

Nadszedł rok 1875, upływały powoli miesiące. Peru oddychało coraz swobodniej. Zniknęły ostatecznie pronunciamenta, prawo umacniało się w urzędach, rozwijał się doskonale wprowadzony przez Pardę samorząd. Wielkiej wagi nabierało rolnictwo. W dolinie Rimaku pięły się coraz wyżej uprawy, u źródeł rzeki już prowadzono pod kierunkiem Klugera wielkie roboty hydrauliczne. Na północy działał Soto-Marino zamieniając jałowe dotąd przestrzenie w urodzajne pola, koło Trujillo pracował z rozmachem polski agronom Bujnicki, za ich przykładem szli inni. Nowoczesne metody w gospodarce stały się hasłem naczelnym, a rodząca się Powoli Wyższa Szkoła Rolnicza i rolnicze pismo fachowe stanowiły ukoronowanie tych wielkich wysiłków.

Życie więc, mimo piętrzących się dokoła trudności, nabrało blasków, stało się przyjemniejsze. Jednakże Folkierski, idąc któregoś dnia samotnie ulicą, wydawał się zachmurzony. Co prawda miał więcej kłopotów niż inni. Poza obowiązkami na uniwersytecie pełnił z ramienia rządu nadzór nad robotami publicznymi i kolejami, a że pieniędzy w skarbie wciąż było za mało, miał o co się martwić. Szosa do Callao gotowa, warto by pobudować teraz szosę nadbrzeżną. Lecz za co?... Zakłada się rurociągi, ale czy starczy na doprowadzenie ich do stolicy?... A tamte...

Przerwał swe rozmyślenia. Naprzeciw wyrosły mury kościoła, a przy nich rusztowania, na których pracowali malarze. Dostrzegł wśród nich uwijającą się energicznie znajomą sylwetkę.

- Hej, Tadek! - wykrzyknął po polsku. - A ty co tu robisz?

Tadeusz Stryjeński, bo to on tam pracował z takim zacięciem, machnął raz jeszcze pędzlem i spojrzął w dół. Skinął przyjaźnie ręką, a po chwili zrzucił kitel i zsunął się zgrabnie na ziemię.

- Nareszcie jakaś swojska dusza! - westchnął uszczęśliwiony, - Zaszczyło mi w gardle i akurat potrzebowałem kompana. Chodźmy na wino.

Zrobił krok naprzód, ale coś sobie przypomniał i wszedł do kościoła. Raz i drugi przeżegnał się uroczyście przed wielkim ołtarzem i dopiero wtedy ruszył raźnie ulicą.

- Nie ma to, jak żyć w zgodzie z księżmi - gawędził. - Pytałeś, skąd się tu wzięłem? Z przypadku. Wstąpiłem kiedyś na nabożeństwo, a że dostrzegłem pustą ścianę, więc następnego dnia przyniosłem farby i pędzle i namalowałem na niej taką Madonnę, że Limankom oczy teraz wychodzą z zachwytu. Zjawił się proboszczunio, mówił coś o pieniądzach. Oczywiście odmówiłem. Co to, nie stać mnie na upiększenie domu Bożego za darmo?... I wtedy z wielkiej radości zlecił mi odnowienie całego kościoła!

Parsknął śmiechem. Folkierski pokiwał głową.

- Masz rękę zdolną, wiadomo - pochwalił. - A co z projektem Szkoły Rolniczej? Skończyłeś?

- Prawie. Zacznę jutro sklejać sztukatorskie kawałki.

- Postaraj się, żeby wypadło dobrze. Habich podobno przygotowuje ci już nową robotę.

- Nie potrzebujecie się o mnie martwić! - Stryjeński machnął niedbale ręką. - Księża skaczą dziś koło mnie, tą Madonną zainteresował się biskup. A mój kochany proboszczunio szepnął mi nawet na ucho, że mogę otrzymać budowę wielkiej katedry. W jakiejś Taknie, czy coś takiego. W każdym razie gdzieś na południu.

Pchnął przed sobą drzwi i weszli do winiarni. Pogawędzili z godzinę. Stryjeński wrócił do przerwanej roboty, Folkierski natomiast udał się do Habicha. Zajęty był właśnie sprawdzaniem jakichś długich wykazów, lecz na widok gościa natychmiast odsunął od siebie wszystko.

- Nareszcie otrzymałem pieniądze! - wykrzyknął. - Właśnie przygotowuję zamówienia na potrzebne przyrządy i materiały, a w nowym roku uruchamiamy pierwszą politechnikę w Ameryce Łacińskiej!

Jak na niego nadspodziewanie dużo było w tych słowach żywości i entuzjazmu. Folkierski dłużej przytrzymał mu rękę.

- Bardzo przyjemna nowina - ucieszył się także. - Więc jeszcze jedno marzenie wprowadza się w czyn... Ale jak to się stało? - zastanowił się nagle. - Przecież w skarbie są ciągle pustki...

Habich tajemniczym ruchem przyłożył palec do ust.

- Pardo się śpieszy - odparł. - Szkoła Inżynierów była w programie i najwyższy czas, aby ją wreszcie otworzyć. Gdy raz powstanie, nikt nie ośmieli się zamknąć. Nawet gdy Pardo przestanie za rok być prezydentem.

Folkierski spochmurniał. Ta data zaczynała ciążyć nad każdym działaniem. I każdy rozsądnie myślący człowiek w tym kraju już dziś zadawał sobie pytanie, czy znajdzie się godny następcy...

Rozmawiali przez pewien czas na ten temat, a potem przeszli do spraw bliższych i mniej kłopotliwych. Folkierski wspominał o swym spotkaniu ze Stryjeńskim i opowiedział przebieg rozmowy.

- Niedobrze - zafrasował się Habich. - Nadmierne powodzenie łatwo ludziom przewraca w głowie. Zwłaszcza tak młodym jak on. Może i my zresztą popełniłszy błąd...

Zastanowił się nad czymś i nie dokończył, a gdy Folkierski odszedł, zabrał się znów do wykazów i listów. Bardzo odtąd był zamyślony, często przerywał robotę. Do wieczora jednak wykończył wszystko, a potem wsiadł do pociągu i udał się do Chorillas. Malinowski siedział na werandzie i przyglądał się blaskowi gwiazd, igrającemu w falach Oceanu Wielkiego.

- Przyjechałeś odpocząć? - zagadnął. - Słusznie. Ten szum i ta poświata bardzo uspokaja człowieka.

Przez dłuższy czas spoglądali w milczeniu na tajemniczą grę cienia i światła. Habich się wreszcie

poruszył.

- Są jakieś wieści z Paryża? - zapytał. - Wygramy sprawę?

- Prawdopodobnie przegramy. Rząd, który się broni przed obcym sądem, nigdy nie ma zbyt wielkich szans. Dreyfuss zresztą nie szczędzi pieniędzy, za które Grévy przygotowuje sobie wybory,

- A w Rzymie?

- Tam za to pełne zwycięstwo! - Malinowski ożywił się i zapalił cygaro. - Papież całkowicie uznaje słuszność żądań Pardy i zgadza się, że w takim kraju jak Peru rząd musi mieć wpływ na obsadzanie stanowisk kościelnych. Konkordat zostanie wkrótce zawarty.

Habich uniósł rękę, jakby coś sobie przypomniał.

- Oby mi nie uciekło! - przemówił szybko. - Stryjeński buduje w Taknie katedrę.

Opowiedział szczegółowo o wszystkim, co mu przekazał Folkierski.

- Niedobrze... - Malinowski z niezadowoleniem pokręcił głową. - Że przeciwny obóz usiłuje pozyskać sobie wśród nas jakichś przyjaciół, nie można się dziwić. Ale że Stryjeński tak łatwo zrzeka się naszej pomocy... No cóż, młody człowiek. Oczywiście przeszkadzali mu nie będziemy. Może istotnie obrał dla swego talentu najlepszy kierunek?... Niech więc idzie własnymi drogami. Choć szkoda...

Habich zmienił szybko temat, gdyż i jemu sprawiał przykrość, a gdy się znów rozgadali, zapytał się o Antonia.

- Powraca wkrótce. Świetnie się spisał. Co się stała z Pierolą, wiesz, a to przede wszystkim jego zasługa. A i w Paryżu... Malinowski rozwiódł się nad tym szeroko. Gdy mówił a zaletach Antonia, tyle czuła się w jego głosie tkiwości i dumy, że nawet Habicha to zaskoczyło.

- Tak o nim mówisz, jakbyś był jego ojcem - przerwał mu żartobliwie. - A dlaczego nie odwołałeś go wcześniej? Przecież opowiedziałem ci o jego sercowych kłopotach!

Malinowski mocniej zaciągnął się dymem.

- Bo tego nie wolno mi było zrobić - odparł. - Jeśli zdobył się na taki hart i nic mi nawet nie wspomniał, należy grę doprowadzić do końca. Widziałeś kiedyś tę jego Mercedes?

Habich zaprzeczył.

- Szkoda. - Malinowski strząsnął ostrożnie popiół. - To nie piękność. To cud. Trzeba było ogromnego samozaparcia, aby od niej odjechać.

Habich pochylił się i wpatrzył w niego w napięciu. - A tyś ją widział? - zapytał cicho.

- Widziałem.

- Kiedy?... Jeszcze przed wyjazdem Antonia?

- Tak.

- I wiedziałeś o wszystkim?

- Wiedziałem. Właśnie dlatego przyspieszyłem jego wyjazd do Europy.

Habich splótł palce i z nagłego wzburzenia wygiął w stawach aż trząsły.

- No wiesz!... - wyjąkał. - Tego się po tobie nie spodziewałem... Człowieku - wybuchnął - przecież ty nie masz odrobiny litości! To nie kolej, nie skała, a dwa młode serca, które spotkały się nareszcie po długiej rozłące!

Cygara zgasło, Malinowski potarł zapałkę. Drżała migotliwie, gdy ją podnosił do góry.

- Nie skała, prawda... - przemówił po chwili. - A jednak skała. Lita, masywna, szlachetna skała, która pod wielkim ciśnieniem jeszcze więcej nabiera hartu. Antonio ma z niej dużo, wciąż przybywa mu na twardości. Warto więc poddawać go nowym próbom. A nuż rozbłyśnie niespodziewanie jak brylant pierwszej jakości? W tym kraju bardzo potrzebni są mocni ludzie. Choćby nie zajmowali żadnych wybitnych stanowisk. A przecież i Mercedes się liczy... To też interesujący charakter.

Zapatrzył się w ciemne sylwetki koron i pni odcinających się ostro od księżycowej poświaty.

- Przybędzie ci lat, zrozumiesz mnie łatwiej - dodał po chwili. - Taki Antonio może stanowić więcej niż kolej owojska, to przyszłość. I gdybyś spotkał kiedyś podobną parę, nie wahaj się powtórzyć tej próby. Moim zdaniem to nie brak serca. To chyba mądrość...

## VI.

Mercedes przytuliła do serca pęk świeżo rozkwitłych róż. Od strony Callao już było słycać głucho dudnienie, ukazał się dym. Pociąg zwalniał i wkrótce przesunęła się przed nią lokomotywa, ;załśniły szyby. Z jednego z wagonów wysiadł elegancka ubrany mężczyzna, rzucił na ziemię dwie ciężkie walizy i przypadł do niej.

- Madonna Santissima!... - jęknęła Mercedes zdumiona. - To ty?...

- Ja! - śmiał się Antonio. - Zmieniłem się, nieprawda? Ha, wraca się przecież z Paryża! Ale i ty się zmieniłaś. Aż się boję dotknąć takiej piękności!

Przytuliła się do niego i wysunęła wreszcie przed siebie róże.

- Weź - szepnęła. - Na szczęście...

Antonio musnął ustami płatki, a potem podniósł ją w górę i ucałował raz jeszcze.

- Chodźmy - rzekł raźnie. - Za duży tu tłok.

Przywołał tragarzy i wyszli z dworca. Mercedes w jakimś wielkim napięciu przyglądała się trzymanej przez niego laseczce: ładna była, zdobita ją rękojeść z kości słoniowej. I musiała drogo kosztować...

- Ależ ty się zmieniłeś!... - odezwała się trwożnie. - Patrzę na ciebie, wiem, że to ty jesteś, a ciągle wydajesz się inny.

- Przez tę laseczkę?

- Nie tylko. We wszystkim widzę różnicę: i i w zachowaniu, i w ruchach. A ta władczość wobec tragarzy!...

- Ha, wobec tego pokażę ci więcej!

Wyciągnął monokl, założył i spojrzał na nią wyniośle.

- A panna Mercedes co tutaj robi? - zapytał zimno, cedząc powoli słowa przez nos.

Mercedes zbladła. Dostrzegł to i nagłym ruchem cisnął monokl na ziemię. Szkło rozprysło się z trzaskiem.

- Już nie ma - rzekł, śmiejąc się. - Przeszkadza ci laska? Dobrze, i jej się pozbędę. Niech pan weźmie na pamiątkę - zwrócił się do jednego z tragarzy. - Z Paryża. Można otrzymać za nią sporo pieniędzy.

Tragarz z uciechy machnął jak biczem. Rozległ się ostry świst, rozbawili się wszyscy. Antonio wziął Mercedes pod rękę.

- Chyba już wyglądam normalnie? - zapytał. - Co za śmieszni ludzie mieszkają w tej Europie! - zaczął opowiadać z przejęciem. - Monokl, laseczka, sztywna postawa, okazywanie służbie pogardy - to zalety, bez których w tak zwanym dobrym towarzystwie nikt się obejść nie może. Jeśli ty nie krzyczysz, krzyczą na ciebie. Musiałem nauczyć się różnego paskudztwa, lecz otrząsnę się szybko. Lima ma przecież doskonałe powietrze.

Objął ją kochającym spojrzeniem. Mercedes przytuliła się mocniej i przez pewien czas szli w zupełnym milczeniu. Antonio rozglądał się z zaciekawieniem: sporo się tu zmieniło w czasie jego nieobecności. Przybyły nowe domy, na stare kamienice zarzucano tynki i sztukaterie. Niespodziewanie przyciągnęło jego wzrok rusztowanie ustawione koło kościoła.

- Odnawiają?... zdziwił się i naraz uderzył się ręką w czoło. - Przecież tu jest twoja parafia!

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc o co mu chodzi. Stawał się coraz weselszy.

- Poczekajcie na nas - zwrócił się do tragarzy. - Nie ominę tego kościoła, gdyż jutro mogą mnie znów wysłać do Europy - wyjaśniał szybko Mercedes. - Daję natychmiast na zapowiedzi i odtąd bez ciebie nie ruszę się nigdzie!

- Jak to: tak zaraz... - szepnęła. - Tak bez nikogo?...

- Potrzebni ci świadkowie? Dobrze, też będą!

Antonio uniósł głowę do góry.

- Hej tam, na rusztowaniach! - wykrzyknął. - Może któryś z panów zejść na dół?

Wychyliła się przybrana w beret młodzieńcza twarz i zaczęła przyglądać mu się ciekawie. Antonio klasnął w ręce z uciechy.

- Co za traf: Stryjeński! Panie Tadeuszu, prosimy. Jest pan nam bardzo potrzebny!

Znalazłszy się na dole, architekt oniemiał w pierwszej chwili na widok Mercedes, lecz gdy Antonio wyjaśnił mu sprawę, nabrał natychmiast zwykłej sobie pewności.

- Oczywiście, załatwi się wszystko - machnął ręką. - Proboszcz pewnie śpi o tej porze, lecz go obudzę. Na mnie się nie obrazi, mam tu wyrobione stosunki. Pójdzie wszystko jak z płatka!

Nie przesadził. Proboszcz istotnie spał, kiedy jednak stanął przed młodą parą, był w doskonałym humorze. Stryjeński musiał mu opowiedzieć po drodze jakiś dobry kawał, gdyż jeszcze w drzwiach zakrystii śmiali się do rozpuku. A w kwadrans później było po wszystkim.

- Oddał nam pan wielką przysługę. - Antonio serdecznie uściśnął mu dłoń, gdy znów znaleźli się na ulicy. - Zapraszamy już teraz na ślub. A co słyhać z projektem Szkoły Rolniczej?

- Gotowy. Jutro odbędzie się komisyjne przyjęcie. Może pan zajrzy?

- Na pewno.

Pożegnali się. Antonio przytulił do siebie Mercedes.

- A więc moja cudna królowo - przemówił radośnie - odtąd mi się nie wymkniesz! Za dwa tygodnie ślub. A może - dodał spoglądając na nią przekornie - nie jesteś z tego zadowolona?

Twarz Mercedes stała się nagle bardzo poważna.

- Wiesz przecież, Antonio - rzekła powoli - że ja kocham tylko raz. Tam ci to jeszcze powiedziałam, pod Concepcion. Gdy ciebie brakowało, było mi bardzo ciężko... I nie chcę więcej rozłąki.

## VII.

Kluger wysiadł z pociągu kursującego obecnie regularnie między Limą a Chicla. Wraciał właśnie z inspekcji robót nad górnym Rimakiem, a że tam wszystko szło doskonale, bardzo był zadowolony z podróży i skierował się raźnie do wyjścia. Nagle przystanął. Rozległ się gwizd lokomotywy, nadchodził pociąg z Chorillos. Doszedł do wniosku, że może przybyć ktoś ze znajomych, postanowił więc zaczekać, a gdy niespodziewanie ukazał się przed nim Antonio, w pierwszej chwili nie wierzył oczom.

- Co za niespodzianka! - wykrzyknął, rzucając mu się w ramiona. - Dawno pan wrócił?

Padły wesole pytania i odpowiedzi. Raz jeszcze ucałowali się z dubeltówki i, gawędząc z ożywieniem, ruszyli do miasta.

- Jeśli wraca pan z gór - zastanowił się naraz Antonio - nie może pan wiedzieć, że dziś odbędzie się komisyjne przyjęcie projektu Stryjeńskiego. Właśnie idę na posiedzenie. Może i pan tam zajrzy?

Kluger zdecydował się w jednej chwili. W wielkiej sali, w której projekt był wystawiony, zastali już sporo gości, a że Antonio znał prawie wszystkich, natychmiast otoczono go zewsząd. W drzwiach ukazał się właśnie Folkierski, więc Kluger podszedł do niego.

- Co o tym sądzisz? - wskazał głową makietę.

- Przedziwny projekt - matematyk uśmiechnął się pod wąsem - Ma on w komisji wielu wrogów, ale też niemało przyjaciół. Walka dwóch stylów. Narobił wrzawy, zanim jeszcze przybrał dzisiejsze kształty.

- Sądzisz, że nie przejdzie?...

- Zobaczymy. W każdym razie walka będzie zacięta.

Stryjeński jednak zwyciężył. Szanse ważyły się długo, ścierały się ostro najrozmaitsze poglądy, lecz w końcu, jak to często bywa w podobnych przypadkach, zadecydował głos niefachowca. Doktor Martinet, który był także członkiem komisji, początkowo nie wtrącał się do niczego. Po kilku godzinach zabrał jednakże głos.

- Niech i mnie będzie wolno wtrącić przysłowiowe trzy grosze - przemówił dowcipnie. - Wy bijecie się o style, symetrię, logikę, a ja siedzę jak na tureckim kazaniu. Zrozumiałe: nie mam o tym pojęcia. Za to dobrze dostrzegam zalety. Budynki obszerne, dostęp wszędzie łatwy, rozplanowanie świetne. Po gospodarstwu. I student ma się gdzie uczyć, i koń wejdzie, i krowa się zmieści. A gdy szkołę zbudujemy, zaprosimy panów na dodatkową dyskusję. Bo i dla komisji będzie tam miejsce.

Rozległ się huczny śmiech i wkrótce zakończyły się te obrady. Rozradowany Stryjeński podbiegł do Folkierskiego.

- Uff! - odsapnął. - Nareszcie po wszystkim. Najwyższy czas, gdyż za tydzień wyjeżdżam.

- Dokąd?

- Do Takny. Buduję katedrę!

Zaczęli przybliżać się inni i składać mu gratulacje. Przez pewien czas panował podniecony gwar,

lecz że każdy się śpieszył do swoich zajęć, pozostali wkrótce tylko najbliżsi.

- A teraz, moi kochani, za mną! - zakomenderował dobitnie Stryjeński. - Pijemy przez całą noc!

- Na mnie nie liczcie - Antonio spojrzął na zegarek i westchnął. - Mam dziś dużo roboty.

Stryjeński poklepał go po ramieniu.

- Nie dziwię się - rzekł rozbawiony. - Kto zdobył najpiękniejszą kobietę Limy, nie może mieć czasu nawet dla najlepszych przyjaciół. Co prawda należałoby i o nas trochę pamiętać - dodał z wyrzutem. - Człowiek wciąż samotnie obija się po ulicach, bo przecież przed gringami wszystkie domy są tu zamknięte. Mógł by pan wprowadzić nas w towarzystwo! Warto by się i przed weselem zabawić.

Dużo było w tym i tęsknych wzdychań, i melancholii. Antonio udał wielką powagę.

- Istotnie coś by trzeba wymyślić - zastanowił się głośno - To prawda: los gringa nie jest w Limie do pozazdroszczenia... A pan chciałby się koniecznie dostać do środka?

- Koniecznie! Ślęczało się dnie i noce nad tym projektem i coś się wreszcie człowiekowi należy...

Rozzalił się biedny Stryjeński. Antonio pogładził go dobrotliwie po włosach.

- Nie martw się, mistrzu - zaczął pocieszać z humorem. - Tacy jak ty u nas nie giną. A że mam akurat przyjaciół, którzy chętnie widzą Polaków...

- No, no! - wpadł mu w słowa Stryjeński. - Masz więc takich przyjaciół!

- Mam. Jakoś to urządzimy. Wytańczysz się za wszystkie czasy. Ćwicz tylko odtąd dzień i noc peruanę. A jutro powiadomię was o terminie.

Antonio odszedł. Po obiedzie załatwił kilka spraw na mieście i dopiero po zapadnięciu mroku zjawił się u Mercedes.

- Mam kłopot - zwierzył się jej zaraz na wstępie. - Ten Stryjeński, który ułatwiał nam zapowiedzi, zwrócił się do mnie o pomoc...

Opowiedział jej przebieg rozmowy. Mercedes klasnęła w ręce. - Zrób mu tę przyjemność! - zachęciła serdecznie. - Miły człowiek. Jeśli nie masz u kogo, to ja poproszę...

- Mam u kogo. W tym jednak sęk - Antonio zakłopotał się szczerze - Że nie wypada wprowadzić ich tylko, a potem uciec. Będę więc im musiał towarzyszyć przez całą noc, a to mnie wcale nie łąci. Chyba - wpatrzył się w nią z nadzieją - że zechcesz wybrać się ze mną?

W odpowiedzi wzięła go za rękę i bezszelestnie uchyliła drzwi do sąsiedniego pokoju. Była to właściwie obszerna sala, którą strojono odświętnie, jako że limańskim zwyczajem ślubu dawano z zasady w domu. A na jej końcu kilkanaście kobiet było zajętych szyciem i robieniem koronek.

- Widzisz? - przemówiła miękko, gdy usiedli znowu na kanapie pod oknem. - Mnie trudno stąd odejść, bardzo jeszcze dużo jest do zrobienia... Wprawdzie pomaga mi jedna z ciotek, ale i ja muszę pilnować. Idź więc beze mnie. Przecież to twoja wina. - zerknęła na niego zalotnie. - Mogłabym pójść, gdybyś tak nie przyśpieszał terminu.

- A nie będziesz zazdrosna? - zapytał przekornie. - A nuż zakocham się w jakiejś...

Błyskawicznie zasłoniła mu usta.

- Nie mów tego, nawet w żartach! - przerwała ostra. - Ale idź - dodała zaraz łagodnie. - Don Ernesto jest także Polakiem, więc i jemu sprawisz niewątpliwie przyjemność. A o mnie się nie martw. Każda szmatka, którą tam robią, daje mi dużo radości. ,Przecież to już za tydzień będzie nasz ślub...

Zamyśliła się i naraz spłonęła rumieńcem. Antonio pieszczotliwie zaczął gładzić jej włosy.

## VIII.

Bawiono się wspaniale. Dom był zamożny, salony wielkie, nie brakowało więc miejsca i jak motyle w upojnym szale, tak tu pary swobodnie hasały w tańcu. Na Polaków, rzecz zrozumiała, była zwrócona powszechna uwaga, stanowili bowiem atrakcję. Nie brakowało im zresztą temperamentu. Klaskali w ręce do wtóru, śpiewali jak wszyscy, jak inni flirtowali na zabój. A czego, nie potrafili, nadrabiali zręcznie śmiechem i żartem, a przede wszystkim doskonałą prezencją.

Gitary zadźwięczały donośnie. Popłynęły tęskne tony peruany, Kluger wysunął się naprzód. Piękną dobrał sobie tancerkę: żywą jak iskra, uroczą jak niebiańskie zjawiska. Otoczono ich wkoło, dłonie zaczęły uderzać rytmicznie do taktu. Antonio postął chwilę, popatrzył, raz i drugi przyklasnął, a potem wymknął się nieznacznie do innych pokoi. Tam zgromadzili się starsi: mężczyźni grający w karty,

kobiety przekazujące sobie na uboczu limańskie ploteczki. Pozartował z nimi, każdej powiedział jakiś komplement i wreszcie wyszedł do patio. Bawił się dotąd dobrze, lecz już miał dość towarzystwa. Nie wszystko zresztą poszło po jego myśli: nie spodziewał się w tym domu zobaczyć Pety. A jednak przyszła. Wprawdzie z narzeczoną i pozornie tylko jemu poświęcała uwagę, a mimo to zamąciła mu spokój. Zbyt wiele mówiły jej ukradkowe, lecz aż nazbyt częste spojrzenia: tak czuło jak niegdyś w czasie nadmorskich wycieczek albo znów tak wrogie, że robiło mu się niemiło. Unikał jej starannie, ani razu nie dopuścił do przydługiej rozmowy. Bał się jednak, że wreszcie ona sama wynajdzie do tego okazję.

Rozejrzył się po patio. W głębi dostrzegł kępę krzewów i skierował się do niej, a odnalazszy ukrytą zupełnie dla oka ławeczkę, usiadł i odetchnął głęboko. Przyjemnie tu było; w górze, jak zwykle, ślicznie błyszcząły gwiazdy. Uparł się wygodnie, przechylił do tyłu i zaczął liczyć migotliwe światła. Rachunek pomieszał się wkrótce, ale zaginęły także złe myśli. Za to pojawiły się inne: dobre, tliwie, serdeczne. Napływały falami, coraz gorętsze i coraz obfitsze. Widział teraz jedynie tamten dom, gdzie wśród storczyków i ślubnych sukien przebywała Mercedes...

W pobliżu dał się słyszeć nieznaczny szmer, jak gdyby ktoś ostrożnie rozchyłał gałęzie. Drgnął silnie i spojrzał przed siebie: z cienia wyłoniła się smukła dziewczęca postać i po chwili usiadła przy nim.

- Dlaczego to robisz, Peto? - zapytał niechętnie. - Masz przecież narzeczonego; nie powinnaś mu sprawiać przykrości. Ludzie niepotrzebnie mogą nas wziąć na języki.

- Ja na to nie zwracam uwagi, więc i ty się nie przejmuj. A trzeba skorzystać z okazji. Dlaczego mnie tak starannie unikasz od lat? Ciągłe nie możesz mi wybaczyć tej przykrej rozmowy?...

Mówiła miękko, powabnie, w ostatnich słowach wyraźnie czuło się skrucę. Antonio wbił oczy w ziemię.

- Powiedz coś - odezwała się, jeszcze bardziej łagodząc ton. - Łączyło nas kiedyś dużo... Pamiętasz, jak mi nieraz obiecywałeś naci morzem, że zrobisz ze mnie królowę? Gwiazdy błyszcząły wówczas tak samo cudnie jak dziś... I fale szumiały tak pięknie...

Chciała go ująć za rękę, lecz się odsunął.

- Nie wracajmy do przeszłości - rzekł chłodno. - Dawno rozeszły się nasze drogi. I nie mam zamiaru zwracać.

Przechyliła się naraz wyzywająco i twardo spojrzała mu w twarz.

- A to dlaczego? - głos stał się ostry i zły. - Że znalazłeś Mercedes? Czy ona jest może ładniejsza?

Chciał wstać. Osunęła się nagle jak podcięty kłosa i zaczęła łkać spazmatycznie. Podtrzymał ją odruchowo.

- Dziewczyno, co ty wyprawiasz? - szepnął wzburzony. - Uczyni się zbiegowisko. Przestań!

W odpowiedzi przyłgnęła do niego z siłą.

- Antonio - szloch stawał się coraz głośniejszy - nie odchodź ode mnie! Ja chcę tylko ciebie. Kochany, jedyny...

Padaly szybko wielkie zakłęcia. Zakrył jej dłonią usta, gdyż -nawet dochodzący z salonu gwar nie potrafił już zagłuszyć słów. Wymknęła się i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Antonio, mój najdroższy! - zaczęła przemawiać tak serdecznie i czule, jakby spotkało ją wielkie szczęście. - Tyś zawsze był...

Zaniemówiła. Jakaś inna dziewczęca postać nieznacznie wysunęła się z krzewów i przyglądała im się teraz z uśmiechem.

- Ach, to wy! - pobłażliwie kiwnęła głową. - Okazuje się, że stara miłość nie rdzewieje. Nawet na tydzień przed ślubem z inną - dodała złośliwie. - Na cóż, życzę wam przyjemnego spędzenia czasu.

Antonio zerwał się z miejsca. Przez chwilę wydawało się, że wybuchnie, że zacznie miotać jakieś straszliwe przekleństwa. Opanował się jednak i odszedł. Gonił go śmiech: perlisty, beztroski, szyderczy.

Doszedł do bramy, przywołał odźwiernego i wydostał się na ulicę. Nie mógł uspokoić wzburzonych myśli, bolało go wszystko: i ta nieszczęsna przeszłość, i te nieoczekiwane wyznania, i ta urągliwość zawarta w śmiechu. Znając dobrze Petę był święcie przekonany, że przedstawiła siebie jako ofiarę jego umizgów, że chwaliła się jego porażką, że teraz każde słowo przeinacza na opak. I opowiada o tym coraz weselej...

Doszedł do dworca i udał się do Chorillos. To mu dobrze zrobiło. Gdy następnego wieczoru zjawił się u Mercedes, wyglądał tak normalnie, że aż się temu dziwiła.



- Sądziłam, że będziesz wyczerpany i blady, jak to się często zdarza po całonocnej zabawie - rzekła uradowana. - A może spałeś w ciągu dnia?

- Ech, nie! Roboty mam przecież po uszy.

- Bawiliście się dobrze? Stryjeński zadowolony?

- Bardzo. Tylko że ja miałem przykrą...

Zamierzał opowiedzieć szczerze o tej nieprzyjemnej przygodzie, lecz nagle przyłożyła palec do ust. Jej myśli były zaprzątnięte czym innym.

- Coś ci pokażę! - szepnęła z przejęciem. - Poczekaj chwilę... Weszła do pokoju, gdzie pracowały szwaczki. Gdy ukazała się znowu, długi welon osłaniał ją od góry do dołu, podkreślając kruczoczarne laki i płonące czerwienią policzki. Antonio zapomniał natychmiast o wczorajszym wieczorze. A gdy w dwie godziny później zbierał się do odejścia, dopiero w drzwiach nasunęły mu się jakieś widocznie niezbyt przyjemne myśli, gdyż niespodziewanie posmutniał.

- Uciekło mi to zupełnie z pamięci - rzekł w zakłopotaniu. - Jutro wyjeżdżam z don Ernestem do Piekła.

- Dokąd? - przestraszyła się. - Do Piekła?...

- To taka nazwa stacji na linii orojskiej - roześmiał się. - Za trzy dni chyba wrócę. Nie gniewaj się, kochanie. To obowiązek.

- Rozumiem. Od obowiązku nawet nie będę cię próbowała odciągnąć, kiedyś bowiem bardzo źle na tym wyszłam. Jedź więc nawet do Piekła.

Rozbawili się, toteż znacznie przedłużyła się pożegnanie, ale gdy Antonio odszedł wreszcie, był jeszcze szczęśliwszy. W drodze do domu nucił bez przerwy jakąś wesołą melodię.

## IX.

Do Chicli dojechali specjalnym pociągiem, który Malinowski miał zawsze do dyspozycji. Ta tak pełna niebezpieczeństw droga dziś się wydawała bardzo wygodna. Tunele wykończono wszędzie, mosty i wiadukty również, najtrudniejsze przeszkody - Verrugas i Piekło zdobyto. W ciągu kilku godzin człowiek przesuwał się przez wszystkie klimaty, aby wysiąść wreszcie wśród pokrytych śniegiem wierzchołków.

Malinowski skontrolował roboty, odwiedził Santillana i jego ludzi wykuwających niezmiernie długi tunel pod Szczytem i po trzech dniach zawrócili, a około szóstej po południu znaleźli się znowu w Limie.

- Pędź zatem do swej cudnej królowej z doliny Chauchy! - rzekł wesoło inżynier, wyciągając rękę na pożegnanie. - Ja jadę wprost do Chorillas. Nie zapomnij pokłonić się jej ode mnie.

Stary sługa, który jak zwykle otworzył mu bramę, wydał się dziś bardzo cichy. Antonio zagadnął go, ale nawet nie zwrócił uwagi na odpowiedź i wbiegł raźnie do domu. Pchnął bez pukania dobrze mu znane drzwi i stanął: nie było tutaj nikogo. Zdziwił się trochę, nadstawił ucha: cisza była wszędzie zaskakująca. Ogarnął go nagły niepokój. Niepewnie wycofał się na korytarz,

- Nie ma panienki?... - zapytał jakby specjalnie wyczekującego tu na niego staruszka.

- Nie ma - padła cicha odpowiedź. - Ale jest pan generał. Prosił, aby pan go odwiedził.

Zdawało się, że coś kryje, że tłumi w sobie jakieś niedobre słowa. Antonio zdenerwował się, zapukał ostro do innych drzwi i wszedł z takim rozmachem, jakby popychał go wiatr. Spojrzał na fotel pod oknem. Siedział tam generał: skulony, maleńki, tak pomarszczony na twarzy, że tylko z poruszających się na pół przytomnie oczu można było odczytać jeszcze jakieś oznaki życia. Drżącą ręką ostrugiwał jakiś patyczek.

- To ty, Antonio? - generał nie przerywał roboty. - Usiądź, porozmawiamy... A tu jest list dla ciebie. Od Mercedes...

Podał i znowu zajął się swoim patyczkiem. Antonio otworzył kopertę. Poczerwieniał z wrażenia, zęby uderzyły o siebie z trzaskiem. „Tam nad rzeką, w dolinie Chauchy, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy - pisała Mercedes - zapowiedziałam, że gdybyś mnie zdradził, nie wybaczyłabym ci tego do śmierci. Jak na nasze limańskie stosunki, nie ma w tym chyba wielkiej mądrości, ale że od siebie wymagam dużo, więc i od ciebie muszę wymagać. I niestety, stało się to najgorsze. Wiem dziś wszystko o Pecie: co cię z nią dawniej łączyło i co działa się w patio w czasie tej nieszczęsnej zabawy.

Cała Lima o niczym innym obecnie nie mówi; możesz usłyszeć o nas obojgu nawet na ulicy od przypadkowych przechodniów. Ja strasznie cierpię i nie ukrywam tego przed tobą. Lecz nie chcę mieć męża, który na kilka dni przed ślubem jeszcze całuje się z inną, Toteż wyrzekam się ciebie na zawsze. Jak zapowiedziałam wówczas w dolinie Chauchy..."

Antonio ścisnął rękami skronie, z piersi wydobył się głuchy szloch. Generał popatrzył na niego wstrząśnięty.

- Tak, synu, niedobrze się stało... - rzekł. - Miałem mieć zięcia i wnuki, a teraz pozostała mi jedynie samotność. Bo ona opuściła nie tylko ciebie, ale i mnie. I kto wie, którego z nas dotknęło większe nieszczęście...

Głos załamał się, głowa opadła bezradnie. Antonio jakby że zdumiał, w nagłym podnieceniu przebiegał nerwowo wzrokiem po skulonej sylwetce. Zaczął rozumieć: ten stary człowiek istotnie był od niego biedniejszy...

- Dokąd wyjechała? - zapytał cicho.

- O to nie pytaj. Zobowiązała mnie do milczenia. Mogę tylko powiedzieć, że wyjechała na studia.

Generał uniósł głowę i zastanowił się nad czymś.

- Tak, na studia - potwierdził. - Podsunąłem jej tę myśl, aby nie marnowała zbyt wiele czasu. W Peru oczywiście jej nie ma. Ale i gdzie indziej nie szukaj... Znam ją lepiej niż ty. I wiem, że wtedy dołałbyś oliwy do ognia.

Antonio nie zdołał utrzymać dłużej narzuconego sobie siłą spokoju. Wstał, spojrzął w okno, znów usiadł, coś tam gwałtownie rozjęczało się w piersi. Generał zmarszczył brwi.

- Zachowuj się jak mężczyzna! - ofuknął go ostro. - Do czego to podobne? Człowiek, który jednego Gutierrezza tłukł w dolinie Chauchy aż sypały się drzazgi, a drugiemu palnął w łeb w samym środku stolicy, drży z powodu dziewczyny? Wstydz się!

- Tu idzie o Mercedes! O kobietę, która za kilka dni miała być moją żoną... A teraz co? Wszystko przepadło!

- Kto ci powiedział, że przepadło? Ona? W takich sprawach nie wierz nigdy kobietom. Całowałeś się z tamtą?

- Nie!

- Nie?... - w głosie generała rozbrzmiało głębokie zdumienie. - A ja byłem święcie przekonany, że podpisałeś i uległeś nastrojom!... Muszę jej natychmiast o tym napisać. Chyba nie uwierzy, lecz zaczniesz się zastanawiać, jak to ma w zwyczaju. Chwilowo wystarczy. A potem... Zobaczymy.

Coś wesołego przewinęło się w tych słowach, jakby nadzieja i okrucieństwo radości wdary się nagle do serca. Antonio uniósł raptownie głowę.

- Wspominała coś o przyszłości? - zapytał niepewnie.

Generał długo coś ważył w myślach.

- Nie wspominała - odparł nad podziw twardo. - Zresztą to nie jest ważne, idzie bowiem o co innego. Tobie jest potrzebna kobieta wykształcona i mądra.

- Mercedes jest wykształcona i mądra!

- Nie bardzo, nie bardzo... Zadurzyłeś się, więc nie potrafisz należycie oceniać. Gdyby istotnie była mądra, nie uciekłyby nie przeprowadziwszy z tobą rozmowy. Wystarczyły jej przyjaciółki i plotki uliczne. Co zaś do wykształcenia - jest ono duże tylko na nasze stosunki. Kiedy jednak skończy uniwersytet...

- Wyjdzie za kogo innego! Albo i wcześniej!...

Generał wcale teraz nie przypominał tego tak przedtem bezradnego staruszka. Niespodziewanie objął go pełnym energii spojrzeniem.

- Możliwe - rzekł chłodno. - Potwierdzi wówczas moją opinię, że daleko jej do mądrości. A takiej żony ci nie potrzeba. Mówię to szczerze i z serca. Chociaż to moja córka...

Jak struna nadmiernie napięta, tak pękła nagle coś w piersi i zaniósł jąkiem niewyraźnych, zgniatanych słów. Pochylił się ciężko, przygarbił, z oczu wyjrzała znów rozpacz znękanego nieszczęściem człowieka. Rozbieganymi rękami zaczął czegoś szukać na stole. Odnalazł kawałek drewna i nóż i wrócił po chwili do przerwanej roboty.

- Tak, moja córka... - powtórzył. - A tak się cieszyłem z waszego ślubu! Strugam ciągle i strugam... Patrz, Antonio, co już przygotowałem dla wnuka!...

Zebrał ostrożnie obrobione kawałki, zestawiał. Ukazał się koń na biegunach.

- Dla wnuka... - powtórzył cicho. - Dla osłody mojej starości...

Wstrząsnął nim rozpaczliwy szloch, ręce zaczęły się trząść jak w febrze. Antonio patrzył na niego oszołomiony i naraz mocno zacisnął usta. Powoli, rozważnie usiadł na poręczu fotela, delikatnie objął rękami zgarbione plecy. Na jego twarzy ukazał się uśmiech.

- Teściu kochany - przemówił jakoś bardzo swawolnie - z tego wszystkiego zapomnieliśmy o szachach. A chyba należy się nam dzisiaj partyjka?

- O szachach?... A, szachy!... Prawda, należy się! Generał poruszył się raźnie. Antonio już rozstawiał figury.

- Daję dziś mata! - zagroził. - Ostatnio dostałem cięgi i muszę odrobić straty!

- Ech, synu! - generał rozbawił się. - Trzymają się ciebie żarty. Ze mną chcesz wygrać?

Dobrodusznie pokiwał głową i wysunął do boju pionka. Spojrzał wyzywająco na swego partnera, lecz zaraz zmarkotniał.

- Gdyby ona siedziała przy tobie... - westchnął. - Jak byłoby dzisiaj przyjemnie...

Antonio zacisnął szczęki. Otworzył już sobie wyjście i królowę wysunął na front.

- O, zabierasz się ostro! - generał zdziwił się, ale też i ucieszył. - Jeśli tak dalej pójdzie, rzeczywiście możesz wygrać tę partię. Pilnuj się jednak dobrze!...

Wyskoczył koniem. Antonio skupił się bardziej w sobie, na twarzy wciąż przybawało rozwagi. Raz i drugi zasłonił się zręcznie, cofnął nieco, a potem już spokojnie, coraz śmielej i coraz pewniej zaczął zdążać do celu.

## X.

Nadszedł sierpień 1876 roku, skończyły się rządy Pardy. Ten człowiek, którego zarówno w Ameryce jak i w Europie uważano powszechnie za męża opatrnościowego dla Peru, pozostawił po sobie wspaniały dorobek. Wbrew ogromnym trudnościom - budżet był ciągle zrównoważony, administracja niezwykle sprawna, wśród młodego pokolenia zniknął szybko analfabetyzm, Szkoła Inżynierów rozpoczęła pod dyktando Habicha swoją działalność, na linii orojskiej został przebit ostatni tunel. Wiedział zawsze, co najważniejsze, i w tragicznych nieraz warunkach zabezpieczał ojczyźnie przyszłość. Umiejętnie ją zabezpieczał. Toteż gdy odchodził, nie można było wątpić, że jeśli jego następcy będą, kroczyli tą samą drogą, Peru zajmie wkrótce jedno z czołowych miejsc wśród krajów Ameryki Łacińskiej.

Ledwie jednak ustąpił, ledwie Lima przestała wyrażać mu wdzięczność w organizowanych spontanicznie olbrzymich manifestacjach, już wypłynął Pierola. Przedtem nie miał odwagi, organizacja państwowa była zbyt mocna. Obecnie korzystał ze słabości nowego prezydenta i za pieniądze Dreyfussa podbechtął tłumy, rzucając je najpierw na dom Pardy, a potem z nieodstępnym proboszczem Toraty ogłaszając na południu pronunciamiento. Raz jeszcze został pobity i znowu uciekł. Ale i Pardo musiał przemieścić się za granicę. Nikt obecnie nie wątpił, że jego śmiertelny wróg nie ma zamiaru przebierać w środkach i że dotąd będzie nasyłał na niego morderców, dopóki nie padnie.

Antonio z coraz większym przygnębieniem obserwował zachodzące wypadki. Nieraz gotów był przywdziać znów strój caballera, chwycić rewolwer i rozprawić się z tym złym duchem Peru, ;jak rozprawił się niegdyś z Gutierrezami. Lecz właśnie święte zasady Pardy trzymały go dzisiaj jak na uwięzi. Obecny Kongres nie zdobyłby się na wyjęcie Pieroli spod prawa, a bez takiej uchwały jego nagła śmierć równałaby się w świetle istniejących przepisów zabójstwu. Nie chciał więc na bezprawie odpowiadać bezprawiem i coraz lepiej rozumiał to stanowisko. Zmienił się bardzo w ostatnich czasach. Na ruchliwej, zawsze dawniej skorej do wesołości twarzy pogłębiało się ciągle skupienie, doskonale panował nad każdym odruchem. Gdy szedł ulicą, bardzo rozważnie odmierzał krok, oczy i uszy czuwały ciągle. I jak niegdyś czyniły z niego człowieka, przed którym w Limie nic nie zdoła się ukryć.

A te Obserwacje bardzo mu były potrzebne. Jak przed dyplomem, i teraz do późnej nocy paliło się światło w jego pokoju, pisał bowiem pracę doktorską. Temat właściwie był ten sam, pogłębiał się jednak nieustannie, poszerzał, przemieniał się nieznacznie w nowoczesną historię Peru. A na jej tle zarysowywały się coraz wyraźniej potrzeby kraju i jego przyszłość, w której pronunciamiento przestaną wreszcie odgrywać swoją złowieszczą rolę i znikną przywódcy żądni jedynie władzy.

Któregoś wieczoru, gdy tak ślęczał nad papierami, don Isidorio powiadomił go o przybyciu Meiggasa.

Wyszedł mu naprzeciw, Malinowskiego bowiem nie było w domu, powitał i zaprosił do saloniku.

- Lada chwila powinien wrócić - rzekł spoglądając na zegarek. - Jeśli więc pan maże zaczekać...

- Mogę. Pogadamy tymczasem we dwójkę. Z pana też przyjemny towarzysz.

Meiggs uśmiechnął się nikle. Wyglądał bardzo źle, najwyraźniej trapiła go jakaś choroba. Popatrzył na Antonia spod oka.

- Starzejemy się obaj - melancholijnie pokiwał głową. - Mnie nie można się dziwić, lat mam niemało. Ale że pan... Pamiętam przecież jak pan był młodzieniaszkiem. Jako adiutant Balty...

Rozgadał się na ten temat i nieco ożywił. Rzeczywiście miał świetną pamięć. Jak z notatnika wyliczał płynnie miejsca, daty, okoliczności i ludzi, którzy byli obecni przy ich spotkaniach. Antonio podtrzymywał chętnie rozmowę, gdyż widział, że sprawia snu ona przyjemność. Nagle czujnie nadstawił ucha: w bramie zazgrzytał klucz.

- Inżynier wraca - oznajmił.

Istotnie zaraz ukazał się w drzwiach Malinowski. Meiggs wstał, powitał go na pozór beztrąsko, ale natychmiast jakby o nim zapomniał. Ni stąd, ni zowąd odwrócił się obojętnie, na poszarzałej twarzy pojawiło się przygnębienie. Podeszedł powoli do czary z podobizną indiańskiego kapłana i wpatrzył się w nią z wielką uwagą.

- Znowu chcesz kupić? - zagadnął żartobliwie inżynier.

- Nawet dolara nie zapłaciłbym dziś za ten kawałek gliny - Meiggs machnął ręką ze zniechęceniem. - Jestem bankrutem. Przybliżył się do niego i usiadł.

- Tak, jestem bankrutem! - powtórzył ze złością. - Z tym prezydentem nie dojdę do ładu. Za słaby. Nie potrafi się oprzeć naciskom i z powrotem wpuszcza starą hołotę na wszystkie urzędy. Już zaczynają grabić, a że w skarbie wciąż widać dno, więc nie mogę z niego wydobyć nawet tych pieniędzy, które mi się słusznie należą. A wszystko przez ciebie! - rozżalił się nagle. - Gdybym nie uległ twoim namowom, siedziałbym spokojnie gdzieś w Boliwii czy w Argentynie i ciułał dalej majątek. A teraz co? Nędza. Wielki Meiggs stał się wielkim żebrakiem!

Antonio objął go zamyślonym spojrzeniem. Dużo było w tych słowach nie tylko żalu za utraconą, pozycją, lecz i męki energicznego człowieka, który znalazł się niespodziewanie w sytuacji bez wyjścia.

- Dobrze, że i pan tutaj jest - Meiggs spojrział na niego. - Będzie potrzebny nam prawnik. Likwiduję interes - zwrócił się do Malinowskiego. - Nieodwołalnie. Ile się tobie należy?

- Nic.

Meiggs gniewnie nastroszył brwi.

- Jak to: nic? - zapytał oschle. - Chcesz mi robić prezenty? Mnie, Meiggowski?... Takim nędzarzem jeszcze nie jestem, aby dla ciebie nie starczyło tych kilkudziesięciu tysięcy! Mów jasno. Płacę natychmiast!

- Nic mi się nie należy - powtórzył inżynier miękko. - Razem graliśmy, razem musimy przegrać.

Jankes popatrzył na niego z niewiarą. Nie mógł sobie jakoś tego oświadczenia ułożyć w głowie.

- Hm, to dla mnie nowość... - rzekł jakby do siebie. - Chyba kiedyś palnąłem głupstwo: należało cię zrobić współnikiem. Mimo że nie wniósłbyś do przedsiębiorstwa ani jednego dolara...

Przez dłuższy czas tarł ręką czoło.

- Tak, to był błąd - odezwał się znowu. - Cóż, stało się; nie odrobimy przeszłości... Wracajmy zatem do dnia dzisiejszego: których inżynierów należy pozostawić do likwidacji?

Malinowski wymienił kilka nazwisk. Meiggs zapisał je skrzętnie.

- To wszystko - rzekł zamykając notes. - Nie chcesz wyliczyć swych należności, zrobią to moi ludzie. Pieniądze odłożę w banku.

Malinowski poruszył się niecierpliwie.

- Powiedziałem, że nie wezmę i nie wracajmy już do tej sprawy - odezwał się szorstko. - Mógłbyś mi natomiast czym innym sprawić przyjemność: podaruj grupie Santillana sprzęt, który używa, i pozostałe ładunki. To dla ciebie drobnostka.

- Niech biorą - Meiggs machnął ręką i wstał. - Zajrzę do ciebie, kiedy uporam się z likwidacją. Pomówimy wtedy o innych robotach.

Ogarnęła go nieoczekiwane gorączka. Podał szybko rękę, coś mruknął niezrozumiale i wybiegł. Antonio odprowadził go do bramy.

- A więc po wszystkim - westchnął, gdy znowu znalazł się w saloniku. - Tunel pod Szczytem gotów.

Ale torów do niego brak. Rzeczywiście na tym skończymy?...

- Nie. Pociąg na Szczyt wprowadzimy na pewno.

- Z Meiggsem?...

- Możliwe.

Antonio wpatrzył się w niego w napięciu.

- Poważnie pan mówi? - zapytał cicho. - Sytuacja przecież jest bardzo ciężka. Meiggs istotnie wydał ostatnie fundusze. - Po potrąceniu swojego zysku. Chociaż nie... Z tego zysku też sporo, włożył w kolej w ostatnich miesiącach. W każdym razie długo jednak jeszcze nie pójdzie na żebry. I chyba tę resztę także tutaj zostawi...

- Po tym, co dzisiaj oświadczył?... Można jeszcze zmusić tego człowieka do cofnięcia decyzji? I do wydania ostatniego dolara?

- Zmusić? Nie. Postawimy tylko na jego zalety, gdyż ma ich dużo. Spróbujemy odgrzebać tkwiącą w nim niewątpliwie ofiarność.

- A gdyby ona zawiodła?

Malinowski skierował oczy na czarę.

- Poczekamy wówczas na inną okazję - odparł powoli. - Przedemną - uśmiechnął się wskazując palcem geometryczne desenie - dużo lat życia. Nie doszedłem jeszcze nawet do środkowego krzyża.

Podszedł do niej, a za nim przysunął się także Antonio. I on od dość dawna starał się odczytać coś z tej niezwyklej opaski na czole, jakiej nie spotykano dotychczas na żadnych wykopaliskach.

- Tymczasem spróbujemy znowu z Meiggsem - odezwał się w zamyśleniu inżynier. - Chciałbym, abyś pojechał jutro do Santillana. Powiedz mu ode mnie: niech robi dalej, co mu zleciłem, i niech nie porzuca pracy, choćby Meiggs osobiście tego zażądał. Od dziś tylko ode mnie może przyjmować rozkazy. A gdyby powstały jakieś trudności, niech tutaj przybędzie.

## XI.

Meiggs pozwałniał ludzi, szukał nabywców na materiały i zdawało się, że poza prędkim opuszczeniem tego kraju, który sprawił mu ostatnio tyle kłopotów, o niczym innym nie myśli. W miesiąc jednakże później coś musiało się stać w górach, gdyż niespodziewanie zjawiał się w Limie Santillan. Antonio, który wybierał się właśnie z wizytą do generała, posłał tam don Isidora, aby przeprosił w jego imieniu, a sam zajął się gościem. Ponieważ Malinowskiego nie było w domu, zamierzał wprowadzić go do swego pokoju, lecz Indianin wszedł najpierw do saloniku i bardzo długo przyglądał się czarze.

- Wszystko w porządku - odetchnął wreszcie głęboka. - Pociąg na Szczyt wciągniemy na pewno. A potem przesuniemy go i do Oroi... Musiałem tu przybyć, żeby przypomnieć sobie wszystko, gdyż zaczęliśmy się niepokoić.

Skłonił się kornie podobnie indiańskiego mędrca czy też kapłana i prze-szli do innego pokoju.

- Był u nas dyrektor Meiggs - zaczął znów mówić. - Kazał natychmiast porzucić pracę, a gdy odmówiliśmy, zagroził, że nas przepędzi siłą.

- Wzięliście od niego pensję?

- Nie. Chciał nawet dać więcej niż się nam należało. Odmówiliśmy. Wtedy wpadł w złość. Odeszliśmy więc do baraków, a gdy odjechał, zabraliśmy się znów do roboty.

Antonio uśmiechnął się. Santillan popatrzył na niego bacznie i po chwili wahania zrobił to samo.

- Dobrze postąpiliśmy? - zapytał.

- Dobrze. Gdzie przebywa obecnie ten gringo?

- Zatrzymał się w swojej hacjendzie.

Antonio popadł w zadumę. Oczy znieruchomiały, twarz zamieniła się w maskę. Dziwnie teraz przypominała twarz Santillana: ani na jednej, ani na drugiej nie odbijało się żadne uczucie.

- Tak będzie najlepiej... - zdawało się, że kończy jakąś zaczętą myśl. - Rano dam ci pieniądze na pensje dla wszystkich. Gdyby Meiggs albo ktoś z jego polecenia wtrącił się do was, odpowiedzcie, że nie on wam płaci teraz, ale inżynier. Nie przerywajcie pracy. A gdyby zabronił wam korzystać z baraków... No cóż: ma prawo, jego własność. Trzeba by się wtedy urządzić jakoś inaczej...

- Damy sobie radę. Góry dla nas niestraszne.

Santillan spojrział na drzwi, jakby spodziewał się w nich kogoś zobaczyć. W głębi domu rozległy się czyjeś kroki.

- Nie don Ernesto - Antonio też je usłyszał. - Wróci dziś późno. I nie Pablo, bo ma wieczorem zajęcia. Bardzo dobrze się uczy - uśmiechnął się do niego przyjaźnie. - Przydała mu się ta praktyka u Klugera i chyba w przyszłym roku będzie już asystentem. To taki pomocnik profesora - wyjaśnił. - Będziesz miał z niego pociechę. Chwalą go wszyscy, a zwłaszcza dyrektor Habich.

Dużo była w tych słowach szczerzego uznania. Santillan to wyczuł.

- Umiesz trafiać do serca - rzekł spoglądając na niego z wdzięcznością. - I wiesz, kiedy można mówić nieco dłużej niż zwykle. To twoja wielka zaleta.

W tydzień po jego odejście, gdy akurat poza don Isidorem nikogo nie było w domu, zjawił się Meiggs. Postanowił poczekać na inżyniera. Wszedł do saloniku, usiadł i zapatrzył się w dobrze mu znaną, czarę w jakimś wielkim napięciu. Nasunęła mu widocznie różne wspomnienia. Gdy przed dziesięciu laty ujrzał ją po raz pierwszy, tryskał zdrowiem i żywiołową energią. Dziś był pochylony wiekiem, złamany, nic w nim nie pozostała z dawnego zdobywcy. Jedyne oczy jarzyły się ciągle blaskiem, lecz zamiast dawnej twardości wyzierało z nich obecnie zdenerwowanie i wściekłość.

W drzwiach ukazał się Malinowski. Meiggs objął go wrogim spojrzeniem.

- Co ty wyprawiasz? - wybuchnął. - Kto ci pozwolił? Jakim prawem prowadzisz dalej roboty?

Inżynier usiadł i podsunął cygara.

- Wiesz przecież, że z nominacji rządu jestem od dawna dyrektorem kolei orojskiej - odezwał się obojętnie. - Wolno mi więc wydawać i takie zlecenia.

Meiggs spąsował.

- To zdrada! - unosił się coraz bardziej. - Jak to: dla ciebie mają pieniądze, a dla mnie nie? Ja im w takim razie pokażę! Odwołam się do sądu i do władz amerykańskich. Peru zapłaci za zerwanie umowy!

- Twoja sprawa. Uprzedzam cię jednak po przyjacielsku, że przegrasz. Peru nie ma pieniędzy, więc nie zapłaci, a zresztą nie łamie ono umowy. Ja Oplacam robotników z własnych funduszy. To wolno.

Głos Malinowskiego stał się szorstki i niecierpliwy. Meiggsa to zaskoczyło. Nie słyszał nigdy w jego ustach takiego tonu.

- Nie powtarzaj bajek - burknął niepewnie. - Słyszałem je od Indian, wystarczy. Robiłbyś Peru prezenty? - roześmiał się hałaśliwie. - Ty, człowiek rozsądny, który zna ten kraj lepiej niż ja? I który też wie lepiej, że tych pieniędzy nikt mu nigdy nie zwróci?... Mój drogi - znowu zaczął ponosić go gniew - nie uważaj mnie za wariata. Na pewna nim jeszcze nie jestem!

Przechylił się nad stołem i wpatrzył wyzywająco w twarz inżyniera. Choć nadal była bardzo spokojna, coś z niej musiał wyczytać, wstał bowiem i w zdenerwowaniu zaczął się przechadzać po saloniku.

- Patrzcie go, filantrop! - mruknął zjadliwie. - Don Ernesto Malinowski, dobrodzieju Peru... Nie waha się rzucić na budowę wszystkiego, co tu kiedyś zarobił! Ach, ty nędzarzu! - wściekł się na dobre. - Chcesz to wykonać, na co mnie nie stać? Powiedz otwarcie: do czego zmierzasz?

- Do Góry Meiggsa - padła starannie odmierzona odpowiedź.

Jankes zakasłał nagle, zakrztusił się, ugrzęzło w gardle jakieś przekleństwo. Przez chwilę burzył się w sobie, jakby zamierzał roznieść tu wszystko w jakimś szaleńczym czynie, lecz niespodziewanie przygasł, przygarbił się bardziej i znieruchomiał. Powoli, z namysłem przesunął po czole ręką. Zmarszczki zniknęły. Za to żyły na skroniach zarysowały się ostro.

- Góra Meiggsa przestała mnie interesować - przemówił chrapliwie. - Dziecinny kawał, po raz drugi mnie na niego nic weźmiesz. Postaram się zresztą utrudnić ci robotę i jutro sprzedaję wszystko do Chile. Nic ci nie pozostawię: ani jednej śruby, ani jednego podkładu, ani jednego kawałka szyny!

- Wobec tego ja jutro zamawiam to samo gdzie indziej. Na kilkanaście kilometrów wystarczy mojej gotówki. A co będzie później?... Czas to pokaże.

Meiggs usiadł i objął rękami skronie. Zmęczył go ten wybuch, przez pewien czas chwycił z trudem powietrze.

- Mój drogi, powiedz mi szczerze: naprawdę traktujesz tę sprawę poważnie? - zapytał tym razem ciepło i jakoś bardzo żałośnie. - Może to szaleństwo opanowało cię tylko chwilowo?... Czy nie rozumiesz, że obecny prezydent nie umywa się nawet do Pardy i że na nim zupełnie nie można polegać? I że ten posępny Pierola nie zawaha się przed wysadzeniem Peru w powietrze, aby móc

choćby osiąść na gruzach i triumfalnie obwieścić o przejęciu przez siebie władzy? Wierz mi - przemawiał coraz goręcej - każdy cent włożony w ten interes będzie stracony dla ciebie na zawsze!

Malinowski wstał i położył ręce na jego ramionach.

- Ile ty dzisiaj masz lat? - zapytał.

- Sześćdziesiąt pięć.

- A ja sześćdziesiąt siedem. Obaj jesteśmy starzy. Życie za nami, przed nami śmierć. Trzeba pisać testament. Mnie łatwo, gdyż nie mam żadnej rodziny. Właśnie dlatego wkładam w tę linię wszystkie swoje pieniądze. Wiem, że Peru będzie ją kiedyś błogosławiło, chociaż ludzie zapomną może wtedy nawet mego nazwiska. To nie jest istotne, w moim wieku już się na to nie zważa. Mnie wystarczą same błogosławieństwa. Chyba coś z nich jednak pójdzie za mną za grób...

- Tobie łatwo o tym mówić...

- Słusznie: mnie łatwo. A ty masz dzieci. Rozumiem i dlatego nie namawiam cię do niczego. Zechcesz pozostać, będziemy pracowali razem. Odjedziesz, będę pracował sam. Czuję, że do Szczytu dotrę na pewno. A dalej?... Gdyby w Peru byli sami Pardowie dotarlibyśmy nie tylko do Szczytu, ale i nad Amazonkę, jak to było w projekcie. A tak musimy coś niecoś pozostawić naszym następcom. Tym ze szkoły Habicha. Co najtrudniejsze, trzeba jednak wykonać. Aby im było łatwiej.

Malinowski usiadł na poręczy fotela i popadł w zadumę. Meiggs rzucił na niego okiem, spodziewając się widocznie coś jeszcze usłyszeć, lecz gdy się nie doczekał dalszych słów, zamyślił się także.

- Dziwne... - przerwał naraz milczenie. - Nieraz próbowałem się od ciebie uwolnić, a mimo to nigdy nic z tego nie wyszło. Zastanawiam się teraz, dlaczego?... Masz wielkie wpływy, lecz taka przeszkoda nie mogła mieć znaczenia, niszczyłem w swym życiu większych. A ciebie nie miałem odwagi. Jakoś zniewalasz ludzi...

- Bo staram się oddawać im jak największe usługi. Bez względu na stratę czy zysk. Ty to na pewno wyczułeś. A wiesz, dlaczego? Bo właściwie jesteś człowiekiem tego samego pokroju, co ja.

Meiggs wpatrzył się w niego w wielkim zdumieniu.

- Tak, tego samego pokroju - potwierdził inżynier. - Tylko że tobie życie ułożyło się inaczej, dając przewagę ambicjom. Gdy one jednak są oparte, jak u ciebie, na wielkim polocie i rzeczywistych zdolnościach, wcześniej czy później musi dojść do wyboru między bezinteresownością, a egoizmem. Dotąd siedziałś po murze granicznym. Ale chyba już czas, abyś odsłonił co w tobie najlepsze. Okazja jest wyjątkowa.

Na zmęczonej twarzy Meiggsa przewinęło się nieznacznie wzruszenie.

- Ty mi to radzisz?... - rzekł cicho. - Chociaż zachowałem się niedawno jak cham?... Czy się nie mylisz? Co ja, wielki przedsiębiorca, mogę mieć wspólnego z bezinteresownym działaniem? Business is business. Pieniądz to grunt!

Mimo pozornej twardości, nie było w tych słowach wiary. Zastukał nerwowo palcami w stół.

- A może istotnie jest trochę w tym racji? - zastanowił się, jakby sam przed sobą zdawał rachunek ze swych intencji. - Oczywiście nie zabrałbym ci nigdy ani tych szyn, ani podkładów. Takie to było gadanie... A że ty przy swoim uporze dotrzesz kiedyś do Szczytu, nie wątpię. Nie wiem, jakiego czaru użyłeś na Indian. Nie były nim na pewno pieniądze, gdyż ja im dawałem więcej... A mimo to będą tam kuli choćby da śmierci. Ofiarnie...

Jakaś natrętna myśl przerwała mu wątek. Ściągnął brwi, powieki zaczęły poruszać się szybko. I naraz, jakby w odruchu bólu, ścisnął gwałtownie skronie.

- Oszalałem, czy co? - rozjęczał się głośno. - Indianie pracują ofiarnie!... Kręcić mi się zaczyna w głowie. Indianie i Malinowski... Ci tylko pozostali z olbrzymiej armii, z całego Peru! A ja...

Powstał z ociąganiem i podszedł do otwartego okna. Przez dłuższy czas głęboko oddychał.

- Powiedz jasno - rzekł, wróciwszy na dawne miejsce. - Chcesz, abym rzucił na jedną kartę wszystko; co mam? Do tego dążysz?

- Wydaje mi się to słuszne. Stąd wzięłeś, zwróć. Peru bardzo potrzebuje tej linii. A dzieci?... Niewątpliwie zostanie im więcej, niż ty miałeś za młodu. Być może zresztą, że w moim rozumowaniu tkwi błąd. Powtarzam: ja nie mam żadnej rodziny. Dlatego decyduj sam.

W oczach Meiggsa przewinęła się ostry odblask jak podmuch buntu, lecz zaraz zastąpiła go melancholia, ustępująca z kolei miejsca obojętności i otępieniu. Wzrok znieruchomiał. Aż niespodziewanie rozlał się na twarzy kamienny spokój, pogłębiony nieznacznie cieniami smutku.

- Umiesz mówić szczerze - poruszyły się bardzo powoli usta. - Twoja wielka zaleta... I

przypomniałeś o latach. Też dobrze. Twierdzisz, że należałoby wybrać drugą, tę lepszą stronę... Czuję, że bardzo dużo w tym racji. A więc zgoda: nadal budujemy razem, choćby do samej śmierci... Chociaż będzie sporo trudności - poruszył się nagle i zakłopotał. - Przecież zwolniłem wszystkich!

- Nie szkodzi. Pieniędzy nie mamy za dużo i nie potrzeba nam armii, a tych kilkuset robotników znajdziemy bez trudu. Nie wszyscy zdążyli wyjechać z Peru. Z inżynierami też nie będzie kłopotu. Wystarczy czterech lub pięciu. Za resztę ja będę pracował.

Meiggs poweselał.

- Wobec tego ja zastąpię całą administrację! - rzekł żywo. - Każdy zaoszczędzony dolar na szyni!

Twarz mu rozbłysła.

- Kapitalna sytuacja! - wykrzyknął. - Dwaj cudzoziemcy rzucają na szalę cały majątek i pracują za darmo, aby zabezpieczyć temu krajowi przyszłość. A równocześnie niektórzy Peruwiańczycy starają się za wszelką cenę przetrącić krzyż własnej ojczyźnie, jak my to chcemy uczynić Andom... Jak mi Bóg miły - poniósł go naraz entuzjazm - my swoje zrobimy! I wciągniemy pociąg na Szczyt!

Zamrugnął powiekami. Coś go zastanowiło.

- Na Szczyt Malinowskiego - dodał z pośpiechem. - Tak, tam dotrzemy na pewno: na Szczyt Malinowskiego!

- Meiggsa - poprawił inżynier.

- Nie, Malinowskiego! - powtórzył Jankes z uporem. - Sam dopilnuję wpisania tej nazwy na mapę. Rozważyłem sumiennie wszystko. Ty rzuciłeś wyzwanie najwybitniejszym fachowcom świata i właściwie już wygrałeś ten pojedynek. Gdyby zresztą nie twoje wysiłki, diabli by dawno wzięli tę całą robotę. Nie ma więc o czym gadać. Do zobaczenia! - zerwał się z miejsca i gorączkowo wyciągnął Tękę na pożegnanie. - Trzeba chwycić tych, którzy dotąd nie odpłynęli. Natychmiast puszczam w ruch całą maszynę. A od jutra zaczynamy znów wybijać dobitnie na stokach Andów naszą piękną melodię!

Malinowski odprowadził go do bramy. Gdy wrócił, zastał w saloniku Antonia. Zdziwił się nieco, gdyż był pewien, że nie ma go w domu. A równocześnie zaniepokoił: na młodzieńczej twarzy rysowała się obecnie prawie starcza powaga.

- Źle się czujesz? - zapytał.

- Nie. Tylko te krzyki Meiggsa...

- Słyszałeś?

- Huczał przecież, jak chyba ja to robiłem niegdyś w dolinie Chauchy... Jak się skończyło? Ucieka z Peru?

Malinowski usiadł. On też wydawał się bardzo zmęczony.

- Nie - odparł. - Zostaje. Nadal prowadzimy razem roboty i razem spróbujemy się wydostać na Szczyt.

Antonio znieruchomiał.

- Nigdy nie widziałem takiego zwycięstwa - przemówił głosem zduszonym. - Meiggs z nami! Po tym wszystkim, co zaszło...

- Cóż, nie zawiodły mnie moje rachuby - Malinowski w zamyśleniu pokiwał głową. - Meiggs, mimo wszystko, jest wielkim człowiekiem. A z takim zawsze łatwiej się porozumieć aniżeli z karłami.

## **XII.**

Ocena Meiggsa była dosadna, lecz ścisła. Rozprzęgała się władza, nowy prezydent nie potrafił dać sobie rady. I dla świętego spokoju dopuszczał do rządów coraz więcej ludzi, którzy musieli odejść za czasów Pardy. Rozpadało się wojsko, do urzędów wdzierano się łapownictwo, niszczał kiełkujący dopiero samorząd, wielkie przedsięwzięcia mające na celu wykorzystanie bezwodnych dotąd przestrzeni utknęły w miejscu. I każdy dzień przynosił zmiany na gorsze.

Jak gdyby na przekór temu wstrząsającemu marszowi ku klęsce, kolej orozjska pięła się coraz wyżej. Meiggs istotnie rzucił na szalę wszystko, co miał, nie zawahał się nawet przed zadłużeniem, za zgodą rządu wypuścił własną pożyczkę. Ponościł go coraz większy entuzjazm. Aż nagle...

Był to już początek maja 1877 roku i właśnie wtedy zły duch Peru rozwinął znowu nad krajem złowieszcze skrzydła. Pierola doszedł do wniosku, że rozkład jest dostateczny, że można uderzyć. Udało mu się zająć „Huascara” w czasie nieobecności dowódców. A chociaż utracił go wkrótce i



pronunciamiento wygasło, zanim się zdołało rozpaść na dobre, wygasły także resztki zaufania do Peru w Stanach i w Europie. Bony Meigsa przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. A on jak runął na łóżko z wielkiego wstrząsu, tak leżał odtąd bez ruchu.

W górach ucichło. Rozeszli się robotnicy, ostatni inżynierowie odpłynęli z Callao, zewsząd znowu powiało pustką. Tylko tam, pod Szczytem, słychać było przeciągłe dźwięki: to Santillan wciąż kuł i coraz dalej układał tory. Nie był tu sam. Jak dawniej towarzyszyła mu grupa Indian, często pojawiał się Malinowski. I on chyba pracował najciężej. Tutaj pilnował planów, osobiście sprawdzał każdy podkład i mutrę. Tam niżej czuwał nad całą linią w takim napięciu, jak gdyby spodziewał się lada chwila jakiegoś wielkiego nieszczęścia. A gdy znalazł się na krótko w Limie, wpadał natychmiast w wir czekających na niego spraw. Załatwiał je szybko i znowu uciekał. Bo tam w górze niecierpliwie czekał na niego Szczyt...

To prawda: Antonio pomagał mu dzielnie. Sypiał przeważnie w wagonie, był bowiem potrzebny i tu, i tam. W początkach września nareszcie nieco odetchnął. Tempo zelżało. Rozglądał się jakby zdziwiony, lecz po kilku dniach takiej swobody zaczął odwiedzać starych znajomych. Jelski był ciągle na stanowisku, pomagał mu Jan Sztolcman - młody polski przyrodnik organizujący dalekie wyprawy. Kluger, Babiński, Wakulski, Folkierski prowadzili normalnie wykłady. Habich, obecnie nie tylko dyrektor Szkoły Inżynierów, ale i ruchliwy działacz społeczny, członek wielu komisji państwowych, cieszący się wielkim zaufaniem i powszechnym szacunkiem, bardziej był zajęty niż kiedykolwiek. Za to Stryjeński szykował się do wyjazdu do Europy. Katedrę w Taknie podciągnął pod dach, lecz na dalszą budowę zabrakło pieniędzy.

Antonio rozmawiał z nim krótko. Nie czuł się dobrze w jego towarzystwie, przypominał mu zbyt żywo Mercedes. Niespodziewanie odświeżyły się rany i przez cały dzień nie mógł już od niej oderwać myśli. Wieczorem wstąpił do generała.

- Nareszcie jesteś, utrapiony synu! - powitał go radośnie staruszek. - Ładnie tak pozostawiać mnie w samotności?

Antonio jakby zapomniał naraz o trosce. Dowcipnie i z werwą okazał skruchę. Trochę czuł się winny. Przedtem przynajmniej raz w tygodniu zaglądał do tego domu. Ale w ostatnich czasach uniemożliwiły mu to nieustanne wyjazdy.

- Wiem ja coś niecoś o tobie - generał przerwał mu dobrodusznie. - Rzeczywiście brakuje ci czasu. Dobrze, nie mam pretensji. Rozkładaj szachy!

Grali do późnej nocy, wplatając tylko od czasu do czasu żart lub jakąś uwagę. Antonio podniósł wreszcie ręce do góry.

- Poddaję się - rzekł. - Miałem dziś kiepski dzień.

- To prawda - śmiał się staruszek. - Trzy maty pod rząd! No, nic dziwnego - spowaźniał nagle. - Wyglądasz jak z krzyża zdjęty. Te ostatnie miesiące dały ci się porządnie we znaki... Zastanowił się nad czymś.

- Don Ernesto w górach? - zapytał zniecierpliwiony.

- W górach.

- Hm, nudzi mu się tam pewnie... Poczekaaj chwilkę!

Generał wyszedł do drugiego, pokoju, a gdy powrócił, trzymał w ręku dużą, mocno wypchaną kopertę.

- Oddaj mu przy okazji - rzekł. - Wieczorami nie ma tam pewnie dużo roboty, niech więc sobie poczyta.

Antonio nie dziwił się specjalnie tej nieoczekiwanej przesyłce. Ze generał znał inżyniera i że łączyły ich jakieś stosunki, był pewien, chociaż razem nie widział ich nigdy. Nieraz zresztą zabierał od niego listy, tylko że tamte były niewielkie i cienkie. Ta zaś koperta ważyła dużo, coś tam nieustannie przesuwało się w środku. Ni stąd, ni zowąd zaczął go ogarniać jakiś nieokreślony niepokój. Obejrzał ją w domu, potem niejednokrotnie rzucał na nią okiem, gdy już się znajdował w wagonie, i znów popatrzył w zamyśleniu, kiedy przesiadał się w Chicli na siodła. Wciągnął naraz mocniej w płuca powietrze. Nie mogło być wątpliwości: płynął z niej delikatny aromat jak powiew perfum, którymi niegdyś Spryskano listy. Zrozumiał: to go właśnie męczyło. Tam w dole nie potrafił z tego zdać sobie sprawy. Natomiast tutaj, na tych wyżynach, zapach nabrał wyrazistości. Starł się nie łączyć go z Mercedes tłumacząc, że generał trzymał widocznie kopertę w sekretarzyku, gdzie się znajdowały jej rzeczy. A mimo to nie mógł się wyzbyć wrażenia, że dotyka czegoś, co do niej należy. Natrętnie wracała ta myśl, drażyła serce z coraz większym uporem. I coraz smutniej, ale i słodziej spoglądały na niego przemglone oddaleniem piękne dziewczęce oczy...

Ukazał się Szczyt. Szyny wciąż mknęły naprzód, wciąż pięły się w górę i pod ostrym kątem wbijały się w tunel, jak gdyby gdzieś tam po przeciwległej stronie pragnęły uderzyć w niebo. Antonio raz jeszcze pobiegł za nimi wzrokiem i wszedł do stojącego nieopodal baraku. Malinowski dorzucał właśnie węglą do stojącego pośrodku piecyka.

- Wiedziałem, kiedy to zrobić! - spojrzał radośnie na gościa. - Zmarzłeś chyba porządnie?

Istotnie było zimno. Antonio grzał przez pewien czas zziębnięte ręce i dopiero kiedy napił się gorącej herbaty i podjadł, wydobył z sakwy przywiezione listy i paczki. Dużo ich było: z Limy i z Europy, z Ekwadoru i z Chile. Malinowski niektóre przejrzał od razu, na inne rzucił tylko okiem, a i tę od generała odłożył. Wydało się, że i on jest nieco zdziwiony tą tak dużą przesyłką.

- Później się do nich zabiorę - uśmiechnął się. - Będę miał roboty na całą noc. A co z Meiggsem? Wstąpiłeś do niego?

- Wstąpiłem. Bardzo źle. Lekarze twierdzą, że niedługo to potrwa. Paraliż objął i drugą połowę ciała.

Malinowski zapatrzył się w okno: na skłonach bielily się płaty śniegu. Antonio widząc, że zaczyna popadać w zadumę, podniósł się z miejsca.

- Odwiedzę Santillana - rzekł. - Pracuje w tunelu?

Otrzymałszy potwierdzającą odpowiedź, wyszedł i skierował się do widniejącego niedaleko ciemnego otworu. Jak inne tunele, ten także był już obmurowany, a wyciosane w kamieniu bloki tworzyły w górnym łuku jakby zwieńczenie bramy, przypominające żywo swą surowością dawne inkaskie budowle. Antonio nie zwrócił na to szczególnej uwagi, widział je bowiem niejednokrotnie. Szedł więc naprzód śmiało, chociaż ubywało wciąż światła, a wkrótce jedynie szyny lśniły jeszcze słabym odbłaskiem. Lecz i to w końcu zniknęło. Zwolnił kroku, jak ślepiec skupił wszystkie zmysły w dotyku i coraz dokładniej wyczuwał stopami drogę. Ciągle wznosiła się w górę, ciągle skręcała. Aż niespodziewanie jakby zamarła w bezruchu. Przystanął; z wielkim trudem chwycił powietrze, starał się wypoczynkiem uspokoić nieco ciężko pracujące serce. Wreszcie nieznacznie przesunął się w bok: zawadził butem o podkład. Wszedł na niego i lekka poruszył nogą. Dźwięknęła stal.

- A więc i tu szyny! - ucieszył się głośno w nagłym przypływie radości.

Nie było ich w tym miejscu w czasie jego ostatniej bytności. Postąpił na nich chwilę i znowu zaczął wędrować. Łuk istniał ciągle, natomiast ziemia zaczęła się najwyraźniej przechylać na drugą stronę. Naraz raźniej uderzył nogą, zrobiło mu się bardzo wesoło. Szyny bowiem zawiodły niespodziewanie przedziwną pieśń: jak dźwięk dzwonów złączony z poszumem wichru, jak huczenie bębna przy zgrzycie pił. Ktoś tam w dali musiał przystąpić właśnie do pracy i wiązał teraz podkłady, przykręcał mutry i kuł.

Uszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków i stanął. W świetle górniczych lamp ujrzał Indian układających tor. Wszedł mu naprzeciw Santillan.

- Widzisz, mijamy Szczyt! - powitał go wielką nowiną. - Za kilka dni ujrzymy światło: z przeciwnej strony, to wschodnie.

Antonio objął go nieco zdziwionym spojrzeniem. Jak na niego, użył zbyt wielu słów i wbrew swym zwyczajom dopuścił do głosu entuzjazm.

- Wszystkie szyny rozłożone - dodał, opanowawszy już podniecenie. - Dziś nic nam nie może przeszkodzić. Chodź, zobacz!

Doszli do końca tunelu i zawrócili. Dzień zbliżał się ku końcowi, Antonio poczekał więc, dopóki nie zakończą roboty. Malinowski dojrzał ich wracających i wyszedł przed barak.

- Coraz tam weselej - uśmiechnął się. - Jeśli człowiek się uprze i chociaż powoli, lecz stale robi krok naprzód, przedostanie się wszędzie. Aby tylko nie stracić wiary w swe możliwości.

Nie wiadomo było właściwie, do kogo mówi. Indianie skinęli poważnie głowami, przytaknął Santillan, Antonio zaś, jak gdyby te słowa były skierowane wyłącznie do niego, zamyślił się głęboko i ocknął dopiero wówczas, gdy znaleźli się znów we dwójkę przy rozpalonym do czerwoności piecyku.

- Napij się - inżynier nalał herbaty do kubków. - Tutaj trzeba natychmiast rozgrzewać ciało od środka, gdy się wchodzi do ciepłego mieszkania. Dużo przywiezłeś mi wiadomo ci w tych listach - zmienił temat. - Dobrych i złych... A ten nasz kochany generał umie być gadatliwy - pogodnie pokiwał głową. - Nic dziwnego: czasu mu nie brakuje. Mówił ci coś o Mercedes?

- Nie... Nie poruszamy nigdy tego tematu.

- Hm, może i dobrze... Mnie jednak nie obowiązuje milczenie, więc powiem. Staruszek dużo i o niej opowiedział w swym liście. Bardzo jest z niej dumny: wszystkie egzaminy składa na celująco. Jeśli tak dalej pójdzie, kto wie, czy nie napisze kiedyś jakiejś wspaniałej pracy o Inkach.

- O Inkach?... - Antonio ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

- Ach, prawda: nie wiesz, co ona studiuje. Archeologię a ściślej mówiąc, archeologię krajów Ameryki Łacińskiej. Kapitalny pomysł miała dziewczyna! Już dziś podobno marzy, aby zrobić pracę dyplomową u profesora Wienera.

- U tego, który nas niedawno odwiedził? Któremu daliśmy parowóz do dyspozycji?

Malinowski raźnie poruszył głową.

- Właśnie u niego - potwierdził. - Co za zbieg okoliczności! Rozumna dziewczyna. Wiener to rzeczywiście uczony wysokiej klasy, a przy tym, takie odniosłem wrażenie, rozumie dobrze tę dawną historię Peru i wspaniale wyczuwa, jak ją można połączyć ze współczesnością.

Mówił ze wzrastającym zapalem. Antonio słuchał uważnie.

- Tak, to mądry człowiek - Malinowski podsumował swoje wywody. - Przypomniał mi się kto inny... - zastanawiał się nad czymś przez pewien czas. - I Jelski, i Folkierski, a nawet Habich piszą mi o jakimś ojcu Zieleńcu od franciszkanów bosych. Podobno przebywa on obecnie w klasztorze limańskim i interesuje się żywo naszą koleją. Chciałby ją obejrzeć, pogadać ze mną... Przedstawiają go bardzo życzliwie. Wstąp więc do niego i przywieź go przy okazji. A najlepiej...

Spojrzał na kalendarz.

- Dziś mamy czwartek - upewnił się. - Wobec tego przywieź go w przyszły czwartek. Do tego czasu...

Objął naraz Antonia bacznym spojrzeniem. Wydało mu się, że się nachmurzył.

- Nie uśmiecha ci się to towarzystwo! - zapytał powoli.

Antonio wbił oczy w ziemię. Od czasu zerwania z Pierolą niechętnie patrzył na habity zakonne, więc teraz milczał. Nie chciał odmówić wprost. Wolałby jednak trzymać się od tej sprawy z daleka.

- Oczywiście nie chcę ci niczego narzucać - inżynier domyślił się bez trudu. - Wydaje mi się jednak, że tylko według stroju nie należy oceniać człowieka. A o tym Habich pisze dużo dobrego. To cudzoziemiec. Na pewno patrzy inaczej na peruwiańskie stosunki aniżeli ci, którzy zasiedzieli się tutaj od wieków. Toteż warto się przemóc. Tym bardziej że to franciszkanin bosy.

Z pewnym naciskiem padło ostatnie zdanie. Antonio poruszył się. Przecież dawniej bardzo lubił ten podróźniczy zakon, którego członków znacznie łatwiej można było spotkać gdzieś w puszczy nadamazońskiej niż na ulicy. Niespodziewanie przemknął mu przed oczyma obraz kotliny koło Santa Rosa de Ocopa, z którą łączyły go tak serdeczne wspomnienia.

- A przy tym mój rodak - Malinowski ożywił się. - Jak ja, wygnaniec z własnej ojczyzny. Tylko że znacznie młodszy i wypędzony z kraju niedawno. Przez „żelaznego kanclerza” Rzeszy Niemieckiej, Bismarcka.

Antonio drgnął, jakby go ogarnęło nagle wzruszenie.

- Oczywiście przywiezę go tutaj! - rzekł szybko. - Jeśli to polski wygnaniec...

### **XIII.**

Pociąg terkotał raźnie. Przeskoczył przez Stary Most, zakręcił, przemknął znowu na drugą stronę Rimaku po Moście Balty. Za nim ginęły wieże siedemdziesięciu sześcioro limańskich kościołów. Przed nim rozkwitały coraz wspanialej rozległe plantacje, sunęły żwawo wąskotorowe kolejki, uwijali się ludzie. Ale już dolina się zwęża, robi się coraz ciaśniej, czuje się pochylenie wagonu. Parowóz zatacza łuki, sapie, w końcu staje bezradny. I cofa się... Nie, nie cofa, lecz szuka jedynie przejścia, ściga się ciągle z rzeką. To ginie zupełnie w wykopach, to w tunelach przepada bez wieści, to w „szaleńszym zrywie wali się między przepaści, ale wciąż dyszy, wciąż zyskuje na wysokości. I znowu ciemno: dym pcha się do gardła, dusi, z oczu wyciska łzy. Światło nareszcie!... Ostry zakręt i naraz przechodzą człowieka ciarki. Pod kołami delikatna tkanina z żelaznych prętów. A pod nią otchłań...

- Verrugas - mówi spokojnie Antonio. - Najwyższy wiadukt na świecie.

Zakonnik żegna się uroczyście, gdyż i to otoczenie jest straszne, i to dzieło rąk ludzkich wydaje się czymś nierealnym. Od niedawna przebywa w Peru, lecz wie, że ponad pięć tysięcy ludzi utraciło w tym miejscu życie. Koła dudnią, syczy para, zgrzyta podłoga, jękliwie zawodzą szyny. Był pewien, że już się udało uciec od rzeki, a oto znowu jej brzeg! Pociąg rzuca się po mostach z jednej strony na drugą. Na chwilę zamigotały ładne domki indiańskiej wioski, ale tuż za nią bije o szyby gwałtowny deszcz.

Znowu rozpadlina przerażająca swą głębokością, zakonnik przymyka oczy. Gdy je otwiera, odдыcha z ulgą: jest w bezpiecznym tunelu. Niestety, na krótko. Rozjaśnia się: pod nim posępna czeluść, zaczyna brakować tchu...

- Piekło - objaśnia obojętnie Antonio.

Patrzył na nie nieraz, nie jest ono dziś dla niego atrakcją. Żywo go za to obchodzi zakonnik i skrętnie notuje w pamięci wszystkie jego wrażenia. Właściwie czyta je z twarzy, gdyż on prawie nie mówi nic. Słucha i patrzy, niekiedy westchnie, niekiedy drży. Niekiedy widać, jak się męczy, jak pragnie otworzyć usta, jak coś jednak gwałtownie hamuje jego szczere odruchy. I milczy. Wciąż milczy, jak gdyby czuwał nad nim ktoś niewidzialny i przypominał nieustannie jakieś ostre rozkazy.

Mknie pociąg, rośnie wysokość. Góry pod nimi, góry nad nimi, góry ze wszystkich stron. W wagonie przykry duszący swąd, przed oknami skaczą nierówno iskry.

- Przykra podróż - Antonio uśmiecha się do niego przyjaźnie. - Przykra...

Zbocza złagodniały, tu i ówdzie ukazują się rozległe kotliny. Zakonnik siada na ławce.

- Daleko do celu? - pyta.

- Za godzinę będziemy na Szczycie.

- Na Szczycie?... Mówiono mi, że tam nie można jeszcze dojechać.

- Można. Od dziś. Ten pociąg, którym jedziemy, pierwszy wjedzie na Szczyt.

Zakonnik trze ręką czoło. Z czymś się nie może pogodzić, wydaje się, że ogarnia go bunt. I chyba też głębokie wzruszenie. Błyszcza nierówno oczy, rzęsy poruszają się szybko.

- I właśnie mnie zaproszono do tego pociągu?... - dziwi się czemuś głośno. - Kto inny powinien nim jechać. Przecież to wielki dzień!...

- Wielki - śmieje się pogodnie Antonio. - Ale do czego potrzebni nam inni? Jest Peruwiańczyk i jest polski wygnaniec. To dużo.

Zakonnik wpatruje się w niego z taką uwagą, jakby go dopiero zobaczył. Jest w tym spojrzeniu jeszcze nieufność, a może i lęk, lecz jedno i drugie powoli zanika. Ich miejsce zajmuje coraz cieplejszy blask.

- Ładnie to pan powiedział - mówi nieśmiało, jak gdyby nie był pewien, czy mu wolno w ten sposób wyrazić swe myśli. - Widocznie pan Malinowski wspomniał panu, kim jestem?

- Tak.

- I on polecił przywieźć mnie tym pierwszym pociągiem?...

- On.

Zakonnik wpada w zadumę. Coś się w nim dzieje: czoło zmarszczone, mocno ściśnięte usta. Kłębią się tam myśli, zatraciły porządek, szukają jakichś rozwiązań. Antonio obserwuje bacznie. Jest przekonany, że starły się w nim dwa przeciwstawne pojęcia, że wali się coś, co dotąd trzymało go na uwięzi. Rozumie: potrzeba mu na to czasu. Toteż nie przerywa milczenia, czekając cierpliwie aż się sam w końcu odezwie.

- Przedziwny kraj... - zakonnik przerywa nareszcie ciszę. - Tam tropikalne upały, tu mróz. Tam ocean, a naprzeciw potężny wał najeżony pokrytymi śniegiem szczytami. Obok nowoczesnych miast wspaniałe pomniki wielkiej ongiś cywilizacji...

- Przedziwny kraj - przyznaje zgodnie Antonio. - I ludzie też dziwni. To ambitni aż do szaleństwa, zapatrzeni wyłącznie w siebie, dążący do władzy po trupach. To znów ich przeciwieństwa: też nieustępliwi i twardzi, ale nie uznający bezprawia, gotowi dla swego kraju poświęcić wszystko.

Oczy zakonnika cofnęły się nagle w głąb, pojawiła się w nich znowu nieufność. Antonio ją widzi. Nie przejmuje się jednak; wiedział z góry, że taki powinien nastąpić odruch. W ciągu tych kilku godzin wspólnej jazdy poznał dobrze tego człowieka. Wie więc także, że odtąd nie wytrwa on już długo w milczeniu.

Istotnie nieufność zanika szybko.

- Kogo pan miał na myśli, mówiąc o tych ludziach ofiarnych? - pyta niepewnie. - Chyba Pierolę?...

- Nie. Pardę.

Powieki poruszają się szybko, zakonnik wstaje. Długo patrzy na szarzejący coraz bardziej krajobraz.

- Tu rzucił mnie los i pewnie nigdy już nie ujrzę własnej ojczyzny - odдыwa się nie odwracając głowy od tego widoku. - Toteż pragnę się dowiedzieć o tym kraju możliwie najwięcej. I poznać prawdę. Rzeczywiście to dziwny kraj. I ludzie też...

I Antonio stanął teraz przy oknie. Wypadli właśnie na prawie płaską równinę, dokoła wszystko pokrywa śnieg. A przed nimi biją wciąż w niebo górskie wierzchołki.

- Ostatni tunel - ucieszył się. - Za kilka minut będziemy na miejscu.

Ogarnęły ich za chwilę ciemności. Pociąg sapał ciężko, zarzucał dymem, migotał skrami, skręcał, lecz naraz podłoga przechyliła się wyraźnie na drugą stronę, koła wagonu rozśpiewały się skocznie. A wkrótce rozbłysło światło: tak jasne mimo unoszącej się w górze gęstej powłoki chmur, że aż trzeba było przymykać oczy.

Pociąg stanął, zakonnik zeskoczył ze stopni wagonu. Naprzeciw zobaczył kilkudziesięciu Indian, jak gdyby specjalnie tu ustawionych na jego przybycie. Między nimi zaś, pośrodku, stał człowiek podeszły w latach, lecz krzepki, mocny w spojrzeniu, a mimo to jakiś bardzo skromny na tle otaczającego go zewsząd przerażającego pustkowiecia.

- Witam serdecznie - przemówił rozkładając szeroko ręce. - Miła to dla mnie wizyta. Cieszę się niezmiernie, że pierwszym pociągiem, który osiągnął Szczyt, przyjechał franciszkanin bosy, polski wygnaniec. On bowiem najłatwiej wyczuje, czym jest dla Peru dzisiejszy dzień.

Dźwięcznie i jakoś bardzo uroczyście rozbrzmiały polskie słowa tutaj, na wysokości prawie pięciu tysięcy metrów, gdzie przybysza z nizin męczył najmniejszy ruch i gdzie tylko z największym trudem można było oddychać. Zakonnik jakby w popłochu rzucił dokoła okiem i naraz oparł głowę na jego ramieniu.

- To wielki dzień - rzekł cicho. - Zwłaszcza dla mnie... Gdy opuszczałem Limę, spodziewałem się zobaczyć tu kogo innego. A widzę kogo, innego... Toteż dziękuję Bogu, że właśnie w tym dniu uroczystym pozwolił mi spojrzeć na Szczyt...

Antonio obserwował czujnie. Był pewien, że wstrząsa nim siłą tłumiony szloch. Przesunął powoli wzrok po jego sylwetce i wreszcie utkwił go w bosych stopach: tonęły w śniegu. W zamyśleniu spojrzął na niebo: na zachodzie wiatr mierzwił chmury, ciskał o skały, w ołowianej szarzyźnie zaczynało zanikać wszystko. Za to na wschodzie robiło się coraz jaśniej.

#### **XIV.**

Zakonnik przebywał już drugi dzień na tym odludziu, a chociaż śnieg, deszcze, mrozy i wichry dawały się często we znaki, zachowywał się tak, jakby wcale nie miał zamiaru odjechać. Tam w Limie słyszał niejedno o tej kolei, wiele pogłosek wydawało mu się niepodobnych do prawdy. A teraz tę prawdę oglądał na własne oczy. I widział więcej: ten siedemdziesięcioletni inżynier nic tylko wykonał olbrzymią pracę, ale wykonywał ją od dawna za darmo, a w ostatnich czasach pokrywał wszelkie wydatki z własnych funduszy. Meiggs bowiem był obecnie zupełnym bankrutem.

Zakonnik przyglądał się więc wszystkiemu z wielką uwagą, słuchał, niekiedy o coś zapytał, z coraz większym zainteresowaniem obserwował Indian zakładających na tej najwyższej stacji świata ostatnie rozjazdy. Wreszcie wybrał się z Antoniem na krótką wycieczkę w stronę Oroí: plant wszędzie był gotów, należało tylko ułożyć szyny. Ale na to już nie było pieniędzy.

Gdy wrócili na stację, ujrzeli ten sam wagon, którym tu przyjechali, a przy nim parowóz pod parą, jakby się szkykował do drogi.

- Meiggs umiera - poinformował ich Malinowski. - Czekam, aby się z wami pożegnać. Chyba że ojciec zamierza już wracać do Limy?

Zakonnik zastanawiał się chwilę nad tym pytaniem.

- Czy do Limy?... - przemówił powoli. - Jak pan sądzi: nie wyglądałoby to na natręctwo, gdybym i ja zjawił się u Meiggsa? Jeśli on umiera...

- Dobrze, pojedziemy razem. Nie wiem, czy jest katolikiem, czy ewangelikiem, czy w nic nie wierzy, lecz taka wizyta na pewno mu nie zaszkodzi.

Przybyli do hacjendy późnym wieczorem. W pierwszej chwili wydało im się, że przyjechali za późno. Meiggs w swej nieruchomości wyglądał jak trup. Żył jednak i patrzył, oczy były szeroko rozwarte. Malinowski wpatrzył się w nie uważnie.

- Henryku - odezwał się cicho - słyszysz mnie?

Oczy trwały nieruchomo, nie drgnęło nic.

- Henryku - słowa inżyniera rozbrzmiały natarczywiej - Szczyt zdobyty! Wjechaliśmy już na niego pociągiem!

Zakonnik cofnął się nagle z wrażenia. Meiggs ożył! Ten nieszczęsny człowiek, którego paraliż właściwie pochował w grobie, chociaż jeszcze nie odebrał mu życia, niespodziewanie rozjaśnił twarz jak pod wpływem jakiegoś cudownego zaklęcia. I odzyskiwał siły: poruszyła się głowa, zamrugały powieki, usta złożyły się do mówienia...

Malinowski ujął go delikatnie za rękę.

- Właśnie stamtąd wracamy - przemawiał coraz swobodniej. - Działa wszystko wspaniale. A stamtąd, wiesz: wystarczy pchnąć wagon, aby sam stoczył się do Oroi. Gdy tylko wstaniesz...

Urwał raptownie, bo Meiggs unosił się powoli na łokciu, przesunął ciało, przekręcił. I usiadł.

- Pomóżcie mi się ubrać - głos brzmiał dość niewyraźnie i czuło się w nim wielki wysiłek. - Należy uczcić taką okazję. Tak po naszymu. Jak niegdyś!

Coraz dźwięczniej padały słowa. Mrugnął poufale na Malinowskiego i ten ruch by, tak naturalny, jak wówczas, gdy pełen sił i energii wędrował po szlaku orojskim. Zakonnik zwilżył językiem wyschnięte wargi. Z trudem przychodził do siebie.

- Nie lepiej, żeby leżał spokojnie? - zapytał cicho stojącego obok lekarza.

- Nie przeszkadzajmy. Jemu już nic nie zaszkodzi. A to zawsze jest lepsze od tego przerażającego bezwładu.

Lekarz skinął głową na służbę, chorego zaczęto ubierać. A potem działa się rzeczy przedziwne. Pod dyktando Meiggosa wyniesiono na dwar krzesła i stolik, na nim ustawiono butelkę rumu i kubki.

- Wypij dziś i za siebie, i za mnie - rzekł do Malinowskiego, gdy tam obaj zasiedli. - Mimo wszystko, czuję się kiepsko. Mrugnął znów poufale. Inżynier uśmiechnął się, nalał trochę do kubka i wypił. Meiggs się rozpromienił.

- A teraz opowiadaj - odezwał się raźnie, jakby wcale nie był u progu śmierci. - Jak to była z tym pierwszym pociągiem?

I Malinowski opowiadał. Swobodnie, żywo, dowcipnie, jak gdyby istotnie znajdowali się gdzieś w robaczym obozie i spędzali beztrosko czas pod usianym gwiazdami niebem. Obserwującego go czujnie zakonnika przyprawiło coś naraz o wstrząs. Pochylił się nieco, mocniej wyteżył wzrok. Widział coraz wyraźniej: w szarych oczach za zewnętrzzną powłoką wesołości coś drży, coś tam miga, jak -gdyby w tym człowieku napięty był każdy nerw!... Mówi, a zdaje się, że płacze, żartuje a zawadzi, w jakimś strasliwym wysiłku sam sobie bezustannie wydaje rozkaz. I mówi, mówi, mówi. Wciąż pogodnie i wciąż z taką werwą, jak to chyba mu się zdarzało tylko za młodych lat...

Zakonnik prostuje się, mocna zaciska usta. Zrozumiał: ten człowiek z całą świadomością spełnia miłosierny uczynek. Wie dobrze, że koło Meiggosa czai się śmierć, zdaje sobie dokładnie sprawę, że ona może dopaść go lada chwila. A mimo to opowiada, bawi, żartuje. Pragnie odwrócić od niej uwagę; robi wszystko, aby przyszła niepostrzeżenie i znienacka zamknęła powieki...

- Musisz przyznać - głos Meiggosa rozbrzmiał donośniej - że nikt nie może mieć dziś do mnie pretensji. Wydałem wszystko. Pilnowałeś mnie dobrze...

Zamyślił się nad czymś.

- Nie myśl, że kryję w sercu urazę - dodał po chwili. - Jak się stało, stało się dobrze. Po co mi te wszystkie bogactwa? A teraz pozostały one tu, skąd je wzięłem. Tak jest niewątpliwie najśluszniej. Uczciwie załatwiłem rachunek. I może rzeczywiście kiedyś i na mnie spłyną błogosławieństwa?...

Przez dłuższy czas wpatrywał się w rozjaśnione gwiazdami niebo.

- Tak, błogosławieństwa... - odezwał się znowu. - Ładnie to wówczas ująłeś. Żałuję, że nie będziemy mogli razem doprowadzić kolei do Ucayali, bo z ciebie dobry towarzysz... No cóż, będziesz musiał teraz pracować sam. I czuję, że zajedziesz jeszcze daleko. Bardzo dużo jest w tobie twardości. A przy tym umiesz chwytać ludzi za serca. Inaczej niż ja. Ale widocznie lepiej. Dłużej ich bowiem potrafisz przy sobie utrzymać...

Oslabł. Wkrótce ułożono go znowu w łóżku, a po godzinie był znów tak nieruchomy jak na początku. Nikt nie odchodził; zdawano sobie sprawę, że koniec nastąpi szybko. I rzeczywiście, ledwie poprzez otwarte szeroko okna zaczął sączyć się świt, wydał ostatnie tchnienie.

Malinowski wstał. Przez pewien czas wpatrywał się w niego w zadumie i wreszcie zamknął mu uroczyście powieki.

- Chodź - skinął na Antonia.

Zakonnik, jak gdyby i do niego było zwrócone to ciche słowo, poszedł za nimi. Minęli kilka pokoi, weszli do dużej sali. Naprzeciw, pośrodku ściany wisiała wielka mapa kolei orojskiej. Inżynier przybliżył się do niej i wyciągnął z kieszeni ołówek,

Zakonnik znieruchomiał. Niezwykła była cała ta noc, a jednak to, na co w tej chwili patrzył, wydała mu się jeszcze bardziej niesamowite. Oto Antonio skoczył nagle jak zbiki przytrzymał wznoszącą się w górę rękę! A teraz patrzył w twarz inżyniera: gorąco, błagalnie.

- Antonio, uspokój się - w głosie Malinowskiego czuło się tylko ton łagodnej perswazji. - Przecież tak trzeba.

Antonio, dysząc ciężko, odsunął się nieco. Malinowski zastanowił się nad czymś i po chwili znów uniośł rękę. Znowu ją przytrzymał. Tym razem mocno, stanowczo, bezwzględnie. Zakonnik spoglądał z rosnącym lękiem na tę walkę bez słów. Z jednej strony stał starzec prężny jeszcze, lecz prawie siedemdziesięcioletni, skromny i cichy, skupiony w sobie, o przymglonym wprawdzie smutkiem, lecz wciąż jasnym spojrzeniu. Z drugiej - młody człowiek o miłej powierzchowności, zazwyczaj ujmujący w obejściu, teraz blady jak płótno, rozdygotany, tłumiący z największym trudem jakąś przeraźliwą siłę, która usiłuje się z niego wydobyć.

Milczał uparcie. A mimo to zdawało się, że błaga, że krzyczy, że używa jakiegoś potężnego zaklęcia.

- Talk trzeba, Antonio - głos Malinowskiego rozbrzmiał jeszcze łagodniej. - Przecież taka była umowa. Nie pamiętasz? A nam umów nigdy łamać nie wolno...

Antonio dotknął ręką czoła, pochylił się, a potem chwiejnym krokiem oddalił się w kąt. Zakonnik odetchnął z ulgą. Spojrzał znowu na mapę. W tym miejscu, gdzie był zaznaczony tunel wierzchołkowy, a nad nim wyniosły szczyt, ołówki Malinowskiego kreślił właśnie duże czerwone litery. „Mount Meiggs” - można było wkrótce odczytać, a pod tą nazwą zaraz znalazła się data: 27. IX. 1877. Starannie zostało to wypisane, ze skrupulatnością doskonałego fachowca. I potwierdzone inicjałami jego nazwiska...

Zakonnik usiadł, naraz zabrakło mu sił. W tym bowiem momencie zrozumiał wszystko: i wzburzenie Antonia, i tę walkę bez słów, i zawartą w tych na pozór niewinnych znakach tragedię. Przecież ten dziwny inżynier wpisał na tę mapę własną ręką swą krzywdę i zatwierdził ją własnym podpisem. Przez lat dwadzieścia przypominał uparcie, że Rimak wskazuje dla Peru najlepszą drogę do jego przyszłości, wreszcie sam poszedł nią pierwszy, siłą geniuszu torował przejście dla innych. Aż wydostał się w końcu na Szczyt. On, Malinowski... A teraz zamknął wszystko, czego dokonał, w „Górze Meiggsa”. Z powodu jakiejś umowy...

Zakonnik powoli przesunął wzrok. Zobaczył Antonia. Rozpaczliwie ścisnął rękami skronie i łkał.

## Drugi krzyż.

### I.

Wieczór 1 stycznia 1880 roku był pogodny jak zwykle, a jednak i wcale nie przypominał dawnych noworocznych wieczorów. Nad Limą unosiła się głęboka żaloba. Stało się wreszcie to, co niegdyś przeczuwał Pardo: przeżarty bezrządem, a jednak ciągle bogaty kraj ściągnął w końcu na siebie zawiść ubogich krajów Ameryki Łacińskiej i waliły się teraz na niego okrutne jak oddziały Pizarra, barbarzyńskie i żądne łupu wojska chilijskie.

Pablo, siedzący samotnie w patio, popadał w coraz głębszą zadumę. Nieustannie przesuwali się przed jego oczyma przerażające obrazy: to zacięte bitwy, to mordy dokonywane przez najeźdźców na cywilnej ludności, to śmierć bohaterskiej załogi „Huascara”, która biła się do ostatniego pocisku i wreszcie wołała pójść na dno z okrętem, aniżeli się poddać, to znów tragiczne wypadki ostatnich dni, które zakrwawiły ulice Limy. Wypłynął, oczywiście, Pierola. W chwili, gdy każdy Peruwiańczyk potrzebny był do obrony ojczyzny, on na czele pronunciamenta uderzył w samo jej serce, w stolicę, i prawie tysiąc młodych ludzi wytracił w bratobójczej bitwie dla jednego jedynie celu: aby pochwycić władzę...

Pablo w mimowolnym odruchu gniewu nerwowo zacisnął szczęki. Ni stąd, ni zowąd wyłonił się przed nim Pardo: jakiś bardzo cichy, przedziwnie smutny, jakby pokryty pyłem. Niestety, nie było go już wśród żywych. Przed rokiem, kiedy obrano go prezydentem Kongresu, przebrany w mundur żołnierski zbiorczy strzelec do niego w chwili, gdy miał rozpocząć pierwsze obrady. Obecny przy tym Malinowski jeszcze zdążył pobiec do jego domu, sprowadzić syna, jeszcze syn zdołał pożegnać się z ojcem. Jednakże uchodzącego szybko życia nikt już nie mógł powstrzymać...

Myśli urwały się nagle, Pablo czujnie nadstawił ucha. Ktoś wszedł do domu i po rozważnym chodzie

wydało mu się, że to inżynier. Zdziwił się trochę. Jak przed śmiercią Meiggsa, tak i obecnie przeglądał on ;sumiennie całą linię orojską i jeśli nawet wracał na noc, to znacznie później. Toteż zaniepokoił że nieco i szybkim krokiem skierował ~się da drzwi.

Rzeczywiście był to Malinowski: Spacerował po pokoju z rękami założonymi do tyłu, jak gdyby rozważał jakąś niezwykłą i wymagającą pośpiechu decyzję.

- Aha, jesteś! - ucieszył się ujrawszy przed sobą Pabla. - Będę mówił krótko... Co się dzieje w kraju, wiesz dobrze. Wiesz także, kim jest Pierola. A teraz dodam do tego ostatnią nowinę: mogę się spodziewać lada chwila aresztowania.

Na twarzy Pabla nie odbiło się żadne uczucie. Żywo przypominał obecnie ojca: potrafił słuchać w milczeniu.

- Pierola pochwycił nareszcie władzę, lecz drży ciągle, że ją może utracić - mówił dalej inżynier. - Pardy nie ma. Cała więc jego uwaga skupiła się na mnie. I może...

- A tobie nie wolno stąd odjechać, tatai?... Tam w górach, czy też w dolinie Chauchy znajdziesz pewne schronienie.

- Wiem. Tymczasem muszę jednak pozostać. Bez względu na to, czy mnie aresztują, czy zamordują, czy spalą ten dom.

- Nie rozumiem, tatai... - w głosie Pabla rozdzwiewał niespodziewanie lęk. - To jest naprawdę konieczne?

Malinowski zamyślił się, jakby to pytanie sprawiło mu kłopot.

- Konieczne - potwierdził po chwili stanowczo. - Pamiętasz: Pardo uszedł niegdyś za granicę, gdy zewsząd groziła śmierć. Dobrze zrobił. Nie był wtedy potrzebny i nie należało narażać życia. Później jednakże wrócił, chociaż wiedział z góry, że wcześniej czy później padnie. Wzywał go obowiązek, a w takim przypadku nie wolno się bać. Obecnie powtarza się ta sama historia.

- Rozumiem, tatai... Prawo jak religia: musi mieć swych męczenników.

Pablo znieruchomiał, a jedynie odblaski w oczach świadczyły, że nadal kłębią się w nim gwałtowne uczucia. Malinowski popatrzył na niego uważnie.

- Może nie będzie tak źle - próbował złagodzić sprawę. - Pierola musi się liczyć z różnymi względami... Że jednak utracę w jakiś sposób wolność, to prawie pewne. Toteż chciałbym, abyś skoczył teraz po dyrektora Habicha. Mam z nim pilne sprawy do omówienia.

Pablo wyszedł bez słowa. Znał doskonale tę drogę, z Habichem bowiem łączyły go od dawna bardzo bliskie stosunki. Był jego asystentem. Zaglądał więc często nawet do jego prywatnego mieszkania, a i teraz, chociaż pora była dość późna, zapukał śmiało. Poinformował go o otrzymanym zleceniu i zaraz ruszyli obaj w drogę powrotną. Malinowski osobiście otworzył im bramę.

- Wejdz do saloniku - zwrócił się do Habicha. - A ty, Pablo, zjedz tymczasem kolację. Będziesz nam wkrótce potrzebny. Dość długo trwała ta poufna rozmowa. Pablo pożywił się, pogawędził przez pewien czas z don Isidorem, a potem usiadł przy oknie i zapatrzył się w Andy. Wydało mu się, że słyszy sapanie pnącego się w górę pociągu, czujnie nadstawił ucha. Rzeczywiście daleki gwizd lokomotywy potwierdził wkrótce jego domysły.

Drzwi uchyliły się cicho. Malinowski przywołał go do siebie skinieniem.

- Ty zostaniesz tutaj - rzekł. - Bez względu na to, co stanie się ze mną. We wszystkich sprawach zwracaj się odtąd wyłącznie do dyrektora.

Pablo przesunął wzrok. W oczach Habicha przebiegało wielkie znużenie, jak po ogromnym wysiłku fizycznym.

- No cóż, tak trzeba... - westchnął jakoś bezradnie. - Może. zresztą nie wszystko ułoży się tak niepomyślnie, jak się dziś zapowiada. Bo przecież inżynierowi pisane jest długie życie.

Uśmiechnął się. On też znał tajemnicę indiańskiej czary. Pablo rzucił na nią nieznacznie okiem.

- Długie - potwierdził.

Habich odzyskał humor.

- A widzisz! - zwrócił się żartobliwie do Malinowskiego. - A ty nas straszysz...

- Drugi krzyż jest tuż - wtrącił Pablo cicho.

- Jest tuż?... - Habich spojrzał uważnie na opaskę na czole indiańskiego kapłana. - Prawda, jest tuż. Ale to chyba nie śmierć?...

Pablo nadspodziewanie energicznie pokręcił głową.

- Śmierć, to trzeci krzyż - odparł. - A do niego jest tak daleko, jak do pierwszego. Co najmniej



trzydzieści lat. A może i więcej, bo na końcu dużo jest jasnych plam.

- Obym ja mógł dożyć takiego wieku i w takim zdrowiu! W takim razie jednak - Habich ściągnął brwi - co może oznaczać ten drugi krzyż?...

- Otóż tego nie umiem się domyślić. I ojciec nic nie potrafił odczytać. Jest to coś bardzo groźnego. Prawie jak śmierć. Ale nie śmierć!

Noc minęła spokojnie, a i następne dni nie przyniosły żadnych przykrości. Za to w dwa tygodnie później, ledwie zdążyli się do śniadania, weszło trzech oficerów. Zachowywali się grzecznie, lecz trochę sztywno. Dowodzący nimi, pułkownik wyjął z kieszeni jakiś dokument i suchym głosem odczytał treść. Był to najnormalniej sformułowany nakaz banicji. Dyktator Mikołaj Pierola wzywał obywatela peruwiańskiego inżyniera Ernesta Malinowskiego do opuszczenia kraju w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, grożąc mu w razie odmowy uwięzieniem i śmiercią. Kilka bowiem dni temu wprowadził on nawet karę śmierci i odtąd obwieszczał o niej często w zarządzeniach i manifestach.

Pułkownik położył dokument na stole i głęboko odetchnął. - A teraz pozwól pan, panie inżynierze, że usiądziemy - rzekł zmieniając zupełnie ton. - I proszę nam wybaczyć, że ośmieliliśmy się przyjść do pana z tą szmatą.

- Wykonujecie panowie tylko swój obowiązek...

- On by nas tu nie sprowadził. Podjęliśmy się tej misji wbrew własnemu przekonaniu, aby Pierola nie przysłał jakiegoś żołdaka. I aby panu powiedzieć, że tego pisma nie należy brać na poważnie. Zechce pan je podrzeć i pozostać, włos panu z głowy nie spadnie. Ręczyśmy słowem honoru!

Malinowski zastanawiał się chwilę.

- Założmy, że pozostanę - przemówił powoli. - A Pierola będzie chciał jednak wykonać groźbę... Co wtedy panowie zrobicie?

Pułkownik z rozmachem uderzył w szablę.

- Pójdziemy na Pierolę! - oświadczył twardo. - Obrońcy Callao i budowniczego kolei orojskiej dotkną u nas nie wolno! On o tym jest uprzedzony. I nie tylko my pójdziemy na niego. Pójdą tysiące. Ci wszyscy, którzy stoją przy nim dlatego tylko, że w chwili, gdy wróg nam siedzi na karku, lepsza jest jakakolwiek władza niż żadna.

Malinowski w zamyśleniu pokiwał głową.

- Tego się właśnie najbardziej obawiam - rzekł, - A dziś nie wolno przelewać więcej peruwiańskiej krwi, gdyż i tak płynie jej dużo na polach bitew. Toteż usłucham rozkazu. Ale panom - dodał uprzejmie - jestem szczerze zobowiązany za dobre chęci. I nie wątpię, że się jeszcze spotkamy. W przyjemniejszych warunkach.

Malinowski wiedząc już, co go czeka, przestał zwracać uwagę na wyznaczany mu termin. Przebył ponownie drogę od Limy do Szczytu, spokojnie przekazał zarząd kolei swojemu zastępcy, a potem zaczął składać liczne wizyty. W tydzień jednakże później kazał Pablowi spakować indiańską czarę.

- Po południu odpływam statkiem do Ekwadoru - oznajmił - Będziesz otrzymywał o mnie wieści przez dyrektora Habicha. A gdyby tu się pojawił przypadkiem Antonio...

Długo nad czymś się zastanawiał. Antonio zaraz w początkach wojny zgłosił się na ochotnika i bił się gdzieś na południu. Wiadomości od niego docierały niezwykle rzadko.

- Nie, jemu nic nie potrzebujesz przekazywać - odezwał się wreszcie. - Sam będzie wiedział, co robić...

Zajął się pakowaniem podręcznej walizy, Pablo zaś w jakimś uroczystym skupieniu owijał starannie czarę. Lekko drżały mu palce, ten środkowy krzyż nie dawał mu ciągle spokoju. Nie mógł połączyć z nim zachodzących wypadków. Przecież to, co się stało, nie była znowu tak groźna. A i Pierola też nie jest wieczny. Skończy się wojna, porzucą go wszyscy. Nim więc też nie należy się martwić. A jeśli nie tym...

Nie mógł odnaleźć prawdy.

- Czy jednak nie byłoby lepiej, gdybyś się udał w góry, tatai?... - szepnął nieśmiało. - Nasi ludzie okażą ci więcej serca niż inni.

- Na pewno. Tylko że mnie nie wolno zaszyć się w górach i czekać cierpliwie na koniec.

Malinowski wpatrzył się w niego uważnie, jakby się namyślał, co mu należy jeszcze powiedzieć.

- Ty, mój drogi, nie wiesz o wielu sprawach, o których ja wiem - dodał po chwili. - Ta wojna obejmie cały kraj i wkroczy nawet tu, do stolicy. Nadejdą straszne czasy, Pablo, które będzie można porównać jedynie z najazdem hiszpańskim na dawne królestwa Inków. Znam dobrze siły i chilijskie, i peruwiańskie... Toteż muszę być bliska morza, aby móc się poruszać swobodnie. Pierola bowiem

maże tylko zgubić twoją ojczyznę. A ja będę starał się jej stamtąd dopomóc. Bo to przecież i moja, druga wprowadzie, ale także ojczyzna...

W godzinę później znaleźli się w porcie. Przybyli w ostatniej chwili. Francuski frachtowiec jak gdyby tylko czekał na tego jedyne go pasażera i natychmiast podniósł kotwicę.

- Żegnaj! - Malinowski wziął Pabla w ramiona. - I pamiętaj: wszystkie sprawy załatwiasz odtąd tylko z dyrektorem Habichem.

Wszedł na pokład, marynarze ściągnęli mostek. Pablo nie ruszał się z miejsca. Widział jak parowiec powoli odsuwa się od nadbrzeża, jak skręca, jak zaczyna pracować śruba, jak spienia coraz gwałtowniej wodę, jak statek przybiera wciąż na szybkości. Spojrzał na pokład: Malinowski także na niego patrzył. Przedtem nie była w nim wesołości, lecz trzymał się prosto, z każdego słowa i ruchu przebijała ta jego zwykła, „pełna rozwagi energia. Teraz pochylił się ciężko, jakby przygniotta go troska. Zmieniła się także twarz: im bardziej się oddalała, tym się wydawała smutniejsza...

Serce Pabla zaczęło uderzać nierówno. Na tym steranym obliczu pochwycił ból, jak smagnięcie biczem poraziła go przerażająco rozpaczliwe spojrzenie inżyniera na twierdzę. Odkrył niespodziewanie tajemnicę drugiego krzyża. Przecież ten człowiek musiał w obliczu klęski uchodzić ongiś z własnej ojczyzny. A teraz utracił drugą. On - obrońca Callao, wielki budowniczy kierujący cierpliwie ten kraj wraz z jego najlepszymi synami na drogę postępu, genialny inżynier sięgający tak samo umiejętnie na niedostępne szczyty, jak i do ludzkiej serc. Człowiek, który dla Peru potrafił poświęcić wszystko. Teraz odchodził. Musiał odejść. Żądał tego Pierola - symbol nieszczęścia, grabarz własnej ojczyzny, dyktator wspierający się na najgorszych siłach wsteczności. I to on skazywał tego polskiego wygnańca na drugie - obecnie peruwiańskie wygnanie...

Statek oddalał się coraz bardziej. I coraz bardziej nienależnie pochylona nad burtą sylwetka.

## II.

Rok dobiegał końca. Lima jakby zastygła w twrodze: z Callao dochodził nieustannie posępny huk. Od siedmiu miesięcy trwała ta męcząca muzyka i wciąż biły w twierdzę działa nieprzyjacielskie. Ale też odpowiadały im. bez przerwy peruwiańskie baterie: te lekkie z zamku świętego, Floriana i te cięższe ustawione między wałami, a także i te najcięższe ze stalowych wież, którymi Malinowski miażdżył ongiś hiszpańską eskadrę. Jak dotąd, nic nie zdołało załamać ducha obrońców. A mima to w ostatnich dniach sytuacja zmieniła się radykalnie: Chilijczycy wylądowali gdzie indziej i w trzydzieści tysięcy żołnierza stanęli naprzeciw peruwiańskiej stolicy.

Pablo w coraz większym napięciu śledził zachodzące wypadki. Jak niegdyś Antonio, tak on teraz snuł się po ulicach, uważnie przyglądał się twarzom i bacznie nadstawiał ucha. Zmieniały się szybko nastroje. W obliczu niebezpieczeństwa odezwał się nagle patriotyzm, entuzjastyczne okrzyki od rana do nocy wypełniały ulice, odezwy i manifesty wzywały naród do boju. Pierola wydawał ich coraz więcej i czytana je chętnie. Nikt dziś nie podnosił na niego głosu, wróg bowiem był tuż. On zaś, widząc ten posłuch, nabierał rozpędu. Poniósł go zapał tłumów, uwierzył w zwycięstwo, zapragnął laurów, postanowił umocnić swe panowanie blaskiem wojennej legendy. I niespodziewanie ten człowiek, który ukończył kiedyś wprowadzie seminarium duchowne, lecz o wojnie nie miał najmniejszego pojęcia, mianował sam siebie naczelnym dowódcą armii.

Któregoś ranka Pablo, dowiedziawszy się o tym z szumnego plakatu, zwiesił głowę, a potem jakoś bardzo bezradnie powlókł się w stronę Rimaku ku torom kolei obojskiej. Głośno tu było, nieustannie dudniły szyny. Pociąg szedł za pociągiem: w górę przeważnie pusty, w dół wyladowany ludźmi i zapasami żywności. Tamta druga kolej, przez Arekipę i Puno, nie tylko nie miała dziś, żadnego znaczenia, lecz wkrótce mogła posłużyć nieprzyjacielowi do ataku na tyły. Ta była bezpieczna i oddawała coraz większe usługi.

Pablo postął tu z godzinę, przyjrzał się uważnie indiańskim rekrutom, którzy nie mieli wprowadzie żadnego przygotowania do wojny, a mimo to gdzieś tam spod Oroi, spod Cerro de Pasco, spod Chauchy, spod Huancayo i Ayacucho napływali setkami da obrony stolicy, i wreszcie zawrócił. Im bliżej był Placu Broni, tym stawało się gwarniej. I coraz jaśniej od szamerunków i wyjętych prosto spod igły, bijących w oczy swą jaskrawością mundurów. Oficerowie obnosili je dumnie, wspaniale zamiatali szablami, twardo przybijali nogami w ziemię. Jak gdyby dopiero co wyszli z zaciętej bitwy, jakby samą postawą chcieli wystraszyć wroga. Na kobietach czyniło to istotnie duże wrażenie i ponętne spojrzenia goniły ich nieustannie. Natomiast Pablo coraz bardziej pochylał głowę. On wiedział doskonale: ci oficerowie, jak i Pierola, który swym znajomym i krewnym podpisywał wciąż nominacje, też a wojnie

nie mieli żadnego pojęcia.

Minął plac, mundurów zaczęło ubywać. Doszedł do domu, przekręcił klucz w bramie i bardzo zamyślony wszedł do mieszkania. Naraz stanął jak wryty. Przed nim stał żołnierz... Nie, nie żołnierz. Pułkownik w szarym, wyświechtanym, znoszonym mocno, mundurze, na którym trudno było odróżnić dystynkcje od tła, gdyż zniszczenie nadała im prawie tę samą barwę. Wyprostowany sztywno, nieruchomy, dziwnie surowy w tym stroju mówiącym bez słów o ogromnym trudzie, wyczerpaniu i bitwach sprawiał w zestawieniu z tymi oficerami z ulicy niesamowite wrażenie.

Na zapadłej twarzy żołnierza pojawił się ciepły blask. Pablowi pociemniało w oczach. Po raz pierwszy chyba w życiu ,przestał nad sobą panować.

- Antonio! - krzyknął, rzucając mu się na szyję.

Przygarnął się do niego, jak do ukochanego brata, którego nie widział od lat, i przez długi czas nie mógł z siebie wydobyć słowa. Antonio odczuł to mocno. Drżącą ręką zaczął gładzić mu włosy, jakby pragnął pokryć tym ruchem własne wzruszenie.

- Usiądźmy gdzieś - odezwał się wreszcie. - Człowiek zmęczony, gdyż od tygodni nie schodziło się z siodła.

Przeszli do saloniku i usiedli przy oknie. Zapatrzył się na róże w patia i w zamyśleniu wchłaniał w siebie unoszący się dokoła aromat.

- Dostałeś urlop? - zapytał go cicho Pablo.

Antonio drgnął, jakby go dotknięto rozpalonym żelazem.

- Nie - odparł chrapliwie. - Dostałem zwolnienie ze służby!

Poprawił nerwowo rewolwer i pas.

- Tak, zwolnienie - potwierdził. - Walczyłem w Arice. Pod rozkazami pułkownika Boloquesi, siwowłosego starca, ale żołnierza, jakiego spotyka się raz na sto lat. Gdy miasto zostało zdobyte, wycofaliśmy się na cypel do portu. Padł pułkownik, objąłem dowództwo. Została garstka. Biją w nas działa ze wszystkich stron, od morza i ładu. Bijemy także. Naprzeciw zapada na chwilę cisza, lecz zaraz pędzi na nas piechota. Setki, tysiące. Ginie pierwszy szereg, wali się ławą drugi, sytuacja jest beznadziejna. „Działa w powietrze!” - wydaję rozkaz. Przed nami krwawe sceny: kto wpadnie Chilijczykowi w ręce, prują mu nożem brzuch. Na naszych oczach! Ostatni atak, rzucam do boju wszystkich. „Za Peru!” - rozlega się wszędzie krzyk. Idziemy naprzód, w jakimś strasliwym zapamiętaniu przez pewien czas jeszcze ,siejemy przed sobą śmierć. Ale już zalewają nas masą, już nas spychają, skupiam przy sobie resztki. Na skrawku brzegu. Nie ma już więcej ziemi, lecz i nie ma poddania. Ostatni wystrzał, a potem: „Do morza!”... I jak szli za mną do boju, tak ci, którzy wcześniej nie padli, poszli za mną do wody. Z poszarpanej, wyniosłej skały...

Głos mu zachrypnął, zadyszał się ciężko.

- Niełatwo tam było... - odezwał się cicho, gdy nieco odpoczął. - Wielu rozstrzaskało się a skały, niejeden utonął. Byli jednak i tacy, którzy zdołali się wyratować jak ja... Wymknęliśmy się w góry. Należało wyleczyć rany, zastanowić się nad przyszłością. A gdy tylko doszedłem do siebie, zacząłem gromadzić na nowo ludzi i !szarpać po trochu nieprzyjaciela. Wreszcie ruszyliśmy na pomoc. Tam byliśmy samotni, tu potrzeba była obrońców. I dziś właśnie dotarliśmy do Limy...

Znów go ogarnęło wzburzenie.

- I co dalej? - Pablo pochylił się ku niemu przejęty. - Przybyłeś z całym oddziałem?...

- Prawie stu ludzi. Zostawiłem ich pod miastem, a sam zameldowałem się u Pieroli. Jak prawy żołnierz, który w obliczu nieprzyjaciela nie zastanawia się, kim jest naczelny dowódca. A wiesz, co mi odpowiedziano?

Antonio poprawił się w krześle. Krew mu zalała policzki.

- Że powinienem odpocząć! - wybuchnął. - Należy mi się za rany i bohaterstwo. Tak się ten łotr właśnie wyraził! Aby zaraz dodać, że komendę nad moim oddziałem przejmuje inny pułkownik!

Pabla drgnął, jakby i nim także targnęła wściekłość. - Zgodziłeś się na to?...

- A co miałem robić? - Antonio splótł palce aż trzaśły. - Zmieść mu głowę i doprowadzić do walk bratobójczych? Gdy wróg ,stoi naprzeciw?

Zapadło milczenie. Pablo bił się z jakimiś myślami.

- Widocznie boi się ciebie - odezwał się. - On nikogo nie dopuszcza do armii, kto dla niego jest niewygodny. Nawet ludzi tak zasłużonych, jak generał Caceres. A o tobie na pewno słyszał niejedno. A może znał cię przedtem?...

Antonio nie odpowiedział, tylko mocno zacisnął usta. Pablo objął go czujnym spojrzeniem. Czegoś się widocznie domyślił, zmienił bowiem natychmiast temat. Opowiedział szczegółowo o wyjeździe Malinowskiego, o pociągach kursujących nieustannie między Szczytem a Limą, o rekrutach bez przeszkolenia, których może za chwilę rzuci się w bój, o swych licznych rozmowach z Habichem i o uczelni. Widział, że to go interesuje i odsuwa bolesne przeżycia. Antonio powoli się rozpogadzał.

- Tak, w tym tkwi pewna pociecha - rzekł. - Mamy nareszcie kilkunastu własnych inżynierów i każdy z nich robi coś dobrego dla kraju. Minie wojna, przepędzimy Pierolę. I zabierzemy się znowu do pracy...

Po twarzy przemknął nieznaczny cień.

- Gdy minie wojna... - zastanowił się. - Jeszcze jednak nie minęła i trzeba się bić... Ha, odpocznię kilka dni i stanę na barykadach jak inni! Chwilowo nie zwracajmy sobie tym głowy - ożywił się. - Chcesz przejść się ze mną? Muszę złożyć wizytę. Wyszli wkrótce.

Minęli Plac Broni i skręcili w boczną uliczkę. Antonio zastukał do pięknej bramy. Ukazał się stary sługa, z pośpiechem przekręcił klucz i rzucił mu się w objęcia.

- A to się pan generał ucieszy! - mówił przez łyż. - Ostatnio chodzi tylko i chodzi i ciągle się martwi, czy się coś panu nie stało. Co za niespodzianka!...

Weszli do środka. Istotnie w głębi było słychać odmierzone powoli kroki. Antonio przybił mocniej nogami, ucichło.

- Kto tam? - rozległa się za ścianą tak donośne pytanie, jak komenda przed frontem.

Antonio pchnął drzwi, wkroczył zamasyżycie i wyprężył się jak struna przed stojącym pośrodku pokoju starszym.

- Do usług, panie generale! - zameldował służbiście. - Antonio!

Pabla spoglądał z coraz większym zdziwieniem. Zastanawiała go i ta buńczuczność Antonia, który jeszcze przed bramą wydawał się przygnębiony i smutny, i to pełne wzruszenia powitanie, którego za chwilę był świadkiem, i ta tkliwość, z jaką obejmował tego pochylonego wiekiem człowieka. Nie był nigdy w tym domu i nie znał jego tajemnic. Czuł jednak, że za tym wszystkim kryje się coś więcej niż zwykle świadczenia, choćby najbardziej zadawnionej przyjaźni.

Generał odsunął się. Groźne zmarszczki na czole przekomarzały się bardzo przyjemnie z jasnym jak słońce obliczem.

- Ha, pułkownik - mruknął obejmując okiem znawcy zszarzały mundur. - Prawdziwy, z frontu... Bardzo dobrze, tylko taki powinien się u nas liczyć. Ucieszy się nasza Mercedes... Stań no raz jeszcze na baczność!

Antonio wyprężył się posłusznie, lecz już nie znać było po nim poprzedniej fantazji. Coś go zmroziło.

- A co z nią?... - odezwał się cicho.

Generał jakby nie usłyszał pytania.

- Musiałeś przejść dobrą bojową szkołę, jeśli tak przybyło ci na rozwadze - stwierdził z uznaniem. - Mnie nie zamydliś oczu: wbrew pozorom dużo w tobie skupienia. Bardzo ono potrzebne dowódcy... O co pytałeś? - zastanowił się. - Aha, o Mercedes! Wszystko w porządku, Pisała niedawna, że robi dyplom.

- Nie wyszła za mąż?...

- Ech, przecież z niej rozumna dziewczyna! - generał zatarł ręce z jakiejś wewnętrznej uciechy. - Sam to kiedyś twierdziłeś. Głupstwa nie robi. Ale że ty jeszcze o niej pamiętasz?... - popatrzył na niego spod oka. - Bądź spokojny: skończy się wojna, powróci. Spójrz, ile przygotowałem zabawek dla wnuków!

Wskazał ręką na stojącą pod ścianą oszkloną szafę. Stały w niej wózki, konie, muły, lalki i dziesiątki innych przedmiotów. Niektóre były naprawdę piękne.

- Co znam się na takiej robocie? - mrugnął wesoło i niósł oczy na Pabla. - A to kto?

Antonio jakby odżył.

- Rekrut do szachów, panie generale! - zameldował dziarsko. - Przyprowadziłem go na zastępstwo.

- Mądrze zrobiłeś. Jak się nazywa?

- Inżynier Pablo Santillan. Ze szkoły dyrektora Habicha.

- Dobra szkoła. Hm, inżynier, a przy tym Indianin... Pamiętasz, co niegdyś mówiłem ci w Chauchie? Że prawnik i inżynier, to w Peru potęga... Cieszę się z tej znajomości, tym bardziej że coś niecoś już o

nim słyszałem. Siadaj więc, mój drogi - zwrócił się wprost do Pabla. - Najpierw z tobą przeprowadzę egzamin. A Antonio opowie, jak tam było na wojnie.

Zasiedzieli się. Gdy wyszli, dawno minęła północ.

- Gdyby mnie zabrakło - rzekł Antonio w zamyśleniu, kiedy znaleźli się na ulicy - odwiedź go od czasu do czasu, kochany staruszek. Bardzo potrzebuje jakiejś rozrywki.

Pablo skinął głową potwierdzająco. Teraz rozumiał go dobrze.

### III.

Ze Szczytu wciąż spływały pociągi i zaopatrywały magazyny coraz obficie w żywność. Ongiś, w czasach Callao, w razie oblężenia Lima padłaby szybko z głodu. Dziś miała doskonale rozbudowane zaplecze, toteż, Pierola nie wątpił ani przez chwilę, że uda się ją przemienić w twierdzę i już nazajutrz rozdzwiewały się dokoła miasta łomy, łopaty i rydle. Pośpiesznie sypano, wały. Do pracy stanęli wszyscy: wojsko i ludność cywilna, biali i czarni, śniadzi i żółci, bogaci i biedni. A czoło tej olbrzymiej armii stanowili niezwykli dowódcy: pierwsi peruwiańscy inżynierowie ze szkoły Habicha i ci przyszli, którzy mieli dopiero kiedyś otrzymać dyplom.

Dochodziło południe. Folkierski szedł powoli wzdłuż coraz wyraźniej zarysowującej się linii i przyglądał się uważnie robotom. On był tutaj dowódcą naczelnym, to według sporządzonych przez niego naprędce planów stawiano szanice. Nie wydawał się jednak uszczęśliwiony tą funkcją. Z wielkim uporem wracały mu ciągle przed oczy obrazy, które przed dziesięciu laty oglądał na przedmieściach Paryża. Tam także dowodził podobną armią. Entuzjazm był taki sam, patriotyzm i ofiarność tak wielkie, jak w Limie. I okoliczności różniły się od siebie niewiele. Tam następowały wojska pruskie bez żadnego istotnego powodu, aby tylko w bogatym kraju pochwyć łup. Tu Chilijczycy też mieli na celu wyłącznie rabunek. A przy tym całą tę grabieżczą wyprawę organizował im sztabowy oficer pruski, ongiś opracowujący plany podboju Francji...

Podszedł jeden z młodych inżynierów, o coś zapytał. Folkierski obejrzał jego odcinek, dał kilka wskazówek i ruszył dalej. Przy torach prowadzących do Callao napotkał Pabla.

- Nie masz trudności? - rzekł od niechcienia.

Pablo jakoś niejasno pokręcił głową.

- I mam, i nie mam... - odparł z namysłem. - Właściwie należałoby zerwać szyny. Czy jednak warto?...

Folkierski popatrzył na niego bystro i odciągnął na bok, aby pracujący w pobliżu nie słyszeli rozmowy.

- Powiedz szczerze - zachęcił. - Co się kryje za tymi słowami?

- Rozmawiałem z kolegami... Naszym zdaniem te wały niewiele pomogą.

Folkierski wbił oczy w ziemię. On też wiedział, że dla nowocześnie wyszkolonej armii nie stanowi to żadnej przeszkody.

A przecież na trwalsze roboty nie było czasu. Wróg stał naprzeciw i szykował się już do ataku.

- W obronie nawet dołek może mieć swoje znaczenie - odrzekł po chwili. - Nasza nadzieja w tym, że chyba i Chilijczycy o umocnieniach nie mają pojęcia, więc te wały mogą się im wydać twierdzą nie do zdobycia. Zło tkwi w czym innym... Pierola niepotrzebnie skupił wojska w jednym miejscu, zamiast je rozrzucić i wchodzić nieprzyjacielowi na tyły. Wtedy mielibyśmy czas na stworzenie tu prawdziwych barykad...

Uszedł kilka kroków wzdłuż toru i stanął.

- Nie ruszaj szyn - dodał. - Zrób za to szaniec, a one niech będą w środku. W nagłym wypadku wyrócimy tu kilka wagonów i stworzymy zaporę, którą na pewno będzie trudniej zdobyć niż wał. Zwłaszcza gdy ustawi się dobrych strzelców.

Folkierski odszedł, Pablo zabrał się znów do swojej roboty. Dodała mu ducha ta przypadkowa rozmowa. Gdy wieczorem znalazł się wreszcie w domu, okazywał tyle ożywienia, że aż Antonio zwrócił na to uwagę.

- Zdarzyło się coś ciekawego? - zapytał.

Pablo opowiedział o porannych wątpliwościach, a potem powtórzyli szczegółowo, co mu na ten temat powiedział Folkierski.

- Dużo w tym racji - przyznał Antonio. - Gdzie tylko mieliśmy najlichsze choćby szanse, straty Chilijczyków były olbrzymie. Tam jednak żołnierz był zaprawiony do walki, a tu mamy prawie wyłącznie rekrutów. Toteż i w tym Folkierski ma rację: nie wolno ich trzymać w miejscu. Niech się już uczą, niech szarpią tymczasem, niech próbują odciągać. Bo inaczej wyginą wszyscy.

Rozmowę przerwała im kołatka przy bramie. Don Isidorio poszedł otworzyć, a po chwili ukazał się gość: rotmistrz w tak samo wyszarzałym mundurze, w Jaki był ubrany Antonio.

- Panie pułkowniku - odezwał się stając przed nim na baczność - przybyłem zameldować, że nasz oddział wraca pod pańskie rozkazy!

Antonio ściągnął brwi.

- Kto wydał takie zlecenie? - zapytał powoli.

- My sami, panie pułkowniku! Przejechaliśmy po łbach naszym dowódcom i usunęliśmy się w góry. Czekamy, aby pan objął komendę,

Pablo widział niejednokrotnie Antonia wesołego, widział smutnego, widział przełamującego w górach przeszkody, widział na zabawie i w walce na szable, ale nie widział dotąd Antonia Groźnego. To, co się za chwilę stało, zaparło mu oddech, trzasnęło jak piorun z jasnego nieba. Przed nim stał inny obecnie zupełnie człowiek: surowy, ponury, straszliwy jak samo piekło.

- Natychmiast z powrotem! - ryknął, że aż zadrżały szyby. - Jak śmiecie siać nieporządek, gdy wróg wymierzył na nas armaty? Mam was wystrzelać za łamanie karność?

Rotmistrz nie drgnął, jak gdyby nie do niego były wymierzone te słowa, twarz tylko stała się bardziej chłodna. Musiał też przejść nieraz przez ciężki bojowy chrzest. Wyjął rewolwer.

- Niech pan strzela, panie pułkowniku - rzekł podając go Antoniowi. - Ja tam dowodziłem i ja szedłem na czele. Zresztą może pan wybić wszystkich, nikt z nas nie podniesie na pana ręki. Ale pod komendę Pieroli już nie wrócimy. My chcemy walczyć i, jeśli zajdzie potrzeba, nie zawahamy się zginąć w obronie ojczyzny. Pan wie a tym dobrze. Nie będziemy jednak narażali głowy dla głupców!

Dobitnie i ostro padły te słowa. Antonio nieco ochłonął. - Mów! - odezwał się zwięźle. - O co tam poszło?

- Widział pan pułkownika, któremu oddana nas pod komendę. Bawidamek, lekkoduch, wyperfumowany lalusz nie mający pojęcia nie tylko o wojnie, lecz nawet o szabli. Ledwie pan odszedł, dodano nam natychmiast podpułkownika, trzech rotmistrzów i sześciu poruczników...

- Do tych stu ludzi, których przyprowadziłem?

- Tylko do nich. Tacy sami fachowcy, jakich pułkownik. Przez cały dzień grali w karty, a tylko jeden był z nami. Uczył musztry, urządzał ataki i to w taki sposób, że pierwsza kula działowa uniosłaby nas od razu do nieba. To ścierpieliśmy.

- Stało się coś gorszego?...

- Oczywiście. Dziś rano przybył do nas świeżo upieczony dowódca dywizji: Pierola, brat dyktatora. Nasi oficerowie postanowili się nami popisać. Nic mu nie przypadło do gustu. Pogadał z nimi i wtedy zaczęło często padać pańskie nazwisko. Mnie wreszcie o pana zapytał. Ofuknąłem go trochę, nie moja sprawa. A wtedy on z góry, po chamsku. Że źle mam wyczyszczone buty, że guziki nierówne, że nie potrafię trzymać się w siodle...

- Aha!

- No i tak dalej. Zaglądał kiedyś widocznie do pruskiego albo niemieckiego regulaminu. To także ścierpiałem. Wtedy kazał nam przejechać przed frontem, jak na paradzie. Przejechaliśmy, wypadło świetnie. A on się wściekł i zmieszał nas z błotem. I na to nie zwróciliśmy uwagi. Aż tu nagle zaczyna panu wymyślać. „Nic dziwnego - huczy na cały głos - taki nędzny dowódca musi zrobić idiotę z najlepszego żołnierza!...”

Antonio uśmiechnął się lekko.

- Dopiero wtedy zalała nas krew! - rotmistrza zaczęła ponosić pasja. - Zerknąłem nieznacznie na chłopców: pochylili się w siodłach, jakby się szykowali do szarży. Śmignąłem szablą, ze stu ust wyrwał się gromki krzyk. Pierolę trzasnąłem w głowę, zwałił się z konia. Z innymi obeszliliśmy się mniej łagodnie. I w świat!

- Nie gonili?

- Ach, co tam się działo! Szum, krzyk, bije nam brawa cała dywizja. Wszyscy mają po uszy tego partactwa. Ale już alarm, już dudni dokoła, już pędzą szwadrony ze wszystkich stron. Jak rozkaz, to rozkaz; żołnierz choć myśli inaczej, słucha. Patrzę tu: nie ma przejścia. Patrzę tam - pędzą ławą, że koń się nie przemknie. Więc my w jedyną lukę: na Chilijczyków! Ze swymi nie będziemy się przecież

bili. Walimy jak wszyscy diabli. Jakiś patrol nieprzyjacielski: zmiotliśmy. Trafiliśmy na drugi, zmiotliśmy. Oglądam się: za nami nikogo. Za to przed nami wciąż rośnie siła. Skręcamy ku południowi. Niewielki oddziałek zaskoczył nam drogę od strony Lurinu: uporaliśmy się w mig. Znow ostry skręt i ku góróm. Ile tchu!

Rotmistrz odetchnął.

- Potem nie była nawet takich kłopotów - dodał. - Na tej olbrzymiej, pustej zupełnie równinie widać nas było z daleka. Uciekali więc i swoi, i obcy.

Po twarzy Antonia przemknęła najwyraźniej wesołość.

- Na dobry ład - powtórzył teraz spokojnie tę samą myśl, którą przedtem wyraził w gniewie - należałoby was wszystkich rozstrzelać. Tak czy owak, to bunt. Dobrego żołnierza dziś jednak szkoda, pod Limą prawie go nie ma... Nastraszyliście przy tym wroga, a naszym pokazaliście, jak należy się bić. To niewątpliwa zasługa... Dobrze, obejmuję komendę. Do Pieroli wrócić przecież nie możecie. A bronić ojczyzny trzeba...

Niełatwo była pogodzić te dwa, tak sprzeczne z sobą w obecnej sytuacji twierdzenia.

- Co to powiedział Folkierski? - ściągnął naraz brwi i spojrzał w napięciu na Pabla. - Aha! Zaatakować od tyłu... Ależ tak, to jest dla nas właściwa droga! Szkoda tylko, że jest nas tak mało...

- Skrzyknijmy innych - rotmistrz machnął beztrąsko ręką. - Po tym, co się dziś stało, możemy przeciągnąć na swoją stronę nawet całą dywizję. - Podejmuję się to załatwić.

Antonio objął go trochę niespokojnym, a trochę rozbawionym spojrzeniem.

- A w tobie ciągle siedzi pronunciamiento - rzekł żartobliwie, lecz zaraz spoważniał. - Nie, żadnych więcej buntów! Zgłoszą się ludzie spoza armii, weźmiemy. Nie zgłoszą - będziemy bili się sami.

Pablo, przysłuchujący się w napięciu całej rozmowie i ważący, jak się zdawało, jakąś zasadniczą decyzję, niespodziewanie otworzył usta.

- Zgłaszam się do was pierwszy. To ważniejsze niż sypanie okopów, gdyż przy nich może zastąpić mnie wielu. A profesor Habich na pewno nie weźmie mi tego za złe.

- Nie weźmie - potwierdził Antonio. - Byłem dziś u niego i omawiałem także taką możliwość. Czy jednak należy cię użyć do walki zbrojnej?... Habich, widzisz, patrzy dalej niż my. Jego zdaniem trzeba cię w tej chwili oszczędzać, gdyż będziesz mu potrzebny do czego innego. Pozwól mi spokojnie pomyśleć... No tak, to mógłbyś wykonać. I to też...

Przestał się wahać. Stał się naraz dokładnie znającym swój cel, chłodnym i opanowanym dowódcą.

- Dobrze, przyjmuję cię do oddziału - rzekł. - I natychmiast otrzymujesz zadanie: chwytaj jakikolwiek pociąg i pędź na Szczyt, aby sprowadzić nam z gór ochotników. Pamiętaj: potrzebni są jedynie ludzie umiejący strzelać i trzymający się dobrze w siodle. Znający przy tym doskonale linię orojską. Wiedz także: liczy się każda godzina!

Omówili szczegóły, ustalili miejsce spotkania, a w kwadrans później rozeszli się w różne strony. Antonio z rotmistrzem skierowali się w stronę gór. Pablo zaś odwiedził najpierw Folkierskiego, potem wstąpił do Habicha i udał się wreszcie na dworzec. Nie potrzebował nikomu zbyt wiele tłumaczyć. Wszyscy znali go dobrze i przyjęli, jakby zjawił się sam Malinowski. Natychmiast na całej linii zaterkotał telegraf, szybko zestawiono wagony. Specjalny pociąg popędził wkrótce na Szczyt.

Pablo rozłożył koc i wyciągnął się na twardej podłodze. Im energiczniej dudniły koła, tym więcej cisnęło się myśli. Czym jest dla Peru kolej orojska, rozumiał od lat. Ale teraz uświadomił sobie jej wielką potęgę. Przecież to ona dzisiaj broniła Limy, tylko dzięki niej można było ściągać błyskawicznie posiłki. I tylko dlatego nie opanowały dotąd stolicy wojska chilijskie...

Koła dudniły coraz donośniej. Pablo przymknął powoli oczy, zaczynał gromadzić siły. Zdawał sobie sprawę, że za kilka godzin czeka go wielki wysiłek.

#### IV.

Już drugi tydzień budowano wały obronne i wraz z tą ziemią sypaną na szanice płynęły potokiem słowa Pieroli: szumne, podniosłe, grożące wrogowi zagładą, zapewniające w płomiennych odezwach i manifestach o jego woli walki i nieustępliwości, choćby sam miał się pogrzebać w ruinach Limy. Sprawiało to niewątpliwie wrażenie na tych tysiącach spragnionych jakiegokolwiek pociechy, tym bardziej że nieprzyjaciel ciągle stał w miejscu, jak gdyby zląkł się i tych gróźb, i tych tak prostych w rzeczywistości umocnień. To prawda: wysuwał daleko swoje patrole, w dużej sile nawet ruszył na

Rimak, aby okrążyć miasto. Jak szybko jednak podążył, tak szybko się cofnął. Coś go nagle spłoszyło. Pogonił za nim rozlegający się odtąd często huk palby karabinowej i głuchoe odgłosy bitewne mącające znienacka to spokój poranka, to nocną ciszę. Niekiedy ktoś tylko o nim opowiadał, lecz nieraz napływał w ulice wyraźnie z :poszumem wiatru. Wieści głosiły, że przybywają posiłki z południa, że na tyłach toczą się walki, że ktoś tam szarpie i gryzie i musi być silny, jeśli potrafił odepchnąć od gór i trzyma nadal w szachu potężną armię chilijską.

A w tej wieści gminnej było niemało prawdy. Antonio miał zaledwie trzystu ludzi, lecz ruchliwością przemieniał je umiejętnie w tysiące. Czaił się jak wilk i jak wilk uderzał znienacka to z górskich kryjówek, to z doliny Lurinu, to nawet z głębokich tyłów, od morza. Zaskakiwał wciąż zuchwałością. Zdarzało się, że wkładał się niepostrzeżenie prawie w sam środek obozu wroga i przeczekawszy cierpliwie w jakiejś dziurze przez cały dzień, o wieczornym mroku szablami wymiatał przed sobą wszystko.

Mordercza to była gra, napięty był każdy nerw. Nieprzyjaciel skupiał się coraz bardziej. Aż wreszcie koło połowy stycznia tak się ubezpieczył, że właściwie nie było do niego dostępu. Antonio stuknął raz jeszcze: nadspodziewanie duża utracił ludzi. Cofnął się w góry. Wyczuł, że przeciwnik zorientował się wreszcie w jego słabości i że coś groźnego wisi w powietrzu. Nie czekał długo na potwierdzenie swoich domysłów. Rano rozegrały się działa, a wkrótce nieba zapłonęło purpurą ponad Chorillos. Wieczorem zaś, gdy swoim zwyczajem ruszył na łowy, wpadł na niego niespodziewanie peruwiański kawalerzysta.

- Dokąd? - powstrzymał go ostro.

- Klęska! - jeździec przystanął i rozłożył bezradnie ręce. - Generał Iglesias poddał się do niewoli, z dziesięć tysięcy ludzi padło na polu bitwy. Chorillos spalone doszczętnie!

- A ty dlaczego uciekłeś?

Kawalerzysta spłonął jak łuna widniejąca wciąż na zachodzie. - Bo nie uznałem kapitulacji! - odparł dobitnie. - Gdy kazano nam zsiadać z koni, prysnąłem w bok i przerznąłem się poprzez szeregi nieprzyjacielskie. A teraz szukam tego oddziału, który szarpie nieprzyjaciela od kilku tygodni.

Antonio patrzył na niego uważnie. Twarda to była postać, zahartowana chyba nie mniej niż jego żołnierze.

- Toś dobrze trafił - rzekł. - U nas ci nie zabraknie zajęcia. A co słyhać na drugiej linii, pod Miraflores?

- Nie wiem. Za krótko byłem w niewoli. Sądzę jednak, że nie tylko mnie udało się umknąć, więc pewnie wkrótce nadciągną inni. Przyniosą może nowiny i z tamtego odcinka.

Istotnie jeszcze tej nocy zgłosiło się kilkunastu ludzi, a i nazajutrz przybywał ten i ów pieszo lub konno. Antonio zbierał skrzętnie wiadomości i chmurzył się coraz bardziej. Jak wynikało z olbrzymich strat, żołnierze walczyli bardzo ofiarnie. Zawiodły za to zupełnie układane osobiście przez Pierolę plany operacyjne i zawiedli dowódcy. A drugiej linii, tej ostatniej przed Limą, miał bronić drugi Pierola - właśnie ten, który tak szykanował jego żołnierzy przed frontem całej dywizji...

Przykry to był dzień, pełen najgorszych przeczuć. Pod wieczór Antonio cofnął się po raz pierwszy aż w dolinę Rimaku i zaczął starannie obsadzać przejścia. Działał z ogromną rozwagą, doskonale zdawał sobie w tej chwili sprawę z nowego zadania, które los mu narzucił. Tam na dole nikt nie pomyślał, że można się cofnąć i na stokach Andów utworzyć potężny łańcuch obrony. Toteż już nie wątpił, że i resztki żołnierzy utopi się wkrótce we krwi, a wówczas wróg nie tylko opanuje stolicę, ale i ruszy naprzód. Właśnie tędy, wzdłuż kolei ojskiej. Należało więc zamknąć mu tę, jedyną drogę. I w ten sposób nie dopuścić do zakończenia wojny ani do wnętrza kraju...

Uplłynęła noc, nadszedł znów dzień. Wieści, które nadchodziły od uchodźców, były przerażające. Pod Miraflores rozgorzała zacięta bitwa, lecz generała Pierolę już widziano w stolicy. Uciekł, pozostawiając samotnie żołnierzy, gwardię cywilną i niższych dowódców. A wkrótce nad Callao zaczął się unosić jakiś niesamowity, urywający się szybko huk: to twierdza, ta słynna twierdza, która ongiś obroniła nie tylko Peru, ale i inne kraje Ameryki Łacińskiej, ginęła teraz z honorem, wysadzając w powietrze prochownie, działa i kanonierki...

Zapadł zmrok. Tam niżej wojska już nie było, a jedynie zdziesiątkowana gwardia cywilna zgodnie z rozkazem Pieroli siedziała nadal w okopach na przedmieściach Limy. Antonio wysłuchiwał tych wiadomości w coraz większym skupieniu. Niedobitków, wbrew jego przewidywaniom, było nad podziw mało. Jak pod Chorillos, tak i pod Miraflores straty były ogromne, a kto nie padł i zdołał jakoś wymknąć się z okrążenia, zniknął najczęściej w mieście lub błąkał się po piaskach, nie wiedząc gdzie schronić głowę.

Rozległ się tętent nadeżdżającego galopem jeźdźca. Antonio spojrział: zza skalnego załomu



wyskoczył kurier.

- Panie pułkowniku - meldował nie zsuwając się z siodła. - Zatrzymaliśmy sztab!

- Jaki sztab?

- Naczelną. Z dyktatorem Pierolą, z jego bratem, który miał dowodzić pod Miraflores, oraz z kilku generałami i pułkownikami. Rotmistrz zapytuje, co z nimi robić?

Antonio dosiadł konia i udał się z nim w drogę powrotną. Od chwili, gdy zaczął obstawiać te górskie komysze, czuł podświadomie, że z kim jak z kim, lecz z Pierolą zetknie się tutaj na pewno. Przecież ten człowiek, gdy tylko zwietrzył niebezpieczeństwo, zawsze uciekał pierwszy. A jednak gdy się to nareszcie stało, trochę się zdziwił. Czytał jego płomienne odezwy. Niewątpliwie było w nich dużo pożytku, ale chyba i trochę szczerego uczucia. Toteż sądził, że te wydrukowane słowa do czegoś go zobowiązują, że wydobędą z niego odrobinę hartu przynajmniej w obliczu klęski i że w końcu zwiąże on w jakiś przyzwoity sposób swój los z losami narodu. A on znowu uciekał. Ze sztabem. Gdy tam, w Limie, ludność cywilna stała nadal z bronią w ręku w okopach i na jego rozkaz zabezpieczała mu tyły...

Natknęli się na jakiś patrol. Z mroku wyłonił się Pablo, zameldował się przepisowo i złożył krótki meldunek. Antonio popatrzył na niego z namysłem.

- Zdjaj komendę - rzekł. - Pojedziesz ze mną.

W kwadrans później ujrzeli gromadę ludzi siedzących na ziemi, a dokoła porzucanych nieznacznie żołnierzy. Nie wyglądało to na pojmanie: i jedni, i drudzy byli przy broni. A jednak czuło się na pierwszy rzut oka, że ci oficerowie i generałowie w pozłocistych mundurach są właściwie jeńcami.

Antonio zeskoczył z konia. Podbiegł ku niemu rotmistrz i złożył raport, a zaraz z grona siedzących podniósł się jedyny wśród nich człowiek w cywilnym ubraniu, chociaż przed kilku tygodniami ogłosił się wodzem naczelnym armii całego Peru.

- Panie pułkowniku, co się tu dzieje? - wykrzyknął przybliżając się szybko. - Pańscy żołnierze ośmielili się podnieść rękę na władzę najwyższą! Nie szanują...

Przystanął nagle i znieruchomiał. W jakimś ogromnym zdumieniu wpatrywał się w twarz Antonia słabo widoczną spod sombrera w zalegającej dokoła gwiazdnej poświacie.

- Ach, to ty!... - wyjąkał. - To pan, pułkowniku! - poprawił się szybko. - W takim razie skończyły się nasze kłopoty - zaczęły udawać wesołość. - Znamy się przecież dobrze. Co za niespodzianka! Byłem przekonany, że pan odpoczywa... Witam serdecznie!

Wyciągnął rękę. Antonio nie zwrócił na nią uwagi.

- Sztab jest tutaj w komplecie? - zapytał sucho.

- Niezupełnie... Niektórzy gdzieś się zawieruszyli. Nie było czasu na poszukiwania...

- A komu pan przekazał dowództwo nad Limą? Beznamiętnie i urzędowo rozbrzmiały słowa. Twarz Pieroli zmierzchała. Widać było, że czuje się coraz gorzej pod ostrzałem tych pytań i że najchętniej by się odsunął. Nie miał jednak odwagi. Mocne, przenikliwe spojrzenie, zniewalające swą surowością, trzymało go w miejscu.

- Dowództwo? - bąknął. - Armii już nie ma... A gwardia cywilna będzie się broniła lub nie. Jej sprawa...

- Mimo że pan...

Antonio nie dokończył. Z grona siedzących zerwał się jakiś pułkownik.

- Co to, śledztwo? - wpadł na niego z góry. - Na baczność przed wodzem naczelnym i słuchać! A nie...

Pierola poczuł się pewniej.

- Słusznie: dość tych pogawędek! - uniósł się także. - Proszę natychmiast wydać rozkaz żołnierzom, aby nie stawiali nam przeszkód!

- I ukarać! - dodał dobitnie pułkownik.

Antonio wpił się w niego oczyma.

- A to za co? - zapytał cicho.

- Bo nie usłuchali naszych rozkazów. I potraktowali jak dezertorów!

- A kim wy jesteście?...

Pułkownik zakrzuszył się, jakby gwałtowne słowa ugrzęzły mu w gardle.

- A kim wy jesteście? - powtórzył Antonio z naciskiem. - Dowódca, który w obliczu niebezpieczeństwa zostawia ludzi pod bronią i nie tylko nie mianuje następcy, lecz uchodzi cichaczem

nie wiedząc nawet, gdzie są jego najbliżsi współpracownicy, jest dezertorem. Takim samym dezertorem, jak zwykły żołnierz uciekający z lęku przed bitwą. Toteż powinienem was rozstrzelać i zrobiłbym to na pewno, gdybym był dowódcą pronunciamenta. Reprezentuję tu jednak armię peruwiańską, jedyną armię, jaka jeszcze stoi pod Limą. Nie będę was sądził, gdyż wasze zbrodnie wykraczają daleko poza dezercję. A te sprawy należą już do Kongresu i do narodu. On zajmie się wami w przyszłości.

Pierola przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

- Czy możemy uznać te słowa za zakończenie tej sprawy? - zapytał nieśmiało. - I udać się w swoim kierunku?...

- Tak.

Podprowadzono im konie. Ruszyli bezzwłocznie w stronę ciasnego przejścia prowadzącego w głąb gór. Pułkownik, który przedtem stał przy Pieroli, niespodziewanie odwrócił się w siodle.

- Przypominam o ukaraniu żołnierzy! - krzyknął. - Raport n tym należy przesłać do...

- Milicz! - osadził go ostro Antonio. - I nie obrażaj żołnierzy wiernych ojczyźnie. Bo kogo innego postawię tu do raportu!

- To twoje ostatnie słowo?

- Tak!

Pułkownik błyskawicznie wyciągnął rewolwer i palnął. Najbliżej niego stojący żołnierz zwałił się z jękiem.

- Na zadatek! - zaryczał w triumfie. - Wrócę tu później i w ten sposób rozprawię się ze wszystkimi. Również z waszym dowódcą!

Nacisnął ostrogi, koń skoczył gwałtownie. Prawie natychmiast jednak odezwał się z naprzeciwwka karabin. Zwierzę runęło, a Pablo ujrzał w tym momencie po raz drugi Antonia Groźnego. Jak wybuchy armatnie zagrzały rozkazy, jak ciemne smugi przysnęli ludzie. Pułkownik nie przewidział jednego: wspaniałej organizacji tej znikomej na pozór armii, nie spodziewał się, że nie tylko za nim, ale i przed nim czai się za każdym załomem strzelec. Toteż zanim sztabowcy zdali sobie sprawę z tego, co się dokoła dzieje, już znowu siedzieli w tym samym miejscu, na którym ich umieszczono poprzednio. A naprzeciw nich stał złoczyńca pod strażą dwóch uzbrojonych żołnierzy. Antonio wysunął się naprzód.

- Biorę tu wszystkich obecnych na świadków - przemówił nadspodziewanie spokojnie. - Ten człowiek winien jest zbrodni. Zgodnie z obowiązującym prawem wojennym skazuję go na karę śmierci przez rozstrzelanie. Kto ma jakieś zastrzeżenia do tego wyroku?

Poruszył się Pierola.

- Panie pułkowniku - rzekł cicho - żołnierz żyje jeszcze...

- Ten fakt nie umniejsza zbrodni. To żołnierz peruwiański. Wielki żołnierz, gdyż jako jeden z nielicznych trwał da tej pory wiernie na posterunku. Jeśli wyżyje, to jego szczęście, a nie zasługa zbrodniarza.

- Pan nie jest sędzią...

- Ale jestem tutaj dowódcą. A poza tym prawnikiem mającym rzetelnie zapracowany doktorat na uniwersytecie limańskim. To wszystko?

Nikt się już nie odezwał. Zbrodnia była nie tylko zbyt oczywista, ale i niepotrzebna i nawet każdy z tych sztabowców doskonale to w tej chwili rozumiał. Antonio kazał rotmistrzowi wydzielić grupę egzekucyjną. Gdy sprawiedliwości stało się zadość, jedynie gestem dał znak zatrzymanym, że mogą odjechać.

- No cóż, Pablo - przemówił wreszcie, kiedy zniknęli mu z oczu, - Tamtych nie ma... Lecz I ty musisz odjechać.

Pablo wziął go w ramiona.

- Rozumiem - wzruszył się. - Już czas...

Podszedł do swego wierzchowca i wskoczył na siodło. Tam w górze tętent cichł, Pierola oddalał się coraz bardziej od wroga i od stolicy. Pablo przybliżał się do niej i stuk podków jego konia także zanikał szybko. Antonio nie ruszał się z miejsca. Zdawała się, że nasłuchuje ciągle, że stara się coś odczytać z tych tak na pozór podobnych do siebie, a jednak tak różnych dźwięków, że szuka odpowiedzi na jakieś dręczące pytanie.

Przybliżył się rotmistrz. On również wsłuchiwał się dotąd w narastającą stopniowo ciszę.

- Chyba potraktował pan ich nazbyt łagodnie - rzekł w zamyśleniu. - Dopóki Pierola żyje, naród nie

zazna spokoju. Moim zdaniem należało rozstrzelać wszystkich.

- Właśnie nad tym rozmyślam. Może i źle się stało...

Antonio wbił oczy w ziemię.

- Człowiekowi dążącemu do praworządności bardzo trudno niekiedy odnaleźć granicę między bezprawiem a prawem... - dodał po chwili. - Nie zastanawiajmy się nad tym. - ożywił się i zmienił temat. - Zostaliśmy sami. Trzeba więc działać za wszystkich. I myśleć za wszystkich...

Rotmistrz przyglądał mu się uważnie.

- Może cofniemy się głębiej w góry?... - zapytał niepewnie.

- Cofnąć się? - Antonio uniósł raptownie głowę. - Nie! Przeciwnie: aż pod Limę wysuniemy natychmiast czujki. I niech się nie kryją. Niech każdy je widzi z daleka.

- Spodziewa się pan jeszcze kogoś?

- Oczywiście. Przecież tam pozostało sporo zdolnych i doświadczonych oficerów, którym Pierola kazał odpoczywać, jak mnie. A wśród nich jest także generał Caceres.

- Sądzi pan, że oni tutaj przybędą?

- Na pewno. Jeśli do tej pory ich nie ma, to znaczy, że czekają na coś jeszcze, że ważą się tam jakieś zasadnicze decyzje. Więc i my musimy poczekać.

Rotmistrz przysunął do niego twarz.

- Pan wiedział o wszystkim z góry, panie pułkowniku? - zapytał z przejęciem. - Wiedział pan, że staniemy w obliczu klęski?...

- Nie chciałem w to wierzyć... Ale wiedziałem.

Antonio rozejrzał się. W migotliwej poświacie rysowały się niejasno żołnierskie sylwetki, trwające nieruchomo na stanowiskach.

- Trzeba się ruszyć - dodał. - Niech pan wydzieli czujki ze swego skrzydła i pchnie je w stronę stolicy, a ja zajmę się resztą. W nagłym wypadku: punkt zborny wzdłuż kolei orojskiej.

- Pod Szczyt?

Antonio uśmiechnął się.

- Pod Szczyt -potwierdził. - Za nim jest przecież ludna dolina Chauchy, gdzie zawsze znajdziemy żywność i ochotników. Trzeba więc dobrze strzec doliny Rimaku. Tą drogą nie ma prawa przedostać się tam żaden Chilijczyk!

## V.

Pablo puścił w ruch jakąś skomplikowaną maszynę, popatrzył, po chwili zatrzymał i usiadłszy przy stole zaczął nanosić swe spostrzeżenia na papier. Już od tygodnia tu, w Szkole Inżynierów, spędzał noce i dnie, odwiedzany na przemian to przez któregoś ze studentów, to z profesorów, to przez Habicha. Jak dotąd, Chilijczycy nie wchodzili do tego gmachu. Zresztą i w mieście zachowywali się na ogół spokojnie. Wybrzeże, od granic swojego kraju aż po Ekwador, grabili bezlitośnie, a czego nie mogli unieść, palili i niszczyli z zaciętością barbarzyńcy, który po długim okresie nędzy dorwał się wreszcie do cudzych skarbów. A i Lima po bitwie pod Miraflores miała być oddana na łup zwycięskim żołnierzom na sześć godzin i każda dokonana w tym czasie zbrodnia miała im ujść bezkarnie. W tym jednak tragicznym dla Peru momencie pojawiła się niespodziewanie w Callao francuska marynarka wojenna. Ona obecnie dyktowała warunki. I w razie jakiegokolwiek gwałtu, groziła natychmiastowym atakiem.

Pablo oderwał oczy od rozłożonego na stole rysunku. Wydało mu się, że gdzieś tam w głębi gmachu rozległy się czyjeś kroki. Posłuchał: przybliżyły się szybko. W drzwiach ukazał się Habich.

- Nudzi ci się chyba - uśmiechnął się dobroduszenie. - Niełatwo jest patrzeć przez cały dzień tylko na te gołe ściany i metalowe przyrządy... Folkierski był?

- Był. Był także profesor Wakulski.

Przez pewien czas rozmawiali na temat tych wizyt, a potem Habich zainteresował się żywo rozłożonym na stole rysunkiem. - Oho, uczeń godzin mistrza! - ucieszył się. A to by się Kluger ucieszył, gdyby zobaczył to rozwiązanie!... A ten nagły skręt rury wytrzyma napór wody z tej wysokości? - zastanowił się. - Grubość wydaje mi się za małą.

- Wytrzyma. Robiłem próby, a tutaj są obliczenia.

Pablo podsunął kilka arkuszy szczelnie wypełnionych cyframi. Habich przejrzał, z zadowoleniem pokiwał głową, raz jeszcze pochwalił, a potem podszedł do okna. Gdy wrócił znowu na swoje miejsce, na twarzy rysowała się troska.

- Zaczynają wywozić - westchnął. - Wszystko, nawet miski klozetowe i wanny. A co wydaje się im bez wartości, palą Jak na wybrzeżu. Co za naród!

Popatrzył w zamyśleniu na Pabla.

- Prawda, ty wiesz o tym niewiele - rzekł. - Aby żyć w zgodzie z Francuzami, Chilijczycy posługują się teraz prawem, Jako że oni dziś tu stanowią jedyną władzę. Rano ogłosili dekret, że wszelka własność peruwiańska ulega konfiskacie. I natychmiast zaczęli wprowadzać go w życie. Pociąg za pociągiem odchodzi do Callao z naszym majątkiem. A co się dzieje w Bibliotece Narodowej!...

Szczęki drgnęły nerwowo, jakby targnęła nim wściekłość.

- Byłem tam ~przed godziną - ~dodał po chwili. - Wyrzuca się wszystko przez okna, depcze bezcenne manuskrypty sprzed wieków, jedyne niekiedy źródła mówiące o przeszłości Ameryki Łacińskiej!... Podszedłem do oficera dowodzącego tą armią zniszczenia. Wiesz co mi odpowiedział? Że to, co jest naprawdę wartościowe, znajduje się tylko w ich bibliotece w Santiago, a takie „śmieci" im niepotrzebne.

Poczerwieniał z nadmiernego wzburzenia. Pablo zdziwił się temu trochę, nigdy nie widział go w gniewie. Ale i jemu coraz trudniej było zachować spokój. Gdzieś tam z zakamarków pamięci i spoza przekazanych mu od dziecka westchnień indiańskiego narodu wylaniał się obraz bardzo podobny do obecnego: pierwsi hiszpańscy najeźdźcy, Almagro, Pizarro... Także żądni złota barbarzyńcy pławiący się we krwi, palący wszystko i równający z ziemią największe skarby w imię wyższości ich rzekomej kultury...

- Sądzi pan, że i tu zjawia się wkrótce? - zapytał cicho.

- Na pewno. Wydaje mi się jednak, że tu niczego nie zniszczą. Co to jest pierwsza politechnika w Ameryce Łacińskiej i jaką może mieć dla nich wartość, wie dziś każdy Chilijczyk... Ale że będą chcieli wywieźć wszystko, to niewątpliwe. No cóż... - zastanowił się nad czymś - jeśli mnie tu nie będzie, - opuścisz gmach razem z woźnym. I zaraz zgłosisz się do mnie.

- Bez żadnego oporu?...

Słowa Pabla rozedrgały się chrapliwie jak pod podmuchem dławionego gwałtownie buntu. Habich nachylił się nad nim.

- Nie narażaj się niepotrzebnie - rzekł cicho. - Oczywiście zażądaj nakazu. Pokażą ci, dobrze. Nie pokażą, też się nie przejmuj. Gdzie działa przemoc, gołymi pięściami uderza że tylko w wyjątkowych wypadkach. A kiedy?... Dowiesz się o tym.

Zapatrzył się w okno. Z ulicy nieustannie dochodził turkot.

- Tak, dowiesz się o tym - powtórzył. - Nie myśl bowiem, że zamierzam się poddać bez walki. Zbyt wiele trudu kosztowała nas ta uczelnia: i za dużo włożyliśmy w nią serca. Toteż nie zawaham się przed niczym, choćby mnie to miało kosztować życie. Bądź więc spokojny. I tymczasem wypełniaj cierpliwie moje wskazówki.

Odszedł wkrótce, Pablo znowu pozostał sam. Zaraz zabrał się do roboty i ołówki poruszał się tak samo sumiennie jak zwykle, lecz najdrobniejszy szmer przykuwał odtąd jego uwagę. Na szczęście, nie zdarzyło się nic niezwykłego. Dzień dobiegł końca, bez niespodzianek minął następny. Za to nazajutrz wkroczył oficer chilijski, zajął budynek, a sprowadzeni przez niego żołnierze przystąpili natychmiast do załadowywania furgonów.

- Ha, stało się - westchnął Habich, gdy Pablo przyniósł mu o tym meldunek. - Chodź ze mną. Spróbujemy najpierw użyć zwykłych sposobów.

Zaszli do komendy placu, a potem zaczęli wędrować od oficera do oficera. Każdy wysłuchał uprzejmie, niejednen nawet wyraził swoje współczucie, lecz w końcu dochodził do wniosku, że sam nie może załatwić i odsyłał do kogo innego. Habich naciskał coraz mocniej, sięgał da coraz to wyższej szarży. Aż wreszcie oświadczone mu, że sprawa poszła do naczelnego dowódcy, a decyzja zapadnie nazajutrz.

- Dobrze, przyjdziemy - zgodził się obojętnie.

Rano otrzymał odpowiedź odmowną i ostateczną: cały majątek Szkoły Inżynierów przeszedł na własność Chile i to jest decyzja nieodwołalna.

- Ostukaliśmy dostatecznie nieprzyjaciela i spędziliśmy go na ostatnią pozycję - Habich, znalazłszy

się na ulicy, nie wydawał się tym przygnębiony. - A teraz wydamy mu bitwę.

Wpatrzył się w Pabla w nagłym zakłopotaniu.

- Chętnie zabrałbym cię z sobą - rzekł. - Ale się trochę boję. Z tej bitwy może nie być odwrotu. Zaatakuję bowiem gołymi pięściami, gwałtownie, po polsku. I to samego generała Baquemado, naczelnego wodza armii chilijskiej. Może więc lepiej będzie, jeśli ze mną nie pójdziesz...

Pablo zmienił się naraz w Indianina z kordylierskich wyżyn i jak jego ojciec skłonił się uroczyście.

- Ty zadecydujesz, tatai - rzekł. - Moim zdaniem powinienem w takiej chwili przebywać przy tobie. Choćby dlatego, by być świadkiem. A poza tym chyba warto, abym poznał ten polski atak, w którym masz samotnie nadstawiać głowę za naszą peruwiańską ojczyznę? Antonio dobrze wyszedł na waszych naukach. Niech więc i mnie będzie wolno coś przejąć od was.

Habich skinął tylko głową i ruszył dalej bez słowa. Minęli Plac Broni, weszli do pałacu znajdującego się naprzeciw katedry. Habich skierował się prosto do gabinetu, gdzie dawniej urzędował prezydent Peru. Nie robiono im po drodze trudności, brano widocznie za cudzoziemców. A i adiutant generała Baquemado przyjął ich bardzo uprzejmie. Cierpliwie wysłuchał z czym przychodzą, i chociaż potem melancholijnie pokiwał głową, wszedł jednak do sąsiedniego pokoju, aby ich zameldować. Gdy stamtąd powrócił, zachowywał się jeszcze uprzejmie. W starannie dobranych słowach zawiadomił, że z powodu nawału pracy generał nie może ich przyjąć.

Habich nie okazał żadnego wzruszenia.

- Nie szkodzi - odezwał się obojętnie. - Poczekam. Usiadł na krześle.

Adiutant był zaskoczony.

- Bardzo mi przykro, panie dyrektorze - rzekł. - Sądziłem, że pan sam się domyśli... Sprawę, z którą pan przychodzi, znamy dobrze. Nie jest ona do załatwienia i dlatego generał nie może pana przyjąć. Proszę więc to potraktować jako odpowiedź odmowną.

- Jest ktoś u niego?

- Jest.

- Poczekam aż wyjdzie. To bardzo ważna dla mnie odpowiedź, chcę więc, aby generał udzielił mi jej osobiście.

Oczy adiutanta błysnęły gniewnie, lecz nic już nie rzekł. Może zrobiło mu się żal tego człowieka kołającego tak nieustępliwie, a może generał kazał go -traktować z wyjątkowym szacunkiem\_ Habich zresztą nie zwracał na niego uwagi. Wyciągnął z kieszeni ołówki i jakieś notatki i zaczął je studiować uważnie.

Minęła godzina. Do Baquemado ktoś wchodził, ktoś od niego wychodził, tam i z powrotem przewinął się kilka razy adiutant. Pablo zaczął z nudów liczyć interesantów, wreszcie stracił rachunek. Nagle Habich go zaskoczył: wstał, skinął na niego i dotknął klamki.

- Nie wolno! - adiutant zagroził drogę, zapominając naraz choćby o pozorach grzeczności. - Upewniałem się raz jeszcze: nie przyjmie! Proszę natychmiast stąd wyjść!

Pablo znieruchomiał. Oto stało się coś, co musiał uznać za początek polskiego ataku: Habich wyprostował się, popatrzył przeciągle, potem nieznacznie wysunął przed siebie rękę i szarpnął. Adiutant zniknął im sprzed oczu, jakby go zmiotło. I zanim się opamiętał, już mu zatrzaśnięto przed nosem drzwi.

Pabla spojrzął przed siebie: pod oknem, za biurkiem, siedział zażywny mężczyzna o skroniach przyprószonech z lekka siwizną. Uniósł właśnie głowę i z zaciekawieniem popatrzył na gości.

- Co za jedni? - burknął szorstko, chociaż bez gniewu. - I po co?

Habich zaczął się przedstawiać. Zanim dokończył, okrągła twarz generała zapłonęła szkarłatem.

- Kazałem powiedzieć, że nie mam czasu! - wybuchnął w pasji. - Jakim sposobem tu wtargnęliście?

- Brutalnie, siłą - padła ostra odpowiedź. - Po chilijsku!

Pablo sumiennie notował w pamięci wszystko. Taki jest więc dalszy ciąg tego ataku... Lont zapalono, musi nastąpić wybuch. Mocny, gwałtowny...

Generał zerwał się, jakby smagnięta go biczem.

- Precz! - ryknął. - Jak mi Bóg miły, tak palnę w łeb. Precz - powtarzam po raz ostatni!

- Nie krzyczeć! - słowa Habicha rozbrzmiały naraz tak dobitnie, jak gdyby wydawał rozkazy na polu bitwy. - Przyszedłbym tutaj, gdybym się bał? Nie wiedziałem do kogo idę? Czego mogę spodziewać się więcej niż kuli od ludzi, którzy cofają historię o wieki? Którzy miasta obracają w perzynę, którzy rozpruwają brzuchy kobietom ciężarnym, którzy...

Krótko, zwięźle, dosadnie recytował grabieże i mordy. Pablo rozumiał go coraz lepiej. Ten człowiek zaskakiwał zuchwałością, przygniatał tanem, współodpowiedzialnemu za zbrodnie stawił przed oczy jego własne czyny w całej nagości, miażdżył prawdą ponurych faktów. Nie ulegało wątpliwości: prowadził grę. Przerazającą grę człowieka uzbrojonego jedynie w odwagę i siłę moralną, której skutkiem mogła być tylko śmierć albo całkowite zwycięstwo.

- Z zawiści chcecie zamienić ten kraj w jałową pustynię - przemawiał coraz donośniej. - Zabraliście najbogatsze obszary, pokłady saletry, maszyny, koleje. Czego nie możecie wywieźć, puszczaacie z dymem, najcenniejsze skarby kultury wrzucacie w śmieci! A teraz usiłujecie pozbawić ten nieszczęsny kraj nawet przyszłości, jaką może mu zapewnić nasza uczelnia?...

Generał to bladł, to czerwieniał, drgały mu nerwowo policzki, zęby zaczęły szczerkać jak w febrze. Chciał coś powiedzieć, próbował otwierać usta. Habich jednakże nie dopuszczał go ani na chwilę do słowa.

- I dlatego wdarłem się tutaj na siłę, brutalnie! - mówił dalej. - Aby zażądać pozostawienia na miejscu mienia uczelni, każdy bowiem gwałt musi mieć swoje granice. Powinien o tym też wiedzieć naczelny dowódca armii, która wyrządziła tu tyle krzywd. Przyszedłem, aby mu to wypomnieć. Bo mimo wszystko mam wciąż trochę nadziei, że on to w końcu zrozumie.

Habich odetchnął głęboko i skończył. Generał był blady jak śmierć. Przygważdżały go nadal chłodne, nieustępliwie w niego wpatrzone oczy, lecz im dłużej wpijały się w niego, tym większą w nim budziły zaciekłość. Nerwowo poruszyła się ręka, przesunęła się bliżej pasa. Palce czegoś szukały przez chwilę, znalazły, zacisnęły się mocno. Z kabury zaczął się wysuwać rewolwer...

Pablo nie drgnął. Obserwował za to czujnie te palce: naprężyły się silniej, zaczęły unosić w górę... Naraz zatrzymały się w absolutnym bezruchu, jakby coś je wstrzymało, jakby zabrakło im sił. Oderwał od nich wzrok, przesunął powoli na dłoń, potem na rękę i utkwiał go wreszcie w twarzy. Zaczynała nabierać życia. I brwi się wyrównały, na czole nieznacznie wygładzały się zmarszczki. Ich miejsce zajmowało coś nowego, co trudno było określić, lecz z pewnością nie było ani gniewem, ani wściekłością.

Pablo zrozumiał: odeszła śmierć... Teraz więc powinna się zacząć zwycięstwo. I tak się stało: generał wybiegł niespodziewanie zza biurka.

- Żołnierz? - zapytał żywo, dotykając palcami piersi Habicha.

- Żołnierz!

- Polak?

- Polak!

- Z powstania?

- Z powstania przeciwko bezprawiu! Z sześćdziesiątego trzeciego roku.

Baquemado parsknął nagle śmiechem. Śmiał się coraz donośniej i hałaśliwiej, jakby chciał zagłuszyć wszystko, co przedtem kłębiło się w mózgu, jak gdyby cała poprzednia zaciekłość przemieniła się w niepohamowaną wesołość i jak wezbrana rzeka waliła się teraz na zewnątrz. Habich w pierwszej chwili zmarszczył brwi, ale je szybko rozluźnił. W tym śmiechu, wbrew pozorom, nie było nic obraźliwego, a tylko dobroduszość czymś niezwykle rozbawionego żołnierza.

- Ma się oko, co? - generał przetarł chusteczką czoło. - Gdy pan tylko wszedł, wyczułem coś znajomego. A późniejsze słowa stopniowa wyjaśniły mi resztę, przypomniały mi bowiem list, który otrzymałem niedawno z Chile. Zwymyślana mnie w nim akurat tak samo jak pan. Proszę mi wybaczyć - zakłopotał się naraz. - Oczywiście nie z pana się śmiałem, a ze zbiegu okoliczności. Wie pan, komu - chciałem zrobić prezent z urządzeń Szkoły Inżynierów? Właśnie temu, który mi przysłał ten list: pańskiemu rodakowi Ignacemu Domeyce! On też ma niezwykle temperamentik - roześmiał się znowu. - Potrafi skoczyć do oczu! Chyba pan o nim słyszał?

- Znam go osobiście.

- Zna go pan? Naszego Domeykę?

- Naszego, polskiego Domeykę. Ale on na pewno nie prosił pana o zrobienie mu takiego prezentu?

Baquemado rozpromienił się, jakby usłyszał najlepszy żart.

- Domeyko i kontrybucje wojenne! - wykrzyknął. - Mnie klnie, innych klnie i wciąż wzywa wszystkich do umiarkowania. Ale cóż - rozłożył bezradnie ręce. - Chile jest biedne, a Peru bogate. Trzeba się więc podzielić skarbami, jak przed dziesięciu laty podzielili się z Francją Prusacy.

Habich był nadal surowy i chłodny. Baquemado objął go rozbawionym spojrzeniem.

- Tak, panie dyrektorze, jak z Francją Prusacy - powtórzył. - Grabili oni tak samo jak my, a przecież

uchodzą za kraj kulturalny. Nie należy się więc zbytnio dziwić takim nędzaczom jak my. Skończmy jednak z tym przykrym tematem. Z żołnierzem z polskiego powstania dogadam się łatwo. Do nas też ich przybyło kilku. Trzeba uczcić tak niezwykle spotkanie!

Nacisnął dzwonek. Wpadł nasrożony adiutant, spodziewając się widocznie, że będzie musiał wyrzucić gości. Generał popatrzył na niego przeciągle.

- Co się z tobą dzieje, niedołęgo? - zapytał udając surowość. - Tak mi pilnujesz drzwi? No, rozchmurz się - poklepał go po ramieniu. - Domyślałem się, że dyrektor obszedł się z tobą dość obcesowo, lecz że tu za nim nie wpadłeś, twoja zasługa. Pozbawiłbyś mnie przyjemnego towarzystwa. Przynieś kilka butelek wina.

Adiutant wybiegł. Generał uśmiechnął się ujmująco.

- Proszę nie mieć mi za złe tego, co było - rzekł. - Naszemu Domeyce chciałbym przychylić nieba i pomóc mu w stworzeniu w Chile politechniki, o czym marzy od lat, a tu nagle pan wchodzi mi w drogę! Toteż poniosła mnie wściekłość.

- Muszę pana ostrzec, że Domeyko nie przyjąłby nigdy takiego prezentu.

Generał potarł w zakłopotaniu policzek.

- Jest pan tego pewien?... - bąknął.

- Tak.

- Hm, bardzo możliwe... Nasz ojczulek na pewno nie wyrządzi swemu rodakowi przykrości, a co najgorsze, mógłby się jeszcze na nas obrazić. Oczywiście teraz, gdy wiem wszystko, zmienia się sytuacja... Niechże pan siada, panie dyrektorze. Proszę uprzejmie! Podsunął fotel, a potem przyjrzał się uważnie Pablowi.

- A to kto? - zapytał.

- Mój asystent. Inżynier Pablo Santillan.

- Oczywiście Peruwiańczyk, widać po twarzy. Nie szkodzi. Proszę też zająć miejsce.

Wszedł adiutant i rozstawili kielichy.

- Siadaj i ty, będziesz potrzebny - zwrócił się doń generał. - Mamy niezwykle gościa: rodaka naszego Domeyki. Trzeba więc pozostawić mu wszystko, co znajduje się w szkole.

Habich uśmiechnął się nareszcie.

- Nie tylko a to idzie, co znajduje się w szkole - wtrącił. - Ale i o to, co już wywieziono. Chciałbym rzeczywiście otrzymać wszystko.

- Poddaję się! - Baquemado szeroko rozłożył ręce. - Zwracam prawemu właścicielowi nawet to, co zdążyłem zagrabic. Chociaż trzeba by urządzić się jakoś inaczej... - zamyślił się naraz. - Tak, przenieść cały wasz majątek do mieszkań prywatnych i to nie peruwiańskich. Widzi pan, różnie bywa na świecie... Dam panu klucze od gmachu, a tam, w Santiago, ktoś się niespodziewanie o nie upomni. Albo zmieni się tu naczelnym dowódca. Pan rozumie, co mam na myśli?...

Habich przytaknął. Doskonale zdawał sobie dziś sprawę, że dopóki majątek uczelni znajduje się w gmachu, zawsze go łatwo utracić. Rada była dobra i niewątpliwie wyływała ze szczerej sympatii.

- Dam panu furgony, a jeśli potrzeba, i ludzi - dodał generał po chwili. - Co znajduje się w mieszkaniach prywatnych, można jakoś obronić, gdyż w razie czego - mrugnął wesoło okiem - odpowiem, że wywieźliście w góry cały majątek. Niech sami szukają. Na wszelki jednak wypadek warto by wysłać list do Domeyki. Ja napiszę, ale i pan niech to zrobi. Chętnie go przekażę przez specjalnego kuriera.

Rozmowa potoczyła się odtąd przyjemnie. Adiutant zaraz zabrał się do wysyłania rozkazów, a niezależnie od tego Habich otrzymał do ręki dokument upoważniający go do natychmiastowego przejęcia całego majątku uczelni.

- Co dalej, tatai? - zapytał cicho Pablo, gdy wreszcie znaleźli się na ulicy.

- Lokalami ja się zajmę. Ty natomiast zorganizuj studentów, chciałbym bowiem, aby oni zajęli się przeprowadzką, nie wojsko. Uda ci się ich zebrać?

Pablo potwierdził skinieniem.

- Zabierz się więc do tego od razu - Habich objął go uważnym spojrzeniem. - Drobne przedmioty zaczniemy przenosić dziś jeszcze, a ciężkie załadujemy jutro na furgony. Poza tym zawiadom wszystkich, że po zakończeniu przeprowadzki rozpoczynamy natychmiast zajęcia.

- W mieszkaniach prywatnych?...

- Tak. Adresy wskażę. Ty już idź, a ja wstąpię po Wakulskiego, aby osadzić go na dyżurze.

Spotkamy się wszyscy w uczelni. Pablo ważył coś jeszcze w myślach.

- A ten Ignacy Domeyko - zagadnął - kim jest właściwie?... Także inżynier?

- Geolog. Człowiek wielkiej wiedzy. Odkrył w górach chilijskich olbrzymie naturalne bogactwa i otworzył temu krajowi drogę do lepszej przyszłości.

- Aha! Taki don Ernesto Chile... Rozumiem. Dlaczego on jednak nie opuszcza tego kraju, chociaż obecnie zapanowało tam barbarzyństwo?

Habich zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

- Z tych samych powodów, dla których don Ernesto pozostaje w Peru, chociaż niejednokrotnie dochodziły tu do głosu rządy bezprawia - odparł. - Naród bowiem trzeba odróżniać od rządu. Rząd zmienia się ciągle, naród zostaje. I może utrzymać swoje wartości, mimo że od czasu do czasu ktoś go zaprzęgnie do brutalnej roboty.

- To prawda... Nawet ten generał potrafił być miły...

- O, właśnie! - ucieszył się Habich z tego przykładu. - Trzeba go tylko było oderwać na chwilę od tej brudnej roboty. I to się, na szczęście, udało.

## VI.

Nastaly dni chmurne i głodne, dawny pieniądz peruwiański utracił zupełnie wartość. Początkowe przygnębienie ustępowała jednak nieznacznie, w mrokach bowiem niewoli dostrzeżono niespodziewanie coraz jaśniej błyszczące światło: Szkoła Inżynierów pracowała normalnie. W ciężkich, często wręcz tragicznych warunkach, gdy i profesorom, i studentom brakowało niekiedy chleba, gdy właściwie nie było dachu nad głową, gdy niejednokrotnie trzeba było przerzucać skomplikowane przyrządy z jednego krańca miasta na drugi - ona stawiała się przykładem ofiarności i hartu, jak blask słoneczny ciała, tak ona sercom zaczynała dodawać ciepła. Młodzież ogarnęła entuzjazm, uczyła się pilniej niż kiedykolwiek. Natomiast wśród starszych odradzała szybka zagubiony w obliczu klęski patriotyzm.

Habich był dzisiaj symbolem męstwa, człowiekiem, który wskazywał drogę. Gdy szedł ulicą, rozstępowano się przed nim z wielkim szacunkiem jak ongiś przed Malinowskim, a chociaż warunki nie były odpowiednie do wznoszenia entuzjastycznych okrzyków, to jednak jego nazwisko ciągle było na ustach wszystkich. Zaufanie do niego było ogromne. Cichaczem, bez rozgłosu, zgłaszali się co zamożniejsi i przekazywali klejnoty na wydatki uczelni. Zgłaszali się też ubożsi: to piekarz, to rzeźnik, to ogrodnik z koszami jarzyn, to szewc oferujący swe usługi za darmo. Każdy składał na jego ręce dla studentów, co mógł. Wiedzano bowiem o nim wszystko: że nie załamał rąk, gdy jak się zdawało przepadło wszystko; że wytrzymał, kiedy uciekli ci najgłośniejsi, pragnący na patriotyzmie narodu zrobić karierę: że on - Polak nie tylko odważył się skoczyć do gardła wrogowi Peru i wyrwać mu łup, ale teraz walczy z uporem o nowe pokolenie mające na ruinach tego, co zostanie po wojnie, zabezpieczać krajowi przyszłość.

Ciężko także pracował Pablo. Na nim wspierała się cała organizacja studiów, on pilnował terminów, był duszą wszelkich samopomocowych poczynań. Potrafił też umiejętnie dobierać sobie współpracowników i w miarę upływu miesięcy przybywało ich coraz więcej. Wreszcie odetchnął swobodniej. Przedtem poza uczelnią nie widział nic, nawał zajęć uniemożliwiał mu szersze spojrzenie. Teraz tylko kierował pracą. Za to coraz lepiej dostrzegał, co się dzieje za Limą. Tam w górach wciąż trwały walki. Mówiono o licznych potyczkach, o kłopotach na jakie niespodziewanie natrafił wróg, o zwiększanych nieustannie posiłkach wysyłanych kolejną przez Puno i Cuzco, o próbach okrążenia na kordylierskich wyżynach resztek wojsk peruwiańskich. Domyślał się, że w tych wieściach jest trochę przesady, lecz nie ulegało wątpliwości, że opór trwał. A pod koniec listopada upewniło go w tym nazwisko: Caceres. Był to zdolny generał, o którym słyszał wiele dobrego jeszcze w czasie bitwy o Limę, kiedy to zarzucano publicznie Pieroli, że nie chce mu powierzyć naczelnego dowództwa. Dziś to nazwisko powtarzało się coraz częściej i coraz większe z nim wiązano nadzieje.

Habich, jak się wydawało, nie przywiązywał do tych wieści szczególnej wagi. Jednakże któregoś wieczoru zaprosił Pabla do swego mieszkania i wypytawszy najpierw dokładnie o sprawy codzienne, przeszedł właśnie na toczące się w górach walki i na Caceresa.

- Kręci się on obecnie między doliną Chauchy a Ayacucho - opowiadał dokładnie, jak gdyby otrzymywał stamtąd szczegółowe meldunki. - Niestety, jest odcięty od oceanu, brak mu więc amunicji i artylerii. Bez niej zaś wiele zdziałać nie można.



Pablo był zaskoczony. To już nie były wieści naszeptywane na ulicy do ucha, a słowa człowieka zdającego sobie zawsze dokładnie sprawę z tego, co mówi. A Habich z taką sumiennością wyliczał stan uzbrojenia i ludzi, nazwiska dowódców, przesunięcia oddziałów i możliwości dalszej obrony, jak gdyby patrzył na to wszystko własnymi oczyma.

- Dlaczego a tym mówię? - zastanowił się nagle, jak to robił niekiedy w czasie wykładu. - Dlatego, że mam dla ciebie nowe zadanie. Przy Caceresie przebywa Antonio. I jednemu, i drugiemu trzeba doręczyć listy. Pilne listy - dodał z naciskiem. - Chciałbym ci je powierzyć.

Pablo wpatrzył się w zamyśleniu w widniejące za oknem krzewy.

- Oczywiście pojedą - odezwał się po chwili. - Czy jednak nie ucierpi na tym uczelnia?

- Niełatwa będzie bez ciebie... Pocieszam się, że wyszkoliłeś doskonałych pomocników i chyba się jakoś ułoży. A ty będziesz bardzo potrzebny don Ernestowi. Z obozu bowiem Caceresa pojedziesz do niego i tam już zostaniesz. Z Antoniem.

- Antonio ma opuścić swój oddział?

- Tak.

- A jeśli... - Pablo zawahał się. - A jeśli generał Caceres nie zechce go zwolnić?

- Zwolni. To człowiek rozumny. Don Ernesto pisze do niego zresztą w tej sprawie. Antonio mniej jest w tej chwili potrzebny w armii, aniżeli gdzie indziej, dziś już bowiem wiadomo, że bitwy nie rozstrzygną o losach Peru. Zastanówmy się więc raczej nad twoją podróżą. Do Oroi dotrzesz chyba bez żadnych trudności. Potem jednak będziesz musiał dobrze uważać. W wojnie partyzanckiej, jaką się obecnie prowadzi, nieprzyjaciel może ukazać się wszędzie...

Habich jeszcze przez pewien czas omawiał ten temat, dając różne praktyczne wskazówki, a potem wrócił do spraw uczelni. Punkt za punktem rozważyli wspólnie wszelkie możliwe kłopoty i ustalili nazwiska osób, którym powierzy się ich załatwienie.

- Dobra organizacja nie polega na bezbłędnym działaniu jednego człowieka za wszystkich - dodał z zadowoleniem, przeglądając porobione notatki - lecz na zręcznym wyłuskiwaniu z tłumu najzdolniejszych jednostek i przekazywaniu im z pełnym zaufaniem samodzielnych stanowisk pracy. Ty doskonale rozumiesz tę prawdę. Toteż i uczelnia rozwija się dobrze, i nie ma większych trudności, gdy nas musisz opuścić. Sądzę, że wystarczy ci trzy dni na przekazanie swych funkcji i przygotowanie się do podróży?

- Wystarczy.

Pablo rzeczywiście szybko zakończył sprawy i w przeddzień wyjazdu składał jedynie pożegnalne wizyty. Wieczorem zaś zjawił się w tym pełnym ciągle kwiatów mieszkaniu, w którym Antonio zaznał niegdyś tyle radości i smutków.

- A, jesteś nareszcie, Indianinie! - powitał go radośnie generał. - Już się zaczynałem obawiać, że przed wyjazdem nie zajrzysz.

Pablo w milczeniu zaczął rozkładać na stole szachy. Generał niejednokrotnie go zaskakiwał wiadomościami, o których, jak się zdawała, nie powinien mieć żadnego pojęcia. Jednakże ta jego uwaga szczególnie ,dużo dała mu do myślenia. O celu swej podróży nie wspomniał nikomu, a i o samej podróży tylko nielicznym i to ludziom, do których można było mieć zaufanie. W jaki więc sposób staruszek się o tym dowiedział?...

- Miły jesteś - generał objął go pełnym życzliwości spojrzeniem. - W najcięższych chwilach nie zapominasz, co może staremu przysporzyć choć trochę radości... Na szczęście ta samotność powinna się wkrótce skończyć.

Jakoś bardzo raźnie i bardzo wesoło rozbrzmiały ostatnie zdania. Pablo rzucił na niego nieznacznie okiem i znów zajął się figurami. Był pewien, że swoim zwyczajem snuje marzenia, toteż niebacznym słowem nie chciał mu płoszyć myśli.

Zaczęli grać. Generał musiał być ciągle zajęty czym innym, gdyż niespodziewanie utracił konia.

- O, niedobrze! - spłoszył się nagle. - Trzeba się wziąć w karby!

Dotknął figury, lecz jej nie ruszył. Popatrzył bacznie na Pabla. - Więc jutro wyjeżdżasz... - rzekł jakby do siebie. - Gdy się zobaczysz z Antoniem, powiedz mu...

Pablo nie odrywał oczu od szachownicy. Usłyszał cichy beztroski śmiech.

- Milczysz, Indianinie - w głosie generała czuło się teraz dużo dobroduszości. - Słusznie; im mniej słów, tym bezpieczniej. Mnie jednak nie potrzebujesz się lękać, wiem wszystko. Zabierzesz Antonia z obozu i udacie się razem do Guayaquilu... Otóż gdy go tylko zobaczysz, pozdrów ode mnie i dodaj, że Mercedes - zapamiętaj dobrze to imię - wspomina go czule. Także przesyła mu pozdrowienia.

Obserwuj go czujnie. Jeśli wzruszy ramionami albo, co gorsza, burknie na ciebie, nic więcej nie mów. Miał prawo o niej zapomnieć... Ale jeśli zaciśnie zęby, a w oczach dostrzeżesz jakiś cieplejszy blask, dodaj jeszcze na moja. odpowiedzialność: Mercedes jest dziś bardzo rozumną dziewczyną. Czekaj. I powita go tam, gdzie się jej najmniej spodziewa. Zapamiętasz wszystko?

Pablo uniósł powoli głowę i potwierdził skinieniem.

- Powtórz! - starszek rozkazał takim tonem, jakiego używał chyba wówczas, gdy ćwiczył rekrutów.

Pablo wyrecytował jak z nut.

- Świetną masz pamięć! - ucieszył się starszek. - Wobec tego wracajmy do szachów. Chociaż straciłem konia, dam ci jednakże mata! inaczej nic by z mych pragnień nie wyszła.

Grał odtąd w wielkim skupieniu, długo się zastanawiał nad każdą decyzją. I wygrał.

- Wszystka się zatem uda! - klasnął w ręce z radości. - Odtąd, Indianinie, możesz mnie bić choćby do rana. Nie będę miał żadnych pretensji!

Pablo uśmiechnął się przyjaźnie, Generał objął go uważnym spojrzeniem i naraz jego czoło pokryło się gęsto zmarszczkami. - Pilnujcie się tylko dobrze! - rzekł niespokojnie. - Niełatwo się przedostać z Chauchy do Ekwadoru. Chociaż tam też biegnie droga królewska...

## VII.

Pędzili co koń wyskoczy: to przez kamienistą punę, to przez kordylierskie łąki ożywiane wieczorami dudnieniem żab, to wśród pokrytych śniegiem wierzchołków, to wśród bujnej zieleni, to w mrozie, to w tropikalnym żarze, to wijącą się nad przepaściami ścieżyną, to znów po szczątkach wspaniałej niegdyś drogi królewskiej Inków. Mimo że ujechali już setki kilometrów, jak okiem sięgnąć rozciągała się nadal przed nimi ta ich przedziwna peruwiańska ojczyzna, gdzie groza przemieszala się z pięknem, wielkość z małością, surowość z gorącym tchnieniem człowieczych serc, szarak i monotonia z porywającym oczy bogactwem prześlicznych kształtów i barw. A im dalej się przesuwali na północ, tym mocniej wdzierala się puszcza nadamazońska, tym mocniej tętniło dokoła życie. Jak gdyby jednak na przekór tej obfitości roślin, zwierząt i ptactwa, ubywało wciąż ludzi, coraz rzadziej ukazywały się ludzkie osiedla. Aż wreszcie zniknęły one zupełnie.

Gdzieś z głębi odwiecznych borów wychylały się tylko od czasu do czasu nieufne postaci Indian wędrownych i śledziły czujnie nie spotykanych tu prawie nigdy wędrowców.

Wyskoczyli z doliny Marañonu, a pod wieczór rozbili namiot nad brzegiem płytkiej rzeczki.

- Gdzieś niedaleko powinna być chyba granica? - zastanowił się Antonio spoglądając na mapę sporządzoną przed kilku laty przez Babińskiego.

- Chyba tak...

Pablo rzucił dokoła okiem. Poza pniami drzew i nurtem tej strugi nie było żadnych znaków orientacyjnych.

- Chyba tak - powtórzył z większą pewnością. - Jutro będziemy już w Ekwadorze.

Rozpalili ognisko i wbił na rożen upolowanego po drodze ptaka. Niewiele da siebie mówili. Jazda była forsowna, wyczerpał ich Upał, kręta i często niebezpieczna była ta rzadko uczęszczana ścieżyna, którą się kierowali na północ. Zazwyczaj więc zaraz po wieczery kładli się spać. Dziś jednak Antonio jakoś marudził. Co prawda noc była śliczna i po dziennym skwarze przyjemnie było odpoczywać nad tą rzeczką, gdzie delikatny powiew chłodził przyjemnie ciała. I myśli cisnęło się coraz więcej. Sięgały one do tych obozów partyzanckich, które teraz pozostały daleko za nimi, i do grabionych ciągle przez Chilijczyków obszarów nad oceanem, i do Limy, i do tych tragicznych dni, gdy każda godzina przynosiła coraz to nową klęskę. Przez całą podróż unosily się one nad nimi jak zmora i dlatego zbyt długimi rozmowami starali się nie pogłębiać przykrego nastroju. Tutaj jednak, na pograniczu, wydawały się mniej męczące, coraz chętniej wyrwały się w przyszłość. I mimo woli zaczęła je wypełniać nadzieja. Przecież inżynier nie odrywałby ich od kraju bez bardzo ważnego powodu. Coś tam musiało się dziać w Guayaquilu... Może decydują się jakieś sprawy...

Antonio poruszył się. Powoli, z namysłem dorzucił do ognia kilka suchych gałęzi. Wesole trysnęły iskry.

- Co słyhać u generała? - zagadnął zniecierpliwiony. - Bywałeś u niego?

Pablo nie odpowiedział od razu. Jak żywa stanęła mu przed oczyma skupiona postać rozgrywająca z nim partię szachów, dobitnie rozbrzmiały jej polecenia. Do tej pory ich nie powtórzył. Bał się, że

odświeżą w Antoniu jakieś nie znane mu bliżej rany i to w chwili, gdy bardzo potrzeba hartu. Toteż i teraz się jeszcze zawahał.

- Często do niego zaglądałem - odezwał się wreszcie. - Wstąpiłem też w przeddzień wyjazdu. Przesyła ci pozdrowienia.

- Wiedział, że zobaczysz się ze mną,?

- Nie wiem od kogo, ale wiedział. Miły staruszek... A do ciebie tak przywiązany, jakbyś był jego synem.

Pablo śledził uważnie skutek odmierzanych przez siebie starannie słów. Antonio zamyślił się tylko i westchnął.

- Oczywiście ciągle robi zabawki - ciągnął raźniej. - Mercedes - zagadnął - to jego córka?

Antonio zacisnął usta, jakby to imię sprawiło mu przykrość. - Tak - odparł po chwili cicho. - Jego córka...

- Spytałem, aby się upewnić, czy czegoś nie przeoczyłem. Otóż generał kazał mi powiedzieć, że ona wspomina cię czule. Tak się właśnie wyraził... I że też przesyła ci pozdrowienia.

W oczach Antonia najwyraźniej przewinął się gniew, lecz wygasł szybko. Zastąpił go smutek. A wkrótce i on ustąpił i na jego miejscu pojawił się ciepły blask. Pablo odetchnął.

- Ty ją wciąż kochasz?... - zapytał nieśmiało.

Nie doczekał się odpowiedzi. Nie zdziwił się: Mercedes nigdy nie była przedmiotem ich rozmów. Wydało mu się natomiast, że blask w oczach Antonia nabrał jeszcze większego ciepła.

- Dziwny człowiek z tego generała - dodał z namysłem. - na pozór schorowany dziwak, odcięty zupełnie od świata. Mimo to jakimiś tajemniczymi drogami dobiegają do niego najświeższe wieści. Choćby ta o moim wyjeździe. Zresztą i jego sądy o ludziach czy o wypadkach zaskakują niekiedy niezwykłą trafnością. Dawniej odwiedzałem go z życzliwości. Potem przekonałem się, że warto z nim pogawędzić. Umie spoglądać w przeszłość.

Jak na niego, stał się wyjątkowo wymowny, toteż teraz Antonio objął go baczny spojrzeniem.

- Wygarnij, co masz jeszcze powiedzieć - rzekł usiłując nadrobić uśmiechem nagły niepokój.

Pablo poruszył się raźnie.

- Że Mercedes jest dziś bardzo rozumną dziewczyną - wypalił bez zająknięcia. - Czekaj na ciebie. I że, jego zdaniem, spotkasz ją tam, gdzie się jej najmniej spodziewasz.

Zląkł się w tym momencie, czy jednak nie przesadził w swej pozornej beztrójce. Antonio bowiem opuścił głowę jakoś bardzo bezradnie i nie uniósł jej więcej. Zapadło milczenie. Ognisko dogasało, za to coraz jaśniej świeciły gwiazdy. Pablo popatrzył na nie i wstał.

- Chodźmy spać - rzekł. - Dotknąłem cię czymś?... - zapytał cicho. - Chyba niepotrzebnie powtarzałem to wszystko, co mi nagadał staruszek...

Antonio potarł ręką czoło i także wstał.

- Dobrze zrobiłeś - przeciwstawił się ciepło. - Były to miłe słowa i niewątpliwie płynęły z serca. Ale cóż: on bierze często własne marzenia za rzeczywistość. Bo przecież do Mercedes bardzo daleko...

Dużo było w nim melancholii i nie wyzbył się jej nawet wówczas, gdy już wjeżdżali do Guayaquilu. A jak gdyby mu na przekór, ten „położony prawie na samym równiku port ekwadorski zachwycał swym położeniem, czarował przepychem i strzelistością rozrzuconych dokoła palm. Był jak upięty na stokach ogród, zatopiony w potokach słońca. W jego wnętrzu było jednak za duszno. Przedostali się więc szybko przez ulice i dopytując się od czasu do czasu o drogę wyjechali na jedno ze wzgórz. Przyjemnie tu było, ochładzał wiatr. Antonio odetchnął głębiej i spojrzał przed siebie uważniej. Rozchmurzył twarz. Wśród wielu ładnych domków tego przedmieścia zobaczył coś znajomego: taką samą willę, w jakiej mieszkał w Chorillos!

- Idę o zakład - wykrzyknął - że tam mieszka inżynier!

- Nic nie zarobisz - Pablo rozbawił się także. - Ja nie stanę do zakładu, a tutaj na pewno nie znajdziesz naiwnych.

Podjechali do bramy. Człowiek, który im wyszedł naprzeciw, nie był im znany, lecz gdy tylko usłyszał nazwiska, powitał bardzo uprzejmie, odebrał konie i chociaż Malinowskiego nie było chwilowo w domu, wprowadził da środka, stawiając zaraz przed nimi chłodne napoje.

Antonio rzucił okiem na pokój: mimo że tam, za oknami, pełno była zieleni, tonął w kwiatach, jak cudne plamy wyglądały zewsząd storczyki. Ściągnął brwi, ogarnął go nieokreślony niepokój. Tutaj, wewnątrz, nic nie przypominało ani mieszkania w Limie, ani willi w Chorillos. Tam też było ładnie,

pięknie były wypracowane wszelkie szczegóły. Ale w porównaniu z tym, na co patrzył, nie brakowało tam surowości. Tu natomiast unosiło się coś niezwykłego, jakby jakaś przedziwna miękkość przenikająca do głębi i zniewalająca duszę swą subtelnością.

Antonio raz jeszcze objął całość spłoszonym nagle spojrzeniem i podszedł do okna. Tam dalej było widać gąszcz drzew ozdobnych i owocowych; za to bliżej panowały wszechwładnie róże, jak w każdym patio limańskim. Usiadł i nie odrywał już od nich oczu. Zatonął w myślach, wraz z ich zapachem napływały coraz tkliwsze wspomnienia. Pogłębiał się smutek. Ujrzał dolinę Chauchy, domek w Concepcion...

Pablo raz i drugi rzucił na niego okiem i wziął do ręki miejscową gazetę. Zajął się właśnie artykułem o ostatnich wydarzeniach w Ameryce Środkowej, gdy naraz czujnie nadstawił ucha. Wydało mu się, że w sąsiednim pokoju rozległ się jakiś szmer, jak gdyby ktoś szedł powali po puszystym dywanie. Nie mógł to być mężczyzna, który otwierał im bramę; kroki były zbyt delikatne. I jego ogarnął teraz jakiś nieokreślony niepokój, w napięciu wpatrzył się w drzwi. Uchyliły się bezszelestnie...

Pablo zerwał się z miejsca i znieruchomiał. Oszołomiła go uroda kobiety, którą zobaczył, wpatrywał się w nią jak urzeczony.

Bił z niej czar młodego dziewczęcia, a równocześnie żar dojrzałości, wdzięk przemieszał się z głębokim skupieniem. Skinęła mu lekko głową na powitanie i zaraz skierowała oczy na okno. Obserwował ją czujnie. Był pewien, że i z nią dzieje się w tej chwili coś niezwykłego, że targa nią głębokie wzruszenie. Nie drżała, lecz czuł nurtujący ją lęk; nie płakała, lecz był święcie przekonany, że łka; i nie uśmiechała się, a mimo to nie wątpił, że cała plonie z radości...

Uszła dwa kroki i przystanąła. Zdawało się, że zabrakło jej tchu.

- Antonio!... - szepnęła.

To jedno słowo powiedziało Pablowi wszystko. Serdeczne ono było i pieszczotliwe, ciche, a tak gorące, że przenikało na wskroś.

Antonio drgnął silnie, musiał usłyszeć. Nie odrywał jednak oczu od róż. Dopiero gdy powtórzyła jego imię, powoli odwrócił głowę.

- To ty, Mercedes?... - zapytał cicho, jakby się bał spłoszyć sen.

Pablo, głęboko wzruszony, wysunął się nieznacznie z pokoju. Doszedł do wniosku, że gdzie dwa serca spotykają się po długiej rozłące, świadkowie są niepotrzebni.

## VIII.

W Limie o tej porze roku było przyjemniej: chmury, unoszące się w ciągu dnia nad miastem, łagodziły upały. Tu lał się bez przerwy z nieba straszliwy żar i gdyby nie powiew wiatru i cień, byłoby trudno wytrzymać. Widok był za to piękniejszy. Tam jedynie potężna ściana Andów stanowiła jakieś urozmaicenie, lecz równocześnie zamykała horyzont, zatrzymywała na sobie myśli. Tutaj wzrok spływał łagodnie w dół wraz z morzem zieleni i mknął swobodnie wśród masztów, rozrzuconych na lśniących wodach zatoki.

Pablo, siedząc w zacisznej altanie, tam właśnie patrzył i rozmyślał nad dziwnymi drogami ludzkiego szczęścia. Że Antonio kochał, wiedział od dawna. Wiedział także, że na krótko przed ślubem spadło na niego jakieś nieszczęście. Szczegółów nie znał i nigdy o nie nie pytał. Gdy zaczął bywać u generała, zrozumiał niejedno. Dopiero trzeba była jednak długiej podróży do Ekwadoru, aby mógł wreszcie zobaczyć na własne oczy tę piękną Mercedes, która odgrywała tak wielką rolę w życiu Antonia. Co ich rozdzieliło?... Dlaczego musieli czekać na siebie tak długo?...

Pablo przerwał swe rozmyślenia: ktoś w bramie przekręcił klucz. Poznał natychmiast kroki i wybiegł naprzeciw. Malinowski, rześki i wesoły jak rzadko, chwycił go radośnie w ramiona.

- Więc jesteś nareszcie! - gawędził. - Już zaczynałem się martwić, czy coś się nie stało. Niełatwa to droga... A co z Antoniem? - rozejrzał się niespokojnie. - Przyjechał?

Pablo skinął głową i uśmiechnął się lekko.

- Aha, są razem! - domyślił się Malinowski. - Jakże tam poszło? Nie pokłócili się znowu?

- Wydaje mi się, że są bardzo szczęśliwi.

- Wobec tego nie przeszkadzajmy. Niech się nacieszą po tak długiej rozłące. Chodźmy do ogrodu.

W drzwiach ukazał się mężczyzna, który otwierał im bramę.

- Nic nie mów pannie Mercedes o moim powrocie - inżynier mrugnął wesoło. - Obiad zjemy za pół godziny. I dopiero wtedy coś im tam szepnij na ucho.

Boczną alejką przedostali się do altany.

- A teraz opowiadaj - rzekł. - Co słysząc w Limie? Szkoła Inżynierów, oczywiście, pracuje normalnie?

Pablo zwięźle, krótkimi zdaniami nakreślił obraz pracy codziennej i organizacji studiów, wspominał o trudnych początkach i o rozmowach w głównej kwaterze armii chilijskiej, a potem rozwiódł się nadspodziewanie szeroko o pomocy, jakiej ludność udziela uczelni. Gdy skończył, Malinowski kazał mu raz jeszcze powtórzyć scenę w dawnym prezydenckim pokoju.

- A więc to tak było!... - w zamyśleniu pokiwał głową. -

Habich zawiadomił mnie a tym wprawdzie, ale w tak skąpych słowach, że niewiele !potrafiłem odgadnąć. Skromny jak zawsze... Że to mocny charakter i że cechuje go nieustraszona odwaga, wiedziałem od dawna. Niełatwo przemawiać, gdy ręka przeciwnika spoczywa na rewolwerze...

Pablo westchnął bezwiednie. On dobrze wiedział, że to było niełatwo. A jeszcze trudniej było utrzymać taką rękę w bezruchu... Potarł czoło, jakby chciał odsunąć męczące wspomnienia i przeszedł zaraz na inny temat. Wkrótce zresztą weszła Mercedes niosąc naczynia, a za nią Antonio. Przez pewien czas panował rozgłośny gwar, lecz gdy zabrali się do jedzenia, zapadła cisza. Zbyt wiele myśli cisnęła się do głowy, każdy więc starał się je jakoś ułożyć i na swój sposób przeżywał to niezwykle spotkanie. Potem jednak nastrój zmienił się szybko. Odezwał się Malinowski, podtrzymał go z werwą Antonio. I w końcu nawet Pablo stracił zwykłą powagę.

- Okazuje się, że generał jest doskonałym prorokiem - rzekł żartobliwie. - Przepowiedział, że spotkasz pannę Mercedes tam, gdzie się jej najmniej spodziewasz. Spełniło się co do joty. A ty, niedowiarku, uważałeś to za pobożne życzenia osamotnionego staruszka!

- Pan zna mojego ojca? - wtrąciła żywo Mercedes.

- Oczywiście. Otrzymałem go przecież w spadku.

Pablo z humorem, dowcipnie opowiedział, jak został wprowadzony przez Antonia do generała, jakie od niego otrzymał zlecenie i jak sumiennie je potem wypełniał. Mercedes spoglądała na niego z coraz większą wdzięcznością. Kiedy zaś zorientowała się, że Antonio oddawał przez lata jej ojcu tę samą przysługę, w jej oczach rozbłysło głębokie wzruszenie.

- Bardzo jesteś dobry... - szepnęła. - Znacznie lepszy ode mnie. Ojciec nigdy nie wspominał mi o tym w listach... Ale ty przecież mogłeś mi to powiedzieć!

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Wielu spraw nie zdążyliśmy jeszcze omówić - Antonio roześmiał się. - Na przykład: jak to się stało, że znalazłaś się w Guayaquilu? I właśnie w tym domu?

- Nawet na to zabrakło wam czasu? - rozbawił się Malinowski. - Widocznie obiad podano za wcześnie. Opowiedzże mu wreszcie. A może ja mam to zrobić za ciebie?...

Mercedes spłonęła rumieńcem. Przytaknęła skwapliwie.

- A więc było tak... Jej ojca znam od lat.

Antonio poruszył się niespokojnie.

- Od lat - potwierdził inżynier. - Opowiedział mi więc przy jakiejś okazji o zakochanym młodzieńcu i o pięknej Mercedes. Gdy zaś dziewczyna spaliła za sobą mosty...

Rzuciła mu błagalne spojrzenie, jak gdyby chciała go powstrzymać przed jakimś niebacznym słowem. Malinowski przygroził jej palcem.

- Napisałem do niej list - ciągnął po chwili dalej. - Wyjaśniłem szczegółowo nieporozumienie, a przy okazji trochę zbeształem za lekkomyślność. Co prawda i ciebie nie oszczędzałem. Niestety, niemało miałeś grzechów na swym sumieniu.

Teraz Antonio popadł w zakłopotanie.

- Robiło się w życiu -głupstwa - przyznał odważnie. - Co do Pety jednak, mam czyste sumienie. Urządziła zasadzkę, aby nie dopuścić do naszego małżeństwa. Dzisiaj rozumiem to dobrze.

- Napisałem i o tym. Nie miałem żadnych wątpliwości w tej sprawie, gdyż poza Mercedes nie widziałeś wówczas zupełnie świata. Resztę jednak omówiłem szczerze, bez owijania w bawełnę. Do niej należała decyzja: albo chce mieć ciebie z całą twoją przeszłością, albo musi zapomnieć...

- Nie wspomina pan o hymnach pochwalnych na jego cześć! Znacznie było ich więcej aniżeli zarzutów.

- A czy nie zasłużył na nie? Należało być sprawiedliwym. Kazałem ci ważyć na szalach jego cnoty i grzechy, a że cnót było więcej, nie moja wina. Nie broniłem ci przecież coś dorzucić od siebie. Ale ty widocznie nie chciałaś.

Zapanowała wesołość.

- Potem pisywaliśmy do siebie często - mówił inżynier coraz pogodniej. - Postanowiła poddać cię próbie czasu, może i słusznie. Ty trzymałeś się dzielnie. Donosiłem jej o tym stale. Dyplom otrzymała już w czasie wojny. Jak twierdzi generał, rzeczywiście dobre z niej dziecko: zawsze okazywała mi dużo ufności... Gdy więc ty broniłeś ojczyzny, a ja znalazłem się w Guayaquilu, ściągnąłem ją do siebie. W Limie nie miałyby co robić. A mnie - uroczystym gestem podniósł do góry rękę - akurat był bardzo potrzebny sekretarz. Toteż nic dziwnego, że się tu spotkaliście. I chyba na mnie nie narzekacie?

Piersi Mercedes zaczęły falować szybko, targnęło nią głębokie wzruszenie. Wpatrywała się w niego chwilę przez łzy i przypadła mu nagle do rąk.

- Nigdy nie zapomnę tego, co pan dla nas uczynił - odezwała się cicho. - Więcej niż ojciec, więcej niż najserdeczniejszy przyjaciel... Pan umie urzeczywistniać ludzkie marzenia!...

Malinowski obrócił to w żart, lecz widać było, że mocno odczuł ten nieoczekiwany objaw wdzięczności.

- Zaskoczyłaś mnie... - rzekł skupiając powoli myśli. - Ludzkie marzenia... Oczywiście one są najważniejsze. Nie własne, gdyż te zawsze mają coś z egoizmu, a ludzkie, dobrze to określiłaś. I cieszę się, że właśnie tak rozumiesz moją działalność... Nie wiem tylko - ożywił się i objął Antonia przekornym spojrzeniem - czy on jest z tego zadowolony tak samo, jak ty. Bo jeśli nie, wyślemy go znów za granicę.

Antonio skoczył, objął Mercedes i przycisnął do serca.

- Nie dam! - krzyknął niby to w złości. - Dość miałem kłopotów w ciągu ubiegłych lat. Trzeba by to jakoś zakończyć - zafrasował się szczerze. - Trzymam ją za rękę, a ciągle nie jestem pewien: a nuż się wymknie! Ślub natychmiast, w najbliższą niedzielę! Da się to jakoś urządzić?

- Chyba da - pocieszył go Malinowski. - Tu też mam sporo przyjaciół.. Trochę masz zresztą racji, że się tak spieszysz. Czeka ją cię liczne wyjazdy.

- Wyjazdy?...

- Tak. Do różnych krajów, może nawet do Europy. A może do Limy... Peru nie może przecież żyć wiecznie w niewoli, a my możemy zrobić niejedno. Właśnie dlatego cię sprowadziłem. Szczegóły zaczniemy omawiać od jutra... A poza tym trzeba już myśleć o przedłużeniu kolei.

Przeniósł oczy na Pabla.

- To znów dla ciebie robota - dodał. - Czym jest ta kolej, wiesz dobrze. A gdy odejdą Chilijczycy, nabierze ona ogromnej wartości. Tych bogatych pokładów saletry na pewno nam nie oddadzą, po to zrobili wojnę. Toteż cała nasza nadzieja odtąd we wnętrzu kraju. I dopiero teraz każdy dobrze zrozumie, co oznacza każdy nowy kilometr tej linii.

Pablo pochylił się, jakby chciał lepiej go dojrzeć. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ten człowiek, chociaż dawno przekroczył siedemdziesiątkę, ciągle jest młody, że nadal śmiało spogląda w przyszłość, że nawet wojna i wygnanie nie stanowią dla niego istotnej przeszkody, a co najwyżej tylko nieco odsuną sprawę.

- Istnieją jakieś możliwości zdobycia pieniędzy na dalszą budowę? - zapytał. - Gdy odejdą Chilijczycy, zapanuje w kraju straszliwa nędza. Samo Peru na to się nie zdobędzie.

- Istnieją. Stąd, z Guayaquilu, ostukuję różne punkty i jestem coraz to lepszej myśli. Trzeba jednak ciągle pisać, nieustannie opracowywać najrozmaitsze projekty. Mercedes pomaga mi dzielnie, lecz w tej dziedzinie nie jest przecież fachowcem. Toteż ty zajmiesz się odtąd tymi sprawami. Przecież musimy dotrzeć w końcu pociągiem w dolinę Chauchy i do Cerro de Pasco! Mrugnął porozumiewawczo na młodą parę. Antonio, słuchający do tej pory w wielkim skupieniu, stracił naraz całą swoją powagę.

- Ha, jeśli o wszystkim myślimy - przemówił raźnie - nie zapomnijmy o Pablu! Nie wypada, aby nadal marnował się w samotności.

Mercedes nadspodziewanie mocno wzięła tę sprawę do serca.

- Ma pan chyba narzeczoną?... - spytała z przejęciem.

- Nie ma! - odpowiedział za niego Antonio. - A co najgorsze, ten młodzieniec wcale jej dotąd nie szukał. Nie !taki nicpoń, jak ja.

- Niedobrze - zafrasowała się szczerze. - Coś trzeba by na to poradzić... Aha, wiem! - klasnęła w ręce. - Mam śliczną kuzynkę...

Antonio złożył ręce jak do modlitwy.

- Moja ty cudna królowo, wyswataj ich! - przemówił gorąco. - Zawsze wierzyłem w twe dobre serce, a Pablowi gotów byłbym przychylić nieba. Mam tylko jedno zastrzeżenie: nie wystawiaj go nadmiernie na próby. Bo jeśli ta twoja kuzynka jest do ciebie podobna...

Roześmiali się wszyscy, a jedynie Mercedes zachowała nadal powagę, Przez dłuższy czas jej zamyślane spojrzenie spoczywało na Pablu i stawało się coraz życzliwsze, coraz więcej przybywało mu ciepła. Wreszcie przesunęła powoli wzrok na Antonia. Musiała dostrzec coś bardzo miłego, przytuliła się bowiem mocno i sponioną nagle twarz ukryła na jego ramieniu.

Powiał silniejszy wiatr, odurzający zapach róż wypełnił całą altanę. Pablo, przyglądający się nieznacznie młodej ;parze, odwrócił od niej wzrok, pragnąc zadać jakieś pytanie Malinowskiemu. Nie otworzył jednakże ust. Inżynier wydał mu się w tej chwili jakiś niedostępny, daleki, pochłonięty całkowicie swymi myślami. W wielkim napięciu patrzył na widoczny z jego miejsca skrawek nieba, po którym toczyły się delikatne, błękitnoszare obłoki.

Pablo wstał i wysunął się bezszelestnie. Wyczuł, że i jemu nie należy przeszkadzać...

## Po szesnastu latach.

Dochodziła dwunasta. Na czystym zupełnie błękitnie nieba jaskrawo błyszcząco słońce i zalewało blaskiem i ciepłem tę położoną prawie na wysokości czterech tysięcy metrów stacyjkę. Wyglądała jak piękna willa i jak wszystkie inne, które znajdowały się niżej, służyła równocześnie mieszkańcom Peru za uzdrowisko. Kto czuł się źle na nadmorskich nizinach, ten jak wiatr wznosił się w górę pociągiem orojskim i w zależności od. wskazań lekarza wysiadał to wśród tropikalnej, przesyconej wilgocią roślinności, to w malowniczych kotlinach, gdzie rosły jedynie ziemniaki i zboża, to znów w chłodnym i suchym klimacie albo też jeszcze wyżej - gdzie i mróz zaglądał często, i śnieg stroił od czasu do czasu kamieniste wierzchołki. Toteż te stacyjki były także pensjonatami. Po umiarkowanych cenach można tu było dostać oddzielne pokoje i wyżywienie i przebywać tak długo, jak tego wymagały okoliczności.

Właśnie w jednym z takich pokojów znajdowała się obecnie Mercedes. Co prawda, ona nie zatrzymała się tutaj dla zdrowia czy wypoczynku, pragnęła jedynie przyzwyczaić swą dwunastoletnią córeczkę do rozrzedzonego powietrza. Miała się z nią przedostać przez Szczyt i właśnie pakowała walizy. Pociąg powinien zjawić się lada chwila. Rzeczywiście usłyszała wkrótce stłumiony gwizd, a po chwili wpadła do pokoju podniecona dziewczynka.

- Mamo, idziemy! - krzyknęła. - Dym widać!

Chwyciła paczkę owiniętą starannie sukniem i skierowała się z powrotem do wyjścia.

- Daj mi ją - rzekła Mercedes. - Możesz o coś zaczepić. Sama poniosę.

Dziewczynka stanęła. W dużych, jak u matki pięknie przysłoniętych długimi rzęsami, oczach ukazało się rozżalenie.

- Ależ mamo, o co ty mnie posądzasz? - przemówiła z wyrzutem. - Wiem przecież, że ta czara, to życie dziadunia Ernesta i nie wolno jej rozbić. On sam kazał mi się opiekować nią w drodze!

W drzwiach ukazał się jakiś kolejarz, zabrał walizy i razem wyszli na peron. Pociąg już stał: parowóz z jednym tylko wagonem. Obsługa pomogła dostać im się do środka i w chwilę później koła zaczęły wybijać swój zwykły rytm. Mercedes wyjrzała przez okno: bijące prostopadle z nieba promienie słońca złościły zbocza, kotliny i turnie. Teraz za szybą było na pewno ciepło. Tutaj jednak, pod dachem, już zaczynał przenikać chłód.

Odwróciła się i zatrzymała wzrok na dziewczynce: w drugim, końcu tego luksusowo urządzonego wagonu poprawiała w wazonach róże. Dużo ich było, zadziwiały wszystkie świeżością. I nic dziwnego: ścięto je dzisiaj o świcie w Limie i zdążyły przekroczyć granice tropikalnych upałów, zanim dokuczyło im słońce.

- Śliczne, mamo, nieprawda? - dziewczynka wtuliła twarz między kwiaty. - Ucieszy się dziadunio z takiego prezentu!

- Śliczne. Ale że ty różą nie jesteś, lepiej się połóż. Możesz zamarznąć, zanim ujrzymy Szczyt. I spróbuj zasnąć. To najlepsze lekarstwo i na sorocze, i na brak w płucach powietrza.

Ułożyła ją na kanapce, okryła starannie pledem, a potem usiadła w fotelu i oddała się

rozmyślaniom. Znała dobrze tę drogę, w ciągu ostatnich lat wędrowała nią wielokrotnie. I znała dziś doskonale jej niezwykłą historię. Ileż ona kosztowała wysiłku i ofiar, ile ludzi tu padło, ile nie żyje z tych, których losy były z nią najściślej związane!... Zginął w tym czasie tragicznie prezydent Balta, spalono na stosie ciała Gutierrezów, zamordowano Pardeę, zmarł Meiggs... Jedyne Malinowski pozostał. Tworzył ją, zanim jeszcze zaczął budować; wgrzyzał się niezmordowanie w skałę, kiedy waliło się wszystko; chociaż wygnany, z Guayaquilu pilnował jej jak oka w głowie i szukał środków, mima że w Limie przebywali ciągle najeźdźcy. A gdy w roku 1883 zawarto nareszcie pokój, natychmiast wrócił do Peru, przejął znów zarząd i zaczął krzątać się energiczniej. Kraj popadł w straszliwą nędzę. Inżynier przypomniał w tym momencie dobitniej niż kiedykolwiek, że w Cerro de Pasco i w urodzajnej dolinie Chauchy znajdują się wielkie bogactwa, mogące pokryć nie tylko straty i kontrybucje, lecz także zabezpieczyć przyszłość. Równocześnie kołatał w Europie, szukał finansowego poparcia, na własny koszt sprowadzał komisje z Francji i Anglii. I w końcu osiągnął cel: tory pobiegły daleko za Szczyt, a dziś właśnie otwiera się uroczyście nowy i wielki odcinek prowadzący z Oroí do górniczych okręgów Cerro de Pasco...

Myśli układały się coraz leniwiej, coraz bardziej brakowało płucem powietrza. Aż nagle zapadły dokoła ciemności i wraz z nimi spłynął na ~ciało kompletny bezwład. Mercedes dyszała ciężko. Nie lubiła tego wierzchołkowego tunelu, w tym miejscu zawsze była bliska omdlenia. Toteż jak podmuch szczęścia odczuła pojawienie się światła i w bezwiednym odruchu otworzyła gwałtownie okno. Chlusnęło na nią wodą i wichrem: lał deszcz. W pomgle szarugi ,postrzępione śniegowe pola rysowały się nieco jaśniej. Za to kamieniste zbocza prawie wcale nie były widoczne.

Pociąg zatrzymał się. Maszynista podszedł do okna.

- Przykra droga - westchnął z ubolewaniem. - Jak się pani czuje?

- Dziękuję. Już dobrze. Długa będziemy tu stali?

- Zaraz jedziemy. Chciałem tylko sprawdzić, czy nie jestem pani potrzebny. A przy okazji ostukam koła.

Mercedes zaczynała oddychać swobodniej. Niewiele tu było niżej aniżeli w tunelu, ale przynajmniej nie dusił dym, mroźny wicher zresztą także przyjemnie odświeżał ciało. Spoglądała więc na tę najwyższą na świecie stacyjkę coraz spokojniej, coraz równiej układały się myśli. Historię tego miejsca też znała dobrze. Dziś było ono zupełnie puste i gdyby nie widniejąca obok torów tablica z nazwą, nikt by się nie domyślił, że pociąg tutaj przystaje. Nie zwykła to była nazwa: „La Galera”, więzienie... Tak niezwykła, jak cały ten posępny zakątek, gdzie nawet ptak nie potrafi się utrzymać na skrzydłach, gdzie zanikło zupełnie życie. Widocznie wsiadają tu jednak podróżni... A przed nimi byli tu inni: którzy przeprowadzili tędy kolej, -pracując niezmordowanie w tych rzeczywiście galerniczych warunkach...

Pociąg ruszył. Ciężka ołowiana chmura przysunęła się bliżej, dotknęła prawie wagonu i niespodziewanie strugi -deszczu przemieniły się w śnieg. Mercedes zamknęła okno. Tam za nim niczego nie można było rozróżnić, lecz jakby na przekór temu widokowi robiło się jej coraz przyjemniej. Kiedy Antonio prowadził tędy ongiś polskiego wygnańca przybranego w habit zakonny, tych szyn jeszcze nie było... A teraz spływają one łagodnie na wschód, koła wybijają na nich jakiś swawolny rytm, coraz bardziej ucisza się tak męczące po tamtej stronie sapanie lokomotywy. Rozjaśnia się szybko. Zaginał już śnieg, znikają chmury, ukazuje się błękit nieba. Słońce znów sączy na ziemię swój dobry, złocisty blask. I pod jego tchnieniem zaczyna się coraz częściej zielenić krajobraz...

- Mamo, daleko do Oroí? - pada naraz pytanie.

Mercedes odwraca się szybko. Dziewczynka spała dotychczas, ale zaglądające przez okna słońce i na nią ma widocznie wpływ czarodziejski. Przeciera oczy i siada.

- Niedaleko - Mercedes patrzy na zegarek. - Staniemy za dziesięć minut. Przygotuj bukiet, który mamy zanieść na grób. Wsiadły wkrótce i zabrawszy jedynie pęk róż, skierowały się w stronę cmentarza. Cichy on był i skromny; jak cała ta okolica - zielony wprawdzie, lecz pozbawiony zupełnie drzew. Wytoczoną kamieniami alejką weszły w głąb i zatrzymały się przed piękną marmurową tablicą. Napis głosił, że od trzech lat leży pod nią Santillan - Indianin, budowniczy kolei, który trwał zawsze wiernie na stanowisku i z ogromnym poświęceniem torował drogę do rodzinnej Oroí.

- Szkoda, że go nie znałam - szepnęła dziewczynka odczytawszy uważnie napis. - Musiał być bardzo podobny do dziadunia Ernesta...

Słyszała o nim dużo i musiała mieć bardzo wrażliwe serce. Wzruszyła się głęboko, w wielkim skupieniu złożyła kwiaty. I jeszcze później, gdy szły z powrotem przez wioskę, wracała często myślami do tej kamiennej tablicy, zadając niekiedy matce wręcz zaskakujące pytania. Dopiero znalazłszy się na peronie, czym innym zaprzątnęła uwagę. Patrzyła teraz w napięciu na północ, na stałowy szlak



biegnący ku Cerro de Pasco. Na pewno nie zdawała sobie sprawy, co on oznacza dla Peru, ile lat upłynęło od czasu, gdy po raz pierwszy zaczęto mówić o jego budowie, ile się z nim wiązało nadludzkich wysiłków i zawiedzionych nadziei. A jednak wydawało się, że tak samo mocno przeżywa jego istnienie jak ci, którzy dziś z rana przecinali tu szarfę.

W dali ukazał się dym.

- Mamo, kwiaty dla dziadunia! - krzyknęła. - Już jedzie!

Zarumieniona z nagłego podniecenia, radosna, wskoczyła do wagonu i po chwili wypadła z olbrzymim naręczem róż. Tamte, które zaniósł na cmentarz, były żółte lub złote. Te płonęły purpurą. Tuliła je do siebie jak bezcenny skarb, spoza którego wychylała się tylko nieznacznie twarzyczka: urocza, promienna, dziwnie przypominająca w tej chwili twarz tej pięknej Mercedes, która ongiś witała Antonia na dworcu limańskim po jego powrocie z Paryża.

Pociąg wjechał na stację. Składał się z dwóch wagonów, wioził bowiem licznych przedstawicieli najrozmaitszych instytucji i rządu, którzy brali udział w uroczystościach w Cerra de Pasco. Kilku podróżnych wysiadło, a wśród nich Malinowski: dzisiaj człowiek prawie dziewięćdziesięcioletni, lecz nadal trzymający się krzepko, wciąż czynny, ciągle przybliżający Limę ku Amazonce naczelnym inżynier-doradca towarzystwa angielskiego, realizującego obecnie jego dawne projekty.

Dziewczynka dostrzegła go natychmiast i przypała z głośnym okrzykiem.

- Dziaduniu!... Dziaduniu, dla ciebie - wysunęła przed siebie kwiaty. - Najpiękniejsze, jakie były w naszym ogrodzie w Limie!

Serdeczne było to powitanie. Malinowski chwycił ją wpół, podrzucił, a potem ucałował gorąco i dopiero wtedy przybliżył się do Mercedes.

- Ma Antonio swoją miłość, mam nareszcie i ja - odezwał się żartobliwie. - Dobrą miłość, bo córka wdała się w matkę: tak sama umie dotrzymywać wierności.

Zrobiło się gwarno. Podszedł Antonio, pchał się z boku drugi Ernesto - jego syn nieco starszy od siostry i żywy jak jego ojciec w najlepszych dniach swojej młodości, pojawił się Habich, który brał także udział w uroczystości otwarcia, otoczyli ich inni.

- A gdzie Pablo? - Mercedes rozejrzała się po peronie.

- Przyjedzie jutro, z żoną. Wstąpili po drodze do starych znajomych.

Parowóz z Cerro de Pasco gwizdnął przeciągle, dając znak do odjazdu. Ci, którzy mieli się udać do Limy, a wśród nich Habich, wsiedli z powrotem do wagonu i wkrótce ich pociąg zaginęł w dali.

- Czas na nas - Malinowski odwrócił głowę od toru prowadzącego na Szczyt. - „...aruszek pewnie się niecierpliwi. Antonio uśmiechnął się. W przystępie dobrego humoru inżynier zawsze tak nazywał ojca Mercedes, chociaż był on od niego młodszy. Co prawda miał do tego podstawy: zadziwiał dzisiaj swą ruchliwością, z młodzieńczą werwą. przekomarzał się z dorosłymi i z dziećmi. I w miarę, jak oddalał się od Oroi, stawał się coraz weselszy.

Jechali znów tym samym pociągiem, którym przybyła Mercedes z córką. Teraz jednak pędził on na południe, prosto w dolinę Chauchy.

- Znajome strony - Malinowski objął Antonia rozbawionym spojrzeniem. - Wyhasaliśmy się tu niegdyś na koniach. I gdzieś tu niedaleko przeżyłeś swoją pierwszą wielką przygodę, kiedy to z gołymi rękami rzuciłeś się na tego, zdradzieckiego mulnika...

Rozgadał się na ten temat. Dzieci słuchały z otwartymi ustami, gdyż w tej opowieści było немало grozy, ale i Mercedes wydawała się bardzo przejęta. Nie знаła dotąd tego wypadku.

- Tak, tak - kończył Malinowski, zwracając się do rozplómiennionego Ernestka. - Twój ojciec zawsze wykazywał wielką odwagę. Nawet wówczas, gdy był niewiele od ciebie starszy...

Przesunął wzrok po twarzach i zatrzymał go wreszcie na leżącym na półce pakunku.

- Aha, czara jest! - ucieszył się. - Nic się nie stało jej w drodze?

- Czuwałam nad nią osobiście, dziaduniu! - stwierdziła energicznie dziewczynka.

- Prawda, ty przecież nad nią czuwałaś - inżynier z uznaniem pokiwał głową. - A ty umiesz pilnować!

Wstał, zdjął pakunek, rozwinął i ustawił na stoliku tę dziwną czarę, którą niegdyś Santillan przeniósł na własnych plecach po urwiskach Rimaku, aby okazać mu wdzięczność i zaufanie za strony górskiej ludności. Wpatrywał się przez pewien czas w twarz inkaskiego mędrca, inżyniera, czy też kapłana - wciąż pełną zadumy i wciąż pełną życia.

- Okazuje się, że Pablo potrafi lepiej odczytać te znaki niż ja - uśmiechnął się. - Według moich obliczeń od kilku lat powinienem przebywać w grobie. A on dostrzegł dawno jakieś jaśniejsze plamy

między drugim krzyżem a trzecim. Sprawdza się ta przepowiednia. Na drugi świat jakoś mi się wcale nie spieszy. Machnął wesoło ręką. Dzieci się roześmiały i podbiegły do okna. Właśnie w dali ukazało się kilku jeźdźców.

- Tak czy owak, moja życiowa wędrownia dobiega końca - Malinowski ściszył głos. - Wy więc odtąd zaopiekujecie się czarą. Tymczasem niech zostanie w Concepcion. A potem...

Zamyślił się nad czymś.

- A potem - dodał - sami zadecydujecie, gdzie ją ustawić. Ty wiesz o niej niewiele - zwrócił się do Mercedes. - Za to Antonio zna dobrze jej wartość. To bardzo cenna czara. Wiele oczu na nią patrzyła i dla wielu stanowiła ona drogowskaz. A przy tym zawiera ona i moją, i waszą historię. Strzeżcie jej dobrze. I starajcie się, aby nadal skupiali się przy niej ludzie najlepsi. Innych bowiem ona nie znosi.

Mercedes szybko dotknęła chusteczką oczu i podeszła do okna. Z trudem tłumiała wzruszenie, lzy przesłaniały długo przesuwały się przed nią krajobraz. Wreszcie zaczął on przenikać do jej świadomości, nabierał stopniowo coraz ładniejszych kształtów. Zanikały skalizny i zwirowiska, przemknęły stoki pokryte kępami. żywicznego czinczarga i naraz zazieleniło się wszystko. Teren opadał. Już widać było pola uprawne, już ukazywały się wsie, już jak cudowne zjawisko na tej kordylińskiej wyżynie wypląły nagle drzewa i przybywało ich nieustannie, coraz bujniej rozkładały swoje korony. A oto droga: starożytna droga Królewska Inków! Mknie nią jakiś jeździec, próbuje się ścigać z pociągiem...

Za jej plecami rozległ się krzyk. Odwróciła się przestraszona: to Ernestek pociągnął siostrę za warkocz. Natychmiast wtrącił się Malinowski, objął komendę i dzieci w najlepszej zgodzie zaczęły hasać po całym wagonie. Uśmiechnęła się pobłaźliwie i zajęła się znowu tym, co się działo za oknem. Łagodne zbocza to przysuwały się, to oddalały od toru, migały co chwila piękne kotliny. I wreszcie w dali ukazały się jasne budynki Chauchy.

Przysunął się nieznacznie Antonio.

- Pamiętasz to miejsce? - zapytał. - Właśnie tutaj zrzuciłem cię z konia.

Uderzyła go żartobliwie wachlarzem, zaraz jednak myślami pomknęła w przeszłość. Rzeczywiście stało się to w tym miejscu... Groźnie wtedy wyglądał. I nie ustąpił!...

Mignęła ładna stacyjka, domy Chauchy pozostały za nimi.

- A to miejsce pamiętasz? - spytała cicho. - Tu ujrzałam cię po raz pierwszy. Wspaniale zamiotłeś wówczas sombrero. Jak prawy rycerz starohiszpański...

Zerknęła na niego spod oka. Uśmiechnął się i przygarnął do siebie mocniej. Nic odtąd już nie mówili, za to z coraz większym przejęciem śledzili drogę królewską Inków. Każdy kamień i krzak, każde drzewo i dom budziły w ich sercach miłe, pełne słodczy wspomnienia. Gdyby nie szyny i ten pociąg wiozący ich z wielką szybkością, można by sądzić, że w tej cudnej dolinie nie zmieniło się nic. Rzeka tak samo nuciła swoją odwieczną pieśń, tak samo słońce stało na ziemię złocisty blask, ludzie z takim samym zaciekawieniem wyglądali spoza opłotków. I nawet pora była ta sama. Nadchodził zmierzch.

Wystrzeliła ostro w niebo wieża kościelna. Serce Mercedes przyspieszyło swój rytm.

- A to miejsce pamiętasz?...

Antonio skinął tylko głową. Oczywiście, dobrze :pamiętał... Przecież tu pocałowała go po raz pierwszy. I oświadczyła uroczyście, że tylko raz w życiu może pokochać...

Za nimi dały się :słyszeć pośpieszne kroki.

- Mamusiu, zabrakło mi róż! - krzyknęła rozpaczliwie dziewczynka. - Co ja dam dziaduniowi?

Odwrócili się szybko. W pierwszej chwili nie mogli zdać sobie sprawy, o co jej chodzi.

- Mamusiu - zaczęła tłumaczyć żałośnie - źle rozdzieliłam! Te jasne zaniósłam na grób. Te pąsowe dałam dziaduniowi Ernestowi. I teraz nie mam już nic...

- Weź z moich - Malinowski pieścizotliwie pogładził jej włosy. - A dla mnie natniesz nowych - dodał z pośpiechem, gdyż w jej oczach jeszcze bardziej pogłębiła się troska. - Z naszego, ogródka tutaj, w Concepcion.

Ciemne oczy dziewczynki znieruchomiały, na zaróżowionej z podniecenia twarzy ukazało się wielkie skupienie.

- Doskonały pomysł - rzekła nadspodziewanie poważnie. - Dostaniesz świeże. Jeszcze piękniejsze, z doliny Chauchy. Niech i ona cię przyjmie kwiatami...

Pociąg stanął, toru dalej nie było. Mercedes wyjrzała przez okno i pomachała chusteczką. Jej ojciec czekał. Był to dziś rzeczywiście zgrzybiały zupełnie staruszek, usiłujący jednak trzymać się dzielnie.

- A więc i don Ernesto przyjechał! - ucieszył się, gdy otoczono go wkoło. - Miłą zrobisz mi niespodziankę. Pogadamy sobie o starych dziejach, a przy okazji pokażę ci inny pociąg. Mój własny. Wczoraj go ukończyłem.

Przemawiał głośno, mocno akcentował słowa, niektóre powtarzał dwa razy. Słuch bardzo miał przytępiony.

- A chodzi po szynach? - krzyknął mu Ernestek do ucha.

- A jakże, chodzi. Ale dlaczego tak wrzeszczysz? - generał obruszył się nagle. - Głuchy jeszcze nie jestem.

Mercedes wzięła go pod rękę, aby wyjść ze stacyjki.

- Zaraz, zaraz! - powstrzymał ją. - A gdzie to don Ernesto? Aha, jesteś! Co z tym pociągiem? Dlaczego tak kratki?

- Bo ta pociąg specjalny. Przywiózł tylko nas i wraca do Limy.

- A, specjalny!... No tak, tobie należy się taki pociąg. Ale nie krzycz tak głośno... Udało ci się z tą koleją - generał wziął Malinowskiego pod rękę i ruszył naprzód. - Przyznam ci się teraz szczerze: gdy wybieraliśmy Pardę na prezydenta, nie bardzo wierzyłem twym zapewnieniom. Mimo to pomogłem w robocie. Sprawa była bezsporna: należało odświeżyć rządy. A później okazało się, że nie były to tylko czcze hasła wyborcze. Prawda, długo trwało. Lecz kolej jest! W ciągu jednego dnia z Limy do Cerro de Pasco... No, no!...

Mercedes spojrzała na męża, on na nią. Że ci ludzie znali się od lat, wiedzieli od dawna. Ale że prowadzili jakieś układy w czasach, gdy Antonio staczał tu bój z Gutierrezem, nie przyszło im nigdy na myśl. Więc to może dlatego generał przyjął go wówczas jak syna?... I może w tym zwycięstwie była także i jego zasługa?...

- A obecnie do czego masz zamiar się zabrać? - staruszek zmienił temat. - Tu kolej dochodzi. Trzeba by ją chyba jednak przedłużyć? Do Huancavelica, do Cuzco. A i tamta z Cerro de Pasco przesunąć do Ucayali. Myślisz a tym?

Od zachodu spłynął głęboki cień: słońce skryło się właśnie poza górami. Dzieci pobiegły przodem. Antonio z żoną szedł wolno, za staruszkami.

- Muszę ja, pozostawić swoim następcom - odparł Malinowski z namysłem. - Rozumiesz: zbliża się trzeci krzyż. Przez ten nie przebrnę. Nie ma zresztą czego żałować. I tak zrobiło się więcej niż...

Generał poruszył się energicznie.

- Więcej! - wykrzyknął w złości. - Zbudowałbyś dziesięć takich linii, gdyby nie ten przeklęty Pierola! Antonio, dlaczegoś ty mu wtedy nie palnął w łeb? - odwrócił głowę. - Przez twoje miękkie serce wymordował tysiące Peruwiańczyków i dzisiaj rządzi!

Przemawiał coraz dobitniej, z młodzieńczą werwą padały coraz soczystsze słowa. Widać było, że to nazwisko pali go jak ogień i z siłą żywiołu wydobywa z serca uczucia pełne gniewu i zaciekłości. Pierola bowiem rzeczywiście obecnie rządził. Przez kilkanaście lat nie miał odwagi pokazać się w Peru, ale niedawno powrócił. Znowu na czele pronunciamenta. Lima raz jeszcze spłynęła krwią, trzy tysiące zabitych zalegało ulice. A walka potoczyłaby się pewnie dalej i pociągnęła za sobą jeszcze większe ofiary, prezydentem bowiem był twardy i nieustępliwy generał Caceres. On jednak niespodziewanie zaskoczył wszystkich. Mając za sobą armię, ustąpił. I pozostawił Pierolę na placu.

- Tak trzeba było - rzekł Malinowski, gdy staruszek o tym napomknął. - Po co niepotrzebnie rozlewać krew? Jeśli Pierola wrócił, nie da już krajowi wytchnienia. Padnie jedno pronunciamiento, zrobi następne. Żądza władzy jest ciągle w nim silna, a bez gwałtu nie potrafi jej zdobyć. Niech się więc wreszcie wyżyje. Dziś nie jest on groźny, sześćdziesiątka mu przecież wchodzi na kark. A w tym wieku zaczyna się myśleć a śmierci. Rozsądek nakaże mu starannie przestrzegać prawa. A wiesz dlaczego? Aby jakaś osłabić w oczach potomności tragiczne skutki jego własnego kilkudziesięcioletniego bezprawia. To pocieszający wniosek. Jak i ten, że przecież dojrzewa już młody Pardo...

Bardzo spokojnie padały słowa. Pod ich wpływem generał jakby zupełnie zapomniał a po-przednim wybuchu i słuchał z wielką uwagą.

- Prawda, jest Pardo! - wtrącił żywa, lecz zaraz zmarkotniał. Czy on da jednak radę Pieroli?...

- Da. Syn wdał się w ojca: umysł jasny, mocny patriotyzm, wielka energia. Jak przy Manuelu, tak dziś przy nim zaczynają się skupiać najlepsi. A zresztą jest przecież także Antonio... I gdyby kiedyś doszło do starcia z Pierolą, możesz być pewien: Pardo znowu zwycięży!

Staruszek westchnął.

- Chyba nie doczekam tej szczęśliwej chwili - odezwał się w zamyśleniu. - A szkoda, chciałbym zobaczyć to drugie zwycięstwo Pardy... I przejechać się koleją do Ucayali. Bo wtedy na pewno byś ją, zbudował...

Zatonął w myślach. Malinowski też się nie odzywał przez dłuższy czas, jak gdyby i on zastanawiał się nad przyszłością.

- Ha, najgorsze za nami - odezwał się wreszcie. - Mnie nie będzie, dokończą inni. Tacy jak on - wskazał głową Ernestka. - A jeśli nie oni, to ich potomkowie. Habich przecież wypuszcza co rok ze swej uczelni kilkudziesięciu doskonałych fachowców...

Coś rozważał przez chwilę.

- Zresztą dziś nie tylko a szkoła się liczy - dodał. - Za naszego życia dużo zmieniło się w Peru. Ochłodziły się umysły, dopalają się namiętności, zaczyna decydować rozsądek. Tacy Pierolowie należą właściwie już do przeszłości, a Gutierrezowie nie mogliby się w ogóle pojawić. Toteż można teraz pogodniej spoglądać w przyszłość. Nawet najprostszemu człowiek rozumie coraz lepiej, jaką ma wartość prawo. I nie potrzeba mu tłumaczyć, że kolej orojska to symbol postępu, że ona wciąż wskazuje najprawidłowszy kierunek. Wcześniej więc czy później ktoś ją dociągnie do Ucayali.

Mrok się kłębił, na niebie ukazały się gwiazdy. Antonio rzucił okiem na Mercedes: w jakimś wielkim skupieniu obserwowała biegnącego w dali Ernestka. Popatrzył na niego również, a potem zamyślony wzrok przesunął znowu na inżyniera. Szedł bez pośpiechu, jak zwykle bardzo rozważnie odmierzał krok. Jego pochylona nieco sylwetka rysowała się coraz ostrzej w księżycowej poświacie.

## Notatki biograficzne.

Domeyko Ignacy - urodzony w roku 1801 w Mirze, zmarł w roku 1889 w Santiago. Przyjaciół Mickiewicza. studiował na Uniwersytecie Wileńskim. Po powstaniu listopadowym znalazł się we Francji, gdzie ukończył studia geologiczne. W roku 1838 przybywa do Chile. Jak mówi hiszpańska „Enciclopedia Universal Ilustrada”, „nie pominął żadnej dziedziny naukowej czy artystycznej, która mogłaby się przyczynić do podniesienia kultury i dobrobytu Chile” i dzięki swym doniosłym odkryciom dosłownie wprowadził ten kraj na mapy naukowe świata. Wiele miejscowości, gór i rzek nosi tam jego nazwisko.

Fołkierski Władysław - urodzony w r. 1842, zmarł w r. 1904 w Zakopanem. Inżynier. Odznaczony orderem Legii Honorowej za zasługi przy fortyfikowaniu Paryża w wojnie 1870/71. W r. 1874 przybył do Peru, gdzie objął stanowisko delegata rządu do nadzoru nad robotami publicznymi i kolejami. W roku 1888 - dziekan wydziału matematyczno-przyrodniczego na Uniwersytecie Limańskim. Powrócił do kraju w r. 1889.

Habich Edward - urodzony 31 stycznia 1835 r. w Warszawie, zmarł 31 października 1909 roku w Limie. Przybył do Peru pod koniec 1869 r. Autor wielu prac naukowych i inicjator licznych instytucji społecznych i naukowych, twórca Szkoły Inżynierów (Escuela Peruana de Ingenieria). Profesor Uniwersytetu Limańskiego, od czasów Pardy - czynny członek Komisji Oświecenia Publicznego. Wielokrotnie reprezentował Peru na zjazdach i konferencjach międzynarodowych. Na Placu Polskim w Limie znajduje się jego pomnik, a każdą rocznicę jego śmierci obchodzi uroczystie cała tamtejsza Polonia.

Malinowski Ernest - urodzony w roku 1808 na Wołyniu, zmarł w roku 1899 w Limie. Po powstaniu listopadowym wyemigrował do Francji. Szkołę średnią kończył najprawdopodobniej w Krzemieńcu, studia inżynierskie w Paryżu. W Peru znalazł się około roku 1850, a w roku 1859 przedłożył prezydentowi po raz pierwszy swój projekt połączenia linią kolejową Limy z doliną Chauchy i puszcami nad Amazonką. Jego postać została wryta na pięknym pomniku wzniesionym po zwycięstwie pod Callao. Autorowi nie udało się ustalić, czy on nadal istnieje, czy został zniszczony po zajęciu Limy przez Chilijczyków.

Małachowski Ryszard - urodzony 14 maja 1887 roku w Prochorowie koło Odessy. Inżynier architekt, studia kończył w Paryżu. W roku 1911 wyjechał na zaproszenie rządu peruwiańskiego do Limy, gdzie przebywał dotychczas otoczony wielkim szacunkiem. Przez 12 lat pracował w Ministerstwie Rozwoju Gospodarczego (Ministerio de Fomento), w ciągu 32 lat był profesorem Szkoły Inżynierów, Jego dziełem są trzy wielkie projekty urbanistyczne i liczne budowle monumentalne jak: pałac prezydencki, pałac Kongresu, pałac arcybiskupi, ratusz limański, a także kilka kościołów, wiele szkół i budynków mieszkalnych, piękne zakłady kąpielowe w Chorillos i inne.

Meiggs Henry - urodzony 7 lipca 1811 roku, zmarł 29 września 1877 roku. Zrobiwszy wielki majątek w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, utracił go prawie w całości i musiał uciekać przed wierzycielami. W roku 1861 wypłynął w Chile jako przedsiębiorca kolejowy, w roku 1868 zawarł pierwszy kontrakt z rządem peruwiańskim. Pochowany został w swojej hacjendzie w dolinie Rimaku.

Pardo Manuel - urodzony 12 sierpnia 1834 roku, zamordowany 16 października 1878 roku w gmachu Kongresu. Prawnik i ekonomista. W roku 1865 minister skarbu, 1869 - prezydent Limy, 1872 - prezydent republiki, 1878 - prezydent Kongresu. Jego syn - Józef Pardo stanął w roku 1904 do walki wyborczej z Mikołajem Pierolą, odniósł nad nim druzgocące zwycięstwo i został prezydentem Peru dając się poznać, jak jego ojciec, jako doskonały organizator, gospodarz i człowiek interesujący się żywo losem indiańskiej ludności.

Pierola Mikołaj - urodzony 5 stycznia 1839 roku, zmarł w czerwcu 1913 roku w Limie. Wychowanek seminarium św. Tobiasza, zięć Augustyna Iturbide - cesarza Meksyku rozstrzelanego przez swoich współziomków. Zdobywszy wreszcie władzę w roku 1895 po trzydziestu latach siania w kraju zamętu i nieustannego organizowania coraz to nowego pronunciamenta, starał się pilnym przestrzeganiem prawa odrobić poprzednie grzechy i w roku 1899 ustąpił zgodnie z wolą narodu. W pięć lat później przegrał w walce wyborczej z doktorem. Józefem Pardo i odtąd już nie próbował odzyskać władzy.